

Douglas Preston

Konfrontacja

Przełożył Robert P. Lipski

Tytuł oryginału: Impact

Copyright © 2009 by Splendide Mendax, Inc. All rights reserved.

Copyright for the Polish Edition © 2011 G + J Gruner + Jahr Polska Sp. z o.o. & Co. Spółka

Komandytowa 02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41-42 faks 22 360 38 49

Sprzedaż wysyłkowa:

Dział Obsługi Klienta, tel. 22 360 37 77

Redakcja: Joanna Ziolo Korekta: Magda Szroeder Projekt okładki: Wioletta Wiśniewska

Zdjęcia na okładce: Shutterstock Redakcja techniczna: Mariusz Teler Redaktor prowadząca:

Agnieszka Koszałka

ISBN: 978-83-62343-43-0

Skład i łamanie: Katka, Warszawa Druk: Abedik SA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych - również częściowe - tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

1

Kwiecień

Cała sztuka polegała na tym, aby wymknąć się bocznymi drzwiami i wnieść pudło po tylnych schodach, nie robiąc przy tym hałasu. Dom miał dwieście lat i trudno było postawić choć jeden krok bez wywoływania dziwnych skrzypnięć i jęków. Abbey Straw delikatnie przymknęła tylne drzwi i na palcach przeszła przez wyłożony dywanem korytarz w stronę schodów. Słyszała, jak jej ojciec krząta się w kuchni, a z radia dobiega ściszone transmisja meczu Red Soksów.

Obejmując pudło obiema rękami, postawiła stopę na pierwszym stopniu i delikatnie przeniosła na niego ciężar ciała, potem na kolejnym i jeszcze jednym. Czwarty stopień opuściła - zawodził jak opętany - i stanęła na piątym, szóstym, siódmym... I kiedy już myślała, że jej się udało, stopień huknął jak wystrzał z pistoletu, po czym wydał przeciągłe skrzypnięcie.

Cholera.

- Abbey, co jest w tym pudle?

Ojciec stał w drzwiach kuchni, wciąż mając na nogach pomarańczowe gumki, na kraciastej koszuli widać było plamy ropy i przynęt na homary. Jego ogorzałe czoło zmarszczyło się podejrzliwie.

- Teleskop.

- Teleskop? Ile kosztował?

- Kupiłam go za własne pieniądze.

- Świetnie - mruknął pełnym powagi, ochryplym głosem. - Jeżeli nie chcesz już wrócić na studia i przez resztę życia harować jako kelnerka, to wydawaj swoje wypłaty na teleskopy.

- Może chcę zostać astronomem.

- Wiesz, ile wydałem na twoje studia?

Odwróciła się i zaczęła pokonywać kolejne stopnie.

- Powtarzasz mi to co najmniej pięć razy dziennie.

- Kiedy wreszcie weźmiesz się za siebie?

Trzasnęła drzwiami i stała przez chwilę w swojej małej sypialni, ciężko dysząc. Jedną ręką zgarnęła z narzuty pluszaki i postawiła pudło na łóżku. Po chwili siadła ciężko obok niego. Dlaczego została adoptowana przez białą rodzinę z Maine, najbardziej białego stanu USA, z miasteczka, w którym wszyscy byli biali? Czy nie było gdzieś czarnego bankowca, który chciał adoptować dziecko? „A skąd ty jesteś?” - pytali ją ludzie, jakby właśnie przyjechała z Harlemu albo z Kenii.

Przeturlała się po łóżku, gapiąc się na pudło. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer.

- Jackie? - wyszeptano. - Spotkajmy się na przystani o dziewiątej. Mam niespodziankę. Piętnaście minut później, dźwigając teleskop, Abbey uchyliła drzwi sypialni i nasłuchiwała przez chwilę. Jej ojciec wciąż krzątał się po kuchni, zmywając naczynia, co ona miała zrobić dziś rano. Mecz wciąż trwał, tanie radio zostało podkrecone i z głośnika płynął nieprzyjemny głos Dave'a Gouchera. Sądząc po tym, jak ojciec od czasu do czasu rzucał soczyste przekleństwo, musiał to być mecz Soksów z Jankesami. To dobrze, nie powinien zwrócić na nią uwagi. Zeszła ukradkiem po schodach, stąpając miękko i starając się, by stare sosnowe deski nie zaskrzypiały, prześlizgnęła się obok otwartych kuchennych drzwi i po chwili wyszła z domu na ulicę.

Balansując trójnogiem zarzuconym na ramię, minęła Anchor Inn i zmierzała w stronę nabrzeża. Zatoka była spokojna, woda czarna i nieruchoma jak w stawie rozciągała się ku rozmytej sylwetce Louds Island, a łodzie zakotwiczone poza strefą pływów wyglądały jak białe duchy. Boja sygnałowa, oznaczająca wejście do kanału u wylotu wąskiej zatoki, mrugała mryg, mryg, mryg. Niebo powyżej zdawało się lekko fosforyzować.

Przeszła przez parking, minęła przetwórnice homarów i znalazła się na przystani. Silna woń śledzi i wodorostów płynęła przez nocne wilgotne powietrze od strony sterty starych pułapek na homary na końcu

nabrzeża. Bar homarowy nie otworzył jeszcze swoich podwoi na sezon letni i stoliki piknikowe wciąż były odwrócone nogami do góry i przypięte łańcuchami do ogrodzenia. Hen na wzgórzu widziała światła miasta i wieżę kościoła metodystów, czarna strzelista sylwetka odcinała się na tle Drogi Mlecznej.

i - Hej! - przywitała ją Jackie, która wyłoniła się z cienia; czerwona poświata skręta kołysała się w mroku. - Co tam masz?

- Teleskop.

Abbey wzięła skręta i zaciągnęła się dymem przy wtórce skwierczenia spalającej się trawki. Wypuściła powietrze i oddała skręta.

- Teleskop? - spytała Jackie. - Po co ci to?

- Co innego można tu robić poza patrzeniem na gwiazdy?

- Ile kosztował? - burknęła Jackie.

- Siedemset dolarów. Kupiłam go na eBayu, to celestron, sześć-calowy cassegrain z automatycznym dostrajaniem, aparatem fotograficznym i w ogóle.

Jackie cicho gwizdnęła.

- W Landing muszą ci dawać naprawdę spore napiwki.

- Uwielbiają mnie. Nie dostawałabym większych napiwków, nawet gdybym robiła klientom loda.

Jackie wybuchnęła śmiechem, krztusząc się dymem i kaszląc. Oddała skręta, a Abbey znów się zaciągnęła.

- Randy wyjeżdża z Maine - powiedziała Jackie, zniżając głos.

- O Boże. Randy może usiąść na boi homarowej i obrócić się pięć razy.

Jackie zdusiła śmiech.

- Co za noc - stwierdziła Abbey, wpatrując się w bezmiar rozgwieżdżonego nieba. - Zrobmy kilka zdjęć.

- Po ciemku?

Abbey spozjrzała na przyjaciółkę, by sprawdzić, czy żartowała, ale na jej ustach nie dostrzegła uśmiechu. Uwielbiała tę dziewczynę.

- Uwierz lub nie - powiedziała - ale teleskopy lepiej funkcjonują w ciemnościach.

- Fakt. To było głupie. - Jackie postukała się w głowę. - Puk, puk. Kto tam?

Dotarli do końca nabrzeża. Abbey rozłożyła trójnog, upewniając się, że dobrze się rozstawił na drewnianych deskach. Spozjrzała na Oriona wiszącego nisko na niebie i wycelowała teleskop w jego stronę. Wykorzystując komputerowe urządzenie wyszukujące przyłączone do teleskopu, wprowadziła koordynaty. Przy wtórze brzęczenia małych trybików teleskop obrócił się, kierując się w stronę spłachetka u dołu miecza Oriona.

- Na co będziemy patrzeć?

- Na galaktykę Andromedy.

Abbey spozjrzała przez okular i w jej polu widzenia pojawiła się galaktyka, świetlisty maelstrom pięciuset miliardów gwiazd. Na samą myśl o tym bezmiarze i własnej małości poczuła ucisk w gardle.

- Daj popatrzeć - rzuciła Jackie, odgarniając do tyłu niesforne długie włosy

Abbey cofnęła się i bez słowa przekazała okular. Jackie przyłożyła do niego oko.

- Jak to jest daleko?

- Dwa i jedna czwarta miliona lat świetlnych.

Jackie przez chwilę patrzyła w milczeniu, po czym wyprostowała się.

- Myślisz, że jest tam życie?

- Oczywiście.

Abbey dostroiła teleskop, poszerzając zoom i powiększając pole widzenia niemal na cały miecz Oriona. Andromeda skurczyła się do rozmiarów małej świecącej rozmytej kulki.

Dziewczyna nacisnęła przycisk wyzwalacza i usłyszała ciche kliknięcie, gdy otworzyła się migawka. Czas naświetlania wynosił dwadzieścia minut.

Od oceanu powiała lekka bryza, powodując pobrzękiwanie ta-kielunku łódki rybackiej, i wszystkie łódzie w zatoce zakołysały się w unisono. Pomimo martwej ciszy wydawało się, że było to pierwsze tchnienie nadciągającego sztormu. Nad wodą poniosł się zew samotnego lelka i z oddali odpowiedział mu inny.

- Czas na kolejnego macha - uznała Jackie i zaczęła robić następnego skręta, sklejjając bibułkę, po czym włożyła go do ust.

Cichy trzask i płomyk zapalniczki rozjaśnił jej twarz, bladą piegowatą skórę, zielone irlandzkie oczy i czarne włosy.

Abbey dostrzegła nagle światło, zanim zobaczyła coś więcej. Pojawiło się zza kościoła, a w zatoce w jednej chwili zrobiło się jasno jak w dzień; przemknęło po niebie w absolutnej ciszy jak duch i nagle potężna fala dźwiękowa zatrzęsa całym nabrzeżem. Zaraz potem dał się słyszeć ryk jak z wnętrza pieca, gdy gorejący kształt z niewiarygodną prędkością śmignął nad oceanem, znikając za Louds Island.

Światło rozbłysło po raz ostatni, a chwilę później rozległa się istna kanonada grzmotów, które przetoczyły się ponad oceanem, by rozpląnąć się w oddali.

W mieście psy zaczęły ujadać histerycznie.

- Co jest, kurwa? - wycodziła Jackie.

Abbey zobaczyła, że wszyscy mieszkańcy wychodzą ze swoich domów i gromadzą się na ulicach.

- Wyrzuć skręta - wysyczała.

Ulica prowadząca na szczyt wzgórza wypełniła się ludźmi, którzy trajkotali z ożywieniem, ich głosy były podniesione, pełne niepokoju. Zaczęli schodzić w stronę nabrzeża, promienie ich latarek przecinały mrok, ręce wskazywały w niebo. To było największe wydarzenie w

Round Pond w Maine, odkąd zabłąkana kula armatnia przebiła dach kościoła kongregacjonistów podczas wojny w 1812 roku.

Nagle Abbey przypomniała sobie o teleskopie. Migawka była otwarta i aparat wciąż robił zdjęcie. Drżącą dłonią odnalazła spust migawki i wyłączyła ją. Po chwili na małym ciekłokrystalicznym ekranie pojawił się obraz: obiekt przecinał rozmytą smugą środek fotografii; świecące pasmo bieli pośród mrowia gwiazd.

- O Boże.

- To coś popsuło ci zdjęcie - rzekła Jackie, zaglądając ponad ramieniem Abbey.

- Żartujesz sobie? Teraz to jest dopiero zdjęcie!

2

Następnego ranka Abbey weszła do kafejki Kredens z plikiem gazet pod pachą. Przytulna knajpka stylizowana na chatę z bali, z kraciatymi perkalowymi zasłonami i marmurowymi stolikami była prawie pusta, ale dziewczyna odnalazła Jackie siedzącą na swoim stałym miejscu, w kącie pod ścianą, pijącą kawę. Wilgotna poranna mgła napierała na szyby okienne. Abbey podeszła i położyła na blacie stolika egzemplarz „New York Timesa”, wskazując artykuł na pierwszej stronie.

Ognisty meteor nad wybrzeżem Maine Portland, Maine, o 21.44 na niebie nad Maine pojawił się wielki meteor, jakiego w tej części Nowej Anglii nie widziano od wielu dekad.

Świadkowie z tak odległych miejsc, jak Boston i Nowa Szkocja, donoszą o zaobserwowaniu spektakularnej kuli ognistej. Mieszkańcy środkowej części wybrzeża Maine słyszeli przeraźliwy huk fali dźwiękowej.

Dane z systemu namierzania i śledzenia meteoroidów na Uniwersytecie Maine w Orono wykazują, że meteor był kilkakrotnie jaśniejszy niż Księżyc w pełni i kiedy wchodził w ziemską atmosferę, mógł ważyć nawet pięćdziesiąt ton. Ślad zaobserwowany przez licznych świadków sugeruje, że był to meteoroid odmiany żelazo-niklowej, które zazwyczaj rozpadają się w locie niż te bardziej popularne, kamienno-żelazne czy chondryty. Jego prędkość naukowcy ocenili na 48 kilometrów na sekundę, czyli ponad 170 tysięcy kilometrów na godzinę, trzydzieści razy więcej, niż wynosi prędkość początkowa przeciętnego pocisku karabinowego. Dr Stephen Chicke-ring, profesor geologii planetarnej na Uniwersytecie Bo-stońskim, powiedział: „To nie jest typowa kula ognista. To największy, najjaśniejszy meteor, jaki zaobserwowano nad Wschodnim Wybrzeżem od dziesiątków lat. Sądząc po trajektorii lotu, można przypuszczać, że wpadł gdzieś do oceanu”. Wyjaśnił przy tym, że podczas przejścia przez atmosferę meteor musiał utracić większość swojej masy. Wedle jego przewidywań obiekt, który ostatecznie wpadł do oceanu, nie ważył więcej niż pięćdziesiąt kilogramów.

Abbey przerwała i uśmiechnęła się do Jackie.

- Czytałaś to? Wpadł gdzieś do oceanu. Tak piszą w gazetach.

Usiadła wygodniej i zaplotła ramiona, z lubością chłonąc pełne zdziwienia spojrzenia przyjaciółki.

- Dobra - rzekła Jackie. - Widzę, że masz jakiś plan.

Abbey zniżyła głos.

- Będziemy bogate.

Jackie teatralnie wywróciła oczami.

- Już to słyszałam.

- Tym razem nie żartuję.

Abbey rozejrzała się wkoło. Wyjęła z kieszeni kartkę papieru i rozłożyła na blacie.

- Co to jest?

- Wydruk danych z boi meteo 44032, między 4.40 a 5.40 czasu Greenwich. To boja znajdująca się poza Weber Sunken Ledge.

Jackie spojrzała na kartkę i zmarszczyła piegowate czoło.

- Znam ją.
- Spójrz na wysokość fal. Martwa cisza. Żadnych zmian.
- No i?
- Meteoryt ważący pięćdziesiąt kilo wpada do oceanu z prędkością stu siedemdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę i nie wywołuje fal?

- Wobec tego - Jackie wzruszyła ramionami - skoro nie spadł do oceanu, to gdzie wylądował?

Abbey wychyliła się do przodu, złączyła dłonie, zniżyła głos do szeptu, a jej oblicze poczerwieniało w wyrazie triumfu:

- Na którejś z wysp.
- No i?
- No i pożyczymy łódź mojego ojca, przeszukamy wyspy i znajdziemy ten meteoryt.
- Pożyczymy? Chcesz powiedzieć: ukradniemy. Ojciec nigdy nie pozwoliłby ci pożyczyć łodzi.

- Pożyczyć, ukraść, zawłaszczyć, nieważne.

Oblicze Jackie spochmurniało.

- Błagam, tylko nie kolejna pogoń za mrzonkami. Pamiętasz, jak szukałyśmy skarbu Dixie Bulla? I jak narobiłyśmy sobie kłopotów, przekopując Indiańskie kurhany?

- Byłyśmy wtedy jeszcze dziećmi.

- W Zatoce Muscongus są dziesiątki wysepek, dziesiątki tysięcy hektarów do przeszukania. Nie dasz rady spenetrować wszystkich.

- Nie musimy. Ponieważ mam to.

Abbey wyjęła zdjęcie meteoru i położyła na mapie zatoki.

- Dysponując tym zdjęciem, możesz wyznaczyć linię aż do horyzontu, a następnie wykreślić drugą linię od tego punktu do miejsca, gdzie zrobiono tę fotografię. Meteoryt musiał spaść gdzieś na trasie wzdłuż tej drugiej linii.

- Zakładam, że masz rację.

Abbey podsunęła mapę w stronę Jackie.

- To ta linia.

Przesunęła palcem po linii wyznaczonej ołówkiem na powierzchni mapy.

- Spójrz. Przecina zaledwie pięć wysp.

Pojawiła się kelnerka, niosąc dwie naprawdę duże bułki z orzechami pekan. Abbey szybko zasłoniła mapę i zdjęcie, po czym usiadła prosto, uśmiechając się szeroko.

- Dzięki.

Kiedy kelnerka się oddaliła, Abbey odstoniła mapę.

- To tutaj. Meteoryt jest na jednej z tych wysepek.

Kolejno wskazywała je palcem, wymieniając przy tym ich nazwy: - Louds, Marsh, Ripp, Egg Rock i Shark. Mogłybyśmy je spenetrować, nie zajęłoby nam to więcej niż tydzień.

- Kiedy? Teraz?

- Musimy poczekać do końca maja, kiedy mój ojciec wyjedzie z miasta.

Jackie skrzyżowała ramiona.

- Co, u licha, miałybyśmy zrobić z tym meteoritem?

- Sprzedamy go.

Jackie świdrowała wzrokiem przyjaciółkę.

- Jest coś wart?

i - Ćwierć miliona, może pół miliona. Nie więcej.

- Wkręcasz mnie.

Abbey pokręciła głową.

- Sprawdziłam ceny na eBayu i rozmawiałam z kimś, kto handluje meteoritami.

Jackie odchyliła się do tyłu, a jej piegowate oblicze rozpromienił szeroki uśmiech.

- Wchodzę w to.

3

Maj

Dolores Muñoz wspięła się po kamiennych schodkach prowadzących do bungalowu profesora w Glendale w Kalifornii i na chwilę przystanęła na ganku; jej wielkie piersi zakołysały się, zanim włożyła klucz do zamka. Wiedziała, że zgrzyt zamka wywoła eksplozję ujadania Znaczka, Jacka Russella teriera profesora, który zacznie obwieszczać szczekaniem jej przybycie. Gdy tylko otworzy drzwi, mała kosmata kulka wyskoczy jak z armaty, szczekając zawzięcie, i zacznie ganiać po niewielkim trawniku, jakby chciała przegonić z niego wszystkie dzikie zwierzęta i gromadę oprychów. A potem dokończy obchód, podnosząc małą tylną łapkę przy każdym smętnym krzaczku i uschniętym kwiatku. Gdy wypełni swój obowiązek, podbiegnie, położy się przed nią i przeturla na grzbiet, podkulając łapy i wywalając jęzor w geście żądania porannej porcji piesszczot.

Dolores Muñoz uwielbiała tego psiaka.

Uśmiechając się z wyczekiwaniem, włożyła klucz do zamka, poruszyła nim lekko i czekała na eksplozję radosnego podniecenia.

Cisza.

Znieruchomiła, nasłuchując, po czym przekręciła klucz, oczekując w każdej chwili wesołego szczeknięcia. Wciąż nic. Zaskoczona weszła do małej sieni. Od razu zauważyła, że szuflada niewielkiego kredensu była wysunięta, a koperty walały się po podłodze.

- Profesorze? - zawołała niepewnie, a potem: - Znaczek?

Bez odpowiedzi. Ostatnio profesor wstawał coraz później. Lubił wypić sporo wina do kolacji, a potem jeszcze opróżniał karafkę brandy i ten stan się pogarszał, odkąd przestał chodzić do pracy i do tego te kobiety. Dolores nie była pruderyjna i nie miałyby nic przeciw temu, gdyby chodziło o jedną dziewczynę, ale niekiedy bywały one o dziesięć, dwadzieścia lat młodsze od niego. Oczywiście profesor był atrakcyjnym wysportowanym mężczyzną w kwiecie wieku, który świetnie mówił po hiszpańsku i zawsze zwracał się do niej per pani. Doceniała ten gest z jego strony.

- Znaczek?

Może wyszli na spacer.

Przeszła przez korytarz, zajrzała do salonu i wstrzymała oddech. Papiery i książki walały się po podłodze, lampa była przewrócona, a zawartość półek regału wysypana tak, że poniżej leżały sterty książek.

- Profesorze!

Dopiero teraz poczuła ogarniającą ją zgrozę. Samochód profesora stał na podjeździe, musiał zatem być w domu - dlaczego więc nie odpowiadał? I gdzie się podział Znaczek? Niemal bez namysłu wyluskała pulchną ręką komórkę z kieszeni zielonego fartucha, by wybrać 911. Spojrzała na klawiaturę, nie potrafiąc nacisnąć odpowiednich klawiszy. Czy powinna mieszać się w coś takiego? Na pewno każą jej podać nazwisko i adres, sprawdzą ją i ani się obejrzy, jak zostanie deportowana do Salwadoru. Nawet gdyby wykonała anonimowy telefon z komórki i tak by ją wytropili i zmusili, aby była świadkiem w... wołała o tym nawet nie myśleć.

Ogarnął ją strach i niepewność. Profesor mógł być na górze, obrabowany, pobity, ranny, może umierający. A Znaczek, co zrobili ze Znaczkiem?

Ogarnęła ją panika. Rozejrzała się rozpaczliwie wokół, ciężko oddychając, jej wielkie piersi unosiły się i opadały rytmicznie. Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Musiała coś zrobić, wezwać policję, nie mogła tak po prostu wyjść, skąd jej to w ogóle przyszło do głowy? On mógł być ranny, umierający. Musiała się przynajmniej rozejrzeć, sprawdzić, czy potrzebuje pomocy, zorientować się, co należy zrobić.

Wchodząc do salonu, spostrzegła coś, co leżało na podłodze i przypominało zmiętą poduszkę. Z nieopisaną trwogą w sercu postąpiła krok naprzód, potem drugi, stąpając wyjątkowo ostrożnie po miękkim

dywanie. Z jej ust dobył się cichy jęk. To był Znaczek, leżał na perskim dywanie odwrócony tyłem do niej. Może spał, bo miał wywalony język, ale miał też otwarte szeroko ślepia, które wyglądały jak zamglone, a na dywanie pod nim widniała ciemna plama.

- Ooooch, ooooch! - z jej ust popłynął mimowolnie pełen udręki jęk.

Za psiakiem dostrzegła profesora, klęczał, jakby się modlił, wyglądał jak żywy, lecz dziwnie przechylony sprawiał wrażenie, jakby miał się lada chwila przewrócić. Tyle tylko że jego głowa zwieszała się na bok, przekrzywiona, niemal na wprost odcięta jak głowa lalki, a wokół rozplątanej szyi okręcony był drut, którego końce owinięto dokoła dwóch podłużnych kawałków drewna. Krew tryskająca jak ze szlauchu zbryzgała ściany i sufit.

Dolores Muñoz krzyknęła i krzyczała bez końca, jak przez mgłę uświadamiając sobie, że te wrzaski doprowadzą do jej nagłej i niechybnej deportacji, ale nie potrafiła się powstrzymać i zupełnie już o to nie dbała.

4

Wyman Ford wszedł do elegancko urządzonego, znajdującego się przy Siedemnastej Ulicy biura Stanton Lockwooda III, doradcy naukowego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pamiętał ten gabinet z czasów swojego poprzedniego zlecenia, ściana sławy, zdjęcia żony i dzieci, meble - antyki świadczące o pozycji i ważności.

Lockwood wyszedł zza biurka, siwowłoso, z niebieskimi błyszczącymi oczami, jego kroki wytłumił gruby perski dywan. Ujął dłoń Forda w typowym dla polityków uścisku.

- Miło cię znów widzieć, Wyman.

Przypominał Fordowi Petera Gravesa, siwowłosego mężczyznę, który grał rolę szefa wydziału Mission Impossible w starym serialu telewizyjnym.

- Też się cieszę, że cię widzę, Stan - rzekł Ford.

- Tam nam będzie wygodniej - zaproponował Lockwood, wskazując w stronę skórzanych foteli klubowych ustawionych po dwóch stronach stolika kawowego w stylu Ludwika XIV

Kiedy Ford zajął miejsce, gospodarz usadowił się naprzeciw niego, podciągając nieznacznie nogawki gabardynowych spodni z ostrymi jak brzytwa kantami.

- Ile to już minęło? Rok?

- Mniej więcej.

- Kawy? Pellegrino?

- Poproszę o kawę.

Lockwood dał znak swojemu asystentowi i rozsiadł się wygodniej w fotelu. W jego dłoni pojawił się, jak zawsze w trudnych chwilach, kamień z trylobitem, a Ford patrzył, jak obraca go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Doradca prezydenta uśmiechnął się do Forda w wystudiowany waszyngtoński sposób.

- Miałeś ostatnio jakieś ciekawe sprawy?

- Kilka.

- Czas na nową?

- Jeżeli miałyby być taka jak ostatnia, to dziękuję.

- Uwierz mi, to zlecenie ci się spodoba.

Lockwood skinął głową w stronę małej metalowej kasetki na stoliku.

- Nazywają je „miodówkami”. Słyszałeś o nich?

Ford wychylił się do przodu i zajrzał przez grubą przeszkloną szybę wieka kasetki. Wewnątrz migotało kilka ciemnopomarańczowych kamieni szlachetnych.

- Nie obito mi się o uszy

- Pojawiły się w obrocie hurtowym w Bangkoku jakieś dwa tygodnie temu. Cena była dość wygórowana. Tysiąc dolarów za cięty karat.

Zjawił się asystent, wtaczając niewielki wózek ze srebrnym dzbankiem kawy, cukiernicą z cukrem w kostkach, mlekiem i śmietanką w osobnych srebrnych dzbankach oraz dwiema porcelanowymi filiżankami. Niewielka taca na kółkach popiskiwała i pobrzękiwała, gdy popychał ją przed sobą. Zatrzymał wózek obok Forda.

- Dla pana?

- Czarna, bez cukru, poproszę.

Mężczyzna nalał mu kawy. Ford usiadł wygodnie z filiżanką parującego naparu i upił tyk.

- Zostawię dzbanek, gdyby szanowny pan miał jeszcze ochotę.

Szanowny pan będzie miał ochotę, pomyślał Ford, dopijając zawartość małej filiżanki jednym haustem i napełniając ją do pełna.

Lockwood obracał kamień w dłoniach.

- Mam zespół geofizyków z Lamont-Doherty w Nowym Jorku, którzy pracują nad tym, aby określić, czym one są. Te kamienie mają niezwykłą strukturę i współczynnik refrakcji wyższy niż diamenty, ciężar właściwy trzynastcie przecinek dwa, twardość dziewięć. Głęboka miodowa barwa jest prawie unikalna. To przepiękne kamienie, choć nie bez wad. Są przetykane amerykańskimi-241.

- Który jest radioaktywny.

- Tak, z okresem półrozpadu rzędu czterystu trzydziestu trzech lat. To nie dość silne promieniowanie, aby zabić cię od razu, ale może wywoływać poważne dolegliwości, jeżeli jesteś dłużej wystawiony na jego działanie. Wystarczy, że ponosisz te kamienie jako naszyjnik, i po kilku tygodniach stracisz wszystkie włosy. Będziesz przez kilka miesięcy nosił parę takich kamieni w kieszeniach, a możesz spłodzić Potwora z Czarnej Laguny.

- Cudownie.

- Te kamienie są twarde, ale łamliwe i łatwo skruszyć je na proch. Mógłbyś wziąć parę kilo takich kamieni, zmielić je, przytroczyć do ładunków C-4 przy pasie samobójcy i zdetonować w Battery Park, kiedy wieje wiatr z południa, a nad dzielnicę finansową napłynęłaby chmura cudownie radioaktywnego pyłu, która w niespełna pół godziny obróciłaby w niwecz parę trylionów dolarów z kapitału giełdy amerykańskiej i sprawiłaby, że Dolny Manhattan nie nadawałby się do zamieszkania przez co najmniej kilka stuleci.

- Pomysłowe, jeżeli udałoby ci się je zdobyć.

- Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego Kraju jest bliski paniki.

- Czy dilerzy z Bangkoku wiedzą, że kamienie są niebezpieczne?

- Hurtownicy o ustalonej reputacji nie chcą ich nawet tknąć. O ile wiem, kamienie są rozprawdane pokątnie.

- Jakież teorie na temat pochodzenia tych kamieni?

- Pracujemy nad tym. Ameryk-241 nie istnieje na Ziemi jako pierwiastek naturalnie występujący w przyrodzie. Jak dotąd był on ubocznym produktem przetwarzania w reaktorze atomowym plutonu w celach bojowych. Te „miodówki” mogą być równie dobrym dowodem na istnienie nielegalnego źródła energii atomowej.

Ford dopił drugą filiżankę kawy i nalał sobie trzecią.

- Wszystko wskazuje na to, że kamienie pochodzą z jednego źródła w Azji Południowej, najprawdopodobniej z Kambodży - kontynuował Lockwood.

Dopiwszy trzecią kawę, Ford rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Na czym miałyby polegać ta misja?

- Chciałbym, abyś udał się incognito do Bangkoku, dotarł śladem tych radioaktywnych kamieni do źródła, zlokalizował je, udokumentował to i wrócił jak najszybciej.

- A wówczas?

- Rozwiążemy ten problem raz na zawsze.

- Dlaczego ja? Dlaczego nie CIA?
- To delikatna sprawa. Kambodża jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Jeżeli zostaniesz schwytyany, wyprzemy się wszelkich powiązań z tobą. CIA nie radzi sobie najlepiej w tego typu małych operacjach. To zadanie dla jednego człowieka. Obawiam się, że przy tej misji nie możesz liczyć na wsparcie Agencji.

- Dzięki za propozycję.

Ford odstawił filiżankę i podniósł się, by wyjść.

- Prezydent osobiście zaaprobował tę misję.

- Wyśmienita kawa.

Ford ruszył w stronę drzwi.

- Obiecuję, że nie zostawimy cię na lodzie - kontynuował Lockwood. - To proste zadanie: wchodzisz, znajdujesz kopalnię, wychodzisz. Nie robisz absolutnie nic. Nawet nie tkniesz tej kopalni. Wciąż analizujemy te kamienie. Mogą mieć nadzwyczajną wartość.

- Nie mam potrzeby wracać do Kambodży - powiedział Ford z dłońią na klamce.

- Ucieczka przed przeszłością nie może wpływać pozytywnie na pamięć o twojej żonie.

Ford zdziwił się, słysząc tę nieoczekiwaną i bolesną uwagę. Westchnął i zaplótł ręce na piersiach.

- Zapłata jest konkretna - rzekł Lockwood. - CIA nie będzie się mieszać, będziesz mieć nad wszystkim kontrolę i ty będziesz dowodził swoimi ludźmi. Masz poparcie Gabinetu Ovalnego, czegoż chcesz więcej?

- Jaką miałbym mieć przykrywkę?

- Będiesz cwanim, nieuczciwym hurtownikiem operacyjnym na amerykańskim czarnym rynku kamieni szlachetnych.

Ford pokiwał głową.

A '

- Odpada. Hurtownik nie zadawałby sobie trudu, by samemu szukać źródła.

Zadowoliliby się zakupem towaru od pośredników. Wolę raczej grać rolę cwaniaka, który chce się szybko wzbogacić i szuka jednorazowej intratnej okazji, facetem, który uważa, że omijając hurtowników i udając się bezpośrednio do źródła, wytarguje lepszą cenę za towar.

- Czyli zgadzasz się?

- Dacie mi sfingowaną kartotekę z aresztowaniem za przemyt kokainy i zwolnieniem wskutek uchybień proceduralnych.

- Życie ci niemiłe?

- A także oskarżenie o dwa brutalne morderstwa, ale od których zarzutu zostałem uniewinniony. To sprawi, że dwa razy się zastanowią, zanim czegoś spróbują.

- Skoro tak chcesz to rozegrać, proszę bardzo.

- Będę też potrzebował trochę złota, by szastać nim na prawo i lewo. Amerykańskie orły.

- Zrobi się.

- Potrzebni mi też tłumacze, dostępni całą dobę przez siedem dni w tygodniu, znający płynnie języki Azji Południowo-Wschodniej, zwłaszcza tajski. Jak również kilka nowoczesnych gadżetów technologicznych.

- Nie ma sprawy.

- Jeżeli mi się nie uda, pochowajcie mnie z honorami na Cmentarzu Arlington, salwa honorowa z dwudziestu jeden karabinów i takie tam.

- Jestem pewien, że to nie będzie konieczne - odrzekł Lockwood, a jego cienkie wargi wykrzywił wąły uśmiešek. - Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Ile wynosi zapłata?

- Sto tysięcy. Tyle samo co ostatnim razem.

- Niech będzie dwieście, żebym mógł opłacić mojej sekretarce ubezpieczenie zdrowotne.

Lockwood wyciągnął rękę.

- Dwieście.

Uścisnęli sobie dłonie. Kiedy Ford opuścił gabinet, zwrócił uwagę, że kamień z trylobitem w wypielegnowanej dłoni Lockwooda obracał się jak szalony.

5

i

Mark Corso wszedł do swojego skromnego mieszkania i zamknął drzwi. Stał przez chwilę, jakby ujrzał je po raz pierwszy. Przez ściany dochodził płacz dziecka, a w zatęchłym powietrzu czuć było ciężką woń smażonego bekonu. Klimatyzator, zajmujący jedną trzecią okna, dudnił i łomotał, wytwarzając wąty prąd powietrza. Z zewnątrz do: biegał stłumiony jęk syren. Przez szerokie okno na wprost widać było ruchliwe skrzyżowanie z myjnią samochodową, barem dla zmotoryzowanych i punktem sprzedaży używanych aut.

Po raz pierwszy Corso z ponurą satysfakcją patrzył na obskurną norę, którą nazywał mieszkaniem, ściany cienkie jak z tektury, za-plamiony dywan, uschnięty fikus w kącie, ten widok rozdzierał duszę. Rok temu wynajął to mieszkanko na odległość, skuszony wyjątkowo entuzjastycznym opisem w internecie i kilkoma sprytnie wyretuszowanymi fotografiami. W porównaniu z Greenpointem na Brooklynie wydawało się ono kalifornijskim marzeniem, dużym „jednosypialnio-wym” apartamentem, nasłonecznionym i przestronnym, z prywatnym ogrodem, basenem, palmami i (co najważniejsze) wyznaczonym miejscem parkingowym w garażu.

Teraz mógł wreszcie pożegnać się z tą norą.

Kilka ostatnich miesięcy w IBRN przypominało dom wariatów: jego dawny profesor i mentor Jason Freeman został wylany, a niedługo potem napadnięty we własnym domu, okradziony i zamordowany. Od śmierci ojca nic tak mocno nie wstrząsnęło Corsem. Freeman już od jakiegoś czasu znajdował się na równi pochyłej, późno przychodził do Pracy, torpedował spotkania zespołu, kłócił się z kolegami. Corso słyszał plotki o kobietach i nielichych popijawach. To bardzo go przybiło, ponieważ właśnie Freeman, promotor jego pracy licencjackiej na MIT, wciągnął go do zespołu zaangażowanego w misję marsjańską w IBRN. Tego ranka Corso dowiedział się, że otrzyma awans i obejmie wakat po Freemanie. To był ogromny krok naprzód, z nowym tytułem, większymi zarobkami i prestiżem. Nie miał jeszcze trzydziestu lat, był młodszy niż większość jego kolegów, wschodząca gwiazda. Niemniej jednak uśmiech losu polegający na wykorzystaniu potknięcia jego ulubionego nauczyciela przepełnił go sprzecznymi odczuciami.

Odwrócił się od okna, odganiając od siebie poczucie winy. Freema-na spotkała straszna tragedia, ale była przypadkowa jak uderzenie pioruna, a Corso uczynił wszystko, co mógł. Wspierał Freemana i próbował przestrzegać go przed tym, co się działo, lecz ten wydawał się owładnięty jakąś obsesją, która go pochłaniała.

Awans oznaczał, że Corso w końcu będzie miał dość pieniędzy, by zerwać umowę najmu, pożegnać się z wpłaconym depozytem i znaleźć sobie coś lepszego. Nie ma sprawy, Pasadena nie przypominała Brooklynu i były tu tysiące mieszkań do wynajęcia. Jako że spędził tu już rok, zapoznał się z okolicą na tyle, by wiedzieć, gdzie szukać czegoś dla siebie, a jakich miejsc unikać.

W którymś momencie z rozmyślań wyrwało go niepewne pukanie. Corso odwrócił się od okna i zajrzał przez judasz, by zobaczyć właściciela domu trzymającego coś w dłoni.

Otworzył drzwi, a korpulentny niski człowieczek wyciągnął owłosione łapsko z niewielkim tekturowym pudełkiem. Paczka.

Corso odebrał ją, podziękował i zamknął drzwi. Chyba coś z Ama-zonu, choć gdy przyjrzał się uważniej, dreszcz przeszedł mu po plecach. Pudełko zostało wykorzystane ponownie. Paczkę nadał Jason J. Freeman.

Przez jedną szaloną chwilę Corso pomyślał, że może Freeman wcale nie zginął, ale wyjechał do Meksyku czy gdzie indziej. Zaraz jednak spojrzął na datę nadania - sprzed dziesięciu dni. Dziesięć dni... Freeman wysłał paczkę dwa dni przed swoją śmiercią i od tamtej pory była w drodze.

Z mocno bijącym sercem Corso wziął z kuchni nóż i otworzył pudełko. Wyjął z wnętrza wyściółkę z gazety i zobaczył list oraz znajdujący się pod nim twardy dysk zaopatrzony w logo misji mariańskiej. Nieomal zebrało mu się na mdłości, ponieważ dysk miał kategorię: ściśle tajne.

#785A56H6T 160 Tb ŚCIŚLE TAJNE: NIE POWIELAĆ

Własność IBRN Kalifornijski Instytut Technologii Krajowy Wydział Aeronautyki i Badań Kosmicznych

Drżącą ręką Corso położył dysk na stoliku do kawy i paznokciem rozerwał kopertę.

Wewnątrz znajdował się napisany odręcznie list.

Drogi Marku,

Przykro mi, że obarczam Cię tym brzemieniem, ale nie ma innego wyjścia. Mam mało czasu na napisanie tego listu, więc od razu przejdę do konkretów. Chaudry i Derkweiler to skończeni głupcy, pogrążeni w swych błędnych rojeniach są na wskroś ulegli i konformistyczni, nie potrafią pojąć znaczenia mojego odkrycia. To naprawdę coś wielkiego, niewiarygodnego. Nie zamierzam przekazać tego tym łajzom, zwłaszcza po tym, jak mnie potraktowali. W IBRN panuje atmosfera jak w gnieździe żmij, a wszyscy dbają tylko o swój zafajdany tyłek. Polityka jest najważniejsza dla tych wazelinarzy, którzy za nic mają naukę. Nie zniosę tego dłużej. Tu się nie da pracować.

Będę się streszczał, od jakiegoś czasu podejrzewałem, co się święci, więc zanim mnie wylali, podwędziłem ten dysk.

Któregoś dnia opowiem ci o tym wszystkim przy kieliszku martini, ale nie dlatego potrzebuję teraz twojej pomocy. Podczas mojego ostatniego tygodnia pracy w IBRN zrobiłem coś naprawdę głupiego i niewybaczalnego, właśnie dlatego zmuszony jestem wysłać ten dysk do Ciebie. Przechowaj go przez pewien czas, aż

sprawy trochę przycichną. Błagam cię, Mark, zrób to dla mnie. Tylko tobie mogę zaufać.

Nie próbuj się ze mną skontaktować, nie dzwoń, siedź cicho i ani mru-mru. Odezwę się do Ciebie i to raczej prędzej niż później. Jak na razie chciałbym poznać Twoją opinię na temat zawartych tam danych dotyczących promieniowania gamma, o ile miałbyś możliwość, żeby na nie zerknąć, fason

U dołu, jakby po namyśle, dopisano hasło dostępu do twardego dysku.

Przez chwilę Corso nie był nawet w stanie myśleć, patrzył tylko na list, który trzymał w drżącej dłoni.

To był dramat. Nieopisana katastrofa. Złamanie procedur bezpieczeństwa, które splami wszystkie zamieszane w tę aferę osoby. Wszystko weźmie w łeb. Wynoszenie twardego dysku zawierającego ściśle tajne dane poza teren budynku było absolutnie zabronione, ale sam fakt, że Freemanowi udało się- go wykraść, spowoduje nie lada burzę. Od pierwszego dnia wpajano im, jak ważne jest bezpieczeństwo informacji niejawnych. Zero tolerancji. Przypomniał sobie skandal w Los Ala-mos w latach 90., kiedy zaginął jeden ściśle tajny twardy dysk. Wiadomość o tym trafiła na pierwszą stronę „New York Timesa”, dyrektor został zmuszony do złożenia rezygnacji, wylano dziesiątki naukowców To była jatka.

Usiadł, kryjąc twarz w dłoniach i wplatając palce we włosy Jak Freeman zdołał to wynieść? Te dyski każdego wieczoru były pieczętowane, rejestrowane i zamykane w sejfie. Miały też własne, odrębne zabezpieczenia. Każde użycie dysku było zapisane w osobistym rejestrze

użytkownika. Gdyby dysk znalazł się dalej od konkretnego serwera, niż wynosi dozwolona odległość, włączyłby się alarm.

A jednak Freeman zdołał to jakoś obejść.

Corso przetarł oczy dłońmi i spróbował się uspokoić. Gdyby zgłosił to w IBRN, wywołałby skandal, który jak czarna chmura mógłby

spowić cały projekt misji marsjańskiej, a reperkusje nie ominęłyby nikogo, jego również. On i Freeman znali się od lat. To Freeman go tu ściągnął, był jego mentorem, a jego powszechnie uważano za protegowanego Freemana. Poza tym w ubiegłych miesiącach starał się wspierać upadającego coraz niżej profesora.

Oczywiście musiał postąpić jak należy i zgłosić to. Nie miał wyboru. To było nieuchronne. Ale czy aby na pewno? Czy powinien postąpić tak, jak trzeba, czy tak, jak mu podpowiadał rozum?

Zaczynał już rozumieć, dlaczego Freeman przesłał mu tę paczkę pocztą. W ten sposób przesyłka pozostawała niewykrywalna. Nie trzeba było niczego podpisywać, nigdzie nie został żaden ślad w dokumentach.

Gdyby Corso zniszczył dysk i udał, że nigdy go nie dostał, postąpiłby najrozsądniej. W końcu ktoś odkryje zniknięcie dysku i fakt, że zabrał go Freeman, ale on nie żył i na tym cała sprawa się zakończy. Nikt nie dotrze śladem dysku do niego.

Corso poczuł się spokojniejszy. Jakoś się upora z tym problemem. Da radę. Zrobi to, co podpowiadał mu rozum, zniszczy dysk i będzie udawał, że nigdy go nie dostał. Jutro pojedzie w góry, wybierze się na długą pieszą wędrówkę i rozbije dysk w drobny mak, spali szczątki, a to, co zostanie, zakopie albo rozsypie na cztery strony świata.

Odetchnął z ulgą. Tak, to był najrozsądniejszy sposób, aby uporać się z tym problemem.

Wstał, poszedł do kuchni po piwo, upił pierwszy łyk chłodnego trunku i wrócił do pokoju.

Spojrzał na dysk leżący na stoliku do kawy. Freeman był nadpobudliwy, trochę szurnięty, ale przy tym błyskotliwy. O co chodziło z tym promieniowaniem gamma? O co tyle szumu?

Corso poczuł, że jego ciekawość narasta.

Zanim pozbędzie się dysku, rzuci okiem na jego zawartość, choćby tylko po to, by się przekonać, o co, u licha, chodziło Freemanowi.

6

Abbey, stojąc za sterem, skierowała łódź do połowu homarów w stronę pływającego doku, wyrzuciła odbijacz i zgrabnie zatrzymała łódź przy przystani. Widzisz, tato? - pomyślała. Całkiem nieźle sobie radzę z pilotowaniem twojej łodzi. Jej ojciec wybrał się do Kalifornii z doroczną wizytą u owdowiałej starszej siostry i nie będzie go przez tydzień. Obiecała, że zajmie się łodzią, będzie o nią dbać i codziennie zajrzy do żęzy.

I tak właśnie zamierzała uczynić, ale na morzu.

Przypomniała sobie czasy, kiedy miała trzynaście, czternaście lat i wciąż jeszcze żyła jej matka, poranki, kiedy wypływała z ojcem na homary. Pełniła funkcję jego sternika, zakładała przynęty do pułapek, sortowała homary, wyrzucając te niewymiarowe. Miała do ojca żal, że nigdy nie pozwolił jej sterować. A później, po śmierci matki, kiedy Abbey poszła na studia, wynajął nowego sternika i odmówił przyjęcia jej ponownie, gdy wróciła. „To nie byłoby w porządku wobec Jake a - powiedział. - On z tego żyje. A ty będziesz studiować”.

Odegnała od siebie te myśli. Ocean przed świtem pozostawał wciąż gładki jak lustro, a ponieważ była niedziela, a tego dnia nie łowiono homarów, w okolicy nie było żadnych kutrów. W zatoce panował spokój, miasteczko tonęło w ciszy.

Rzuciła cumy Jackie, a ta owinęła je wokół pachołka. Na przystani spoczywała sterta ich bagażu: przenośne lodówki, pudła z liofilizowaną żywnością, ubrania na niepogodę, mała butla gazowa, parę butelek jima beama, dwa lekkie plecaki turystyczne, śpiwory i poduszki. Zaczęły składać rzeczy w kajucie. W miarę jak pracowały, słońce wzniosło się nad horyzontem, rzucając na wodę złocisty blask.

Gdy Abbey wyszła ze sterówki, usłyszała strzały wadliwego samochodowego silnika i zgrzyty biegów dochodzące z przystani powyżej. Po chwili u szczytu schodów pojawiła się postać.

- O nie, zobacz, kto tu jest - powiedziała Jackie.

Randall Worth zszedł po stopniach, ubrany w sam podkoszulek, choć temperatura nie przekraczała piętnastu stopni, ale dzięki temu mógł szpanować swoimi tandetnymi więziennymi tatuażami.

- Proszę, proszę. Toż to Thelma i Louise.

Był wysoki, żylasty, miał przetłuszczone włosy do ramion, strupy na twarzy i wątły zarost na podbródku. Nosił wysokie motocyklowe buty z łańcuszkami, choć nigdy w życiu nie jeździł na motorze. Uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy zepsutych zębów.

Abbey kontynuowała załadunek, ignorując go. Znała go niemal całe swoje życie i wciąż nie mogła uwierzyć, że ten głupkowaty piegowaty dzieciak, który zawsze był najgorszym graczem w rozgrywkach Małej Ligi, ale nigdy nie przestał się starać, na własną prośbę doprowadził się do takiego stanu. Niedojda, ten niechlubny przydomek towarzyszył mu od dziecka. Niedojda. Niedojda.

- Wybierasz się na wakacje? - zapytał ją Worth.

Abbey postawiła plecak turystyczny na okrężnicy, a Jackie wcisnęła go w kąt kokpitu.

- Nie odwiedziłaś mnie, odkąd wyszedłem z pudła. To rani moje uczucia.

Abbey podniosła drugi plecak i podała go Jackie. Prawie skończyły. Nie mogła się doczekać, by znaleźć się jak najdalej od niego.

- Mówię do ciebie.

- Jackie - rzekła Abbey do przyjaciółki - złap za drugą rączkę lodówki.

- Się robi.

Dźwignęły lodówkę i już miały przenieść ją przez okrężnicę, kiedy Worth podszedł i zastąpił im drogę.

- Powiedziałem, że mówię do ciebie.

Napiął muskuły, ale efekt z uwagi na jego wymizerowane ciało był raczej żalony. Abbey postawiła lodówkę i spojrzała na niego. Ogarnął ją nieprzeparty głęboki smutek.

- Przeszkadzam ci? - spytał Worth, uśmiechając się drwiąco.

Abbey zaplotła ramiona na piersiach i czekała, odwracając wzrok.

Worth podszedł do niej i nachylił się tak, że poczuła nieprzyjemną woń jego ciała. Jego spierzchnięte wargi wykrzywił uśmiech.

- Myślisz, że możesz mnie rzucić?

- Nie rzuciłam cię, bo nigdy nic nas nie łączyło - odpowiedziała.

- Czyżby? To jak nazwiesz to?

Zaczął wykonywać wulgarne gesty, wyrzucając biodra do przodu i pojękując przy tym falsetem:

- Głębiej, głębiej.

- No jasne. Po co ja w ogóle się do ciebie odzywam. I tak to nigdy nic nie daje.

Jackie wybuchnęła śmiechem.

Nastała cisza.

- Co to miało znaczyć?

Abbey odwróciła się i rzekła lodowatym tonem:

- Nic. A teraz zejdź mi z drogi.

- Kiedy bzykam jakąś laskę, jest moja. Nie wiesz o tym, czarnucho?

- Ej, ty, stul mordę, pieprzony rasisto - rzuciła Jackie.

Dlaczego była tak głupia, by się z nim związać? Abbey podniosła małą lodówkę.

- Zejdiesz mi z drogi czy mam wezwać policję? Jeżeli złamiesz postanowienie zwolnienia warunkowego, wrócisz do mamra.

Worth nawet nie drgnął.

- Jackie, włącz radiostację. Kanał szesnasty. Wezwij gliny.

Jackie wskoczyła do łodzi, wślizgnęła się do sterówki i ujęła mikrofon.

- Szlag - warknął Worth, odstępując na bok. - Nie wzywaj glin. Nie będę was zatrzymywał. Chciałem tylko powiedzieć jedno: nie zrywaj ze mną. - Uniósł rękę i wskazał na nią palcem. - Jesteś czarna jak czarna owca. A znasz to powiedzenie: w każdym stadzie znajdzie się czarna owca. I to ona zawsze prędzej czy później musi beknąć.

- Spadaj.

Abbey, czując, jak z zażenowania piecze ją twarz, minęła go ostentacyjnie i postawiła ostatnią lodówkę na okrężnicy, by wnieść ją do

kokpitu. Następnie stanęła za sterem i położyła dłoń na dźwigni biegów.

- Rzuć cumy, Jackie.

Jackie zdjęła cumy z pachołków, wrzuciła liny na pokład i sama wskoczyła na łódź. Abbey odbiła od przystani i wykonała niezbędne manewry, by skierować się ku wyjściu z zatoki.

Worth stał na przystani, mały, chudy jak tyka albo jak strach na wróble. Ale wciąż zgrywał twardziela.

- Wiem, co kombinujesz - zawołał. - Wszyscy wiedzą, że znów szukasz tego starego pirackiego skarbu. Nikogo nie oszukasz.

Kiedy tylko Marea minęła boję sygnałową u wejścia do zatoki, Abbey wykonała zwrot na sterburtę, zwiększyła obroty silnika i skierowała łódź na otwarte morze.

- Co za dupek - rzuciła Jackie. - Widziałaś, co metadon zrobił z jego ustami?

Abbey milczała.

- Rasistowska świnia. Nie do wiary, że nazwał cię czarnuchą. Pieprzony wieśniacki biały śmieć.

- Chciałabym... być czarna.

- O czym ty mówisz?

- Nie wiem. Czuję się taka... biała.

- Cóż, poniekąd jesteś biała. Bądź co bądź nie masz talentu do tańca. - Jackie zaśmiała się nieśmiało.

Abbey wywróciła oczami.

- Naprawdę, wcale nie wydajesz się czarna, nie masz takiej nawij-ki, kumpli ani niczego... bez urazy, ale... - Jackie nie dokończyła.

- No właśnie - mruknęła Abbey - W żadnym sensie nie czuję się sobą. Fenotypicznie jestem czarna, ale pod każdym względem czuję się biała.

- Kogo to obchodzi? Jesteś, jaka jesteś, i chrzanić wszystko inne.

Po długiej niezręcznej ciszy Jackie spytała:

- Naprawdę z nim spałaś?

- Nie przypominaj mi.

- Kiedy?

- Na pożegnalnej imprezie u Lawlersów, dwa lata temu. Zanim poddał się kuracji.

- Dlaczego?

- Byłam pijana.

- To rozumiem, ale żeby z nim?

Abbey wzruszyła ramionami.

- Był pierwszym chłopakiem, z którym się całowałam, jeszcze w szóstej klasie...

Ujrzała drwiący uśmiezek Jackie.

- No dobra, jestem idiotką.

- Nie, po prostu masz fatalny gust, jeżeli chodzi o facetów. I gdy mówię, że twój gust jest fatalny, to naprawdę jest fatalny, przez duże E

- Dzięki.

Abbey otworzyła okienko w sterówce i morską bryza omiotła jej twarz. Łódź cięła szklistą toń oceanu. Po chwili poczuła, że odzyskuje wigor. Czekala je przygoda - już wkrótce będą bogate.

- Hej, pierwszy oficerze! - Uniosła dłoń. - Przybij piątkę.

Klepnęły się dłońmi i Abbey wydała donośny triumfalny okrzyk:

- Romeo Fokstrot, zatańczymy?

Podłączyła iPoda do zestawu stereo ojca i wybrała Przybycie Walkirii, włączając utwór na cały regulator.

Łódź sunęła przez cieśninę Muscongus przy wtórze niosących się nad wodą dźwięków utworu Wagnera.

- Pierwszy - rzuciła Abbey - zrób wpis do dziennika: Ma-rea, 15 maja, godz. 6.25, paliwo 100 procent, woda 100 procent, bur-bon 100 procent, trawka 100 procent, czas pracy silnika 9114,4, wiatr nieznaczny, stan morza jeden, wszystkie systemy sprawne, kierunek 60 stopni, prędkość 12 węzłów, udajemy się w stronę Louds Island w poszukiwaniu meteorytu z Zatoki Muscongus!

- Tak jest, kapitanie. Czy mam najpierw zrobić skręta?

- Doskonały pomysł, pierwszy! - Abbey znów wydała z siebie triumfalny okrzyk; zdążyła już zapomnieć o Worcie. - Lepiej być nie może.

7

Ford zapłacił taksówkarzowi i poszedł dalej chodnikiem. Dzielnica kamieni szlachetnych w Bangkoku znajdowała się wśród labiryntu bocznych uliczek odchodzących od Silom Road, niedaleko rzeki, z mnóstwem wielkich jak magazyny hurtowni ze szpetnymi sklepikami, w których przeprowadzano szemrane transakcje kupna-sprzedaży drogich kamieni. Ulica była kompletnie zakorkowana, a wąskie chodniki zablokowane przez pozostawione, gdzie się dało, zaparkowane niezgodne z prawem auta, budynki po obu stronach były tanie, nowoczesne i tandetne. Ford nigdy nie przepadał za Bangkokiem.

Na rogu Bamroonmuang Road stał niski budynek z ciemnoszarej cegły. Na tabliczce nad drzwiami widniał napis: Piyamanee sp. z o.o., a w przyciemnionych szybach Ford dostrzegł swoje odbicie.

Kilkoma ruchami grzebienia zaczesał włosy do tyłu, po czym poprawił jedwabną marynarkę. Był ubrany jak handlarz narkotyków, w jedwabną koszulę rozpiętą aż do mostka, a jego wizerunek dopełniały złote łańcuchy, ciemne okulary od Bollego i trzydniowy zarost.

Włożywszy ręce do kieszeni, wszedł przez otwarte drzwi i przystanął, rozglądając się leniwie dokoła. Wewnątrz panował półmrok, żeby kamieni nie można było obejrzeć zbyt dokładnie, a w powietrzu wyczuwało się woń chloroksu. Przeszklone gabloty z wątłym oświetleniem tworzyły wielki otwarty prostokąt. Para młodych Amerykanów, najwyraźniej nowożeńców, przyglądała się kilku brudnawym gwiazdnym szafirom wyłożonym na czarnym aksamicie. Natychmiast podeszły do niego dwie sprzedawczynie, z których żadna nie miała więcej niż szesnaście lat.

- Sawasdee! Witaj, szczególny przyjacielu! - powitała go jedna z nich i podała mu napój z mango z kwiatem i parasolką. - Przychodzi Pan na ostatni dzień specjalnej wyprzedaży, żeby kupić parę klejnotów?

Ford zignorował obie dziewczyny.

- Proszę pana?

- Chcę się widzieć z właścicielem - powiedział w powietrze jakieś trzydzieści centymetrów nad ich głowami, ręce wciąż trzymał w kieszeniach, a oczy miał przesłonięte szklami ciemnych okularów.

- Pan życzy sobie powitalnego drinka?
- Pan nie życzy sobie powitalnego drinka.

Dziewczęta oddaliły się wyraźnie rozczarowane, a chwilę później z zaplecza wyłonił się mężczyzna w nieskazitelnym czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie. Dłonie miał złączone i podchodząc, kilkakrotnie lekko się uklonił.

- Witaj, szczególny przyjacielu! Witaj! Skąd przybywasz? Z Ameryki?

Ford spiorunował go wzrokiem.

- Przychodzę, żeby spotkać się z właścicielem!
- Thaksin, Thaksin, do usług szanownego pana!
- Pieprzę to, nie zamierzam gadać z podwładnym.

Ford odwrócił się, by wyjść.

- Chwileczkę, szanowny panie.

Minęło kilka minut i z zaplecza wyszedł bardzo niski zmęczony człowieczek. Ubrany w dres, szedł pochylony, niespiesznie, w przeciwieństwie do innych. Miał podkrążone oczy. Gdy zbliżył się do Forda, przystanął i z niezmaconym spokojem otaksował go wzrokiem od stóp do głów.

- Jak pańska godność?

Ford nie odpowiedział, ale wyjął z kieszeni pomarańczowy kamień i podsunął w stronę tamtego.

Mężczyzna cofnął się o krok.

- Wejdźmy do mojego gabinetu.

Gabinet był mały, wyłożony imitacją boazerii, która od wilgoci wypaczyła się i odłaziła.

Cuchnęło tu dymem papierosowym. Ford bywał już wcześniej w interesach w Azji Południowo-Wschodniej i wiedział, że obskurność gabinetu czy fatalny strój właściciela nie świadczyły

o pozycji danego człowieka i najbardziej odrażająca nora mogła się okazać kryjówką miliardera.

- Jestem Adirake Boonmee - powiedział mężczyzna i wyciągnął drobną dłoń, którą lekko uściśnął rękę Forda.

- Kirk Mandrake.

- Czy mogę jeszcze raz zobaczyć ten kamień, panie Mandrake?

Boonmee przez dłuższą chwilę przyglądał się kamieniowi, nachylając się nad nim, po czym podniósł go i podsunął w stronę silnej lampy znajdującej się w rogu pokoju.

- To podróbka - oznajmił. - Powlekany topaz.

Ford udał zmieszanie, ale po chwili doszedł do siebie.

- Oczywiście wiem o tym - powiedział.

- Nie wątpię - przytaknął Boonmee i odłożył kamień na filcową wyściółkę na swoim biurku. - Co mogę dla pana zrobić?

- Mam konkretnego klienta, który chce dużą ilość tych kamieni. Miodówek. Ale prawdziwych. I jest gotów zapłacić najwyższą cenę. W sztabach złota.

- Skąd przypuszczenie, że sprzedajemy tego rodzaju kamienie?

Ford sięgnął do kieszeni i wyjął kilka amerykańskich złotych orłów, po czym upuścił monetę, jedną po drugiej, na filcową podkładkę przy wtórze stłumionych brzęknięć. Boonmee nawet nie spojrział na monety. Ford zauważył jednak, że żyła na jego szyi zaczęła pulsować znacznie szybciej. To zabawne, jaki wpływ ma na ludzi widok złota.

- To za wstęp do rozmowy.

Boonmee uśmiechnął się dziwnie szczerze i nieśmiało, rozjaśniając swoje drobne oblicze, a jego dłoń zgarnęła monety i włożyła do kieszeni. Rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Myślę, panie Mandrake, że to będzie bardzo przyjemna i owocna rozmowa.

- Mój klient jest hurtownikiem w Stanach Zjednoczonych i poszukuje nieoszlifowanych kamieni o wartości co najmniej dziesięciu tysięcy karatów do obróbki i sprzedaży. Ja sam nie jestem handlarzem drogich kamieni, nie odróżniłbym brylantu od zwykłego szkła.

Jestem kimś, kogo mógłby pan określić mianem pośrednika do spraw importu, zwłaszcza gdy w grę wchodzi przepchnięcie ładunku przez amerykański urząd celny. - Ford pozwolił sobie, by w jego głosie pojawiła się nuta chępliwej zuchwałości.

- Rozumiem. Ale dziesięć tysięcy karatów nie wchodzi w rachubę. A przynajmniej nie od razu.

- Dlaczego?

- Te kamienie są rzadkie. Wypływają powoli. A ja nie jestem jedynym handlarzem drogich kamieni w Bangkoku, mogę zacząć od dostarczenia panu kamieni o wartości kilkuset karatów. To na początek.

Ford poruszył się na krześle, zmarszczył brwi.

- Nie mówimy tu o czymś „na początek”, panie Boonmee. To jednorazowa transakcja. Dziesięć tysięcy karatów albo pójdę dalej.

- Jaka jest pańska cena, panie Mandrake?

- O dwadzieścia tysięcy wyższa od rynkowej: sześćset dolarów amerykańskich za karat nieoszlifowanego kamienia. To daje sześć milionów dolarów. Mówię na wypadek, gdyby matematyka nie była pańską mocną stroną. - Ford okraszył swoją wypowiedź stosownie kretyńskim uśmiechem.

- Zadzwoń. Ma pan wizytówkę, panie Mandrake?

Ford wyjął imponującą wizytówkę w azjatyckim stylu, wykonaną z twardej tektury i zdobioną złoceniami, z jednej strony z napisami w języku angielskim, a na odwrocie z takim samym napisem po tajsku. Podał ją Boonmeemu przesadnie uroczystym gestem.

- Jedna godzina, panie Boonmee.

Tamten lekko skinął głową.

Wymieniwszy ostatni uścisk dłoni, Ford wyszedł ze sklepu i stanął na rogu, wypatrując taksówki i ignorując tuk-tuki. Minęły go dwie nielegalne taryfy, ale zbył je machnięciem ręki. Po dziesięciu minutach pełnego frustracji krążenia w tę i z powrotem, wyciągnął portfel, zajrzał do środka i wrócił do sklepu. Natychmiast podeszły do niego sprzedawczynie.

Minąwszy je, udał się na zaplecze. Zapukał do drzwi. Po chwili pojawił się niski człowieczek. L - Panie Boonmee?

Tamten spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Jakiś problem?

Ford uśmiechnął się krzywo.

- Dałem panu złą wizytówkę. Starą. Mogę...?

Boonmee podeszedł do biurka, sięgnął po starą wizytówkę i podał mu.

- Bardzo przepraszam.

Ford wręczył mu nową wizytówkę, starą wkładając do kieszeni koszuli, i czym prędzej wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Od razu złapał taksówkę.

8

Zdumiewające, że miejsca takie jak to zawsze wyglądają tak samo, pomyślał Mark Corso, przemierzając długie czyste korytarze Krajowego Instytutu Badań i Rozwoju Napędów. IBRN przesyciła ta sama woń, którą znał z MIT, Los Alamos czy Fermilab - mieszanina pasty do podłóg, rozgrzanych urządzeń elektronicznych i zakurzonych podręczników. Wyglądały również tak samo: pofałdowane linoleum, tania boazeria z jasnego drewna i brzęczące świetlówki rozmieszczone pod sufitem w równej odległości pośród paneli wytłumiających dźwięk.

Corso dotknął nowej lśniącej plakietki identyfikacyjnej, którą miał zawieszoną na plastikowej smyczy na szyi jak talizman. W dzieciństwie chciał zostać astronautą. Księżyc już zdobyto,

ale pozostawał Mars. A Mars był jeszcze lepszy. I oto znalazł się teraz tutaj, w wieku trzydziestu lat, jako najmłodszy starszy technik w całym wydziale misji marsjańskiej, w przełomowym momencie dziejów ludzkości. W niespełna dwie dekady, zanim jeszcze dobieje pięćdziesiątki, stanie się częścią największego wydarzenia w annałach eksploracji: pośle pierwsze istoty ludzkie na inną planetę. I jeżeli dobrze rozegra swoje karty, może nawet zostanie dyrektorem misji.

Corso przystanął przed pustą gablotą w korytarzu, aby się w niej przejrzeć: nieskazitelny fartuch laboratoryjny był nonszalancko rozpięty, do tego biała bawełniana koszula, jedwabny fular i spodnie z gabardyny. Był pedantyczny, jeżeli chodziło o ubiór, i robił, co mógł, by nie przypięto mu etykietyk jajogłowego. Patrząc na swoje odbicie, udawał, że widzi siebie po raz pierwszy. Włosy miał krótkie (czytaj: solidny), do tego brodę (niekonwencjonalny), ale starannie przystrzyżoną (nie aż tak niekonwencjonalny), ciało szczupłe i atletyczne (w formie). Był przystojnym facetem o śniadej cerze, trochę w typie Włocha, twarzy z wyrazistymi rysami i dużymi brązowymi oczami. Wrażenia dopełniały drogie okulary od Armaniego i ubranie szyte na miarę - to i pewnością nie był jajogłowy. Corso wziął głęboki oddech i zdecydowanie zapukał do zamkniętych drzwi gabinetu.

- Entrez - rozległo się w odpowiedzi.

Corso pchnięciem otworzył drzwi i wszedł do gabinetu, by stanąć przed biurkiem. Nie było tam miejsca, aby usiąść, gabinet jego nowego przełożonego, Winstona Derkweilera, był nieduży i ciasny, mimo iż kierownik zespołu załatwił sobie znacznie obszerniejsze biuro. Derk-weiler wszelako należał do tych naukowców, którzy mieli w głębokiej pogardzie łatwe zyski i grę pozorów, jego prostolinijność i zaniedbanie świadczyły o bezwzględnym oddaniu nauce.

Derkweiler usadowił się w fotelu, który dopasował się do jego korpulentnej miękkiej sylwetki.

- Próbujesz się odnaleźć w tym domu wariatów, co, Corso? Masz teraz nowy tytuł, nowe stanowisko, a wraz z nim nowe obowiązki.

Nie lubił, gdy zwracano się do niego po nazwisku, ale przywykł do tego.

- Jakoś sobie radzę.

- To świetnie. W czym ci mogę pomóc?

Corso wziął głęboki oddech.

- Przeglądałem pewne dane dotyczące marsjańskiego promieniowania gamma...

Derkweiler nagle spochmurniał.

- Dane dotyczące promieniowania gamma?

- Tak. Zapoznawałem się z nowymi obowiązkami i przeglądałem wszystkie stare dane...

- przerwał, wciąż widząc marsową minę Derkweilera. - Przepraszam, czy coś jest nie tak?

Kierownik projektu patrzył na niego zamiast na wydruk danych, który położył przed nim

Corso. Złączył dłonie w geście zadumy.

- Jak długo przeglądałeś te stare dane o promieniowaniu gamma?

- Przez cały zeszły tydzień.

Corso poczuł nagle zaniepokojenie; może Derkweiler i Freeman pokłócili się o te dane?

- Każdego tygodnia mamy pół terabajta radarowych i wizualnych danych, które do nas spływają i gromadzą się, ale nikt ich nie przegląda. Dane dotyczące promieniowania gamma są najmniej istotne.

- Rozumiem, ale chodzi o to... - Corso poczuł, że narasta w nim wzburzenie. - Doktor Freeman zanim... ee... odszedł z IBRN, pracował nad analizą danych o promieniowaniu gamma. Odziedziczyłem po nim ten obowiązek i gdy zacząłem przeglądać dane, moją uwagę zwróciły pewne nietypowe wydruki...

Derkweiler złączył dłonie i wychylił się lekko do przodu.

- Corso, czy wiesz nad czym tu pracujemy?

- Nad czym...? Chodzi o...?

Corso poczuł się zbity z tropu jak uczeń, który zapomniał odrobić pracę domową. To absurd, starszego technika nie powinno się traktować w ten sposób. Freeman nieraz skarżył mu się na Derkweilera.

- Chodzi o to - Derkweiler rozłożył ręce i uśmiechnąwszy się szeroko, rozejrzał się po gabinecie - że znajdujemy się tu, na przepięknych przedmieściach Pasadeny w Kalifornii w Instytucie Badań i Rozwoju Napędów. Czy jesteśmy na wakacjach? Nie, bynajmniej. Co zatem tu robimy, Corso? Co jest naszym nadrzędnym celem?

- Chodzi o marsjańską sondę badawczą czy napędy jako takie? -Corso starał się zachować pokerowe oblicze.

- O sondę, ma się rozumieć! Nie prowadzimy tu badań nad kultywacją kolonii organicznych, Corso!

Derkweiler aż się zaśmiał, rozbawiony tym żartem.

- Ma ona obserwować powierzchnię Marsa, poszukiwać źródeł wody pod powierzchnią, analizować minerały, mapować teren...

- Doskonale. Prowadzimy przygotowania do przyszłych misji z lądowaniem. Może jeszcze o tym nie słyszałeś, ale bierzemy udział w nowym wyścigu kosmicznym, tym razem z Chińczykami.

Corso zdziwił się, usłyszawszy wypowiedź rodem z czasów zimnej wojny.

- Chińczycy niczego jeszcze nie zaczęli.

- Co ty nie powiesz? - Derkweiler omal nie zerwał się z fotela. -Ich satelita Hu Jintao znajduje się o kilka tygodni od orbity Marsa!

- My od dziesięcioleci mamy sondy na orbicie Marsa, udało nam się doprowadzić do lądowania próbników na jego powierzchni, a teraz prowadzimy badania z użyciem specjalnych pojazdów samobieżnych...

Derkweiler uciszył go ruchem ręki.

- Mówię o perspektywie długoterminowej. Chińczycy dali sobie spokój z Księżycem i kierują się wprost na Marsa. Nie lekceważ ich potencjału, zwłaszcza gdy Stany Zjednoczone drepczą w miejscu, jeżeli chodzi o program kosmiczny.

Corso nieśmiało pokiwał głową.

- A ty jeszcze zawracasz mi głowę jakimiś promieniami gamma. Co błędne promieniowanie gamma może mieć wspólnego z misją marsjańską?

- Na pokładzie sondy orbitalnej znajduje się wykrywacz promieniowania gamma - rzekł Corso. - Analiza tych danych należy do moich obowiązków.

- Ten wykrywacz dodano w ostatniej chwili - rzekł Derkweiler. - Przeworsował to doktor Freeman pomimo mojego sprzeciwu i zrobił to bez żadnych konkretnych powodów.

Promieniowanie gamma było swoistym hobby doktora Freemana. Posłuchaj, nie mam ci tego za złe. Starasz się jakoś uporządkować cały ten bałagan, który zostawił po sobie Freeman, i nie znasz jeszcze priorytetów. Czy mogę zatem zasugerować, abyś skupił się na misji i danych z SHARAD-u?

Siląc się na wazeliniarski uśmiech, Corso pobierał wydruki danych dotyczących promieniowania gamma i włożył z powrotem do szarej koperty. Nie zamierzał się kłócić z Derkweilerem.

- Zaraz się tym zajmę - rzucił oschłym tonem.

- Doskonale. Za tydzień masz pierwszą prezentację jako starszy członek personelu. Chcę, abyś zrobił to jak należy. Wiesz, o co mi chodzi. Pierwsze wrażenie, te sprawy. Rozumiesz?

- Oczywiście. Dziękuję.

- Nie dziękuj mi. Odgrywanie roli wrzoda na tyłku to jedno z moich podstawowych zadań.

Derkweiler znów zachichotał i gdy Corso odwrócił się, by wyjść, rzucił:

- Jeszcze jedno. To może cię zainteresować.

Rzucił plik zszytych dokumentów na blat biurka tuż przed Corsem.

- Ostateczny raport policji na temat śmierci doktora Freemana. To było morderstwo. W grę wchodziła też kradzież... Wygląda na to, że doktor Freeman wrócił do domu w nieodpowiednim momencie. Zginęło sporo rzeczy: rolex, biżuteria, komputery... Pomyślałem, że możesz zechcieć rzucić na to okiem. Wiem, że się przyjaźniliście.

- Dziękuję - odparł Corso i wziął dokumenty.

Wrócił do swojego gabinetu, usiadł za biurkiem i wrzuciwszy dane Freemana dotyczące promieniowania gamma do szuflady, zatrzasnął ją z całej siły. Freeman miał rację, Derkweiler był szefem z piekła rodem. A jednak anomalie dotyczące promieniowania gamma, które zaobserwował na twardym dysku Freemana i nad którymi sam teraz pracował, były zdumiewające. Bardziej niż zdumiewające. Freeman miał rację: to mogło być epokowe odkrycie, prawdziwa bomba. Im dłużej zastanawiał się nad implikacjami, tym bardziej był przerażony. Nie mógł się wychylać, musiał siedzieć cicho, opracowywać dane i przedstawić je obiektywnie. Derkweilerowi to się na pewno nie spodoba, ale liczyła się głównie opinia dyrektora projektu, Charlesa Chaudryego, który miał to wszystko, czego Derkweilerowi brakowało.

Corso sięgnął po raport dotyczący śmierci Freemana i przejrzał go pobieżnie. Był sporządzony typowo policyjnym żargonem z użyciem zwrotów w rodzaju „sprawca dopuścił się na ofierze brutalnego czynu z użyciem garoty ze struny fortepianowej” oraz „sprawca przeszukał całe mieszkanie i pospiesznie opuścił pieszko miejsce zbrodni”. Kiedy to czytał, smutek i zgroza, wywołane świadomością, że Freemana zamordowano, mieszały się w nim z uczuciem ulgi, iż było to przestępstwo zgoła przypadkowe. Co więcej, sprawcę schwytano - to

był narkoman, który szukał pieniędzy na prochy. Jeszcze jedna smutna, bezsensowna śmierć. Zamknął raport i aż się wzdrygnął na myśl

o kruchości ludzkiego istnienia. Był wstrząśnięty, że na pogrzeb Freemana przyszło zaledwie dwadzieścia osób i że prócz niego nie pojawił się nikt z IBRN. To było jedno z najsmutniejszych doświadczeń w jego życiu.

Odganiając od siebie te ponure myśli, Corso skierował uwagę na ekran komputera i wybrał dane z SHARAD-u, radaru penetrującego grunt na niewielkiej głębokości, z którego marsjańska sonda orbitalna korzystała w celu sporządzenia map podpowierzchniowych planety. Pracował nad nimi nieprzerwanie do końca dnia, przetwarzając dane

1 wyostrzając otrzymywane obrazy. Wciąż miał w mieszkaniu tamten twardy dysk i mógł u siebie kontynuować prace nad danymi o promieniowaniu gamma.

Pomimo dwóch kontroli bezpieczeństwa wciąż nie odkryto zniknięcia twardego dysku. W jakiś sposób Freeman zdołał ominąć wszelkie kontrole i procedury bezpieczeństwa. Gdyby kiedykolwiek zauważono brak dysku, Corso zamierzał natychmiast się go pozbyć. Ale jak na razie był on bardzo przydatny, bo przecież w domu mógł nad nim pracować nieprzerwanie aż do późnej nocy.

Corso był przekonany, że to odkrycie będzie przełomowym wydarzeniem w jego karierze.

9

Wyman Ford wszedł do swojego apartamentu w Royal Orchid i stanął w strumieniu chłodnego powietrza, które płynęło z zawieszzonego pod sufitem pośrodku pokoju klimatyzatora. Przez duże panoramiczne okno, zajmujące całą długość jednej ze ścian pokoju, widział łodzie pływające w tę i z powrotem po rzece Chao Phraya. W południe słońce stało w zenicie, a nad sprażonym miastem unosił się brązowy smog, wszystko wydawało się odarte z kolorów. Nawet jak na standardy Bangkoku dzień był wyjątkowo upalny.

Ostatni raz był w tym mieście cztery lata temu z żoną, na krótko przed tym, jak ją zamordowano. Zatrzymali się w Mandarin Oriental, w nadzwyczaj ekstrawaganckim apartamencie ze strategicznie rozmieszczonymi lustrami - Ford próbował zahamować potok wspomnień i skierować myśli na inne tory. Skupił się na rozciągającym się w dole pejzażu i zatrzymał wzrok na wieżach Świątyni Świtu, które w gęstym od smogu powietrzu wyglądały jak pęk połączonych wykałaczek wznoszących się z odmetów brązowego morza.

Z długim westchnieniem podszedł do hotelowego sejfu, otworzył go i wyjął laptopa z dość niezwykłym czytnikiem kart USB. Kiedy uruchomił komputer, sięgnął po swoją wizytówkę, tę, którą zabrał Boonmeemu, i włożył do czytnika. Na ekranie otworzyło się okienko, a Ford wprowadził do pamięci laptopa całą zawartość mikroczypa umieszczonego pomiędzy warstwami grubego prostokątnego kartonika. Zapisał go jako plik audio i posłał e-mailem do Waszyngtonu.

Piętnaście minut później rozległ się sygnał jego poczty mailowej i otworzył otrzymaną wiadomość zwrotną.

Połączenie z numerem komórkowym: 855-0369-67985 Lokalizacja komórki odbiorcy: Sisophon, Kambodża

Zarejestrowany właściciel komórki: Prum Forgang

Transkrypcja rozmowy (tłumaczenie z tajskiego):

A: Halo?

B: Mówi Boonmee Adirake. Życzę ci dużo zdrowia i pomyślności, Prumie Forgang.

A: Jestem zaszczycony, że do mnie dzwonicz, Boonmee Adirake.

B: Mam tu Amerykanina, który pragnie nabyć miódówki o wartości dziesięciu tysięcy karatów.

A: Wiesz doskonale, że nie zdobędę aż tyle.

B: Pozwól, że wyjaśnię. Ten człowiek miał przy sobie barwiony topaz i nawet nie trzymał go w pudełku wyłożonym ołowiem,

0 niczym nie wie. Ma bogatych popleczników i to jednorazowa transakcja. To kretyn. Możemy mu wcisnąć wszystko.

A: Co sugerujesz?

B: Zestaw nieobrobionych miódówek o niskiej wartości zmieszanych z barwionymi topazami albo obrobionymi termicznie cytrynami.

A: To da się zrobić.

B: Potrzebuję ich w ciągu dwudziestu czterech godzin. Temu człowiekowi się spieszy.

A: To dobrze dla ciebie, że tak mu spieszo. Coś jeszcze?

B: Dostanę najwyższą z możliwych cen, a tobie przypadnie z tego czterdzieści procent.

A: Czterdzieści procent? Ależ drogi przyjacielu! Co ma znaczyć ta jawna niesprawiedliwość? To przecież ja na własny koszt dostarczam towar. Niech będzie pięćdziesiąt.

B: Czterdzieści pięć. To ja znalazłem kupca.

A: Czterdzieści pięć to taka niewygodna liczba. Boleję nad tym, że zdierasz ze mnie ostatnie grosze jak pazerny lichwiarz, zamiast traktować mnie jak swojego zaufanego współnika.

B: To ty kłócisz się o marne pięć procent.

A: Mam czworo dzieci, o które muszę się troszczyć, Adirake,

1 żonę, która jest niczym ptak i przez cały czas ma otwarty dziób. Nie, nie poprzestanę na czterdziestu pięciu. Nalegam na pięćdziesiąt procent.

B: Na przyrodzenie Jakszy! Dobrze, niech będzie pięćdziesiąt - tym razem. Przy następnej transakcji czterdzieści.

A: Zgoda. Oczywiście przyjrzyj się uważnie przeszłości tego Amerykanina, zanim dobijesz z nim targu. I pobierzesz od niego hojną sumkę z góry.

B: Możesz być pewien, że tak właśnie uczynię.

A: Doskonale, każę przygotować towar i wysłę go kurierem jeszcze dziś wieczorem. Powinieneś otrzymać go jutro z samego rana.

Ford zamknął laptopa i odchylił się do tyłu na krześle, rozmyślając. Sisophon było tętniącym życiem miastem średniej wielkości na głównej trasie z Tajlandii do Siem Reap w Kambodży, przystanią oszustów, przemytników i wszelkiej maści fałszerzy. Otworzył komórkę, wyszukał numer z pamięci i wybrał. Nie był pewien, czy numer był aktualny ani nawet czy człowiek na drugim końcu łączy wciąż jeszcze żył.

Natychmiast odpowiedział mu pełen radości głos, mówiący po angielsku z charakterystycznym zaśpiewem będącym czymś pomiędzy arystokratycznym akcentem brytyjskim a chińskim.

- Halo, tu Khon!

Ford odetchnął z ulgą. A więc jednak żył i sądząc po głosie, miał się całkiem nieźle.

- Khon? Tu Wyman Ford.

- Ford! Stary byku! Gdzie się podziewałeś, u licha? I co cię, do diabła, sprowadza na powrót do Royaume du Cambodge?

Khon uwielbiał przeklinać po angielsku, choć wychodziło mu to raczej średnio.

- Mam dla ciebie zlecenie.

Dobiegł go zduszony jęk.

- O nie.

- O tak - rzekł Ford - w dodatku bardzo intratne.

10

Marea wślizgnęła się w przesmyk pomiędzy wyspą Marsh a Louds, w spokojnej zielonej wodzie odbijały się rosące na obu brzegach ciemne drzewa. Abbey Straw skierowała łódź do osłoniętej zatoczki, zredukowała przepustnicę do jałowego biegu i wrzuciwszy wsteczny, zatrzymała łódź.

- Pierwszy, rzuć kotwicę!

Jackie wyjęła sworzeń kotwicy i wyciągnęła łańcuch ze schowka.

- Jesteśmy tu same - odkrzyknęła. - W pobliżu nie ma żadnych łodzi.

- Doskonale. - Abbey spojrzała na zegarek. - Mamy sześć godzin do zmierzchu, aby poszukać meteorytu.

- Umieram z głodu.

- Weźmiemy lunch ze sobą.

Wsiadły do szalupy i wiosłując, pokonały dystans stu metrów dzielący je od kamienistej plaży. Przeciągnęły łódkę poza poziom przypływu i stanęły na opustoszałej plaży, rozglądając się wokoło. Znajdowały się na dzikim krańcu wyspy, plaża usłana była pozostałościami po zimie, połamanymi pułapkami na homary, bojami oraz naniesionymi przez morze kawałkami drewna i lin. Był odpływ, morze odsłaniało pokryte wodorostami kamienie w zatoce, wystające spod wody jak włochate łby morskich potworów. Woń soli zmieszana z zapachem wiecznie zielonej roślinności unosiła się w wilgotnym chłodnym powietrzu. Na końcu plaży rozciągał się zagajnik czarnych świerków. O tej porze roku Louds Island była całkiem opustoszała, nieliczne sezonowe letnie obozy także stały pozamykane na głucho. Nikt im nie będzie przeszkadzał.

- Rany, ale tu gęsto - stwierdziła Jackie, lustrując wzrokiem ścianę drzew. - Jak znajdziemy ten meteoryt?

- Miejsce jego upadku wskaże nam krater i zwalone drzewa. Uwierz mi, ważący pięćdziesiąt kilogramów gładki mknący z prędkością stu siedemdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę powinien pozostawić po sobie niezły bałagan.

Abbey wyjęła mapę, rozłożyła na piasku i obciążyła jej rogi kamieniami. Linia, którą wykreśliła, przebiegała przez wyspę pod kątem i przecinała plażę. Położyła na mapie kompas, wyregulowała ustawienie, po czym wstała i wskazując ręką kierunek, oznajmiła:

- Pójdziemy tędy.
- No jasne.

Abbey pierwsza weszła w głąb świerkowego zagajnika. Przypomniała sobie wiersz, którego musiała nauczyć się w szkole na pamięć i który pewnego wieczoru miała wyrecytować przed całą szkołą i rodzicami. Zacięła się jednak i całkiem go zapomniała, stała na scenie bezradna i zagubiona przez niekończącą się minutę, po czym wybiegła stamtąd cała we łzach, teraz jednak przypomniała go sobie bez trudu.

Oto puszcza pierwotna. Szemrzące sosny i tsugi
Omszałe, w zieleń przyodziane, zmierzchem przyćmione, rozmyte,
Stoją jak dawni druidzi, głosami smutnymi wieszcząc
To było dla niej typowe - nigdy nie miała dobrego wyczucia czasu.

Weszła dalej w głąb zagajnika, posługując się wskazaniem kompasu. Słabe zielonkawe światło przesączało się pośród strzelistych drzew, a wiatr szumiał w ich odległych wierzchołkach. To było jak spacer główną nawą olbrzymiej zielonej katedry, drzewa wyglądały niczym masywne kolumny, grunt był sprężysty, wyścielony mchem. Abbey chłonęła silny aromat sosen, przypominając sobie, jak obozowała na tej wyspie z rodzicami jeszcze jako mała dziewczynka, na łące na południowym krańcu Louds. Spali w śpiworach pod gołym niebem, liczyli spadające gwiazdy. Wtedy wyspa była zupełnie opuszczona, dawne farmy popadły w ruinę i niszczały porzucone. Teraz emerycy zaczęli wykupywać je i przerabiać na letnie domki, wyspa się zmieniała. Już wkrótce, skonstatowała w myślach Abbey, atmosfera porzucenia i przeszłości pryśnie, gdy zaroi się tu od wytwornych letnich domków z białymi firankami i złowieszczych babć przeganiających dzieci z terenów swoich posesji. Zagajnik zagęścił się, musiały przepęłznąć na czworakach pod kilkoma zwalonymi pniami drzew.

- Nie widzę żadnych kraterów - rzekła Jackie.
- Dopiero co zaczęłyśmy.

Niedługo potem wyszły na polanę, kamienny mur okalał niewielkie skupisko kamieni nagrobnych. Stary miejscowy cmentarz.

- Pora na lunch! - zawołała Jackie.

Przecisnęła się przez mur, zdjęła plecak i usiadła na ziemi. Oparta plecami o nagrobek zaczęła rolować skręta.

Abbey obeszła stary cmentarz, odczytując napisy na nagrobkach. Te zabawne stare imiona dawnych mieszkańców Maine brzmiały jak wspomnienie zaginionego świata: Zebediah Loud, Hiram Carter, Ora May Poland, Nehemiah Swett. Powróciła myślami do pogrzebu matki. Przypomniała sobie, jak uciekła od tłumu zebranego wokół otwartej mogiły i wspięła się na wzgórze, a po drodze, aby nie stracić nad sobą panowania, odczytywała nazwiska na nagrobkach. Znalazłszy się na szczycie, spojrzała w dół na zwartą masę ludzi wokół czarnej dziury, drzewa bez liści, oszronioną trawę i rozłożony wokół grobu jasnozielony astro turf. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jej matka nie żyje. Nie potrafiła zapomnieć tamtego dnia w klinice, kiedy zapytała lekarza: „Jak to się stało? ". Spojrzał na nią z takim smutkiem, ot dobry człowiek pokonany przez naukę. „Naprawdę nie wiemy - odrzekł - ale z jakiegoś powodu Pięć, może dziesięć lat temu doszło do niewłaściwego podziału komórki. To niesamowite, jak taka drobnostka może wywołać tak gigantyczny efekt".

~ Hej, mamuśka! - zawołała Jackie, a jej głos wzbił się ponad la-sem kamieni. - Może skończyłabyś już odprawianie modłów do swoich przodków i podeszłabyś, żeby wypalić ze mną skręta?

Abbey wróciła do miejsca, gdzie przy jednym z nagrobków siedziała Jackie.

- Moich przodków? Mów za siebie, białasko.
- Nie wciskaj mi kitu, pochodzisz z Maine tak samo jak ja. Bez urazy.

Abbey usiadła po turecku, wzięła skręta, zaciągnęła się i oddała go Jackie. Gdy żar przepłynął z jej płuc do głowy, rozwinęła kanapkę i odgryzła kęs. Jadły w milczeniu, a potem Abbey położyła się na trawie, wsunęła dłonie pod głowę i spojrzała w niebo.

- Zauważyłaś? - spytała. - Co najmniej połowa ludzi, których tu pochowano, była o połowę młodsza od nas.

- Ty zawsze zwracasz uwagę na to, co okropne i ponure.

- Nastrój mi się poprawi, kiedy tylko znajdę ten meteoryt.

Obie wybuchnęły śmiechem, leżąc na trawie z twarzami skierowanymi ku niebu.

11

Randall Worth opłynął Thrumcap Island swoim siedmioipółmetro-wym PC-6, Old Salt, silnik Diesla terkotał cicho, pozostawiając na wodzie chmurę spalin w kolorze burbona. Radio UKF było nastawione na TOS, a wydobywający się z niego szum w zupełności wystarczał Worthowi, aby odgadnąć, jaką mogli nadawać piosenkę.

Worth łowił homary samotnie, bez sternika, ponieważ nikt nie chciał dla niego pracować.

Tym lepiej dla niego, nie musiał z nikim dzielić się zyskami. Pewien czas temu jakiś skurwieli odciął mu połowę pułapek, bo przyłapano go na tym, że łowił niewymiarowe sztuki. Pieprzyć ich, pieprzyć ich wszystkich.

Rzucił ostatnią pułapkę i nieznacznie zwiększając bieg, wykonał ostry zwrot na sterburcie.

Linka zaczęła się rozciągać, pływak pojawił się na wodzie, a chwilę po nim boja. Worth pozwolił łodzi przez moment dryfować swobodnie, podczas gdy on dopił piwo i wyrzucił puszkę za burtę. Wytarł usta i spojrzał na panel silnika. Silnik ledwie ciągnął, wtryskiwacze zawodziły, wraz ze spalinami do wody dostawało się paliwo, tworząc nad falami szerokie tęcze. Co kilka minut włączały się pompy zęzowe, wyrzucając za burtę oleistą wodę. Znów splunął, plwocina na pokładzie wyglądała jak wyłuskana z muszli ostryga. Włączył szlauch i splukał deski pokładu, zmywając plwocinę przez luk odpływowy.

Miał nadzieję, że ta rozsypująca się łajba dotrwa do końca sezonu. A wtedy wykupi ubezpieczenie i zatopi ją. Wystarczy, że włoży do Pompy zęzowej wadliwy bezpiecznik, zacumuje łódź i odczeka dwa dni.

Ody po prawej minął Thrumcap Island, jego oczom ukazała się Crow Island, z wielką białą kopułą starej Earth Station wznoszącą SI? nad nią jak ogromny bąbel. Prom z Crow Island właśnie opuszczał zatokę i burząc wodę, opływał cypel, kierując się ku Friendship.

Gdy obejrzał się przez ramię w stronę lądu, ze zdumieniem dostrzegł łódź zakotwiczoną w cichym zakątku przesmyku Marsh Island. Zmrużył lekko powieki.

Marea. Łódź Abbey Straw.

Natychmiast zredukował obroty silnika i patrzył jak urzeczony. Gniew jak wąż prześlizgnął się po jego kręgosłupie i wniknął do jego mózgu jak woda w gąbkę. Cholerna czarnucha, nie mógł zapomnieć, jak nabijała się z niego, gdy powiedział „głębiej, głębiej”. I to w obecności tej cipy, Jackie Spann. Ktoś powinien dać jej niezły wycisk. Były tam, na Louds Island, i szukały skarbu Dixie Bulla. W miasteczku krążyły plotki, że w ręce Abbey dostała się jakaś mapa. Gdy łódź dryfowała z prądem, Worth wyłuskał ostatnią puszkę coorsa z plastikowych pierścieni i cisnął opakowanie za burtę. Może udławi się nim kilka mew.

Wyżłopał piwo i energicznie wetknął puszkę do uchwytu przykręconego z boku przy panelu silnika. Zaczynał czuć się rozdrażniony, spięty, ciarki przechodziły mu po plecach. Miał zjazd. Niemrawo podrapał się po policzku, aż zerwał strup i poczuł pod palcami wilgoć krwi. Zaklął. Zajrzawszy do maleńkiej kajuty, wyjął ukrytą za stertą rzeczy szklaną firkę, wrzucił do lulki trochę towaru i drżącą dłonią włączył zapalniczkę, po czym podstawił płomyk pod lulkę. Rozległo się skwierczenie, a on wciągnął dym do płuc. Opierając się o kadłub, zamknął oczy, pozwolił, by ogarnęło go narkotyczne uniesienie, odlot tak silny, że przez chwilę czuł się prawie jak istota ludzka.

Wetknął fikkę i towar za sprzęt do połowów i wrócił do sterówki w poczuciu, jakby znalazł się na szczycie świata. Gdy tylko ujrzał czarny cień rzucony na wodę przez Mareę, w jego sercu zapłonął ogień wściekłości. Szukały skarbu, a mając mapę, mogły go nawet znaleźć. I nagle coś mu przyszło do głowy. To był świetny pomysł. Właściwie najlepszy, jaki mu kiedykolwiek zaświtał.

Worth spojrzął na zegarek: czwarta. Dziewczyny najwyraźniej zamierzały spędzić noc na łodzi. To dawało mu czas, aby popłynąć do Round Pond, zatankować i dokupić piwa oraz suszonej wołowiny

w King Ro. Mógł też odwiedzić swojego łącznika i zdobyć od niego trochę towaru oraz odebrać forszę, którą tamten był mu winien za fanty zwinięte przez niego z rezydencji na Ripp Island. Mógł wrócić na Louds o świcie.

Zaśmiał się w głos, zwiększając obroty silnika do trzech tysięcy na minutę, zakręcił kołem sterowym i zawrócił, mijając Thrumcap Island i opływając południowy kraniec Louds w kierunku Round Pond Harbor.

Z pieniędzy ze skarbu będzie mógł kupić nową łódź, którą nazwie Czaszka i piszczele.
12

- Wygląda jak Babe, ta świnka z klasą - powiedział Mark Corso. - Widziałaś ten film? Taki różowy, tłusty, miękki prosiaczek.

Marjory Leung odchyliła się lekko na stołku i wybuchnęła śmiechem, jej długie czarne włosy zafalowały, po czym uniosła martini do swoich wydętych ust. Corso patrzył, jak jej brzuch się napręża, a piersi w kształcie jabłek przesuwają się pod opiętym cienkim materiałem bawełnianego topu. Siedzieli w barze w stylu kalifornijskim, urządzonym z wykorzystaniem bambusa i drewna tekowego, z dachem z blachy falistej i kolorofonami w podłodze jak w pierwszej lepszej knajpie na plaży na Jamajce. Dlaczego właśnie w Kalifornii wszystko musi wyglądać jak gdzie indziej? Przypomniał sobie, co Gertrude Stein powiedziała o Kalifornii: „Tam nie ma żadnego tam”. Święta prawda.

- Freeman ostrzegł mnie przed nim - rzekł. - Jakim cudem taki facet może być drugi w hierarchii ważności w naszym zarządzie?

Leung odstawiła drinka i nachyliła się ku niemu, jakby się do czegoś zmawiali, jej szczupłe atletyczne ciało przypominało zgiętą sprężynę.

- Wiesz, dlaczego drzwi jego gabinetu są stale zamknięte?

- Też nieraz się nad tym zastanawiałem.

- Surfuje po sieci w poszukiwaniu pornografii.

- Tak uważasz?

- Któregoś dnia zapukałam do drzwi i usłyszałam ze środka jakieś odgłosy, gwałtowne poruszenie, jakbym go zaskoczyła. A kiedy weszłam, pośpiesznie poprawiał koszulę, a ekran jego komputera był wygaszony.

- Założę się, że chował wacka do gaci. Na samą myśl robi mi się niedobrze.

Leung zaśmiała się melodyjnie, zakręciła na stołku, jej włosy ponownie zafalowały, dotknęła kolanem nogi Corsa. Jej szklaneczka była już niemal pusta.

On też dopił swojego drinka i machnął ręką, by zamówić następną kolejkę. Ich kolana wciąż się stykały. Leung pracowała jako specjalistka od meteorologii marsjańskiej, miała biuro w głębi korytarza. Była zabawna i zuchwała, jakże różniła się od jajogłowych, od których roilo się w Instytucie. Poza tym była bystra. Chinka w pierwszym pokoleniu, dorastała na zapleczu chińskiej pralni prowadzonej przez jej rodziców. Nie mówili po angielsku, a ona poszła na Harvard. Corso-wi spodobała się ta historia. Dziewczyna była jak jego dziadek, który zwiął z domu na Sycylii i samotnie dotarł do Ameryki, mając czternaście lat. Corso czuł, że łączyła go z nią jakaś więź.

- Czytałaś ten raport Freemana? - zapytał.

- Tak.

Barman podał im szklanki, wzięła swoją.

- Aż ciarki przechodzą. Od czasu do czasu wpadaliśmy tu na drinka.

Corso słyszał, że Leung i Freemana coś kiedyś łączyło. Miał nadzieję, że to nieprawda.

- To okropne, że zginął w taki sposób - stwierdziła i pokręciła głową, a jej włosy zafalowały.

Corso wykorzystał okazję i nieco mocniej przycisnął swoją nogę do jej nogi. Odpowiedziała równie silnym naporem. Poczł, że wypite martini rozlewa mu się po całym ciele.

- Musiał to być dla ciebie ciężki cios - powiedziała.

- Owszem. To był porządny gość. Choć trochę stuknięty

- Wiesz, dlaczego go wylano? - spytała.

- Nie znam konkretów. Poza tym, że opuścił się w pracy i generalnie się stoczył.

Możliwe, że wdał się w konflikt z Derkweilerem w związku z pewnymi danymi.

~ Jakimi?

Dotyczącymi promieniowania gamma.

Corso uświadomił sobie, że niebezpiecznie zbliża się do pogwałcenia zasad bezpieczeństwa, rozmawiając o danych poza terenem budynku z osobą należącą do innej sekcji. Upił drinka; do diabła z zasadami.

- Ach, tak - rzekła. - Wspominał o tym, ale nie zrozumiałam, o co mu chodzi. To co z tym promieniowaniem gamma?

- Wygląda na to, że gdzieś na Marsie znajduje się źródło promieniowania gamma.

Punktowe źródło. Tyle przynajmniej udało mi się ustalić, kiedy usunąłem wszystkie odgłosy tła - słabą, ale regularną powtarzalność.

Leung wychyliła się do przodu.

- Chwileczkę. Chyba żartujesz.

Od razu załapała, pomyślał Corso.

- Nie, nie żartuję. Okres powtarzalności wynosi od dwudziestu pięciu do trzydziestu godzin, czyli mniej więcej tyle, ile trwa dzień marsjański.

- Co, u licha, w Układzie Słonecznym może wytwarzać promieniowanie gamma?

Nawet Słońce nie ma dość energii.

- Promieniowanie kosmiczne.

- Tak, ale promieniowanie kosmiczne wywołuje słabą, rozrzedzoną iluminację wszystkich ciał w Układzie Słonecznym. Mówisz, że ten sygnał powtarza się regularnie, co sugeruje istnienie punktowego źródła na powierzchni planety.

Corso nie mógł się nadziwić, jak szybko połączyła jedno z drugim.

- Otóż to. Problem w tym, że czujnik Comptona na marsjańskiej sondzie orbitalnej nie jest kierunkowy i nie sposób określić, skąd konkretnie pochodzi to promieniowanie. Jego źródło może się znajdować gdziekolwiek na powierzchni planety.

- Masz jakieś sugestie, co to może być? - spytała Leung.

- W pierwszej chwili pomyślałem, że mógł to być reaktor atomowy, który rozbił się na powierzchni planety - pochodzący być może z jakiegoś ściśle tajnego rządowego projektu. Przeprowadziłem jednak pewne obliczenia i wyszło mi, że ten reaktor musiałby mieć wielkość góry.

, - Co jeszcze?

Corso upił kolejny łyk. Czuł, że serce biło mu coraz silniej teraz, gdy jego kolano dotykało wewnętrznej strony jej uda. Odwzajemniają nacisk.

- Wciąż nie daje mi to spokoju. Bo przecież tak silne promieniowanie gamma wytwarzane jest jedynie przez supernowe, czarne dziury czy gwiazdy neutronowe oraz, ma się rozumieć, reaktory atomowe czy bomby jądrowe.

- To niesamowite. Naprawdę odkryłeś coś wielkiego.

Odwrócił się do niej.

- Myślę, że to może być miniaturowa czarna dziura albo bardzo małe ciało neutronowe, które w jakiś sposób zostało uwiecznione na powierzchni Marsa lub orbituje wokół niego.

- Wkręcasz mnie.

Spojrzał z powagą w jej lśniąco czarne oczy.

- Ani trochę. Kiedy wyeliminujesz niemożliwe...

- ... to, co pozostanie, mimo iż wydaje się nieprawdopodobne, musi być prawdziwe - dokończyła za niego znany aforyzm, podkreślając go szerokim uśmiechem zdobiącym jej czerwone usta.

Corso zniżył głos:

- Jeśli to miniaturowa czarna dziura albo mikroskopijna gwiazda neutronowa, może zacząć się rozrastać, pochłonąć Marsa albo unicestwić całe życie na Ziemi zabójczym promieniowaniem gamma lub w ogóle eksplodować. To nie ćwiczenie akademickie. To się dzieje naprawdę.

- Jezu - jęknęła Leung.

Położył dłoń na jej udzie i lekko je ścisnął.

- Tak. To się dzieje naprawdę.

Wychyliła się do przodu, przysuwając się do niego. Poczł zapach jej szamponu.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

~ Będzie to tematem mojej prezentacji.

Nieznacznie wsunął dłoń pod jej spódnice, która podsunęła się wy-zeJ na uda, kiedy Leung usiadła na stołku. Po chwili wypchnęła biodra

do przodu, sprawiając, że jego dłoń przesunęła się nieco dalej. Poczł gorąco jej ud. Nachyliła się ku niemu.

- Mmmm - szepnęła wprost do jego ucha.

Fala ciepłego oddechu przesyconego zapachem mięty omiotła mu twarz.

- Napijesz się jeszcze? - zapytał.

Przesunęła się nieznacznie na stołku, wypychając biodra mocniej do przodu, tak że jego palce dotknęły gorącego obrzeża jej bielizny. Zwarła uda, zaciskając je wokół jego dłoni.

- Chcesz, żebyśmy pojechali do mnie? - zapytała, muskając wargami jego ucho.

- O tak - odparł. - Bardzo chcę.

13

Sisophon było tak paskudne, jak je Ford zapamiętał: bielone wapnem betonowe budynki stały porozrzucane między postrzępionymi palmami i niezdrowo wyglądającymi figowcami. Ulice były asfaltowe, a fasady wielu domów podziurawione odłamkami szrapneli, pamiątkami z czasów wojny. Gdy kierowca Forda wjechał do miasta, obok przemknął oenzetowski land cruiser z załogą w błękitnych hełmach i logo oddziału saperów na burtach.

Hotel turystyczny A-1 stał tam gdzie zawsze, choć zaniedbany bardziej niż kiedykolwiek, na ulicy przed budynkiem roilo się od dziecięcych sprzedawców. Budynek z gazobetonu gościł zwykle żołnierzy i zapewne nigdy, nawet w czasach swojej wątpliwej świetności, nie widział prawdziwego turysty. Ford wynajął pokój i zostawił walizkę u menedżera wraz z banknotem o nominale dziesięciu tysięcy rieli

1 obietnicą, że dostanie jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, gdy po jego powrocie walizka będzie nietknięta.

Opuściwszy hotel, Ford skierował kroki w stronę dzielnicy antykwariatów znajdującej się na obrzeżach miasta. Gdy tak maszerował, betonowe budynki ustąpiły miejsca wzniesionym na polach chatom z drewna i słomy, niewielkim poletkom ryżowym i wodnym bawołom ciągnącym drewniane wozy. Wokół warsztatów antykwarycznych znajdujących się na rozległym polu panował ruch i zgiełk. Otwarte po jednej stronie namioty ustawiono w długich rzędach. Kamieniarze pracowali przy wtórce radosnego pobrzękiwania stalowych dłut o kamienie. Były to jedne z najsłynniejszych warsztatów antykwarycznych w Kambodży, gdzie

zastępy utalentowanych rzeźbiarzy zmieniały sterty kamieni z piaskowca w podróbki starożytnych rzeźb

2 Angkoru, które później sprzedawane były w Bangkoku i na całym świecie.

Mijając znajdujące się na wolnym powietrzu warsztaty, Ford przyglądał się rzemieślnikom odbijającym dłutami kawałki kamieni leżących na workach z piaskiem, by wyłonić z nich jedenastowieczne tańczące apsary, devaty, buddów, lingamy i nagi. W pobliskiej metalowej szopie zasilanej własnym generatorem słychać było szum nowoczesnej maszyny drukarskiej; fałszerze tworzyli dokumenty niezbędne, by potwierdzić autentyczność antyków. Po jednej stronie nowe rzeźby były poddawane kąpielom w kwasie, błocie, barwione herbata, pokrywane białkiem jajka, a nawet grzebane w ziemi, co miało zapewnić im odpowiednio postarzony wygląd.

Ford lustrował tłum robotników, kupców i sprzedawców, wypatrując swojego dawnego przyjaciela, Khona. I nagle go zobaczył, nie sposób go było przeoczyć, korpulentną postać o lśniącej łysej głowie, kręcącą się wśród rzemieślników, gawędzącą ze wszystkimi, postukującą w rozmaite rzeczy końcem swojej laski, śmiejącą się głośno i bawiącą w najlepsze.

- Khon!

Ford podszedł i energicznie uściśnął dłoń tamtego.

- Wyman, drogi przyjacielu! Cholernie się cieszę, że cię widzę!

- Nazywam się Kirk - powiedział Ford, mrugając przy tym porozumiewawczo.

Khon bez wahania rzucił donośnym tonem:

- Kirk, mój drogi przyjacielu!

Zaśmiał się dzwięcznie, odwracając głowę do tyłu, zaraz jednak się opanował, a jego oblicze spoważniało.

- Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę po tym, jak... - nie dokończył.

- Ale jestem.

- Kirk, okropnie schudłeś! I tak bardzo posiwiasteś! Mamy takie stare kambodżańskie powiedzenie: Śnieg na dachu nie oznacza, że w kominku nie płonie ogień!

Znów się zaśmiał.

- Jakoś wątpię, aby to było stare kambodżańskie powiedzenie.

Khon machnął ręką.

- Mam dla ciebie prezent.

Sięgnął do kieszeni, wyjął małą kamienną głowę Garudy, mitycznej ptakopodobnej istoty.

- Rzecz jasna to podróbka. Witaj z powrotem.

Ford cieszył się, że nie zapomniał o kambodżańskim zwyczaju wymiany podarunków.

- Ja też mam coś dla ciebie.

Khon popatrzył na szlifowany zielony kamień przez swoje okrągłe okulary.

- Nie mów mi, że kupujesz w Bangkoku szlachetne kamienie!

- To szmaragd i jest prawdziwy. Marnej jakości niestety, ale spodobał mi się szlif. I możesz mi wierzyć, nie dałem się ocyganić.

Khon przyjrzał się małemu kamieniowi, zdjął okulary, przetarł je koszulą i ponownie założył.

- Ależ to również Garuda!

- Wielkie umysły myślą podobnie - skwitował Ford i skinął głową w stronę pustego fragmentu pola. - Przejdźmy się.

Ruszyli, a Khon powiedział:

- Nie miałem okazji, by powiedzieć ci, jak bardzo, ale to bardzo mi przykro...

Ford uściśnął go delikatnie, dotykając jego ramienia.

- Proszę, nie.

Khon pokiwał głową, ruszyli dalej przez pole. Machnął ręką.

- Dobry biznes, co nie?

- Wyśmienity - odrzekł Ford. - Teraz przynajmniej nie niszczą starych świątyń, by skraść z nich prawdziwe rzeźby Z całego serca to aprobuję.

- Witaj w nowej Kambodży!

Gdy tak szli, Ford kątem oka przyjrzał się staremu przyjacielowi, ^i trochę się nie zmienił.

Choć Khon musiał być już po pięćdzie-Słatce, wydawał się odporny na działanie czasu.

Nieskazitelnie ubra-ny w oliwkową marynarkę, białą koszulę, poluzowany krawat i spodnie

khaki, zaopatrzony w nieodłączną laseczkę, wyglądał jak statysta z fi), mu o Indianie Jonesie.

Pozory były mylące, ten człowiek charakteryzował się rzadką, niezłomną odwagą,

łagodnością i zdecydowaniem. Tak to bywa, pomyślał Ford, gdy dorastasz pod rządami

Czerwonych Khmerów.

- No mówże, Kirk, co to za zlecenie?

- Miodówki.

- Dziewczęta czy kamienie?

- Kamienie. Jestem tu, by dotrzeć do ich źródła. Do kopalni.

Khon przystanął i odwrócił się.

- Wróciłeś do CIA?

Ford pokręcił głową.

- Dostałem zlecenie jako wolny strzelec.

Dłoń Khona na rękojeści laseczki nieco się rozluźniła.

- Dla kogo?

- Nieważne dla kogo. Moim zadaniem jest zdobyć współrzędne GPS, udokumentować

istnienie kopalni, zrobić zdjęcia albo nagrać ją na wideo, a następnie przekazać informację

dalej.

- A co tamci z nimi zrobią?

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

Khon w zamyśleniu pokiwał głową, pocierając płatek ucha kciukiem i palcem wskazującym.

- Macie tu pośrednika w handlu miodówkami, niejakiego Pruma Forganga -

kontynuował Ford. - Znasz go?

Khon pokiwał okrągłą głową.

- O tak. To jeden z najlepszych handlarzy kamieniami szlachetnymi w mieście. Antyki, kamienie szlachetne i ryż, trzy filary naszej ekonomii.

- Ma rodzinę?

- Syna. Osiemnaście lat. Bystry chłopak. Studiuje na uniwersytecie w Phnom Penh.

- Prum mieszka sam?

- Tak.

- Dziś w nocy złożymy mu wizytę.

Oblicze Khona sposepniało.

- Jak zamierzasz dostać to, czego chcesz?

Ford, mrużąc lekko powieki, spojrzął na metalowy barak po drugiej stronie pola, skąd

dochodziły odgłosy pracujących maszyn drukarskich.

- Mówisz, że ma syna na studiach? Może do załatwienia sprawy wystarczą odpowiednie dokumenty

Po tych słowach żwawym krokiem ruszył w kierunku drukarni.

14

Randall Worth przycumował swoją szalupę przy pływającym doku, zarzucił plecak na ramię i

wspiął się na nabrzeże, pochylając nisko głowę. Była piąta, może na nikogo się nie natknie.

Czuł za pasem ciężar starego RG kaliber 44, rewolweru, który zabrał na łódź.

- Hej, Worth.

Kurwa mać. Worth uniósł wzrok, by ujrzeć ostatniego mężczyznę, którego chciałby teraz widzieć - Erniego Jurę, właściciela przetwórni homarów, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto kilo żywej wagi, stojącego nieopodal w sztormiaku i kaloszach. Jura wyżywał się na nim w szkole średniej i nigdy nie przestał tego robić.

- Będę potrzebował forsy, którą mi jesteś winien za ropę, trzysta dwanaście dolców. Nie dostaniesz ode mnie paliwa, dopóki nie oddasz mi szmalu.

- Mówiłem, że ci zapłacę.

Worth poczuł, że z wściekłości aż się trzęsie. Był pewien, że to między innymi Jura maczał palce w zniszczeniu jego pułapek.

Tamten spojrział na niego srogo spod przymrużonych powiek.

- Mam nadzieję.

Worth przeszedł ostentacyjnie obok niego i nagle trącił go ramieniem. Jura schwycił go za kołnierz i obrócił ku sobie, a Worth poczuł przesycony wonią piwa oddech tamtego omiatający jego twarz.

- Posłuchaj, śmieciu. Kiedy kupowałeś ropę, mówiłeś, że masz forszę. Kłamałeś. Więc wiedz, skurwielu, że albo oddasz mi szmal, albo zrobię z twoich jaj muszkę, zawiążę ci ją na szyi i pošlę cię do szkoły tańca.

Pchnął Wortha, obrócił się do niego plecami i jeszcze przez ramię rzucił:

- Chcę mieć tę forszę do jutra, nie dalej jak do południa. Kumaszu, niedojdo?

Worth zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. Wciąż odwrócony do niego plecami, Jura zaczął zajmować się podnośnikiem obrotowym, pochylając się nad nim i odkręcając śrubę.

- Dupek - wycedził Worth.

Jura go zignorował. Worth już miał wyciągnąć rewolwer, ale opanował się. Dorwie Jurę później. Teraz miał ważniejszą sprawę do załatwienia. I musiał skądś skombinować paliwo. Przeszedł przez przystań do furgonetki, którą zostawił na parkingu, po czym sięgnął do kieszeni po kluczyki. W New Harbor i Muscongus już go znali i nie dostanie nic na krechę. Aby zdobyć paliwo, musiałby popłynąć łodzią aż do Boothbay, ale zapewne i tam nie dadzą mu na kredyt. Musiał zdobyć ropę tu i teraz, jeśli jego plan miał się powieść.

Włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił, silnik zakaszał, zachrypiał, ale w końcu zaskoczył. Spojrzął na wskaźnik paliwa - wystarczy na dojazd do Waldoboro.

Wrzucając dźwigenkę automatycznej skrzyni biegów na tryb jazdy, usłyszał nieprzyjemne zgrzytnięcie. Wóz zakolebał się, wyjeżdżając z parkingu, po czym skręcił w prawo na Route 32, by skierować się w stronę Waldoboro.

Biały dom z desek stał przy głównej drodze, ganek się zapadał, farba obłaziła płatami, na trawniku na ceglach stał wrak samochodu. Zapadał zmierzch i w sąsiedniej stodole paliło się światło. Worth zaparkował na podjeździe, wysiadł i podszedł do bocznych drzwi stodoły.

Zapukał dwa razy. Odkąd w drodze tutaj spalił faję, poczuł się znacznie lepiej. Nogi już mu się nie trzęsły, umysł był czystszy, silniejszy

- Kto tam? - rozległ się głos.

- Worth.

Zgrzytnął zamek. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Devin Doyle w malarskim kombinezonie, z piwem i papierosem. Włosy miał w niegdzie, był nieogolony, należał do tych trzydziestolatków, którzy wyglądali na lat osiemnaście. I tak też się zachowywał.

~ Hej, Randy, ty tępy bucu, co słyhać?

Worth wszedł do środka, a Doyle zamknął za sobą drzwi i przekręcił wszystkie zasuwki. W głębi stodoły piętrzył się stos kradzionych mebli przykryty brudnym brezentem.

- Piwko?

Worth sięgnął po budweiser light i opadł na wyświechtaną sofę. Upił długi łyk, opróżniając puszkę do połowy. Odstawił ją na stół i zamknął oczy.

Doyle usadowił się w fotelu.

- Hej, Randy, widziałeś te nowe fotki Britney z wygoloną cipką? Mam je w komputerze, nie uwierzyłybyś...

- Przychodzę po moją działkę - rzekł Worth.

- Co ty chrzaniś? Jaką działkę?

- Słyszałeś.

Worth powoli otworzył oczy.

- Powiedziałem, kiedy ja dostanę kasę, to i ty również.

Doyle zaciągnął się dymem ostatni raz, wydmuchnął go ustami i zgasił niedopałek w popielniczce z połówki muszli leżącej przy fotelu. Przez chwilę macał ręką w poszukiwaniu piwa, znalazł je i podniósł.

- Zwinąłem fanty z Ripp Island tydzień temu - rzekł Worth. - Podjąłem ryzyko.

Zrobiłem swoją robotę. Teraz chcę moją działkę.

Poczuł, że zaczynają mu drgać mięśnie szyi.

- Nawet nie wiemy, ile wynosi twoja działka, dopóki nie opchnę fantów. Antyki to nie telewizory płaskoekranowe. Mówiłem, że to potrwa, a ty się zgodziłeś.

Znow zamykając oczy i na chłodno rozgrywając swoją partię, Worth rzekł:

- Przykro mi. Nie mam już czasu. Przywiozłem ci fanty warte sto tysięcy dolarów i chcę moją dolę.

Otworzył oczy i opuścił obutą stopę na podłogę.

- Kumasz?

- Randy, kurwa, nie mów tak do mnie. Będę mieć fart, jeżeli dostanę choć dychę, a ty połowę z tego, jak było umówione. Kiedy dostanę forszę. Tak?

- Nie, ty fiucie.

Doyle zamilkł. Worth sięgnął po piwo, dopił, zgniótł puszkę w dłoni i cisnął nią w Doylea.

Odbiła się od ramienia tamtego.

- Czy ty mnie słuchasz?

Mięśnie jego szyi podrygiwały jak skaczący kangur.

- Posłuchaj, Randy - rzekł Doyle - mieliśmy umowę. Pracuję nad tym. Do poniedziałku powinienem mieć coś dla ciebie.

Worth zauważył, że Doyle się pocił. Był przerażony.

- Mówisz dziesięć tysięcy? Świetnie. Chcę moją połowę. Z góry.

Doyle rozłożył ręce.

- Kurwa, nie mam pięciu patoli.

Worth wstał z sofy, podbudowany efektem, jaki wywarł na Doyle u. Jego szyja pulsowała raz po raz i to jeszcze bardziej przeraziło pasera. Widział, jak Doyle strzela oczami na lewo i prawo w poszukiwaniu jakiejś broni.

- Nawet o tym nie myśl - rzekł Worth, podchodząc bliżej i osaczając go w fotelu.

- Daj mi czas do poniedziałku.

- Chcę moje pięć kafli. Już.

Stanął tak blisko, że jego krocze nieomal dotykało twarzy Doyle a.

- Nie mam.

Doyle zaczął rozpaczliwie wciskać się głębiej w fotel. Worth otwartą dłonią zdzielił go w czubek głowy, raz i drugi.

- Kurwa! Randy, co ty odpierdalasz?

Próbował wstać, ale Worth pchnął go z powrotem na fotel. Stał nad nim na szeroko rozstawionych nogach, unieruchamiając go w fotelu. Niech to szlag, zaczynał czuć się jak Tony Soprano. Sięgnął ręką i wyszarpnął zza paska rewolwer, po czym wkręcił koniec lufy w ucho Doylea.

- Dawaj ten pieprzony szmal.

- Randy, odbiło ci? Chyba ci zaszkodził meta...

Worth dzielił go na odlew w twarz, dwukrotnie. ~ Przestań!

Doyle krzyczał i próbował go od siebie odepchnąć; chude ręce trzymał uniesione przed twarzą, kulił się w sobie i uchylał niezdarni*

- Błagam!

- Gdzie masz portfel? Dawaj portfel.

Worth znów go uderzył.

Drżącą ręką, nadal osłaniając się drugą, Doyle wyłuskał z kieszeni portfel. Ta ciota aż się rozryczała. Worth wziął od niego portfel, otworzył i wyjął plik banknotów. Same pięćdziesiątki. Upuścił portfel na podłogę i przeliczył banknoty.

- Sprawdźmy, co my tu mamy. Osiem stówek.

Udał, że chce rzucić się na Doylea, a tamten skulił się gwałtownie, unosząc ręce. Worth wybuchnął śmiechem.

- Fiut.

Złożył banknoty i wcisnął do tylnej kieszeni. Następnie przytknął lufę broni do czoła Doyle a i lekko go szturchnął.

- Posłuchaj, pojebie, wróć w poniedziałek. Chcę, żeby czekało tu na mnie cztery tysiące dwieście dolarów i kartka z podziękowaniem.

- Mieliśmy umowę - wykrztusił zboląłym głosem Doyle.

Ciekło mu z nosa, płakał i wyglądał jak zaniedbany dzieciak.

- Teraz mamy nową.

15

Ford zaczekał, aż Khon wyjdzie z baru, i zrównał się z nim na rozmytej, błotnistej ulicy.

- Prum to człowiek o stałych nawykach - powiedział Khon. - Wyjdzie z baru punktualnie o pierwszej, wsiądzie do swojego nowego mercedesa i przejedzie trzysta metrów do domu, docierając na miejsce

0 pierwszej pięć.

- Czy to twardy klient?

- Psychicznie tak.

- Czy będzie pijany?

- Nie. Wypija wieczorem dwa piwa, nie mniej i nie więcej. Dotarli do domu Pruma Forganga, nowego bielonego budynku

z gazobetonu, wzniesionego najwyraźniej obok tego, w którym mieszkał wcześniej, tradycyjnego kambodżańskiego dnmaku na palach, pod którym spał bawół wodny. Dom z trzech stron otaczały pola ryżowe, na placu od frontu rosły palmy kokosowe.

- Podejźmy od tyłu - rzekł Ford.

Zeszli z drogi na ścieżkę biegnącą wzdłuż grobli, pomiędzy polami ryżowymi. Była ciepła, pogodna noc, na niebie od wschodu pojawiła się tarcza Księżyca w pełni nabiegłego czerwienią. Ford nabrał do płuc powietrza, chłonąc woń Kambodży: błota, roślinności, wilgoci.

- Cudowna noc na przechadzkę - rzekł Khon, oddychając głęboko

1 rozkładając szeroko ręce.

Przechodząc po groblach, obeszlili budowlę od tyłu. Bielona tylna ściana domu Pruma Forganga odcinała się pośród ciemności niczym Jarzący się w mroku biały prostokąt. Podeszli do tylnych drzwi, a Ford szybko sforsował prosty zamek. Weszli do środka.

Wnętrze domu Pruma pachniało drzewem sandałowym. Nie zapalając świateł, przeszli do frontowego pokoju. Ford zajął miejsce

w miękkim fotelu ustawionym strategicznie na lewo od drzwi, podczas gdy Khon usiadł na kanapie po prawej.

- Dwunasta czterdzieści - szepnął Ford, po czym wyjął z kieszeni walthera PPK kaliber 32 i położył go sobie na udach.

Dokładnie pięć po pierwszej blask reflektorów nowiutkiego mercedesa Pruma omiótł przesłonięte zasłonami okna, a po chwili Ford usłyszał szcęk klucza w zamku. Drzwi otworzyły się, błysnęła zapałka - o tej porze nie było prądu - i Prum znieruchomiał, patrząc na nich.

Natychmiast próbował rzucić się do ucieczki, ale Ford błyskawicznie poderwał się i unieruchomił drzwi stopą, aby tamten nie zdołał ich ponownie otworzyć. Przytknął pistolet do głowy Pruma i przyłożył mu palec do ust.

- Ciiii.

Prum tylko patrzył. Ford delikatnie zamknął drzwi i skinął na niego pistoletem.

- Suor sdei, panie Prum. Usiądziemy?

Prum stał sztywno, cały spięty. Khon wyłonił się z cienia i zapalił lampę naftową, której wąty żółtawy blask wypełnił wnętrze pokoju.

- Powiedziałem „siadaj”.

Prum usiadł niepewnie jak zwierzę, które w każdej chwili jest gotowe do ucieczki.

- Czego chcecie?

- Przychodzimy z przyjaźnią i ufnością, przynosząc intratną propozycję biznesową.

- I po przyjacielsku włamujecie się do mojego domu?

- Weszliśmy od tyłu dla pańskiej, a nie dla naszej ochrony.

Prum poruszył się niespokojnie. Ford przyjrzał mu się z uwagą-

Był w średnim wieku, chudy, drobny, z pękatym brzuchem i nerwowym usposobieniem. Miał na sobie hawajską koszulę wypuszczoną na luźne, workowate spodnie i do tego klapki; pachniał piwem i tanimi perfumami. Jego duże błyszczące oczy były bardzo czujne. Wciąż milczał.

Ford uśmiechnął się.

- Panie Prum, odwiedziliśmy pana, by dowiedzieć się, gdzie znajduje się kopalnia miodówek.

Tamten milczał.

- Jesteśmy gotowi hojnie zapłacić za tę informację.

- Nie wiem, o czym mówicie.

- Nie chce pan wysłuchać naszej propozycji?

- Nie macie mi nic do zaoferowania - ani pieniędzy, ani kobiety nie skłonią mnie do zmiany zdania. - Prum uśmiechnął się. - Rozejrzyjcie się wokoło, mam wszystko, czego mi potrzeba. Niezły samochód, piękny dom, telewizor z płaskim ekranem, komputer. Mnóstwo fajnych rzeczy I nic nie wiem o żadnej kopalni.

- Oni nie dowiedzą się, że podał nam pan tę informację.

- Ja nic nie wiem.

- Nie jest pan ani trochę zaciekawiony i nie chce nawet wysłuchać naszej propozycji?

Prum nie odpowiedział.

Ford wstał, podszedł do Pruma, obrócił broń i podał mu ją.

- Proszę wziąć.

Po chwili wahania Prum wziął broń, wysunął magazynek i włożył z powrotem.

- Jest nabyty - stwierdził i wymierzył pistolet w Forda. - Mógłbym was teraz zastrzelić. Sugeruję, abyście wyszli.

- To nie byłby dobry pomysł.

Prum uśmiechnął się szeroko. Na to właśnie liczył Ford - z bronią w r?ku tamten poczuł się pewniej. Nie mógł wiedzieć, że Ford rozebrał naboje, wysypał proch i na powrót je poskładał. ~ Propozycja jest następująca.

Ford wolno sięgnął do kieszeni i wyjął niewielki dokument. Poło-

go w kręgu żółtego światła. To była studencka wiza umożliwiająca naukę w Stanach Zjednoczonych.

Prum parsknął.

- Nie potrzebuję tego. Mam pięćdziesiąt lat! Jestem bogatym i szanowanym człowiekiem. Prowadzę biznes i wszystko, czym się zajmuję, jest legalne. Nie złamałem żadnych praw i nikogo nie okradłem.

- Wiza nie jest dla pana.

Prum wydawał się lekko zaskoczony.

- Śmiało... proszę zajrzeć.

Prum po chwili wahania sięgnął po dokument. Otworzył go i spojrzał na umieszczone w nim zdjęcie.

Ford wyjął z kieszeni kopertę i położył obok wizen. Koperta miała karmazynowe logo ze słowem „Veritas” i adresem zwrotnym z Cambridge w Massachusetts.

- Proszę przeczytać list.

Prum odłożył paszport i wziął do ręki kopertę. Wyjął z niej kartkę grubego drogiego papieru i zmrużywszy lekko powieki, zaczął czytać przy słabym świetle; kartka drżała leciutko.

- To list potwierdzający przyjęcie na Uniwersytet Harvarda pańskiego syna z podpisem dziekana zajmującego się rekrutacją.

Zapadła długa cisza. Prum powoli odłożył list, w jego oczach pojawił się nieodgadniony wyraz.

- Jak rozumiem, to marchewka. Co jest kijem?

- Do tego przejdziemy za chwilę.

- Nie mogę polegać na waszych obietnicach. To tylko nic niewarty kawałek papieru.

Każdy mógłby sfabrykować coś takiego.

- Fakt. Będzie pan musiał ocenić moją szczerłość. Tu i teraz. Taka okazja nadarza się tylko raz, drugiego już nie będzie.

- Dlaczego chcecie znać położenie tej kopalni?

- I tu pojawia się kij. Jak pan sądzi, panie Prum, gdzie kończą te miodówki? Na szyjach kobiet.

- No i co z tego?

- A to, że jedna z miodówek wylądowała na szyi pewnej (zaczne) damy, małżonki ważnego amerykańskiego senatora. Była obiektem po* dziwu całego Georgetown, aż wypadły jej wszystkie włosy, a na piet*

siach pojawiły się otwarte rany, efekt zatrucia radioaktywnego. I śladem tych kamieni trafiliśmy do pana.

- Mhn srue! kluen teel- warknął Prum po chwili ciszy.

Ford rozpoznał wulgarny khmerski zwrot.

- U nas mówimy, że wdepnąłeś w niezłe gównno.

Prum otarł twarz chustką.

- Nie wiedziałem o tym. Nawet nie podejrzewałem. Jestem biznesmenem.

- Wie pan, że są radioaktywne.

Cisza.

- Kij to senator, który się dowie, że właśnie pan zrobił to jego żonie. Jak pan sądzi, co się wówczas z panem stanie?

- Jeżeli powiem wam o kopalni, zabiją mnie.

- Jeżeli pan tego nie robi, sprzątnie pana CIA.

- Błagam, nie róbcie mi tego.

- Właściciele kopalni nie dowiedzą się, że nam pan o niej powiedział. Właśnie dlatego zakradliśmy się do pana domu po cichu, nocą tylnym wejściem.

Prum energicznie pokręcił głową. Zapomniany już pistolet zwie szął się luźno w jego ręce.

- Muszę to przemyśleć.

- Niestety, panie Prum, nie ma na to czasu. Pora podjąć decyzję.

- Ta kopalnia to moje źródło utrzymania.
- Powodzi się panu niezgorzej.
- Poza przyjęciem mojego syna na Harvard chcę pieniędzy.
- Naprawdę pan przegina.
- Sto tysięcy dolarów.

Ford spojrział na Khona. Kambodżańskie zamiłowanie do targowa n,a się nigdy nie przestało go zadziwiać. Wstał, zabrał wizę i list.

~ CIA zajmie się panem.

Odwrócił się, by wyjść.

~ Pięćdziesiąt tysięcy! - zakrzyknął Prum.

Ford nawet nie przystanął, maszerując w stronę drzwi.

- Dziesięć tysięcy.

Ford nieomal wyszedł na zewnątrz.

- Pięć tysięcy

Ford zatrzymał się i odwrócił.

- Dostanie pan pieniądze, jeżeli uda się nam odnaleźć tę kopalnię

Wrócił do środka.

- A teraz poproszę o mój pistolet.

Prum oddał broń, podniósł się chwiejnie, podszedł do drewnianej skrzyni w rogu pokoju i wyjął z niej mapę. Rozłożył ją na stole i postawił na niej lampę naftową.

- To mapa Kambodży - powiedział. - My jesteśmy tu, a kopalnia... tutaj.

Niewielki palec z impetem spadł na mapę, wskazując miejsce w dzikim górskim obszarze na północnym zachodzie kraju. Kambodżanin spojrział błyszczącymi oczami na Forda.

- Ale dla waszego dobra powiem jedno: jeżeli tam pojedziecie, nie wróćcie stamtąd żywi.

16

Mark Corso wyczuł czyjaś obecność w drzwiach swojego boksu i gdy się prostował, ukradkiem przesunął łokciem plik papierów, aby zasłoniły dane o promieniowaniu gamma, nad którymi pracował.

- Witam, doktorze Derkweiler - powiedział, siląc się na okazanie przełożonemu choć odrobiny szacunku.

Derkweiler wszedł.

- Sprawdzam tylko, jak idzie praca nad przetwarzaniem obrazów z SHARAD-u.
- Już prawie skończyłem.

Przełożony nachylił się nad ramieniem Corsa, by spojrzeć na dokumenty i wydruki ułożone starannie na biurku.

- Gdzie to jest?

- Tutaj.

Corso nie bardzo wiedział, które to dokładnie wydruki, ale nie odważył się ich teraz przetrząsać, by nie odsłonić danych o promieniowaniu.

- Jeszcze dziś przed końcem dnia trafią na twoje biurko.

Derkweiler sięgnął ręką i zaczął gmerać w papierach.

- Porządek na biurku, to się chwali. Nie tak jak reszta bałaganiarzy w całym projekcie. Masz u mnie plus.

Jego oddech pachniał pomarańczowymi tic tacami. Przesunął kolejnych kilka dokumentów.

- A to co?

Wyjął z pliku kartkę z wydrukiem danych o promieniowaniu.

- Gdybym nie znał cię lepiej, powiedziałbym, że wciąż pracujesz nad danymi o promieniowaniu gamma. Wczoraj obiecałeś dostarczyć m' przetworzone obrazy z SHARAD-u.

- Jeszcze nad nimi pracuję. Do piątej znajdują się na twoim biur-U' a nawiasem mówiąc, do moich zadań należy analiza wszelkich danych związanych z emisjami promieniowania, w tym także pro. mieni gamma. Tamten wciąż ssał tic taca.

- Corso, myślę, że nie rozumiemy się w zasadniczej kwestii, takiej mianowicie, jak funkcjonuje ten wydział. Pracujemy jako zespół, a ja jestem przywódcą zespołu. Przykro mi, ale wydawało mi się, że wyraziłem się jasno, mówiąc, iż obrazy z SHARAD-u mają stanowić dla ciebie sprawę priorytetową. Życzę sobie, abyś uporał się z nią, i to gruntownie, a wyniki przedstawił podczas zebrania w przyszłym tygodniu.

Corso milczał.

- Rozumiemy się? - zapytał Derkweiler.

- Tak.

Corso zaczekał, aż Derkweiler wyjdzie, po czym rozdygotany osunął się na fotel. Ten człowiek był nie do zniesienia, miernota, która jakimś cudem zdołała zająć kierownicze stanowisko, a teraz przy byle okazji napawała się swoją wyższością. Spojrzał z kwaśną miną na wydruki danych o promieniowaniu gamma leżące na innych dokumentach. Będzie się musiał nieźle sprężyć, aby uporać się do piątej z obrazami z SHARAD-u. Dlaczego tamten tak się na nie uparł? Przecież Mars nagle nie zniknie z dnia na dzień. A te dane o promieniowaniu gamma były naprawdę niezwykle, żeby nie powiedzieć dziwaczne. Posunął się o krok dalej niż Freeman. Jeżeli Derkweiler nie potrafił dostrzec ich wartości, na pewno doceni je Chaudry.

Rozległo się ciche pukanie do otwartych drzwi i gdy się odwrócił, ujrzał Marjory Leung - wyglądała jak gazela z jedną nogą ugiętą, a drugą wyprostowaną, kiedy tak opierała się o drzwi, uśmiechając się szeroko, a jej ciało wygięło się w lekki łuk.

- Cześć - powiedziała.

Corso uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Poszedł sobie?

- Właśnie zniknął za rogiem. - Przeczesał włosy palcami. - Wejdz.

Usiadła na krześle w rogu pokoju i odchyliła głowę do tyłu, jej włosy rozsypały się na oparcie.

, - Lunch?

Pokręcił głową.

- Muszę uporać się z tymi danymi.

- Jak ci idzie?

- To orka na ugorze. Cały czas zajmowałem się danymi na temat promieniowania gamma.

- Jakiś postęp?

Corso zerknął na otwarte drzwi, a ona zrozumiała i skrzętnie je zamknęła.

- Nie za duży. Jestem prawie pewien, że czymkolwiek to jest, musi znajdować się gdzieś na powierzchni. Regularność powtórzeń jest nazbyt zbliżona do cyklu obrotów planety, aby mogło być inaczej. Przeczesałem te obrazy, próbując odnaleźć jakiś widoczny artefakt, który może odpowiadać emiterowi promieniowania gamma. Mars jest wielki i mamy ponad czterysta tysięcy fotografii wykonanych w wysokiej rozdzielczości. To jak szukanie igły w stogu siana.

Leung przeciągnęła się, a Corso patrzył, jak to robi i jak jej bluzka podsuwa się do góry, odsłaniając płaski brzuch. W jego myślach pojawiło się aż nadto wyraziste wspomnienie ich wspólnej nocy.

- Skoro nie lunch - powiedziała, potrząsając włosami - to może kolacja?

- Z przyjemnością.

- Cała przyjemność po mojej stronie - stwierdziła.

Ford zatrzymał land cruisera obok rzędu zdezelowanych motocykli i zlustrował wzrokiem ręcznie malowaną tablicę nad drzwiami niewielkiego urzędu państwowego. Napisy w języku francuskim i khmer-skim głosiły, że znajdowało się tu biuro radnego okręgu Kampong Krabey, gminy Svay Por. Ford wysiadł z auta. Na zewnątrz panował tak silny żar, że niemal czuło się jego falowanie wywołujące zawirowania powietrza.

- Boże, dopomóż nam - rzekł Khon, zerkając na zapuszczony budynek z gazobetonu. - Mam nadzieję, że wzięłeś ze sobą dużo dolarów.

Ford poklepał się po kieszeni.

Zapukali do drewnianych drzwi. Usłyszeli głos wzywający, by weszli do środka. Biuro radnego składało się z jednego pokoju o be tonowych ścianach i podłodze świeżo bielonych wapnem, pośrodku stało biurko zwrócone w stronę drzwi, a po jego prawej i lewej stronie dwa kolejne, przy których pracowały sekretarki. Dwa metalowe krzesła znajdowały się na wprost biurka. Tylne wyjście prowadziło do wygodki za budynkiem. Pomieszczenie cuchnęło dymem papierosowym.

Radny, przystojny mężczyzna z blizną na twarzy, wstał, uśmiechając się szeroko i ukazując najpełniejszy, najbielszy garnitur zębów, jaki kiedykolwiek widział Ford, kontrastujący silnie z oliwkową bluzą mężczyzny, jego obwisłymi niebieskimi spodniami i klapkami-Szyję miał grubą i mięsistą, a jego twarz wyglądała jak lśniąca maska radości.

- Witajcie! Witajcie! - zawołał radny po angielsku, rozkładając szeroko ręce.

Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wygrał kumulację na loterii. I może faktycznie tak było, uznał Ford, myśląc o łapówce, którą będzie musiał

nieuchronnie wręczyć tamtemu. Khon odpowiedział wykwintnym powitaniem po khmersku. Ford milczał, uznając, jak zwykle zresztą, że lepiej nie ujawniać się ze znajomością języka.

- My mówimy po angielsku! - zawołał mężczyzna. - Usiądźcie, proszę, moi szczególnie przyjaciele.

Ford i Khon zajęli miejsca na twardych metalowych krzesłach.

- Hre min gnam sal - wychrypiął mężczyzna do jednej z sekretarek, która poderwała się z miejsca i wybiegła, kłaniając się dwukrotnie, kiedy ich mijała.

- Miły dzień, prawda? - rzekł mężczyzna, uśmiechając się raz jeszcze i składając złączone dłonie przed sobą.

Ford zauważył, że tamtemu brakowało obu kciuków.

- Bardzo - przyznał Khon.

- Tu bardzo zdrowo, w Kampong Krabey.

- Rzeczywiście, całkiem zdrowo - zgodził się Khon. - Od razu zwróciłem uwagę, że macie tu cholernie świeże powietrze.

- Świeże powietrze! Okręg Kampong Krabey dobry!

Ford i Khon uśmiechnęli się, potakując bez słowa. Wróciła sekretarka, niosąc trzy orzechy kokosowe z odrąbanymi wierzchami i wetkniętymi w nie słomkami.

- Proszę! - rzekł urzędnik.

Wypili mleczko kokosowe, które było jeszcze ciepłe, bo orzechy dopiero co zerwano z drzewa. Ford pomyślał, że nigdy dotąd nie pił niczego równie pysznego.

- Wyśmienite - pochwalił Khon. - Oferujecie nam w okręgu Kampong naprawdę wspaniałą gościnę.

- Najlepsze kokosy! - zawołał urzędnik, głośno siorbiąc mleczko kokosowe przez słomkę.

Rzucił pusty już kokos na biurko i czknał głośno.

- Czego potrzebujesz, przyjacielu? - zapytał, rozkładając ręce. - Załatwię wszystko.

~ To pan Kirk Mandrake - rzekł Khon. - Jest turystą i poszukiwałem przygód. Ja, Khon, jestem jego tłumaczem.

- Aa, poszukiwacz pszygót - powtórzył urzędnik, energicznie kiwając głową, choć najwyraźniej nie wiedział, co to mogło oznaczać. -Świetnie.
- Pragnie odwiedzić ruiny świątyni znanej jako Nokor Pheas.
- Nie znam tej świątyni.
- Znajduje się daleko w głębi dżungli.
- Gdzie ta świątynia? W okręgu Kampong Krabey?
- Nie, daleko poza nim. Musimy podróżować na północny wschód przez pański okręg, aby tam dotrzeć.

Uśmiech na twarzy tamtego ostygł.

- Poza mój okręg nie! Nikt! Żadna świątynia!
- Khon wstał i rozłożył mapę na biurku urzędnika.
- Świątynia znajduje się tu, wśród wzgórz Phnom Ngue.

Uśmiech zniknął zupełnie.

- To złe miejsce. Bardzo złe.
- Mój klient, pan Mandrake, pragnie zobaczyć tę świątynię.
- Nie możecie się tam udać. Zbyt niebezpieczne.

Khon mówił dalej, jakby w ogóle nie usłyszał urzędnika.

- Pan Mandrake dobrze zapłaci za pozwolenie. Będzie też potrzebował pańskiej pomocy w oznaczeniu szlaków na naszej mapie. Rzecz jasna chcielibyśmy również uniknąć min lądowych. Zna pan ten okręg i posiada pan mapy z rozmieszczeniem min na tym terytorium.
- Zbyt niebezpieczne. Będę mówił po khmersku, żebyś zrozumiał. Mogę przez chwilę mówić po khmersku, panie Mandrake?

Kolejny szeroki uśmiech.

- Oczywiście.

Zaczął mówić po khmersku, a Ford słuchał uważnie.

- Oszalałeś? Na tym obszarze aż się roi od Czerwonych Khmerów. Teraz to zwykli bandyci przemycający kamienie szlachetne i porywający ludzi dla okupu. Jeżeli dorwą w swoje łapy twojego klienta, to)i będę mieć z tego tytułu olbrzymie kłopoty. Rozumiesz?
- Rozumiem - odparł po khmersku Khon. - Ale mojemu klientowi szczególnie zależy, aby zobaczyć te ruiny Tylko w tym celu przybył do jCambodży Nie zabawimy tam długo, tylko w tę i z powrotem. Proszę mi wierzyć, wiem, co robię. Pracowałem już wcześniej dla takich ludzi jak on. W zeszłym miesiącu zabrałem kilku Amerykanów do Banteay Chhmar.

- Nie mogę na to pozwolić.
- On panu dobrze zapłaci.

Urzędnik rozłożył ręce.

- Co mi po jego pieniądzach, gdy będę miał do czynienia z porwaniem? I to w dodatku Amerykanina? Jak to wpłynie na moją pozycję tutaj? Teraz w tym okręgu jest spokój, żadnych kłopotów, wszyscy są zadowoleni. Sam wiesz, że nie zawsze tak było.
- Może duża suma pieniędzy mogłaby zrekompensować tę niedogodność.

Krótką chwilą ciszy

- Jak duża?
- Sto dolarów.

Urzędnik uniósł ręce w dramatycznym geście.

- Niech będzie tysiąc.
- Tysiąc? Skonsultuję to z moim klientem.

Khon zwrócił się do Forda po angielsku:

- Przepustka kosztuje tysiąc dolców.
- To dużo - Ford zmarszczył brwi.
- Tak, ale... - Khon wzruszył ramionami.

Ford zasepił się, otarł czoło, po czym zdecydowanie pokiwał głową.

- W porządku. Zapłacę.
- I jeszcze sto dolarów za dostęp do map z rozmieszczeniem min lądowych! - urzędnik wtrącił po khmersku.
- Jeszcze sto dolarów? Tym razem to pan raczy żartować! - zaprotestował Khon.
- Niech będzie pięćdziesiąt.

Khon odezwał się do Forda:

- I jeszcze pięćdziesiąt za mapy.
- ~ A co z motocyklami? Potrzebujemy motocykli - rzekł Ford, uda-Jąc gniew. - Ile to jeszcze będzie kosztować?

Targowali się przez kolejny kwadrans, ale w końcu osiągnęli porozumienie. Tysiąc sto czterdzieści dolarów za zezwolenie na przejazd, mapy, wynajem dwóch motocykli, benzynę i prowiant oraz obietnicę przypilnowania land cruisera na czas ich nieobecności. Ford wyjął pieniądze i wręczył radnemu, który przyjął je z niemal nabożną czcią w obydwie ręce, uśmiechając się promiennie, i skrętnie włożył je do szuflady biurka.

Ford i Khon wyszli na zewnątrz i usiedli w cieniu chlebowca, czekając na dostarczenie wynajętych motocykli z pobliskiej wioski.

- Kazałeś mi zabrać pięć tysięcy dolarów - powiedział Ford. - Ten nieszczęśnik nie zdawał sobie sprawy, ile byliśmy gotowi zapłacić.
- Ten człowiek właśnie zarobił równowartość dwuletniej pensji. On jest zadowolony i my jesteśmy zadowoleni. Po co kwestionować hojność bogów?

Przy wtórze głośniego warkotu nadjechały dwa motocykle kierowane przez chudych nastolatków i zatrzymały się; silniki maszyn brzmiały tak, jakby lada chwila miały się rozsypać w drobny mak.

Ford spojrział na zdezelowane maszyny trzymające się kupy tylko dzięki sporej ilości drutu i taśmy samoprzylepnej. Jeden miał z tyłu przymocowaną klatkę, której wnętrze pokrywały zaschnięte ślady świńskiej krwi.

- Chyba żartujesz.
- Niby czego się spodziewałeś, harleyów? - zaśmiał się Khon.

18

Błękitne wzgórza ukazały się w oddali Fordowi, gdy szedł ścieżką, która prowadziła do niewielkiej polany. Przez ostatnie pięć godzin wraz z Khonem przedzierał się przez labirynt leśnych duktów i po tej przeprawie przez dżunglę był wyczerpany i bolały go wszystkie kości. Zatrzymał motocykl i zgasił silnik, podczas gdy Khon podjechał do niego. Patrzył, jak Kambodżanin ostrożnie wyjmując z plecaka mapę

1 rozkłada ją, ale pomimo delikatności, z jaką to robił, mapa zaczynała rozdierać się na zgięciach od wilgoci i częstego używania. Khon spojrział na nią przez grube szkła swoich okularów, po czym uniósł wzrok.

- To wzgórze Phnom Ngue, a za nimi góry ciągnące się wzdłuż granicy z Tajlandią.
- Rany, ale upał. Jak ty to robisz, Khon?
- Ale co robię?
- Zawsze wyglądasz jak spod igły i nigdy niczym się nie przejmujesz.
- Trzeba dbać o to, jak widzą nas inni - powiedział Khon, składając mapę pulchnymi wypielęgowanymi palcami. - Wioska Trey Nhor leży u podnóża tych wzgórz. To ostatni przyczółek kambodżańskiej suwerenności. Dalej to już ziemia niczyja.

Ford pokiwał głową. Strząsnął pot z twarzy, potarł ręce i przerzucił nogę nad siodełkiem motocykla, odpalił go i ruszyli dalej, podskakuje na krętym nierównym szlaku. Na odcinku kolejnych kilku kilometrów minęli parę wiosek, skupiska trzcinowych chat na polach, wodnego bawołu ciągnącego wóz, dzieci recytujące na głos w prostej szkole

2 trzciny, a potem szlak zaczął wznosić się coraz wyżej. W oddali jawi-1° się pasmo górskie, między wierzchołkami drzew widać było smużki dymu.

~ Trey Nhor - rzekł Khon.

Jechali przez las, zawodzący dźwięk silników przywodził na myśl brzęczenie roju komarów. Ford ucieszył się, że pojawił się lekki wietrzyk, choć nie zrobiło się przez to ani trochę chłodniej. Parę kilometrów dalej wyłoniły się chaty rozproszone między wielkimi drzewami kapokowymi o karbowanych pniach i korzeniach, które wiły się po ziemi jak węże. Chwilę potem wjechali na pylisty plac otoczony bambusowymi szałasami pokrytymi dachami z trzciny. Pośrodku placu wznosiły się totemy wyglądające jak gromadka chuderlawych demonów. Ford rozejrzał się dokoła; wioska sprawiała wrażenie opustoszałej.

Zaparkowali motocykle, postawili na stopkach i zsiadli. Maleńką polaną ze wszystkich stron otaczał ogromny szumiący las, ludzka obecność nieomal gubiła się wśród drzew.

- Gdzie się wszyscy podziali? - spytał Ford.

- Wygląda na to, że wszyscy uciekli, poza tą jedną.

Khon skinął głową w stronę szałasu, a Ford spostrzegł siedzącą na plecionej macie wychudzoną kobietę. Khon wyjął z plecaka torebkę cukierków i wraz z Fordem ruszył w stronę szałasu.

- Ten obszar mocno ucierpiał w czasie pól śmierci - wyjaśnił Khon. - Tutejsi wciąż obawiają się obcych.

- Zapytaj ją o szlaki prowadzące na wzgórze Phnom Ngue.

Wydawała się stara jak świat, ale nadal żyła jak sterta kości przyobleczone w luźną pomarszczoną skórę. Mimo to była bardzo żywotna. Siedząc po turecku na macie, wypalała niedopałek cygara i uśmiechnęła się do Forda, ukazując jedyny ząb. Khon podsunął w jej stronę torebkę cukierków, a ona zanurzyła w niej dłoń i zgarnęła co najmniej połowę jej zawartości swoimi chudymi szponiastymi palcami.

Khon przemówił do kobiety w dialekcie. Odpowiedziała z ożywieniem, energicznie kręcąc głową i gestykulując kościstymi dłońmi.

- Mówi, że lepiej, abyśmy tam nie szli.

- Powiedz jej, że tam idziemy i potrzebujemy jej pomocy

Khon przez dłuższą chwilę rozmawiał z kobietą.

- Mówi, że jakieś dwa kilometry na północ stąd jest buddyjski klasztor, do którego można dotrzeć wyłącznie pieszo. Mnisi, powiada

są oczami i uszami dżungli. Powinniśmy wpieryw udać się tam, a oni wskażą nam drogę. Za resztę cukierków ona zaopiekuje się naszymi motocyklami.

Szlak wiódł pod górę przez zagajnik pokrzywionych chlebowców różnolistnych, aż docierał do gęsto zalesionej grani. Upał był tak silny, że Ford czuł gorąco wdzierające się przy każdym oddechu do jego płuc. Pół godziny później dotarli do zniszczonego muru z wielkich bloków laterytu pokrytych splątanymi lianami, z pradawnymi schodami ciągnącymi się po zboczu na szczyt wzgórze. Wspięli się po nich na trawiasty teren zasłany na w pół zagrzebanymi w ziemi blokami laterytu; poza nimi pośród napierającej zewsząd dżungli wznosiło się pięć zniszczonych wież ustawionych w szachownicę, na każdej z nich przedstawiono cztery oblicza Wisznu patrzącego w cztery strony świata. Starożytna świątynia khmerska.

Pośrodku ruin na trawiastej polanie leżały zniszczone przez bombardowania szczątki nowszego klasztoru buddyjskiego. Nie miał już dachu, a jego nierówne kamienne ściany odcinały się na tle nieba. Za nimi Ford dostrzegł wznoszące się ponad koronami drzew złoczone wieże stup albo grobowców. W ciężkim powietrzu rozlegało się brzęczenie pszczół i czuć było zapach palonego drewna sandałowego.

Przed klasztorem w pozbawionym drzwi wejściu stał mnich z ogoloną głową, przyodziany w szafranową szatę. Mały i wychudzony, przyglądał się im czarnymi błyszczącymi oczami, a jego oblicze pokrywały niezliczone zmarszczki. Dwie maleńkie dłonie ścisnęły brzegi szaty.

Khon uklonił się, a mnich uczynił to samo. Przemówili, ale Ford znów nie zrozumiał tego dialektu. Mnich gestem przywołał Forda do siebie.

~ Jesteś tu mile widziany - rzekł po khmersku. - Podejź.

Weszli do pozbawionej dachu świątyni. Podłóże pokrywa-

trawa, miękka i świeżo skoszona jak na polu golfowym. Z jed-e' strony stał pozłacany posąg Buddy siedzącego w pozycji lotosu,

z półprzymkniętymi oczami, prawie niewidoczny zza ofiary ze świe-żych kwiatów. Wokół posągu paliły się kadzidełka, wypełniając p0. wietrze aromatem drewna sandałowego i merytantu. Za Buddą stał tuzin mnichów w długich szatach, byli niespełna nastolatkami i zbili się w zwartą gromadkę. Ściany świątyni wykonano z kamieni pozyskanych ze starych ruin, a Ford dostrzegł fragmenty rzeźb wyzierające z potrzaskanych, połączonych zaprawą bloków - dłoni, torsu, połowy twarzy, dziko wygiętej kończyny tańczącej apsary Wzdłuż jednej ze ścian widniały dwa nierówne rzędy otworów po kulach, pamiątki po serii oddanej z broni automatycznej. Ford miał wrażenie, że patrzy na miejsce dawnej egzekucji.

- Usiądź, proszę - powiedział mnich, wskazując na kilka trzinowych mat rozłożonych na trawie.

Popołudniowe słońce wpadało ukośnie przez otwór po zniszczonym dachu, malując wschodnią ścianę złotem, dym z kadzidełek (snu) się między jego promieniami. Po kilku minutach ciszy zjawił się mnich niosący stary żelazny czajnik z herbatą i poszczerbione filiżanki, które postawił na macie i napełnił. Wypili mocną zieloną herbatę. Kiedy skończyli, opat wstał.

- Mówisz po khmersku? - zwrócił się do Forda swiergocącym głosem.

Ford pokiwał głową.

- Co sprowadza cię na koniec świata?

Ford sięgnął do kieszeni i wydobyl podróbkę miodowego kamienia. Opat wstrzymał oddech, wstał i cofnął się płynnym ruchem, pozostali mnisi także odstąpili o parę kroków do tyłu.

- Zabierz stąd ten diabelski kamień.

- To podróbka - rzekł ze spokojem Ford.

- Jesteście handlarzami kamieni?

- Nie - odparł Ford. - Szukamy kopalni produkującej miodówki.

Po raz pierwszy przez oblicze mnicha przemknął cień emocji. Jakby się zawahał, przeciągając ręką po ogolonej suchej czaszce. Jego palce zaszurały, napotykając króciutkie włoski.

- Po co?

- Przysłała mnie rząd Stanów Zjednoczonych. Chcemy się dowiedzieć, gdzie jest ta kopalnia, żeby ją zamknąć.

- Jest tam wielu żołnierzy, dawnych Czerwonych Khmerów, uzbrojonych w karabiny, moździerze i ręczne granatniki przeciwpancerne. To brutalni ludzie. Jak możesz liczyć, że pójdziecie tam i przeżyjecie?

- Pomożesz nam?

- Tak - odrzekł bez wahania mnich.

- Co wiesz o kopalni?

- Miesiąc temu w dżungli doszło do potężnej eksplozji. Wkrótce potem pojawili się oni. Najeżdżali górskie wioski, porywając ludzi, aby wydobywali dla nich diabelskie kamienie. Zaharowują ich tam na śmierć, potem ruszają, aby pojmać następnych.

- Czy możesz nam przybliżyć usytuowanie i układ kopalni, liczbę żołnierzy, kto tam wszystkim kieruje?

Opat machnął ręką, a mnich siedzący pod przeciwległą ścianą podniósł się i wyszedł. Po chwili wrócił, prowadząc może dziesięcioletnie niewidome dziecko w mnisich szatach. Jego twarz i czaszkę pokrywała siateczka błyszczących blizn, nie miało nosa i jednego ucha, jego

oczodoły wypełniała ogniście czerwona bliznowata tkanka. Ciało przyobleczone w szaty było drobne, chude i powykrzywiane.

- Temu dziecku udało się uciec z kopalni i dotrzeć do nas - wyjaśnił opat.

Ford uważniej przyjrzał się dziecku i stwierdził, że była to dziewczynka ubrana jak chłopiec.

- Gdyby wiedzieli, że ją ukrywamy - powiedział mnich - zabiliby nas wszystkich.

Odwrócił się do niej.

~ Podejdz tu, moje dziecko, i powiedz Amerykaninowi wszystko, Co wiesz, nawet te najgorsze rzeczy

Dziewczynka zaczęła mówić beznamietnym pustym głosem, jak-by recytowała w szkole wyuczony fragment czytanki, o eksplozji w górach i przybyciu żołnierzy, dawnych Czerwonych Khmerów, o tym, jak

zaatakowali jej wioskę, zabili jej matkę i ojca, a tych, którzy przeżyli, poprowadzili przez dżunglę do kopalni. Opowiedziała, jak z wolna traciła wzrok, sortując sterty pokruszonych kamieni szykowanych do obróbki. A potem precyzyjnie i dokładnie opisała cały rozkład kopalni, miejsc, które patrolowało wojsko, gdzie mieszkał szef i jak funkcjonowała kopalnia. Kiedy skończyła, ukłoniła się i cofnęła.

Ford odłożył notes i wziął głęboki oddech.

- Opowiedz mi o eksplozji. Co to był za wybuch?

- Jak wybuch bomby - odparła. - Chmura wzbija się w niebo i potem przez wiele kolejnych dni padał czarny deszcz. Wiele drzew zostało powalonych.

Ford odwrócił się do mnicha.

- Widziałeś tę eksplozję? Co to mogło być?

Opat spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem.

- Demon z najgłębszej czeluści piekieł.

19

Abbey włożyła sworzeń do kotwicy i przeszła na rufę, ześlizgując się do sterówki.

- Wynosimy się stąd - powiedziała, chwytając za koło sterowe, zwiększając obroty silnika i odbijając od Marsh Island, którą właśnie spenetrowały.

- No i dupa - rzuciła zrezygnowanym tonem Jackie.

- Dwie za nami, trzy przed nami - rzekła Abbey, siląc się na odrobinę pogodniejszy ton.

- Nie martw się, znajdziemy to.

- Oby. Ledwie żyję po tym czołganiu się przez chaszczę. Mam wrażenie, jakby włożono mnie do worka pełnego żbików. Spójrz, cała jestem podrapana!

Podsunała rękę w stronę Abbey.

- To jak rany odniesione na wojnie. Będiesz mogła pochwalić się nimi wnukom.

Abbey skierowała Mareę, by opłynąć północny kraniec Marsh Island. Chylące się za horyzont słońce zalewało odległy ląd krwistopo-marańczową poświatą, w powietrzu pojawiła się lekka mgiełka. Spojrzała na mapę i obrała kurs na następną wyspę ze swojej listy: Ripp. Widziała ją na horyzoncie, kilkanaście kilometrów za starym kompleksem Earth Station na Crow Island. Stacja zawsze wydawała się taka °bca i nie na miejscu, jak wielki biały bąbel wznoszący się nad strzę-Piastymi wyspami albo wielka purchawka. Na wodzie widać było niewielkie skupisko światła, to prom z Crow Island płynął w stronę Te-nants Harbor.

- Pamiętasz, jak wybrałyśmy się tam na wycieczkę? - odezwała się Jackie, podążając za spojrzeniem Abbey. - Tych troje dziwaków "Mieszkających na wyspie i obsługujących stację przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?

- To było wtedy, gdy korzystali z niej, by przesyłać sygnały do sondy lecącej na Saturna.

- Można się tylko zastanawiać, kto przy zdrowych zmysłach zechciałby przyjąć taką robotę na wyspie, w samym środku niczego. Pamiętasz tego typu z zębami wielkimi jak

łopaty, który tak się do nas szczyrzył? Fuj. Jak myślisz, co oni tam robią całymi dniami?

- Może wydzwanają do E.T.

- Ej, ti, masz jeszcze może trochę tego marsjańskiego budweisera? - zawołała Jackie. Abbey zaśmiała się.

- A skoro mowa o używkach, zauważyłam, że słońce zeszło już poniżej rei - stwierdziła i uniosła w dłoni butelkę jima beama.

- Jestem za.

Abbey wypła łyk i oddała butelkę Jackie, która też się napiła. Słońce skryło się za horyzontem i gładką jak szkło zatokę spowiła poświata zmierzchu.

- Hmm - odezwała się Abbey i sięgnęła po lornetkę, by przez nią spenetrować widoczną przed nimi wyspę. - W domu na Ripp pali się światło. Wygląda na to, że admirał już przyplłynął z Jersey na letnie wakacje.

- Cholera.

Gdy zbliżyły się do wysepki, ich oczom ukazała się rezydencja z dachem krytym gontem i ozdobnymi wieżyczkami oraz szczytami; dom tonął w blasku zewnętrznych lamp.

- Ten admirał to szurnięty skurwiel - rzekła Jackie. - Mówią, że był na wojnie w Korei i zabił mnóstwo kobiet i dzieci.

- To miejska legenda.

- Chcę tylko powiedzieć, że może powinniśmy odpuścić sobie Ripp.

- Jackie, linia przebiega dokładnie przez środek wyspy. Przeszukamy ją jeszcze dziś w nocy.

- Jeżeli meteoryt spadł na Ripp, admirał na pewno już go znalazł

- Nie było go tu, kiedy spadł. A to duża wyspa.

I - Mówią, że on ma ochronę.

I - Taa, paru pączkożerców siedzących na tłustych dupskach y/ kuchni i oglądających Idola. f Abbey przepatrywała dom i zatokę przez lornetkę. Motorówka admirała, crownline z silnikiem zaburtowym, cumowała przy pływającym doku, podczas gdy duży jacht motorowy kotwiczył w zatoczce. Dostrzegła przez okna jakieś poruszenie wewnątrz domu.

- Zakotwiczymy po drugiej stronie.

- Uważaj na silny prąd zwrotny biegnący wzdłuż zachodniego brzegu wyspy - rzekła Jackie. - Jest naprawdę paskudny. Najlepsze podejście jest od południowego zachodu pod kątem dwudziestu stopni.

I' - Dobra.

Abbey zakręciła kołem, zmieniając kurs, by podejść do wyspy od jej przeciwległego krańca. Zatrzymały łódź trzydzieści metrów od brzegu i rzuciły kotwicę. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Dziewczęta wygasily oświetlenie łodzi i urządzeń pokładowych, pozostawiając Mareę całkiem ciemną, podczas gdy Jackie wrzuciła do małego plecaka niezbędne rzeczy - piersiówkę z jimem beamem, nóż dla nurków, lornetkę, manierkę, zapałki, latarki, baterie i pojemnik z gazem pieprzowym.

Wsiadły do szalupy. Woda była szklista i ciemna, wyspa na wprost nich tonęła w mroku.

Abbey trzymała wiosła na płask, by zminimalizować plusk wody Łódka z chrzęstem wpłynęła na piach, a dziewczęta wyskoczyły na brzeg. Pomiedzy drzewami Abbey widziała blask światel z wnętrza domu.

- Co teraz? - szepnęła Jackie.

- Za mną.

Abbey zerknęła na wskazanie kompasu, przeszła przez plażę i przebiła się przez gąszcz dzikich róż, by dotrzeć na skraj lasu. Słyszała za sobą oddech Jackie. Między drzewami było ciemno jak w ja-skini. Osłaniała latarkę jedną ręką, kiedy szły pomiędzy omszałymi drzewami, świecąc na lewo i prawo w poszukiwaniu krateru. Od czasu

czasu Abbey przystawała, by spojrzeć na kompas.

Minęło dziesięć minut, ale niczego nie odnalazły. Dotarliśmy na drugi koniec wyspy, przeszły przez niewielkie moczary i płynący leniwie strumień; woda sięgała im do piersi, więc Abbey uniosła piec nad głowę, aby go nie zamoczyć. Za moczarami rozciągała się rozległa równina. Abbey przykucnęła między drzewami i zlustrowała ją przez lornetkę, podczas gdy Jackie zdjęła buty i wylała z nich błotnistą wodę.

- Zamarzam.

Równina przechodziła w łagodne zbocze prowadzące do zadbanego trawnika i kortu tenisowego, za którym wznosił się olbrzymi dom. Abbey dostrzegła jakiś ruch w jednym z okien, poruszający się cień.

- Musimy przejść przez to pole - szepnęła. - Tam może być krater.

- Może powinniśmy obejść je dookoła.

- Nie ma mowy. Zrobimy to jak trzeba.

Żadna z nich nawet nie drgnęła.

Abbey szturchnęła Jackie.

- Boisz się?

- Tak i jestem cała przemoczona.

Abbey wyjęła z plecaka piersiówkę i podała przyjaciółce. Jackie upiła łyk, po chwili Abbey zrobiła to samo.

- Wzmocniona?

- Nie.

- Miejmy to już za sobą.

Kiedy wchodziły na równinę, Abbey poczuła ciepło rozlewające się w żołądku. Poświęta płynąca z domu dawała oświetlenie, dzięki temu mogła schować latarkę do kieszeni.

Posuwając się wolno na czworakach, nisko pochylone przemierzały kolejne centymetry zeschniętej trawy. Były w połowie równiny, gdy z oddali dobiegło jej ujadanie psa. Obie instynktownie przywarły płasko do ziemi. Z domu dobiegły zduszone dźwięki piosenki Franka Sinatry, które nagle ucichły - ktoś otworzył i zamknął drzwi. Czekały.

Kolejne odległe szczeknięcie. Abbey poczuła strużkę lodowatej wody ściekającej po plecach i wzdrygnęła się.

- Abbey, proszę, wynośmy się stąd.

_ Ciiii.

Kiedy Abbey zaczęła się podnosić, ujrzała dwa rączce cienie, które wypadły zza rogu budynku i pomknęły przez trawnik, klucząc z nosami przy ziemi.

- Psy - rzekła. | — Jezu, nie.

L - Musimy stąd spieprzać. Na trzy biegniemy w stronę strumienia.

Jackie zajęczała. k. - Jeden, dwa, trzy.

Abbey poderwała się i pobiegła przez pole, a Jackie pospieszyła w jej ślady. Za nimi rozległo się gorączkowe ujadanie. Wskoczyły do strumienia, powolny, lecz silny prąd zaczął je ciągnąć, obracając w kierunku lasu. Abbey zanurzyła się niemal po szyję, próbując oddychać przez wydęte wargi. Ujadanie zbliżało się i widziała teraz promienie latarek migocące na szczycie wzgórza; dwaj mężczyźni zbiegli po zboczu w ich stronę.

Znów rozległo się ujadanie, tym razem od strony górnego biegu strumienia, gdzie weszły do wody. Krzyki nadciągających mężczyzn, huk wystrzałów.

Ciemne drzewa zamknęły się wokół Abbey, gdy prąd znosił ją do lasu. Wypatrywała wzrokiem Jackie, ale było za ciemno. Prąd stał się szybszy, w miarę jak strumień wpływał pomiędzy wygładzone głazy i świerki o grubych korzeniach. Usłyszała jakiś dźwięk, ryk wody, gdy Prąd jeszcze bardziej przybrał na sile.

Wodospad. Próbowała dosięgnąć brzegu, schwyciła się kamienia, ale był śliski od pokrywających go mchów i ześlizgnęły się jej palce. Ryk stał się donośniejszy. Spoglądając w

dół strumienia, w mroku dostrzegła cienką białą linię. Chwyliła się kolejnego kamienia, przywarła doń na chwilę, ale prąd obrócił ją i ponownie nie zdołała utrzymać się przy głazie.

- Jackie! - krzyknęła i poczuła wciągający ją prąd.

Przez chwilę zdawała się nic nie ważyć, ze wszystkich stron otaczała ją rycząca biała kipiela, i nagle runęła w zimną skotłowaną ciemność.

Nie wiedziała, gdzie jest góra, gdzie dół, i zaczęła płynąć rozpaczliwie, kopiąc nogami i młócąc rękami, usiłując odzyskać równowagę, aż w końcu jej głowa wyłoniła się ponad powierzchnię wody. Łapczywie łapiąc oddech, pracując zawzięcie rękami i walcząc o utrzymanie głowy ponad lejącymi się na nią lodowatymi strugami, odbiła w bok, aby po kilku chwilach znaleźć się w spokojnej, prawie nieruchomej sadzawce. Noc, niebo, ocean - znalazła się tuż przy brzegu wyspy. Prąd zniósł ją pomiędzy łachy żwiru i zaczęła płynąć w kierunku nasypu, jej stopy zanurzyły się w luźnej warstwie łupku poniżej. Wspiawszy się na żwirowy wał, zaczęła parskać, wypluwając wodę. Rozejrzała się dokoła, ale jak okiem sięgnąć, wszędzie było cicho i spokojnie. Nigdzie nie dostrzegła mężczyzny ani psów.

- Jackie? - zasyczała.

Po chwili Jackie wyłoniła się z wody, podźwignęła się na kolana i zaczęła kasłać.

- Jackie? Nic ci nie jest?

Po kilku sekundach Abbey usłyszała ochrypły głos, który odpowiedział:

- Na szczęście, kurwa, nic.

Trzymając się blisko linii drzew, dotarli wzdłuż brzegu do miejsca, gdzie zostawiły szalupę, spuściły ją na wodę, wsiadły do środka i odbiły od brzegu. Wkrótce potem wróciły na Marea. Po krótkim milczeniu obie wybuchnęły głośnym niepohamowanym śmiechem.

- No dobra - rzekła Abbey, odzyskując oddech. - Podnieśmy kotwicę i spadajmy stąd, zanim zaczną nas szukać tym ich ogromnym jachtem.

Pospiesznie rzuciły przemoczone ubrania i powiesiły na relingu. Goluteńkie, jak je Pan Bóg stworzył, skierowały łódź na spowity mrokiem nocy ocean, pociągając na zmianę z piersiówki.

20

Ford uważał się za szybkiego chodźiarza, ale buddyjski mnich poruszał się przez las z prędkością nietoperza, śmigając wzdłuż kolejnych ścieżek w swoich klapkach i falujących za nim szafranowych szatach. Szli przez wiele godzin w milczeniu, bez odpochnięcia, aż dotarli do głazu u wylotu stromego wąwozu. Tu mnich gwałtownie przystanął i podciągnąwszy szatę, usiadł i pochylił głowę do modlitwy. Po dłuższej chwili ciszy uniósł wzrok i wskazał w głąb parowu.

- Sześć kilometrów. Dojdziecie głównym wąwozem do wzgórza, a potem wdrapiecie się na nie. Znajdziecie się nad kopalnią od strony wyjścia na dolinę. Ale uważajcie, przy tym wzgórzu z dwóch stron krążą patrole.

Khon złączył dłonie i skłonił się w wyrazie podziękowania.

- Niech Budda błogosławi wam na szlaku - powiedział mnich. - Idźcie już.

Khon znów się ukłonił.

Zostawili swojego przewodnika siedzącego na kamieniu, z głową pochyloną do medytacji.

Ford pierwszy wszedł do wąwozu, lawirując między wielkimi głazami, wygładzonymi i obracanymi przez dawne powodzie. Gdy wąwóz zawęził się w jar, na stromych stokach nad nimi pojawiły się drzewa, tworząc tunel. W gęstym powietrzu przelatywały brzęczące owady, czuć było zapach paproci.

- Strasznie tu cicho - rzekł Ford zdyszonym głosem.

Khon pokiwał głową.

Ford dostrzegł tu i ówdzie buddyjskie modlitwy wyryte na kamieniach, napisy jednak zostały już niemal zupełnie zatarte przez czas. W którymś momencie minęli całą postać leżącego

Buddy długości dwunastu metrów, wykutą w litym kamiennym występie. Khon przysnął, by złożyć przy posągu ofiarę z pęku kwiatów.

W dalszej części parowu szlak piął się stromo. Gdy dotarli na szczyt, spomiędzy drzew zaczęły przebijać promienie słońca. Wierzchołek był otoczony przez zniszczony mur i między jego blankami Ford dostrzegł ruiny skromnej świątyni wznoszącej się spośród splątanych pędów winorośli. Przy jednym krańcu świątyni widać było spalone, poskręcane szczątki działka przeciwlotniczego z czasów wojny wietnamskiej, przy drugim kolejne.

Ford gestem dał Khonowi znak, aby został tutaj, a sam przekradł się przez gęstwinę i przegramolił nad zniszczonym murem. Usłyszał szelest i odwrócił się, dobywając walthera, ale to tylko jaszczurka wypełzła na stertę zeschniętych liści. Trzymając pistolet w ręku, Ford wyszedł na polanę, rozejrzał się i ręką przywołał do siebie Khona. Przeszli ścieżką do drugiego stanowiska obrony przeciwlotniczej na samym skraju wzgórza, skąd rozciągał się widok na dolinę poniżej. Ford podpełzł do skraju kamiennej platformy i spojrzął w dół. Widok był tak niezwykły, że w pierwszej chwili nie zorientował się, na co patrzy. Drzewa pośrodku doliny zostały powalone, obszar zniszczeń miał kształt idealnego kręgu, którego promienie rozchodziły się od centralnego krateru jak szprychy gigantycznego koła. Ponad miejscem, gdzie panował nieustanny ruch, unosił się dym. Szeregi ludzi w łachmanach wędrowały w tę i z powrotem od centralnego krateru, dźwigając na plecach kosze wypełnione kamieniami, a w ich czoła wrzynały się płócienne opaski podtrzymujące brzemię. Zrzucali niebieskawe kamienie na ogromną stertę pięćdziesiąt metrów dalej i wracali przygarbieni do kopalni, by ponownie napełnić kosze. Stertą zajmowały się wymizerowane dzieci i stare kobiety, które rozłupywały kamienie niedużymi młotkami i przebierały w okruchach, poszukując klejnotów.

Centralny krater był, jak wszystko na to wskazywało, samą kopalnią.

W dolinie nad kopalnią pośród zwalonych pni uprzątnięto pewien obszar i wzniesiono tam prymitywną wioskę złożoną z rzędów szpetnych, pokrzywionych chat; osadę otaczały rozciągnięte nisko nad ziemią zasieki z drutu kolczastego. To był prawdziwy obóz koncentracyjny. Z dziesiątków ognisk w niebo były słupy dymu. Po obu stronach obozu stały dwa stare czołgi, a granice kotliny patrolowali uzbrojeni po zęby żołnierze. Kolejni żołdacy pilnowali górników, popędzając opornych i słabych długimi zaostrozonymi kijami, ale przez cały czas zachowując bezpieczny dystans.

Ford sięgnął do plecaka i wyjął lornetkę, aby lepiej się przyjrzeć. Jego oczom ukazał się krater, głęboki pionowy szyb wyglądający na efekt uderzenia w ziemię potężnego meteorytu. Przez chwilę patrzył na górników - byli w fatalnym stanie fizycznym, wypadły im włosy, ciała przyodziane w łachmany pokryte były otwartymi, jątrzącymi się ranami, skórę mieli ciemną i pomarszczoną, grzbiety pochylone, wystające kości. Wielu z nich było tak przeżartych przez zabójcze promieniowanie - wyłysiali, bezzębni i wymizerowani - że Ford nie potrafił odróżnić mężczyzn od kobiet. Nawet pilnujący ich mężczyźni wydawali się niespokojni i schorowani.

- Co widzisz? - wyszeptał z tyłu Khon.

- Straszne rzeczy. Potworne rzeczy.

Khon podpełzł bliżej z własną lornetką. Przyglądał się przez długą chwilę w milczeniu. Gdy tak patrzyli, jeden z górników wynoszących urobek potknął się i upadł, zawartość kosza wysypała się na ziemię. Był niski i drobny, Ford domyślił się, że to zaledwie nastolatek. Żołnierz wywlócił chłopaka z szeregu i kopnął, zmuszając go, by się podniósł. Chłopak próbował wstać, ale był zbyt słaby. W końcu żołnierz przyłożył do głowy chłopaka pistolet i nacisnął spust. Nikt nawet nie spojrzął. Żołnierz przywołał wóz, wrzucono nań ciało, po czym pojazd ciągnięty przez osła został podprowadzony na skraj kotliny. Tam zwłoki wrzucono do dołu wyglądającego jak otwarta rana ziejąca w czerwonej glebie lasu równikowego - masowego grobu.

- Widziałeś to? - zapytał półgłosem Khon.
- Tak.

Ford przyjrzał się baczniej żołnierzom z patrolu i z konsternacją stwierdził, że większość z nich była nastolatkami, a właściwie dziećmi.

- Spójrz w głąb doliny - wyszeptał Khon - tam, gdzie wciąż jeszcze stoją te wielkie drzewa.

Ford nieznacznie uniósł lornetkę i natychmiast dostrzegł drewniany dom wciśnięty między drzewa u wylotu kotliny. Zbudowany w klasycznym francuskim stylu kolonialnym, z dwuspadowym blaszanym dachem, wykuszowymi oknami i ścianami z bielonych uszczelnionych desek. Dach opadał ukośnie do szerokiej werandy tonącej w cieniu bujnych helikonii w żywych odcieniach pomarańcza i czerwieni. Jego wzrok padł na starego żylastego mężczyznę kręcącego się po werandzie ze szklanką drinka w dłoni. Włosy miał śnieżnobiałe, plecy zgięte tak, że wyglądał prawie jak garbus, ale jego oblicze pozostało czujne i pozbawione zmarszczek. Krążył w tę i z powrotem i mówił coś do dwóch mężczyzn, wykonując wolną ręką zdecydowane ruchy przypominające cięcie. Nastoletni żołnierze z AK-47 strzegli jego domu z obu stron.

- Widzisz go?

Ford pokiwał głową.

- Jestem prawie pewien, że ten człowiek to Brat Numer Sześć.
- Brat Numer Sześć?
- Prawa ręka Pol Pota. Plotki głosiły, że ten łajdak kontroluje pewien obszar przy granicy tajlandzko-kambodżańskiej. Wygląda na to, że znaleźliśmy jego małe lenno. Khon schował swoją lornetkę do plecaka.

- Cóż, to chyba nam wystarczy.

Ford milczał. Czuł na sobie wzrok Khona.

- Zrobmy parę zdjęć, nakręcmy materiał wideo, sprawdźmy koordynaty GPS-a i wynośmy się stąd.

Ford opuścił lornetkę, ale nic nie powiedział.

Nagle Khon zmarszczył brwi. Zauważył coś wśród chwastów u swoich stóp, wyciągnął rękę, podniósł to i pokazał Fordowi. Był to niedopałek skręta, świeży i całkiem suchy.

- Wynośmy się z tego wzgórza.

Wycofali się z grani i przemknęli obok umocnień przeciwlotniczych. Ford spostrzegł jakieś poruszenie w lesie poniżej i rzucił się na ziemię; Khon zrobił to samo.

M

/ y

- Patrol - powiedział Ford, wykonuj runku.
- Na pewno zmierza w tę stronę. j |
- Wobec tego zejdziemy z drugiej st/' Ford podpełzł na brzuchu w kierur^ nim; Khon po chwili dołączył do niego.

A

- Nie możemy tu zostać. Trzeba przel Khon pokiwał głową. Ford znalazł dogodny uchwyt dla

<f

if

ic:

W tamtym kie-

Przycupnął przy

en mur.

na sam szczyt muru, przegramolił się p1

Azołgał

^y v i* .v

się prawie i opuścił po drugiej stronie. Leżał tam, dysząc ciężko. Uważony pD chwili na szczycie muru pojawił się Khon. Ot ^terkot broni automatycznej rozległ się z dżungli na lewo . z 'e uderzyły w mur, V >ak szrapnele. muru.
ybo
odłupując kawałki kamieni i rozpryskując

tir

Hon chungnay!- krzyknął Khon, ze' .A

vV f /

Ciężko wylądował obok Forda i prze' omiół listowie nad ich głowami, zasypu p > ziemi. Grad kul rzępmi liści i kawałkami gałązek. Ogień ustał niemal ró^ jak się rozpoczął, a Ford usłyszał okrzyki, gdy niewidoc^j/ ^ j>rze biegli między drzewami poniżej. Usiłując przywrzeć i'l ^A ^k najniżej do ziemi, wymierzył swojego walthera w stron^fA^biegały głosy j otj dał jeden strzał. Odpowiedzią była kolejir ę przelatywały wysoko nad nimi. Druga s/ od kamieni na szczycie muru. - Spadajmy stąd - rzucił Ford. Khon wyjął swoją berette kaliber 9 m'l

\\ ale pociski wciąż zrykoszetowała

- Zgadzam się z tobą, Jankesie.

/A

Pocisk z ręcznego granatnika przeciw^^-^,^0 przeleciał nad ich kryjówką i eksplodował na szczycie wzgi' ^ ^Uderzeniowa po wybuchu aż zatrzęsła Fordem. W uszach m^ j, gdy próbował odzyskać jasność umysłu. ^ , ; - Zejdź na dół tym zboczem, a ja b^ 'taniał. Potem ukryj się i stamtąd osłaniaj mnie.

- Dobra.

Ford oddał strzał w stronę, z której nadchodzili żołnierze, a po chwili Khon zerwał się i zbiegł w dół stoku. Ford osłaniał go ogniem, strzelając w nieregularnych odstępach czasu, aż Khon, zmierzając zakosami w dół zbocza, zniknął mu z oczu.

Niedługo później Ford usłyszał odgłosy wystrzałów oznajmiające, że Khon osłaniał jego odwrót. Podniósł się powoli i zaczął schodzić w dół zbocza, w głąb parowu. Za nim eksplodował pocisk z ręcznego granatnika przeciwpancernego i siła wybuchu pchnęła go do przodu -dobrze się stało, bo zarośla, w których przed chwilą się znajdował, zostały posiekane ogniem z broni automatycznej.

Spełzył w dół parowu, a na głowę sypał mu się deszcz mokrych strzępów liści i kawałków gałązek. Tamci wciąż strzelali wysoko, omiatając listowie, z ich obecnej pozycji nie mogli wycelować pod właściwym kątem. Po chwili ujrzał przed sobą Khona.

- Biegnij!

Obaj popędzili w dół zbocza przez chaszczce, przedzierając się przez gęstwinę pnączy i krzewów. Serie pocisków szatkowały roślinność wokół nich, ale stopniowo ostrzał stawał się coraz bardziej odległy i sporadyczny.

Dziesięć minut później dotarli do górnej części parowu i przystanęli nad brzegiem strumienia, by złapać oddech. Ford ukląkł i ochlapał sobie szyję i twarz, usiłując się ochłodzić.

- Ściągają nas - mruknął Khon. - Musimy iść dalej.

- W górę strumienia. Tego się nie spodziewają.

Ford wszedł do wody i brodząc od jednej wartkiej kaskady do drugiej, wspinał się po luźnych głazach zalegających na dnie płynącego po stromym stoku strumienia. Po półgodzinie uciążliwej wspinaczki dotarli do źródła, miejsca, w którym ze szczeliny w skale tryskała woda. Sto metrów nad nimi znajdowała się grań, w prawo zaś ciągnął się suchy żleb. Minęli żleb i wspięli się na grań, zeszli z drugiej strony i wspięli się na kolejną, przedzierając się przez gęstwinę krzewów. Minęło kilka godzin i zaczęło zmierzchać. Dżunglę spowił bezmiar zieleni.

Khon rzucił się na splechetek niewielkich paproci, przeturlał się na wznak i podłożył ręce pod głowę. Jego spokojne oblicze rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Cudownie. Rozbijemy tu obóz.

Ford osunął się na zwaloną kłodę; oddychał ciężko. Wyjął manierkę i podał Khonowi, a ten napił się porządnie. Potem on sam też się napił, woda była ciepła, cuchnąca.

- Znalazłeś tę kopalnię - powiedział Khon, siadając i spoglądając na swoje paznokcie, po czym zaczął je czyścić i spiłowywać. - Określiłeś jej położenie. Możemy zatem wracać. Ford nie odpowiedział.

- Prawda, panie Mandrake? Możemy już wracać?

Tamten nadal milczał.

- Błagam, tylko bez kolejnej próby ratowania świata!

Ford potarł kark dłonią.

- Khon, wiesz, że mamy problem.

- Jaki?

- Po co mnie przysłano?

- Aby odnaleźć kopalnię. Sam tak powiedziałeś.

- Widziałeś ją. Chcesz powiedzieć, że CIA nie znała jej dokładnego położenia? Mowy nie ma, aby satelity szpiegowskie mogły przeoczyć coś takiego.

- Hmm - wymamrotał Khon. - Masz, kurwa, rację.

- Wobec tego po co naprawdę mnie tu przysłano? Khon wzruszył ramionami.

- Niezbadane są ścieżki CIA.

Ford potarł twarz, przecesał włosy i odetchnął głęboko.

- Jest jeszcze jeden problem.

- Jaki?

- Czy zostawimy tych ludzi i pozwolimy, by umarli?

- Ci ludzie już są martwi. Poza tym sam powiedziałeś, że rozkazano ci nie podejmować żadnych działań. Nie tykać kopalni. Zgadza się, panie Mandrake?

- To byli nastolatki, praktycznie dzieci. - Ford uniósł głowę. - Widziałeś, jak jeden z nich rozwalił tego chłopaka. Bez wahania. I ten masowy grób. Musi być w nim już z kilkaset ciał, a przecież dół nie był nawet wypełniony w jednej czwartej. To ludobójstwo.

Khon pokręcił głową.

- Witamy w kraju, gdzie ludobójstwo jest na porządku dziennym. Daj temu spokój.

- Nie, nie mogę tak tego zostawić.

- A co niby możemy zrobić?

- Wyszadzimy tę kopalnię.

21

Mark Corso ścisnął w dłoni CD-ROM, czując, jak pot z palców przylepia się do plastikowego pudełka. Pierwszy raz miał się znaleźć w sali konferencyjnej, głównej siedzibie misji marsjańskiej. Przeżył rozczarowanie. Wszechobecna woń zatęchłej kawy, wykładzina i plastikowe krzeselka. Ściany wyłożono imitacją boazerii, niektóre panele były wypaczone. Na plastikowych stolikach pod ścianami stały płaskoekra-nowe monitory, oscyloskopy, konsole i inne urządzenia elektroniczne. Po jednej stronie sali znajdował się opuszczony z sufitu ekran i

naj-brzydszy stół konferencyjny, jaki kiedykolwiek widział, z brązowym blatem z formiki, aluminiowymi krawędziami i metalowymi nogami.

Corso zajął miejsce przed niewielką plastikową tabliczką z jego nazwiskiem. Wyjął laptop, podłączył do gniazdka i uruchomił. Tymczasem zaczęli się schodzić inni technicy, gawędząc, dowcipkując i popijając słabą kalifornijską kawę ze starego automatu stojącego w kącie sali. Marjory Leung usiadła obok niego i podłączyła swój komputer do gniazdka. Poczłł aromat jaśminu. Była zdumiewająco dobrze ubrana w prosty czarny kostium, a Corso ucieszył się, że tego ranka włożył swoją najlepszą marynarkę i jeden z najdroższych jedwabnych krawatów. Nigdzie nie było widać fartuchów laboratoryjnych.

- Zdenerwowany? - spytała.

- Trochę.

To było pierwsze jego zebranie w gronie przełożonych i był trzeci w kolejce dziesięciu prelegentów, z których każdy miał pięć minut na Prezentację i pytania.

- Już wkrótce będzie to dla ciebie rutyna.

W sali zapadła cisza, gdy dyrektor misji marsjańskiej sondy orbitalnej, Charles Chaudry, wstał ze swojego miejsca przy drugim końcu stołu. Corso lubił Chaudryego, był młody, ambitny, przedwcześnie posiwiałe włosy nosił związane w kucyk, a poza tym, że cechowała go błyskotliwość, wydawał się konkretny i poukładany. Wszyscy znali jego historię: urodzony w Kaszmirze w Indiach, przybył do Stanów jako małe dziecko wraz z falą uchodźców uciekających przed drugą wojną kaszmirską w 1965 roku. Zaczynał od zera, a jego historia mogła posłużyć za przykład opowieści o sukcesie emigranta - uzyskał doktorat z geologii planetarnej na Uniwersytecie Berkeley, a jego praca została uhonorowana Nagrodą Stocktona. Jakby dla skompensowania swojego zagranicznego pochodzenia, Chaudry stał się stereotypem Amerykanina, a ściślej mówiąc, Kalifornijczyka uprawiającego wspinaczkę skałkową, kolarstwo górskie i surfing, uwielbiającego mierzenie się z zimowymi falami w Mavericks, gdzie, jak fama niesie, są najniebezpieczniejsze fale na świecie. Plotki głosiły, że pochodził z zamożnej bramińskiej rodziny, mogącej poszczycić się bliżej nieokreślonym arystokratycznym rodowodem, i w swojej ojczyźnie miał tytuł paszy lub może nababa, choć nikt nie wiedział tego na pewno. Był nieco próżny, ale tę akurat cechę przejawiała większość personelu IBRN.

- Witam - zaczął bezceremonialnie, błyskając do zebranych nieskazitelnym uśmiechem.

- Misja zanotowała zdecydowany postęp.

Wspomniał o niektórych ostatnich sukcesach, a zwłaszcza o pochlebnym artykule w dziale naukowym „New York Timesa”, zacytował fragment innej brytyjskiej publikacji z „New Scientist”, napomknął o pewnych spodziewanych, choć nie do końca jasnych kłopotach chińskiej sondy orbitalnej Hu Jintao, okraszając to wszystko żarcikami.

- A teraz przejdźmy do prezentacji - powiedział i spojrzął na kartkę. - Pięć minut na każdą, włącznie z pytaniami. Zaczniemy od raportu pogodowego. Marjory?

Leung wstała i zaczęła swoją prezentację na temat pogody na Marsie, pokazując wykonane w podczerwieni zdjęcia równikowych chmur lodowych, dzieło sondy orbitalnej. Corso próbował się skupić, ale był zbyt rozkojarzony. Zbliżało się jego pięć minut, podczas których miał

okazję zabłysnąć przed przełożonymi. Zamierzał wykonać ryzykowne posunięcie i choć nie było to w jego stylu, czuł przejmujący go wewnętrzny spokój. Sprawdził wszystko więcej niż sto razy. To, co planował, mogło być nieortodoksyjne, ale powinno wbić ich w fotele. Bo czy mogło być inaczej? Zamierzał zapoznać ich ze zdumiewającą tajemnicą, najwyraźniej odczytaną przez doktora Freemana na krótko przed jego śmiercią, z zagadką, której nie zdążył przeanalizować. Corso przejął pochodnię. Odnosił wrażenie, że w ten sposób może uczyć pamięć profesora, a równocześnie pchnąć naprzód swoją karierę. Powiódł wzrokiem w stronę drugiego końca stołu konferencyjnego i zlustrował Derkweilera, który siedział tam z grubym

skórzanym portfolio przed sobą. Derkweiler opowie się za nim, kiedy tylko zwietrzy w tym coś dla siebie.

Corso przysłuchiwał się pierwszym raportom, ale niewiele zapamiętał z ich treści. Gdy jego poprzednik zakończył wystąpienie, Corso poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Mark, twoja kolej - rzucił Chaudry, spoglądając na niego i uśmiechając się zachęcająco.

Corso włożył płytę do napędu komputera. Potrzebował chwili, aby dane się załadowały, po czym na ekranie pojawił się pierwszy obraz prezentacji.

Comptonowski czujnik promieniowania gamma marsjańskiej sondy orbitalnej Analiza danych o nietypowej wysokoenergetycznej

emisji promieniowania gamma Mark Corso, starszy analityk danych komputerowych

- Dziękuję, doktorze Chaudry - powiedział Corso. - Mam dla was wszystkich małą niespodziankę. Odkrycie, które, jak sądzę, jest bardzo znaczące.

Oblicze Derkweilera spochmurniało. Corso próbował na niego nie Patrzeć. Nie chciał dać się zbić z tropu.

- Zamiast danych z SHARAD-u chciałbym skupić się na danych zebranych przez czujnik Comptona promieniowania gamma.

W sali zapanowała cisza. Corso zerknął ukradkiem na Chaudryego. Tamten wydawał się zainteresowany. Corso przeszedł do następnego obrazu ukazującego Marsa z wykreślonymi wokół niego licznymi trajektoriami orbitalnymi.

- To trajektoria, po której poruszała się marsjańska sonda orbitalna przez ostatni miesiąc, zbierając dane praktycznie z orbity biegunowej ...

Gładko wymienił kolejne dobrze mu znane informacje, posiłkując się przy tym stosownymi obrazami i wykresami, aż dotarł do tego najważniejszego. Ukazywał wykres z naniesionymi na nim okresowymi, regularnie powtarzającymi się sygnaturami.

- Gdyby na Marsie znajdowało się źródło promieniowania gamma, tak właśnie wyglądałaby jego teoretyczna sygnatura zarejestrowana przez sondę orbitalną.

W sali dały się zauważyć skinienia głowy, ciche pomruki, wymowne spojrzenia. Corso przeszedł do następnego obrazu, dwóch wykresów nałożonych jeden na drugi; ich sygnatury niemal zlewały się ze sobą.

- A to, drodzy państwo, są faktyczne dane na temat promieniowania gamma pochodzące z sondy i nałożone na wykres teoretyczny.

Czekał na reakcję. Cisza.

- Pragnę zwrócić państwa uwagę na to, co wydaje się zdumiewająco wysoką zgodnością - rzekł, starając się zachować skromny, niewzruszony ton.

Chaudry zmrużył lekko oczy i wychylił się do przodu. Pozostali tylko patrzyli.

- Wiem, że słupki błędów są dość wysokie - ciągnął Corso - i zdaję sobie sprawę, że odgłosy tła też są bardzo silne. No i rzecz jasna czujnik nie jest urządzeniem kierunkowym. Nie może wskazać nam konkretnego źródła. Przeprowadziłem jednak analizę statystyczną i określiłem szanse, że ta zbieżność jest dziełem przypadku, na jeden do czterech.

Znów cisza. A potem nerwowe szmery.

- Wnioski, panie Corso? - odezwał się wystudiowane beznamiętnym głosem Chaudry.

; - Uważam, że na Marsie znajduje się źródło promieniowania gamma. Punktowe źródło. Pełna konsternacji cisza.

- Czym niby miałyby być owo źródło promieniowania? - zapytał Chaudry.

- To pytanie, na które należałoby znaleźć odpowiedź. Uważam, że kolejnym krokiem powinna być analiza zdjęć i obrazów radarowych, a następnie próba odnalezienia odpowiedzialnego za owo promieniowanie artefaktu.

- Artefaktu? - zapytał Chaudry

- Mam na myśli emiter. Artefakt to niezbyt dobre określenie, dziękuję, że mnie pan poprawił. Nie zamierzałem sugerować, że powinniśmy poszukiwać czegoś nienaturalnego.

- Jakieś teorie?

Corso wziął głęboki oddech. Zastanawiał się, czy powinien wyjawic swoje przemyślenia. Skoro powiedział a, trzeba powiedziec b.

- Rzecz jasna to czysta spekulacja, ale mam pewne przypuszczenia.

- Słuchamy.

- Może to być naturalny reaktor geologiczny, taki jak te, które zostały odkryte na Ziemi.

Mam na myśli twór, w którym ruchy kamieni lub wody powodują skupienie mas uranu i utworzenie masy podkrytycznej. Ona w wyniku rozkładu emituje promieniowanie gamma.

Chaudry skinął głową.

- Jednak ta teoria wydaje się miec pewne mankamenty. W przeciwieństwie do Ziemi Mars nie ma płyt tektonicznych, uskoków ani ruchów wód na dużą skalę, które mogłyby wywołać takie zjawisko. Uderzenie meteorytu doprowadziłoby do rozproszenia, a nie do skupienia

materiału.

BL

- Co innego mogłoby to spowodować? I Corso wziął głęboki oddech.

- Miniaturowa czarna dziura albo duży fragment materii z zaburzeniami neutronów mogłyby wywołać emisję silnego promieniowania gamma. Taki obiekt mógł trafić na Marsa wskutek uderzenia i w jakiś sposób wbił się w jego powierzchnię na tyle płytko, że emituje w przestrzeń fale promieniowania gamma. W gruncie rzeczy taki obiekt może być nadal aktywny, pochłaniając materię planety, stąd wspomniane promieniowanie. Możemy miec do czynienia... - Corso przerwał na chwilę, po czym podjął wywód - z potencjalną sytuacją zagrożenia. Gdyby Mars został pochłonięty przez czarną dziurę albo zmiażdżony do formy materii neutronowej, strumienie promieniowania gamma zabiłyby całe życie na Ziemi.

Dokumentnie.

Powiedział to. Gdy rozglądał się wokoło, widział niedowierzanie na twarzach zebranych. Nie ma sprawy - dane nie kłamią.

- A dane z SHARAD-u? - zapytał Chaudry.

Corso spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Będą gotowe za kilka dni. Uznałem, i mam nadzieję, że pan się ze mną zgadza, iż dane o promieniowaniu gamma były o niebo ważniejsze.

Odezwał się Derkweiler, a jego głos brzmiał zdumiewająco spokojnie i przyjaźnie:

- Doktorze Corso, bardzo mi przykro, ale sądziłem, że ma pan nam dziś zaprezentować dane z SHARAD-u.

Corso przeniósł wzrok z Derkweilera na Chaudry ego i z powrotem. Teraz wszyscy zorientują się, jaki był z niego pajac.

- Uznałem, że to jest o wiele ważniejsze - powiedział w końcu.

Spojrział na Chaudry ego, modląc się w duchu o jego wsparcie.

Chaudry odchrząknął.

- Doktorze Corso, muszę powiedziec, że nie podzielam pańskiego entuzjazmu w kwestii tych danych. Słupki błędów wykazują, że większość tych rzekomych zbieżności jest mocno wątpliwa. Szanse jak jeden do czterech, biorąc pod uwagę szumy tła, też mnie nie przekonują. Nie możemy tu mówić o żadnych konkretach.

- Wiele kosmologicznych danych ledwie wykracza poza poziom szumów, doktorze Chaudry - zauważył półgłosem Corso.

111

(- To prawda. Ale jak mi Bóg miły, nie potrafię sobie wyobrazić, co mogłoby emitować promieniowanie gamma na powierzchni martwej planety, nieprzejawiającej aktywności

tektonicznej i nieposiadającej pola magnetycznego. Ta sprawa z czarną dziurą albo... - nie dokończył.

Corso odchrząknął i mówił dalej: 1 - Zalecałbym, abyśmy spenetrowali powierzchnię planety w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby być widoczne i co może odpowiadać emiterowi promieniowania gamma. Gdyby udało nam się wykryć źródło emisji promieniowania na powierzchni planety, moglibyśmy sfotografować je aparatem HiRISE lub, co bardziej prawdopodobne, już je sfotografowaliśmy, choć nie zdawaliśmy sobie sprawy ze znaczenia tego, co udało nam się uchwycić.

Chaudry wyraźnie zebrał się w sobie. Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w obraz na ekranie, wszyscy czekali, co teraz powie.

- Widzę tu pewien problem.

Corso czekał, serce podeszło mu do gardła.

- Powtarzalność emisji tego pańskiego źródła promieniowania gamma wynosi około trzydziestu godzin, co wynika ze wskazań wykresów. Ale jeden pełen obrót Marsa wynosi dwadzieścia pięć godzin. Jak pan wytłumaczy tę nieścisłość?

Corso zwrócił uwagę na tę różnicę, ale wydała mu się ona mało istotna.

- Pięć godzin to dopuszczalny margines błędu.

| - Proszę wybaczyć, doktorze Corso, ale jeśli ekstrapoluje pan wskazania na swoim wykresie, przestaną być one zbieżne. Właściwie staną się diametralnie rozbieżne. Nie możemy tu mówić o marginesie błędu.

Corso spojrział na wykres. Chaudry miał rację, dostrzegł to natychmiast. Elementarny, głupi, niewybaczalny błąd.

Nastała głucha cisza.

- Rozumiem, o co panu chodzi - rzekł Corso, czując, że palą go policzki. - Raz jeszcze przejrzę te dane i sprawdzę, czy da się to jakoś wytłumaczyć. Jednak okresowość emisji nie podlega kwestii. Źródło może znajdować się na orbicie wokół planety.

Teraz Derkweiler zabrał głos:

- Doktorze Corso, nawet gdyby te dane były dokładne, w co szczerze wątpię, i tak stanowią one mało istotny szczegół dla obecnego etapu naszej misji. Wolałbym raczej, aby skupił się pan na ekspertyzie danych z SHARAD-u i przedstawił nam wyniki, które i tak są mocno spóźnione.

- Ale... ja... uważam, że powinniśmy zbadać tę anomalię z promieniowaniem gamma - rzucił niepewnie Corso. - To może stanowić olbrzymie ryzyko dla całego życia na Ziemi.

- Nie jestem pewien, czy faktycznie mamy do czynienia z jakąkolwiek anomalią - odrzekł Chaudry. - I nie podoba mi się budowanie atmosfery zagrożenia na podstawie tak wątpliwych danych. Powinniśmy zachować wyjątkową ostrożność i wstrzeźliwość w osądach.

- Nawet jeżeli istnieje najmniejsze ryzyko... - próbował jeszcze Corso.

- Gdy zbyt długo wpatrujemy się w odczyty tła - Chaudry nie pozwolił mu dokończyć - zaczynamy dostrzegać wśród nich coś, czego nie ma. Umysł ludzki często usiłuje podsuwać nam nieistniejące wzorce. - Mówił spokojnie, nieomal ze współczuciem. - Najważniejsze są dane z SHARADU-u. Świętej pamięci doktor Freeman popełnił błąd, zbyt wiele czasu poświęcając na dane o promieniowaniu gamma. Nie chciałbym, aby powtórzył pan ten sam błąd.

Derkweiler odwrócił się do Chaudry ego.

- Chuck, sam dokończę analizę danych z SHARAD-u. Znajdą się na twoim biurku jutro, najpóźniej do piątej. Przepraszam.

Chaudry pokiwał głową.

- Niech będzie. Czekam do jutra, do piątej. Będę ci wielce zobowiązany, Winston. Corso przesiedział przez pozostałe prezentacje ze złączonymi dłońmi i zamyślnym obliczem, niczego nie widział ani nie słyszał, miał wrażenie, jakby coś w nim umarło. Nawet pocieszające klepnięcie po ramieniu przez Marjory Leung, kiedy wstał, aby wyjść, nie poprawiło mu humoru. Jak mógł popełnić tak elementarny błąd? Freeman miał rację: Chaudry faktycznie był kretyńcem, podobnie jak Derkweiler. Ale co mu to dało? Absolutnie nic. Był skończony.

22

Ford siedział po turecku na ziemi, wpatrując się w ognisko i nasłuchując odgłosów nocnej dżungli. Mroczny las otaczał ich zewsząd jak ściany wilgotnego lochu. Khon wyciągnął rękę, podniósł pokrywkę kociołka, w którym pichcił posiłek, i zamieszał zawartość patykiem. Następnie pełnym sceptycyzmu głosem zapytał:

- I co teraz? Jak zamierzasz wysadzić kopalnię?

Ford westchnął.

- W czasach pół śmierci - ciągnął Khon - widziałem, jak mój wujek zarobił kulkę w głowę. Wiesz, na czym polegała jego zbrodnia? Miał własny kociołek.

- Dlaczego to było uważane za przestępstwo?

- Tacy byli Czerwoni Khmerzy. Tak myśleli. Własny kociołek był w ich mniemaniu oznaką, że mojemu wujkowi brakowało ducha kolektywizmu, ducha komunizmu. Nie miało dla nich znaczenia, że miał pięcioletniego synka, który przymierał głodem. Dlatego zabili chłopca na jego oczach, a potem zastrzelili jego. Z takimi właśnie ludźmi mamy do czynienia, Wyman.

Ford przełamał patyk i wrzucił kawałki do ognia.

- Opowiedz mi o Bracie Numer Sześć.

- W latach sześćdziesiątych należał do grupy studentów Pol Pota w Paryżu. W czasach pół śmierci został członkiem Komitetu Centralnego pod nazwiskiem Ta Prak.

- Coś więcej?

- Pochodzi z wykształconej rodziny z Phnom Penh. Ten łajdak rozkazał wymordować całą swoją rodzinę, braci, siostry, matkę, ojca, dziadków. Szczycił się tym jako dowodem na czystość swoich ideałów.

- Przyjemniaczek.

- Po śmierci Pol Pota w dziewięćdziesiątym ósmym zniknął na północy i zaczął szmuglować narkotyki i kamienie szlachetne. Jego „rewolucyjne ideały” przerodziły się w przestępczą pasję.

- Co nim kieruje obecnie?

- Wola przetrwania. Prosta i czysta.

- Nie pieniądze?

- Potrzebujesz pieniędzy, aby przeżyć. Czego może chcieć pieprzony Brat Numer Sześć? Powiem ci czego: pragnie przeżyć w spokoju resztę swoich dni i umrzeć naturalną śmiercią. Tego właśnie chcą masowi mordercy: umrzeć ze starości, otoczeni gromadką dzieci i wnuków. Ma prawie osiemdziesiąt lat, ale trzyma się życia jak młodzieniaszek. Cały ten koszmar w dolinie, kopalnia, niewolnicy, tu chodzi o wyciśnięcie do cna ostatnich lat życia. Bo widzisz, gdyby ten łajdak choć na moment pozwolił sobie na rozluźnienie, byłby trupem i zdaje sobie z tego sprawę. Nawet jego żołnierze go nie popierają.

- I nagle na jego teren spada asteroida.

Khon spojrział na niego ponad ogniskiem.

- Asteroida?

Ford pokiwał głową.

- Wybuch, o którym mówili mnisi, krater, powalone drzewa, radioaktywne kamienie, to wszystko wskazuje na uderzenie asteroidy.

Khon wzruszył ramionami i wrzucił patyk do ognia.

- Niech rząd się tym zajmie.

- Widziałeś dzieciaki grzebiące w tej stercie kamieni? To je zabija. Jeżeli nie zniszczymy kopalni, umrą.

Po krótkiej chwili ciszy Khon sięgnął do plecaka i wyjął butelkę.

- Johnnie walker black oczyszcza umysł - powiedział i rzucił alkohol Fordowi.

Ten złapał butelkę, odkręcił i uniósł.

- Na zdrowie.

Upił łyk, a potem drugi i oddał Khonowi, który też się napił i postawił butelkę pomiędzy nimi. Uniósł pokrywkę kociołka, zdjął go z ognia i wyłożył parujący ryż na blaszane talerze.

Ford przyjął talerz i jedł w milczeniu, podczas gdy płomienie dogasały, przeradzając się w rozżarzone węgle.

Przeżyć w spokoju resztę swoich dni i umrzeć naturalną śmiercią. Jeżeli taka myśl właśnie kierowała Bratem Numer Sześć, może uporanie się z nim nie będzie aż tak trudne.

- Khon, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

23

Randall Worth przycumował swoją łódź do nieużywanej przystani przy Harbor Island i wygasił światła. Dziewczeta opuściły wyspę admirała w wielkim pośpiechu i ukryły się w zatoczce przy Otter Island. Pozostaną tam przez resztę nocy.

Kompletne świruski, przybyć na wyspę, kiedy admirał był w domu, zwłaszcza po tym, jak stary piernik odkrył, że zniknęła połowa jego antyków. Worth zaniósł się śmiechem, myśląc o tym, jaką minę musiał mieć admirał, kiedy stwierdził, że ktoś obrobił jego chatę i jeszcze napaskudził mu na środku salonu.

Worth wyjął puszkę budweisera z chłodziarki, otworzył i wypił spory łyk. Musiały mieć niezły cynk na skarb, że tak ryzykowały Z lubością wyobrażał sobie, jak rozprawi się z tymi dwiema wywłokami, po piracku, najpierw z jedną, a potem z drugą. Kiedy już zdobędzie skarb.

Powrócił myślami do spotkania z Abbey na przystani. Głębiej, głębiej. Co za zdzira, jak mogła go tak potraktować w obecności pyskatej lackie Spann! Jackie rozpowie o tym po całym miasteczku. Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość niczym gęstniejące w mózgu opary po cracku. Nienawidził tego cholernego miasteczka. Dzieciaków, które pomiały nim w szkole i nazywały niedojdą, a które były obecnie trenerami, sprzedawcami polis ubezpieczeniowych, mechanikami, rybakami, księgowymi, takimi samymi skurwielami jak kiedyś, tyle że dorosłymi. Załatwi ich wszystkich, zacznie od Abbey i Jackie, a potem je zabije. Abbey przypominała mu matkę, która pieprzyła się z każdym spaślakiem w miasteczku, sapiąc i dysząc, podczas gdy on musiał tego wysłuchiwać przez cienką jak papier ścianę przyczepy. Najlepszym dniem w jego życiu był ten, kiedy jadąc swoim japońskim samochodem, owinęła się wokół drzewa tak, że trzeba było ją wycinać ze środka specjalnym sprzętem.

Wyrzucił pustą puszkę za burtę i drżącymi palcami otworzył następną. Pociągnął z niej solidny łyk, potem drugi i opróżniwszy ją w niespełną minutę, cisnął pustą do wody. Otworzył trzecią, czknął i wyżłopał całą. Czuł, jak alkohol przytępia mu umysł, ale to nie pomogło na narkotykowy zjazd. Nie było w stanie ukoić świerzbienia skóry, jakby pełzały pod nią robaki albo wędrowały po niej mrówki. Poczul w przełyku kwaśny smak, gdy zaczęło mu się zbierać na mdłości, a mięśnie szyi zadrżały nerwowo. Jeden ze strupów znów zaczął krwawić.

Jego wzrok padł na rewolwer leżący na konsoli. Podniósł go, zręcznym ruchem otworzył bębenek. Może dobrze byłoby oddać parę strzałów, upewnić się, czy wciąż jest sprawny. Wyjął niewykorzystane naboje i przyjrzał się im. Wydawały się odrobinę zaśniedziałe, ale

chyba były w porządku. Włożył je z powrotem, zatrzasnął bębenek i wyszedł na pokład. Mając skarb, nie będzie musiał już nigdy mieć do czynienia z palantami takimi jak Doyle, koniec z włamaniami i ryzykiem odsiadki. Otworzył pub, o czym zawsze marzył, z szerokoekranowym telewizorem, drewnianą boazerią, stołem bilardowym i angielskim piwem z beczki. W więzieniu godzinami wyobrażał sobie to miejsce, z podłogą wysypaną trocinami, wonią piwa i frytek unoszącą się w powietrzu, szerokim dębowym kontuarem pod ścianą i kelnerkami w minispódniczkach kręcącymi jędrnymi tyłeczkami. Znów przeszył go dreszcz, niepokojące doznanie wyrwało go z przyjemnej zadumy. Nie podda się temu odczuciu. Jeszcze nie. Nigdy nie dopuści, by metadon przejął nad nim kontrolę.

Do czego mógł postrzelać? Na niebie wisiał sierp Księżycy, a na falach o jakieś dwadzieścia pięć metrów dalej unosiła się i opadała boja na homary. Kiedyś strzelał całkiem nieźle, ale taka odległość to dużo jak na kaliber 44.

Dłonie miał brudne, więc wytarł je w koszulę, czując pod spodem kościste żebra. Jezu, ależ wychudł. Świerzbienie powróciło, jakby miał robaki pod skórą.

Uniósł broń oburącz, wycelowwał w boję, odciągnął kurek i wystrzelił. Rozległ się ogłuszający huk, a rewolwer szarpnął się w jego uścisku. O metr na prawo od boi w górę wystrzelił gejzer wody.

- Kurwa - wycedził Worth.

Znów wymierzył, rozluźnił się, spróbował opanować drżenie rąk i strzelił; tym razem gejzer wody wytrysł na lewo od celu. Znieruchomiał, czekając, aż minie moment irytacji, po czym złożył się po raz trzeci do strzału. Kontrolując oddech, przygotował się, uspokoił i wolno ściągnął spust. Tym razem boja na homary z głośnym trzaskiem wyskoczyła w górę pośród chmury styropianowych odłamków. Worth opuścił rewolwer, czerwieniąc się z zadowolenia. To należało uczcić. Zaczął grzebać w schowku, odgarniając na bok sprzęt rybacki, po czym wyjął fifkę i towar. Drżącymi dłońmi przygotował bucha. Jak tonący złakniony powietrza zaciągnął się mocno, wypełniając płuca narkotykowym dymem.

Osunął się ciężko na kółko sterowe, czując, jak uczucie euforii przenika z jego płuc poprzez pień mózgu do jego wyższych partii i z rozkoszy aż jęknął w głos, to była niewysłowiona błogość, kiedy cały ten popieprzony świat zaczął się rozplýwać i rozlewać w jezioro niezmacone go, beztroskiego zadowolenia.

Abbey rozsiała się wygodnie na składanym płóciennym krzeselku i opierając stopy o okrężnicę, spojrzała w niebo. Północ. Marea stała na kotwicy w głębokiej zatoczce po południowej stronie Otter Island. Noc była usiana gwiazdami, wysoko w górze rozciągała się łukowato Droga Mleczna. Fale leniwie uderzały o kadłub, a na grillu skwierczały steki.

- Co z meteorytem? - spytała Jackie. - Nie skończyliśmy przeszukiwania wyspy. Może przeoczyliśmy krater.

- Nie wrócę tam.

Abbey upiła łyk z jedynej butelki prawdziwego wina, które wzięła ze sobą, brunello z II Marroneto, rocznik 2000. Wspaniałe. Nie ośmieliła się wyznać Jackie, że wydała na nie prawie sto dolarów.

- Daj łyka. - Głos Jackie na chwilę został zastąpiony przez odgłos przetykania. - Jak dla mnie trochę za wytrawne. Mogę je zmieszać z coolerem?

Abbey uśmiechnęła się.

- Proszę bardzo.

Przeniosła wzrok ku nocnemu niebu. Gdy na nie patrzyła, czuła dziwne uniesienie, porównywalne jedynie z doznaniem natury religijnej.

- Ależ to bezmiar - szepnęła.

- To znaczy co?

Abbey wskazała na niebo.

- Nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić - uznała Jackie.
- Ludzki mózg nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. Liczby są zbyt wielkie. Wszechświat ma sto pięćdziesiąt sześć miliardów lat świetlnych średnicy, a to, co widzimy, jest tylko jego niewielką cząstką.

- Hmm.

- Kilka lat temu teleskop Hubble'a skierowany był przez jedenaście dni na pusty punkt na nocnym niebie, wielkości drobinki pyłku. Noc w noc gromadził z tego punktu na niebie nawet najśłabsze emana-cje światła. Ten eksperyment miał na celu próbę odkrycia, co może się tam znajdować. I wiesz, co zarejestrowano?

- Lewe nozdrze Boga?

Abbey zaśmiała się.

- Dziesięć tysięcy galaktyk. Galaktyk, których nigdy wcześniej nie widziano. Każda z pięćuset miliardami gwiazd. A to był tylko mały, losowo wybrany punkcik na niebie.

- Naprawdę wierzysz, że gdzieś tam, we wszechświecie, istnieje inteligentne życie?

- Wskazują na to obliczenia matematyczne.

- A co z Bogiem?

- Jeżeli Bóg istnieje - ten prawdziwy Bóg - na pewno nie przypominałby Jehowy takiego, jakim go sobie wyobrażali prości pasterze przed tysiącami lat. Bóg, który to stworzył, musiałby być... wspanialszy ponad wszelkie wyobrażenia.

Abbey upiła kolejny łyk. Wino ją rozluźniło. Naprawdę mogła przywyknąć do delektowania się wybornym winem. Może jednak powinna wrócić na studia i zrobić doktorat. Ta myśl natychmiast popsuła jej humor.

- To co właściwie zamierzasz zrobić z tym meteorytem, kiedy go już znajdziemy? - spytała Jackie.

- Sprzedam go na eBayu. Nie przypał mięsa.

Jackie zdjęła steki z grilla, przełożyła na tekturowe tacki i jedną podała Abbey. Jadły przez kilka minut w milczeniu.

- Daj spokój, Abbey, przestań się łudzić. Naprawdę uważasz, że go znajdziemy? To jak pogoń za marzeniami albo za legendą, jak wtedy, gdy szukałyśmy skarbu Dixie Bulla.

- A co, nie bawisz się dobrze?

Jackie upiła łyk wina zmieszanego z coolerem. „:- Jedyne, co zrobiłyśmy, to szwendałyśmy się po lasach. A ten pościg na Ripp Island nielecho mnie wystraszył. Nie na taką przygodę liczyłam.

- Nie możemy się teraz wycofać.

- Twój ojciec się wścieknie, gdy się dowie, że zwędziłaś jego łódź.

- Pożyczyłam.

- Wyrzuci cię z domu i będziesz mogła zapomnieć o powrocie na studia.

t - A kto powiedział, że zamierzam tam wrócić? - zaperzyła się Abbey.

- Daj spokój, Abbey, przecież to oczywiste, że musisz wrócić na studia. Jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką znam.

- Dość mam wysłuchiwanie podobnych tekstów od mojego ojca, więc mogłabyś oszczędzić mi takich gadek.

- Nie ma żadnego meteorytu - rzuciła zuchwale Jackie.

Abbey sięgnęła po butelkę, opróżniła i poczuła w ustach osad, który był na dnie. Wypluła go za burtę.

- Meteoryt istnieje i bądź pewna, że go znajdziemy.

Nad wodą poniósł się odgłos trzech następujących po sobie wystrzałów, po czym znów zapadła cisza.

- Wygląda na to, że szajbusy też wypłynęły dziś na morze - powiedziała półgłosem Abbey

24

Ford zwrócił uwagę na dziwną ciszę panującą w dżungli, kiedy zbliżyli się do jej skraju. Las na obrzeżach strefy powalonych drzew był zupełnie pozbawiony życia. Między drzewami snuł się dym, niosąc woń palonej benzyny, dynamitu i gnijących ludzkich ciał. Żar narastał, w miarę jak zbliżali się do polany, i Ford, choć jeszcze nie widział, mógł usłyszeć odgłosy intensywnych działań: brzęk metalu o kamień, okrzyki żołnierzy, a od czasu do czasu także huk wystrzału i szloch.

Drzewa przeredziły się i pojawiło się silniejsze światło. Dotarli do polany. Dalej leżały setki drzew powalonych przez eksplozję, wyrwanych z ziemi, odartych z liści i strzaskanych. Sam obszar kopalni przywodził na myśl scenę z najniższego, najbardziej ruchliwego kręgu piekieł. .. istnego ula potwornej aktywności.

Ford odwrócił się do Khona i po raz ostatni zlustrował go wzrokiem. Kambodżanin po trosze przypominał górnik - brudna twarz, łachmany i strupy, które spreparowali na jego ramionach z błota i czerwonego barwnika z kory drzewnej. Wciąż był gruby, ale teraz jego otyłość wyglądała jak skutek choroby.

- Wyglądasz dobrze - powiedział Ford, siląc się na lżejszy ton.

Posępne oblicze Khona złagodniało. Ford wyciągnął rękę i uściśnął jego dłoń.

- Uważaj na siebie i... dzięki.

- Przeżyłem już kiedyś rządy Czerwonych Khmerów - odparł radośnie Khon. - Mogę to zrobić raz jeszcze.

Niski korpulentny człowieczek przegramolił się przez zwalony pień drzewa i kuśtykając, wyszedł na polanę i skierował się w stronę szeregu górników. Żołnierz wrzasnął na niego i grożąc bronią, zmusił, by dołączył do pozostałych. Khon, potykając się, poczłapał naprzód jak otepiały i zniknął wśród ciżby przemieszczających się wolno ciał.

Ford spojrział na zegarek - miał jeszcze sześć godzin, zanim wykona swoje posunięcie.

Przez następne godziny krążył wokół obozu, obserwując wydarzenia. Gdy nadeszło południe, unikając patroli, przekradł się do wylotu kotliny i z niewielkiego wzgórza patrzył na biały dom, skąd sprawował swoje rządy Brat Numer Sześć. Mężczyzna spędził cały poranek na werandzie, w bujanym fotelu, paląc fajkę i popatrując na to, co działo się poniżej, z uśmiechem zadowolenia jak dobrotliwy dziadunio, który przygląda się wnukom bawiącym się na podwórku. Co pewien czas pojawiali się żołnierze - składali meldunki, przyjmowali rozkazy i zmieniali się na warcie. Uwagę Forda zwrócił chudy ponury mężczyzna z workami pod oczami i nieomal zgięty w pół, który miał minę typowego wazeliniarza i najwyraźniej ani na chwilę nie opuszczał swojego szefa. Wydawał się kimś w rodzaju sekretarza Brata Numer Sześć; wiecznie pochylony u jego boku, to szeptał mu do ucha, to nasłuchiwał jego słów i sporządzał notatki.

W południe z domu wyszedł służący w bieli, który roznosił napoje. Ford patrzył, jak dwaj mężczyźni, Brat Numer Sześć i jego doradca, sączą napoje i gawędzą niczym goście podczas niezobowiązującej herbatki. Czas płynął powoli. Nadeszła pora obiadu dla robotników z kopalni i wokół ognisk zaczęły się gromadzić długie kolejki nieszczęśników w łachmanach, każdy z nich otrzymał kulkę ryżową na liściu bananowca. Pięć minut przerwy i z powrotem do pracy.

Gdy Ford przepatrywał obóz, uświadomił sobie, że elitarna grupa strażników w odprasowanych mundurach wydaje się pilnować reszty żołnierzy. Było ich ponad dwudziestu, patrolowali obrzeża obozowiska uzbrojeni w chińskie podróbki karabinków szturmowych AK-47, M-16, RGP panc i kilka moździerz kaliber 60 mm, pochodzące jeszcze z czasów wojny wietnamskiej. Strażnicy pilnujący strażników. Może, pomyślał Ford, będzie jak w

Czarnoksiężniku z krainy Oz, wystarczy zabić kilku ludzi albo nawet jednego i pozostali nie będą sprawiać najmniejszych problemów. Punktualnie o pierwszej Ford wyszedł ze swojej kryjówki i ruszył wydeptaną ścieżką w stronę doliny, hałasując i pogwizdując. Gdy znalazł się o kilkaset metrów od białego domu, grad pocisków poszatkował liście nad jego głową, zmuszając go, by rozciągnął się płasko na ziemi. Po chwili pojawiło się trzech żołnierzy pokrzykujących w tutejszym, górskim narzeczu. Jeden przystawił mu karabin do głowy, podczas gdy inni brutalnie go obszukali. Stwierdziwszy, że nie ma przy sobie broni, bezceremonialnie go podnieśli, wykręcili mu ręce do tyłu i związawszy, pchnięciem zmusili go, by ruszył dalej wzdłuż ścieżki. Kilka minut później stał już na werandzie przed obliczem Brata Numer Sześć.

Jeżeli tamten był zdziwiony jego widokiem, nie okazał tego. Wstał z bujanego fotela i podszedł, otaksowując Forda wzrokiem jak ciekawą rzeźbę, a jego ptasia głowa unosiła się i opadała rytmicznie. Ford także przyjrzał się tamtemu. Mężczyzna był ubrany jak francuski urzędnik kolonialny, w haftowaną białą jedwabną koszulę, spodnie khaki, podkolanówki i mokasy. Palił latakę w drogiej angielskiej fajce Comoy, z której lulki unosił się aromatyczny niebieskawy dym. Twarz miał delikatną, nieomal kobiecą, nad lewą brwią zaś wypukłą nierówną bliznę. Gdy okrążał Forda, raz po raz cmokał czerwonymi wydatnymi jak u kobiety ustami, a jego białe, zaczesane do tyłu włosy lśniły od brylantyny.

Zakończywszy oględziny, Sześć podszedł do słupka werandy, wytrząsnął nagar z lulki, ponownie nabił fajkę i opierając się o słupek, zapalił ją. Cała ta czynność zajęła mu długich pięć minut.

- Tu parles français? - rzucił w końcu niespodziewanie łagodnym głosem z wytwornym francuskim akcentem.

- Oui, mais je prefere m'ocier po angielsku.

Uśmiech.

- Nie masz przy sobie dokumentów - jego angielski był nieco bardziej surowy, z nosowym khmerskim akcentem.

Ford nie odpowiedział. W drzwiach domu pojawiła się zgarbiona postać, doradca, którego już wcześniej zauważył. Tamten miał na sobie luźny strój khaki, rzadziejące siwe włosy opadały mu lepkimi

strąkami na czoło, pod oczami widać było potężne sińce - wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat.

Sześć zwrócił się do tamtego w standardowym khmerskim:

- Znaleźliśmy Amerykanina, Tuk.

Tuk spojrział na Forda zaspanymi oczami, spod półprzymkniętych powiek.

- Jak się nazywasz? - zapytał Sześć.

- Wyman Ford.

- Co tu robisz?

- Szukam ciebie.

- Po co?

- Aby porozmawiać.

Sześć wyjął z kieszeni nóż i rzekł półgłosem:

- Utnę ci jądro. A potem sobie porozmawiamy.

Tuk powstrzymał go ruchem ręki i zwrócił się do Forda nieco lepszym angielskim, z typowo brytyjskim akcentem:

- Skąd konkretnie pochodzisz, z jakiej części Stanów?

Ciężkie powieki Tuka opadły i pozostały przez chwilę przymknięte, po czym się otworzyły.

- Z Waszyngtonu.

Sześć lekko skinął nożem na Tuka i rzekł po khmersku:

- Marnujesz czas. Pozwól mi popracować nad nim z nożem. Tuk zignorował go i zwrócił się do Forda:

- A zatem jesteś z rządu?
- Doskonale to wydedukowałeś.
- Z kim chciałeś tu porozmawiać?
- Z nim. Z Bratem Numer Sześć.

Zapadła nagła, mrożąca krew w żyłach cisza. Po chwili Sześć machnął mu nożem przed nosem.

- Po co chciałeś się ze mną spotkać?
- Aby przyjąć twoją kapitulację.
- Kapitulację? - Sześć nachylił się ku niemu. - A komu niby miałbym się poddać?

Ford spojrzał w niebo.

- Im.

Obaj mężczyźni popatrzyli na puste niebo.

- Masz dokładnie... - Ford uśmiechnął się i spojrzał na zegarek -sto dwadzieścia minut, zanim nadlecą bezzałogowe predatory i pociski samosterujące.

B Sześć tylko patrzył.

- Chcesz poznać warunki?

Sześć przyłożył nóż do szyi Forda, trzymając ostrze na płask, tuż przy skórze. Po chwili nieznacznie obrócił nóż. Ostrze zaczęło wrzynać się w skórę.

- Poderżnę ci gardło!

Tuk położył rękę na ramieniu Brata Numer Sześć.

- Tak - oznajmił swobodnie. - Chcemy poznać wasze warunki.

Ostrze cofnęło się, gdy Sześć odszedł dwa kroki.

- Masz dwie możliwości. Jedna: nie poddasz się. Za dwie godziny twoja kopalnia zostanie unicestwiona przez pociski samosterujące i bezzałogowe predatory. A potem zjawi się CIA, aby tu posprzątać -aby sprzątnąć ciebie. Może umrzesz, a może zdołasz uciec. Tak czy owak CIA będzie cię ścigać po kres twoich dni. Nie będziesz miał na starość ani chwili odpoczynku.

Nastąpiła chwila przerwy.

- Opcja druga: poddasz mi się, opuścisz kopalnię i odejdziesz. Za dwie godziny kopalnia zostanie unicestwiona przez amerykańskie bomby. CIA zapłaci ci milion dolarów za współpracę. Resztę swoich dni spędzisz w spokoju jako sojusznik CIA. Czekać cię będzie spokojna, pozbawiona napięć i finansowo zabezpieczona starość.

- Dlaczego CIA nie podoba się ta kopalnia? - spytał Brat Numer Sześć. - Przecież to wszystko jest legalne.

- Nie wiesz, kto kupuje twoje kamienie?

- Sprzedają je do Tajlandii jak najbardziej legalnie. Tuk powoli skinął głową, powieki miał półprzymknięte.

- Jasne. W pełni legalnie. Sprzedajesz miódówki hurtownikom takim jak spółka Piyamanee.

- Ale legalnie! - zaperzył się Sześć.

- Wiesz, komu sprzedają te kamienie hurtownicy z Bangkoku?

- Co mnie to obchodzi? Nie łamię prawa.

- Tylko dlatego, że nie łamiesz prawa, nie oznacza, że nie możesz nas wkurzyć.

Sześć zamilkł.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię - ciągnął Ford. - Hurtownicy z Bangkoku sprzedają kamienie handlarzom z wielu różnych krajów na całym Środkowym Wschodzie. Ci tak naprawdę stanowią przykrywkę dla pewnego saudyjskiego potentata, który sprzedaje je hurtowo kupcom z Quetty w Pakistanie, a ten wynajmuje muły, by dostarczały kamienie Al-Kaidzie w południowym Waziristanie. Wiesz, co Al-Kaida robi z tymi kamieniami?

Sześć tylko patrzył. Najwyraźniej to była dla niego całkiem nowa wiadomość.

- Al-Kaida miełe te kamienie, powodując w ten sposób podwyższenie poziomu ich radioaktywności, i wykorzystuje do produkcji brudnych bomb.

- Nic o tym nie wiem! Nic! - zachnął się Sześć.

Ford się uśmiechnął.

- Tak, podobnie jak sierżant Schultz.

- Kto to jest sierżant Schultz?

Ford odczekał, pozwalając, by cisza spotęgowała napięcie.

- No więc, którą opcję wybierasz? Pierwszą czy drugą?

- Jesteś tylko człowiekiem, który zjawił się tu z kretyńską historyjką i nic więcej - wycodził Sześć.

- Zapytaj samego siebie, Bracie Numer Sześć, czy przybyłbym tu bez odpowiedniego wsparcia?

- Nie masz żadnych dowodów, niczego, co potwierdziłoby twoje słowa, nie masz nawet dokumentów!

- Chcesz dowodu?

Sześć przymrużył powieki.

Ford skinął w stronę wzgórz.

- Dam ci dowód. Rozkażę, aby bezzałogowy predator wystrzelił pocisk w szczyt jednego z tamtych wzgórz. Czy to ci wystarczy?

Sześć przełknął ślinę, jego wielkie, szpetne jabłko Adama uniosło się i opadło. Milczał.

Powieki Tuka pozostały opuszczone.

- Rozwiąż mi ręce - powiedział Ford.

Sześć rzucił krótki rozkaz i pięta zniknęły z przegubów rąk Forda.

- Schowaj nóż.

Kambodżanin wsunął nóż do pochwy.

Ford wskazał na zachód.

- Widzisz tamto odległe wzgórze, to z dwoma wierzchołkami? Wystrzelimy w nie pocisk, niewielki.

- Jak wydasz rozkaz?

Ford uśmiechnął się. Wiedział, że większość starszych Kambodżan czuła wręcz paniczny lęk przed CIA, i miał nadzieję bazować na tej trwodze.

- Mamy swoje sposoby.

Sześć zaczął się pocić.

- W ciągu pół godziny będziesz mieć dowód. A jak na razie żądam, by traktowano mnie jak gościa honorowego, a nie jak przestępcę - powiedział stanowczo i skinął na mężczyzn z karabinami.

Sześć powiedział coś i tamci opuścili broń.

- Hen w górze jest mnóstwo różnego rodzaju urządzeń, których nie widać. Jeżeli coś mi się stanie, na wasze głowy spadnie deszcz ognistej zagłady i to tak szybko, że nie zdążycie się nawet zsiakać.

Oblicze Brata Numer Sześć pozostało beznamienne. Przechylił się i splunął za poręcz werandy.

- Masz pół godziny A potem umrzesz.

Podszedł do bujanego fotela, usiadł i zaczął się wolno kołysać.

25

Egg Rock była najbardziej niegościnną wysepką, jaką Abbey kiedykolwiek widziała, ot sterta obmywanych przez fale głazów sterczących z dna Atlantyku. Niespełna pięć minut zajęło dziewczętom stwierdzenie, że nie było na niej żadnego krateru. Po krótkiej, pełnej rozczarowań przechadzce usiadły niepocieszone na najwyższej skale pośrodku wyspy Ponad nimi krążyły mewy, głośno skrzecząc. Grzmiące fale oceanu tłukły się o kamienisty brzeg.

- No i co powiesz? - spytała Jackie. - Kompletna kłapa.

Abbey przełknęła ślinę.

- Pozostaje jeszcze Shark.

- Tak, jasne.

- Nadciąga mgła - mruknęła Abbey.

Wał mgieł zbliżał się z południa, tworząc niską szarą smugę na horyzoncie. Gdy tak patrzyły, opary zaczęły pochłaniać Monhegan Island, która poszarzała i zniknęła, a po chwili to samo spotkało leżącą tuż obok nieco mniejszą Mananę. Co kilka sekund słychać było tęskne zawodzenie syreny mgielnej u brzegów Manany.

Abbey powiodła wzrokiem ponad wodą, ku Shark Island, skalnej drobinie o powierzchni niespełna hektara leżącej osiem mil od lądu, pozbawionej drzew i całkiem bezludnej. To była ostatnia wyspa na ich liście. Jeżeli meteorytu tam nie było...

Cisnęła kamykiem, rozważając w myślach, jakie miały szanse, że uda im się odkryć krater na powierzchni Shark Island. Zaczęły się gromadzić chmury i dziewczęta spowił cień, światło przygasło, w powietrzu rozeszła się woń zimnych wodorostów.

- Będzie lato - powiedziała Jackie - wracajmy do łodzi.

Abbey skinęła głową. Zeszły po skałach i wyrzuconych na brzeg wodorostach do szalupy, po czym spuścili ją na wodę. Ocean był

spokojny, fale niewielkie, jak to często bywało, gdy pojawiała się mgła. Abbey powiosłowała do Marei, przywiązała szalupę i wraz z przyjaciółką weszła na rufę łodzi. Będąc już w sterówce, Abbey w myślach sprawdziła wszystko, czego potrzebowały, skontrolowała poziom paliwa, akumulatorów i wody w zęzie. Uruchomiła silnik, yanmar ożył z głuchym warkotem. Gdy włączyła urządzenie elektroniczne, pojawiła się Jackie.

- Znajdziemy gdzieś jakąś miłą zatoczkę, rzucimy kotwicę i nawalimy się.

- Płyniemy na Shark Island.

Jackie jęknęła.

- Nie we mgle, błagam. Łeb mi pęka od wina, które wczoraj wypiliśmy.

- Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Abbey pochyliła się nad mapą. Shark Island była odsłonięta, narażona na ataki rozszalałego oceanu, otoczona podwodnymi płyciznami i rafami, wokół niej znajdowały się też niebezpieczne prądy. Dotarcie tam nie będzie łatwą sprawą. Przełączyła radio na kanał pogodowy i z głośnika popłynął dziwnie bezosobowy głos podający komunikat.

- Zostanmy tu choć na pewien czas, dopóki mgła się nie rozwieje - zasugerowała Jackie.

- Właśnie teraz mamy szansę. Morze jest względnie spokojne.

- Ale ta mgła.

- Mamy radar i chartplotter.

W miarę jak ściana mgły zbliżała się w ich stronę, wody oceanu spowił osobliwy poblask.

Jackie opadła na fotel obok steru.

- Daj spokój, Abbey, nie możemy choć trochę wziąć na luz? Mam kaca.

- Pogoda się zmienia. Jeżeli nie wykorzystamy teraz spokojnego morza, na kolejną okazję może przyjdzie nam czekać wiele dni. Posłuchaj, gdy tam przybijemy, spenetrowanie tej wysepki nie zajmie nam więcej niż pięć minut.

- Nie, błagam.

Abbey położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Jackie, meteoryt czeka.

Jackie parsknęła sarkastycznie.

- Podnieś kotwicę, pierwszy.

Gdy Jackie poczłapała ciężko na przód, wał mgły pochłonął łódź, a cały świat skurczył się do obszaru o średnicy kilku metrów spowitego szarością zmierzchu. Podniosła i zabezpieczyła sworzniem kotwicę.

- Prawdziwy z ciebie kapitan Bligh, wiesz o tym?

Wpatrując się w ekran chartplottera, Abbey uruchomiła silnik i skierowała Mareę ku Shark Island.

- Nadchodzimy, eBayu!

26

Ford czekał na werandzie, a minuty mijały. Wokoło stali żołnierze z bronią gotową do strzału. Sześć siedział w bujanym fotelu, lustrując wzrokiem dolinę i kołysząc się leniwie w przód i w tył przy wtórze cichego skrzypienia drewna. Nawet na ocienionym ganku panowała potworna duchota, nie było najłżejszego ruchu powietrza. Od strony kopalni dobiegała kakofonia dźwięków towarzyszących robotnikom uwięzionym w niekończącej się pułapce mordegi, a od czasu do czasu odgłos wystrzału oznajmiał bezceremonialnie kres kolejnego ludzkiego życia. Dzieci uwijały się wśród sterty kamieni, a dym z ognisk unosił się ku białemu niebu. Tuk stał w bezruchu z przymkniętymi oczami, jakby spał. Żołnierze nerwowo przestępowali z nogi na nogę, zerkając w niebo albo spoglądając ponad zwieńczonym dwoma wierzchołkami wzgórzem.

Ciche skrzypienie i kołysanie ustało. Sześć spojrział na swojego wielkiego roleksa i uniósł lornetkę, by przyjrzeć się odległemu wzgórzem.

- Czterdzieści minut. I nic. Dam ci jeszcze dziesięć minut.

Ford wzruszył ramionami.

- Wejźmy do domu - rzekł Sześć, podnosząc się z bujanego fotela. - Tam jest chłodniej.

Uzbrojeni mężczyźni brutalnie przeprowadzili Forda na tyły domu. Za kuchnią, obok chlewika znajdowała się prosta przybudówka. Pomieszczenie zbite z surowych desek było puste, jeżeli nie liczyć drewnianego stołu i krzesła. Gdy tylko weszli do niego, świnię na zewnątrz zaczęły parskać i kwiczeć w pełnym napięcia oczekiwaniu. Ford zauważył plamy zaschniętej krwi na krześle i kilka dużych rozmazanych śladów na podłodze, której nie umyto zbyt dokładnie. W potwornym skwarze unosiły się roje brzęczących much. Ślad krwi wiódł w stronę drzwi z tyłu, wprost do chlewika.

Żołnierze posadzili Forda na krzesło i skrępowali mu ręce za plecami, przywiązując je do listewek oparcia. Taśmą unieruchomili mu kostki przy nogach krzesła, a łańcuchem od piły spalinywej obwiązali go w pasie i zapięli łańcuch kłódką za oparciem krzesła tak mocno, że aż werznął się w skórę. Pracowali z wypracowaną dzięki ćwiczeniom skutecznością. Tuk wszedł do pokoju i stanął w kącie z rękoma założonymi na piersiach. Na zewnątrz świnię zaczęły kwiczeć.

- No tak - rzekł Sześć, stając przed Fordem.

Wyjął spod poły koszuli stary nóż bojowy Ka-Bar i uśmiechnął się. Znieruchomiał na chwilę, a następnie wsunął ostrze pod górny guzik koszuli Forda i wykonał lekki ruch ręką. Guzik odpadł. Sześć wsunął ostrze pod kolejny, odciął go i zajął się następnym, aż poły koszuli rozchyliły się na boki.

- Parszywy łgarzu - wycedził.

Nóż odciął ostatni guzik, po czym ostrze, skierowane ku górze, wśliznęło się pod podkoszulek Forda i rozplątało go jednym zdecydowanym cięciem. Sześć uniósł ostrze na wysokość podbródka Forda i wykonał prawie niedostrzegalny ruch nadgarstkiem. Ford poczuł pieczenie i po jego podbródku spływały kolejne krople krwi, skapując mu na uda.

- Ups - mruknął Sześć.

Nóż błysnął, wykonując niewielkie nacięcie na piersi Forda, po czym śmignął w drugą stronę i nacięcia skrzyżowały się. Nóż był bardzo ostry i Ford prawie nie poczuł bólu.

- Zostałeś naznaczony - powiedział Sześć.

- To cię naprawdę bawi? - rzucił Ford.

Tuk patrzył od progu.

Czubek ostrza osuwał się miękko po piersi Forda w kierunku brzucha. Ostrze wsunęło się za guzik u spodni.

Głęboki grzmot przeniósł się ponad doliną, rozbrzmiewając echem wśród wzgórz. Sześć i Tuk zastygli jak sparaliżowani.

- Ups - mruknął Ford.

Sześć wsunął nóż do pochwy i wymienił szybkie spojrzenie z Tukiem, wysoki mężczyzna bez widocznego pośpiechu wyszedł z pokoju i skierował się w stronę frontowej części domu. Po chwili wrócił i skinął głową do Brata Numer Sześć. Kambodżanin wydał krótkie gardłowe polecenie żołnierzom, którzy uwolnili Forda z pęt, dali mu ścierkę, by otarł skaleczenia, i wyprowadzili go z powrotem na werandę. Nad wierzchołkiem pobliskiego wzgórza widać było jeszcze rozplywającą się, wykrzywioną jak wąż chmurę dymu i pyłu.

- Nie to wzgórze - stwierdził Sześć, przepatrując wzgórze i niebo przez lornetkę.

Ford wzruszył ramionami.

- Wyglądają jednakowo.

- Nie widzę samolotu bezzałogowego.

- Oczywiście, że nie widzisz.

Ford zauważył, że Sześć, który dotąd wydawał się odporny na upał, zaczął się obficie pocić. Powiedział:

- Od tej chwili masz godzinę, zanim ten obóz zostanie zniszczony, a was wszystkich wystrzelają jak psy. Lepiej szybko się zdecydować.

Sześć spojrzał na niego, małe czarne oczy były zimne i bezlitosne.

- Jak dostanę swój milion dolarów?

- Przynieście mój plecak.

Sześć wydał rozkaz i żołnierz zniknął, po czym wrócił, niosąc plecak zabrany Fordowi, kiedy go schwytano.

- Podaj mi go - powiedział Ford.

Wyjął z plecaka kopertę. Została już rozerwana, zawartość sprawdzono. Podał ją Bratu Numer Sześć.

- Co to jest?

- To pismo z Atlantic Vermögensverwaltungsbank w Szwajcarii. Zawiera numer konta i kod zatwierdzający. Proszę zwrócić uwagę na wysokość depozytu: jeden koma dwa miliona franków szwajcarskich, czyli równowartość jednego miliona dolarów. Z taką sumą będziesz mógł osiąść w jakiejś bezpiecznej przystani, z dala od wszelkich zagrożeń i dożyć swoich dni w spokoju i komforcie, w otoczeniu dzieci oraz wnuków.

Sześć wyjął z kieszeni lnianą chustkę i powoli otarł nią czoło.

- Musisz jedynie przedstawić to pismo - ciągnął Ford - i podać kod, by odebrać pieniądze zdeponowane na tym koncie. Okaziciel tego pisma, który poda kod, otrzyma pieniądze. Czy to jest jasne? Kimkolwiek będzie ta osoba. Ale jest w tym też haczyk.

- Tak?

- Jeżeli nie pojawię się w Siem Reap w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i nie złożę raportu, pieniądze znikną z konta.

Sześć ponownie otarł czoło. Ford spojrzał na Tuka. Tamten nie pocił się, miał marsową minę i wpatrywał się w wirującą chmurę rozpraszającą się na niebie nad wzgórzem, aż wreszcie się odezwał.

- To był niewielki pocisk. Myślę, że powinniśmy wysłać kogoś na wzgórze, aby to sprawdził.

Odwrócił się i uśmiechnął szeroko do Forda, a ten spojrzał na zegarek.

- Proszę bardzo. Zostało pięćdziesiąt minut.

Tuk przyglądał mu się spod półprzymkniętych powiek.

- To wystarczy.

Powiedział coś do Brata Numer Sześć w swoim dialekcie, a Kam bodżanin wydał w tym samym dialekcie rozkaz jednemu ze swoich żołnierzy, chudemu chłopakowi niemającemu więcej niż osiemnaście lat. Tamten odłożył karabin, zdjął pas z amunicją i został tylko w luźnej koszuli i czarnych workowatych spodniach. Sześć wyjął zza pasa pistolet kaliber 9 mm, sprawdził magazynek i dał mu broń i krótkofalówkę. Chłopak zniknął w dżungli jak błyskawica.

- Dotrze na wzgórze za piętnaście minut - oznajmił Tuk. - A wtedy przekonamy się, czy było to trafienie rakieta, czy może mistyfikacja.

Uśmiechnął się i spojrzał na Forda, po raz pierwszy całkiem otwierając oczy i posyłając mu zabawne, zdziwione spojrzenie, które wyglądało jeszcze bardziej przerażająco.

Czekali. Ford wydawał się spokojny. Khon najwyraźniej nie zdążył dotrzeć do wzgórza o dwóch wierzchołkach. I jak wszystko na to wskazywało, nie dał rady zdobyć większej ilości materiałów wybuchowych. Eksplozja była dość mizerna.

Napięcie na werandzie narastało.

- Dziesięć minut - wycedził Tuk z kolejnym makabrycznym uśmiechem.

Niespokojne wzruszenie ramion. Sześć pocił się. Ponownie przeczytał pismo, złożył je, wsunął do koperty i włożył do kieszeni.

- Pięć minut - odezwał się Tuk.

Kolejny huk poniósł się ponad doliną, a nad drzewami pojawiła się ognista chmura powiększająca się w okamgnieniu. Sześć sięgnął po krótkofalówkę przy pasku i zawołał donośnie, usiłując nawiązać łączność z żołnierzem. Nic tylko szum. Wyrzucił krótkofalówkę, po czym zaczął przepatrywać niebo przez lornetkę.

- Nie widzę samolotu bezzałogowego! - wrzasnął.

Ford nie odrywał wzroku od Tuka. Staruch przeniósł spojrzenie ze wzgórza na niego i świdrował go chytrymi brązowymi oczami. Długo i przenikliwie.

- Ktokolwiek przedstawi to pismo, czy zrobisz to sam, czy wyślesz swojego pełnomocnika - powtórzył powoli Ford - otrzyma te pieniądze.

Mówiąc to, cały czas patrzył na Tuka i dostrzegł zrozumienie w jego przepełnionych złowrogą inteligencją oczach.

Jednym płynnym ruchem ręki Tuk wyszarpnął zza pasa pistolet kaliber 9 mm, wycelował w głowę Brata Numer Sześć i strzelił. Głowa siwowłosego mężczyzny została gwałtownie odwrócona w tył, na jego twarzy malował się wyraz absolutnego zdziwienia, mózg rozbryznął się po podłodze werandy. Osunął się miękko na ganek i znieruchomiał, jego oczy pozostały szeroko otwarte. Żołnierze zerwali się, jakby to do nich strzelano, i wymierzili broń w Tuka. Ale ten ze spokojem odezwał się po khmersku:

|- Teraz ja tu dowodzę. Pracujecie dla mnie. Zrozumiano? Każdy z was dostanie w nagrodę za współpracę po sto amerykańskich dolarów, płatne gotówką do ręki.

Chwila konsternacji minęła. Żołnierze, złączywszy dłonie jak do modlitwy, pokłonili się Tukowi. Wysoki Kambodżanin też się uklonił

i zwinnie wyłuskał pismo z kieszeni koszuli Brata Numer Sześć, zanim rozlewająca się kałuża krwi, w której leżał, zdążyła go osiągnąć. Włożył pismo do swojej kieszeni i odwrócił się do Forda z nieśmiałym uśmiechem:

- Co dalej?

- Rozkaż swoim żołnierzom, aby opuścili obóz. Mają to zrobić wszyscy: strażnicy, więźniowie, górnicy. Jeżeli CIA stwierdzi, że zniszczyła kopalnię, w której byli jacyś ludzie, możesz zapomnieć o pieniądzach. Bomby zaczną spadać za - spojrzał na zegarek - trzydzieści minut.

Tuk wszedł do domu i po chwili wrócił z plikiem dwudziestodolarowych banknotów owiniętych w folię. Odliczył dla każdego z żołnierzy po pięć banknotów, po czym dał im

jeszcze po dwadzieścia dolarów ekstra i polecił, aby oczyścili obóz i wyprowadzili wszystkich do dżungli, bo za pół godziny Amerykanie rozpoczną bombardowanie kopalni. Gdy tamci pobiegli wzdłuż ścieżki, strzelając z karabinów w powietrze, wyciągnął rękę do Forda.

- Zawsze lubiłem robić interesy z Amerykanami - rzekł, uśmiechając się półgębkiem. Ford również wysilił się na uśmiech.

27

Abbey patrzyła na zielonkawy odczyt radaru, gdy Marea przebijała się przez mgłę z prędkością pięciu węzłów, a okna sterówki ociekały wilgocią.

- Moja biedna boląca głowa - jęknęła Jackie. - Nie zmuszaj mnie do tego.

- Jesteśmy już prawie na miejscu.

- Naprawdę jesteś jak kapitan Bligh.

Jackie odkręciła buteleczkę tylenolu, wytrząsnęła dwie tabletki i połknęła, popijając piwem. Podsunęła je Abbey.

- Walniesz sobie?

Abbey pokręciła głową, nie odrywając wzroku od ekranu radaru.

- Znowu ta łódź.

- Łódź? Jaka łódź?

- Tam - powiedziała Abbey i wskazała na zieloną plamę na ekranie radaru, o jakieś pół mili morskiej za nimi.

- Co to za łódź?

- Nie wiem. Nieduża. Chyba nas śledzi.

. - Skąd wiesz, że to nie jakiś poławiacz homarów?

- Kto by łowił homary w takiej mgłę? - wyjaśniła Abbey i przez chwilę manipulowała przy radarze. - Nic, do cholery, nie widać.

- Wyłącz silnik - powiedziała Jackie.

Abbey zrobiła to i łódź zaczęła dryfować, a one nasłuchiwały.

- Słyszysz to?

- Tak - odparła Jackie.

- Wlecze się tak za nami już od paru ładnych godzin.

- Dlaczego ktoś miałby nas ścigać? Abbey ponownie uruchomiła silnik.

- Aby ukraść nam skarb?

Jackie zaśmiała się.

- Może twoja historyjka okazała się aż za dobra.

Abbey zwiększyła obroty silnika, wciąż wpatrując się w zielony odczyt nieznanej łodzi, czekając na jej reakcję. Ale druga łódź ani drgnęła. Pozostała w tym samym miejscu. Abbey obrała kurs na Shark Island od zawietrznej, zwalniając obroty silnika. Spenetrowanie wyspy nie zajmie im dużo czasu. Była to tylko pozbawiona drzew naga skała pośrodku oceanu ze stromym urwiskiem po jednej i łagodnym zboczem po drugiej stronie, które sprawiały, że z oddali wyspa przywodziła na myśl płetwę rekina. Abbey nigdy nie była na niej i nie знаła nikogo, kto kiedyś mógłby tu być. W gęstej mgłę prawie nie widziała dziobowego relingu.

- Niech to szlag, Abbey - ciągnęła Jackie - naprawdę sądzisz, że znajdziemy ten meteoryt?

Abbey wzruszyła ramionami.

- Jeśli masz wątpliwości - mruknęła Jackie - sztachnij się.

- Nie, dziękuję.

Jackie mimo to zaczęła robić skręta.

- Mamy sporo pracy - rzuciła z rozdrażnieniem Abbey. - Nie możesz z tym zaczekać?

- Ciągłe tylko praca i praca, już mnie od tej harówki głowa boli, a gdzie czas na odrobinę rozrywki?

Abbey westchnęła, podczas gdy Jackie zaczęła mocować się z zapalniczką, która w wilgotnym powietrzu odmówiła współpracy.

- Schodzę pod pokład.

Znajdowały się o pół mili od Shark. Abbey zredukowała obroty silnika, wpatrując się w odczyty chartplottera i sonaru. Wyspę otaczały płycizny i skały i przy odpływie Abbey nie chciała podchodzić za blisko, bo było to zbyt ryzykowne. Zredukowała obroty do biegu jałowego.

- Jackie, rzuć kotwicę.

Jackie wyszła spod pokładu ze skrzętem w dłoni i rozejrzała się dokoła.

- Mgła gęsta jak mleko, jak powiedziałby mój dziadek.

Włożyła skręta do puszeki, przeszła na dziób i wyjęła sworzeń mocujący kotwicę.

- Gotowa? - zapytała.

- Opuuszczaj - nakazała Abbey.

Jackie cisnęła kotwicę za burtę i pozwoliła, by opadła na samo dno. Abbey wrzuciła wsteczny, podczas gdy jej przyjaciółka zabezpieczyła łańcuch kotwiczny. Jackie wróciła.

- No i gdzie ta wyspa?

- Jakieś dwieście metrów stąd na południe. Nie odważyłam się podpłynąć bliżej.

- Dwieście metrów? Ja nie wiosłuję.

- Ja to zrobię.

Abbey wrzuciła do szalupy kilof, łopatę, wiadro, zwój liny, plecak z colą i kanapkami oraz, jak zwykle, z zapalkami, gazem pieprzowym, latarkami i manierkami z wodą.

- Po co ten kilof i łopata? - spytała Jackie.

- Bo meteoryt musi tam być - odparła Abbey, siląc się na pełen przekonania ton głosu.

Kogo próbowała oszukiwać? To była historia jej życia, jeden kretyński pomysł za drugim.

Balansując na okrężnicy, zeszła do szalupy i włożyła wiosła do dulek, podczas gdy Jackie usadowiła się na rufie.

- Ty będziesz zajmować się nawigacją i kompasem - rzekła Abbey

Jackie odcumowała szalupę, a Abbey zaczęła wiosłować. Marea

zniknęła wśród mgieł, niebawem dziewczęta minęły skałę wystającą z wody niczym czarny ząb, otoczoną wstęgami wodorostów. Potem następną i jeszcze jedną. Fale unosiły się i opadały, czarne jak pokryte ropą, majestatyczne. Nie było w ogóle wiatru. Abbey poczuła wilgoć mgły we włosach, na twarzy i przenikającą przez ubranie.

- Teraz już rozumiem, dlaczego nie chciałaś podpłynąć bliżej - stwierdziła Jackie, spoglądając na wystające z wody skały; niektóre z nich, wyłaniające się z oparów mgły, miały metr osiemdziesiąt wysokości i przywodziły na myśl postacie ludzkie. - Strasznie tu.

Abbey wiosłowała dalej.

- Kto wie, może jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy postawili stopę na Shark Island - kontynuowała Jackie. - Powinniśmy zostawić tam flagę.

Abbey wiosłowała nieprzerwanie. Czuła narastające przygnębienie. To już prawie koniec. Nie będzie żadnego meteorytu.

- Hej, Abbey, przepraszam, że tak się na ciebie wkurzyłam. Nawet gdy nie znajdziemy meteorytu, i tak przeżyliśmy fajną przygodę.

Abbey pokręciła głową i powiedziała:

- Myślałam o tym, co mi powiedziałaś, jak spieprzyłam sobie życie, rzucając studia.

Ojciec przez lata oszczędzał na moje czesne. I oto jestem tutaj, dwudziestolatka mieszkająca w domu rodzinnym i dorabiająca jako kelnerka w Damariscotcie. Żenada.

- Daj spokój, Abbey

- Jestem winna osiem tysięcy dolarów, a mój ojciec będzie musiał to spłacić.

- Osiem tysięcy? Kurczę. Nie wiedziałam.

- Ojciec wstaje o wpół do czwartej, aby rozstawić pułapki, i haruje jak wół. Wychowywał mnie po śmierci mamy. A ja jeszcze kradnę mu łódź. Co ze mnie za córka, do jasnej cholery?

- Rodzice dla dzieci powinni urabiać sobie ręce po łokcie, to ich obowiązek - Jackie spróbowała się zaśmiać. - No dobra, jesteśmy na miejscu.

Abbey obejrzała się przez ramię. Za nimi wznosił się ciemny kształt wyspy. Nie było plaży, jedynie pokryte wodorostami kamienie wyłaniające się z mgły

- Przygotuj się, że się zamoczysz - rzekła Abbey.

Szalupa uderzyła w najbliższą płaską skałę, a Abbey wyminęła ją bokiem, wyskoczyła z szalupy i przytrzymała cumę. Fale zawirowały wokół jej nóg, wznosząc się i łagodnie opadając, podczas gdy ona zaparła się mocno obiema stopami. Jackie wyrzuciła z szalupy kilof, łopatę i plecak i sama też wyskoczyła na brzeg. Wspólnie wciągnęły łódkę poza zasięg fal i rozejrzały się dokoła.

Widok był smutny i przygnębiający. Przed nimi wznosiły się masywne popękane granitowe głazy, pomiędzy którymi tkwiły strzaskane pnie drzew, pozostałości sprzętów rybackich, zniszczonych boi i pozrywanych lin. Skały były białe od guana mew, a wysoko nad nimi krążyły w powietrzu, wrzeszcząc gniewnie, niewidoczne ptaki. Abbey zarzuciła plecak na ramię. Dziewczęta przegramoliły się przez zwał naniesionych przez fale szczątków i wspięły się po skałach, by dotrzeć na skraj porośniętej trawą łąki. Wyspa była nierówna, łagodna, zrazu stromizna ciągnęła się coraz wyżej aż ku szczytowi urwiska, którego zwieńczenie stanowił wielki granitowy klin o kształcie dolmenu, pozostałość po dawnym lodowcu. Turzyca ustępowała dalej miejsca krzewom agrestu i osmaganym wiatrem wawrzynom. Przyjaciółki dotarły do granitowego bloku i minęły go, zmierzając w kierunku urwiska na drugim końcu wyspy.

Gdy minęły blok skalny, Abbey nagle stanęła jak wryta. , - O Boże.

Na wprost niej widniał krater mierzący półtora metra średnicy.

28

Ford podążył za żołnierzami w dół ścieżki i w samym sercu obozowiska ujrzał kompletny chaos: wzbijający się kurz, pierzchających żołdaków, górników biegających w tę i z powrotem, wstrząśniętych, nie-mogących pojąć, co się właściwie dzieje. Inni, w tym całe rodziny, uciekali, kuśtykając bądź powłócząc nogami, do dżungli, niektórzy dźwigali lub pomagali podtrzymywać słaniających się na nogach chorych. Wypatrując Khona, dostrzegł w końcu znajomą korpulentną postać, która wyłoniła się na skraju lasu, dźwigając plecak.

Kambodżanin dołączył do Forda zdyszany, z twarzą zlaną potem.

- Witam, panie Mandrake!

- Dobra robota, Khon - powiedział Ford i rozpiął plecak, by wyjąć elektroniczny licznik Geigera, po czym włączył urządzenie i odczytał wynik: - Czterdzieści miliremów na godzinę. Nieźle.

Khon spojrział na plamy krwi na koszuli Forda.

- Co ci zrobili?

- Trochę się spóźniłeś z fajerwerkami, przyjacielu. O mały włos, a byłoby za późno.

- Miałem mały kłopot z wykradzeniem dynamitu ze składziku. Zdażyłem dotrzeć tylko na najbliższe wzgórze.

- Jak sobie poradziłeś z żołnierzem, który poszedł sprawdzić?

- Domyśliłem się, że mogą to zrobić. Rozdzieliłem ładunki i z drugiego przygotowałem zmyślną pułapkę. Biedaczysko.

- Sprytnie - przyznał Ford i wyjął z plecaka cyfrowy aparat fotograficzny i GPS-a, którego rzucił Khonowi. - Zajmij się oznakowaniem tego miejsca, a ja zrobię kilka zdjęć.

- Tak jest, szefie.

Ford zbliżył się do wylotu szybu, trzymając licznik Geigera przed sobą. Był to z całą pewnością krater powstały w wyniku uderzenia, warstwy ejektamentów rozchodziły się promieniście, wszędzie leżały brekcjowe skały i strzaskane stożki.

- Osiemdziesiąt miliremów - powiedział Ford. - Tu promieniowanie wciąż jest względnie niskie. Moglibyśmy zostać tu ponad godzinę, zanim musielibyśmy zacząć się martwić.

Ostrożnie zajrzał do szybu. Krater ciągnął się w głąb jeszcze bardziej stromo, przeradzając się w pionowy szyb o średnicy trzech metrów ze ścianami ze stopionego materiału przypominającego szkło. Żarówki rozwieszono na przewodach przymocowanych do ścian szybu, a dwa zestawy drabin prowadziły w dół, gdzie przypuszczalnie znajdowało się złożo kamieni szlachetnych. W pobliskiej szopie wciąż działał generator odpowiedzialny za oświetlenie szybu. Masywne rusztowanie z bambusów wznosiło się ponad czeluścią, z wyciągarką i siecią do opuszczania i wydobywania na powierzchnię różnego rodzaju wyposażenia.

Ford wpatrywał się w otwór z coraz większym zakłopotaniem i zdziwieniem. To był niewiarygodnie głęboki krater, zdawał się nie mieć dna - zupełnie jakby obiekt, który uderzył w to miejsce, po prostu poleciał dalej. Ford zrobił kilka zdjęć szybu, po czym wykonał serię panoramicznych ujęć całej okolicy w obrębie 360 stopni. Następnie sporządził pomiary z użyciem licznika Geigera w kilku różnych, oddalonych od siebie miejscach.

Niebawem zjawił się Khon z GPS-em.

- Gotowe.

Obóz zupełnie opustoszał, jeżeli nie liczyć walających się trupów.

- Rozwalmy to w cholere, zanim nasi przyjaciele zorientują się, że zostali oszukani - powiedział Ford. - Bo jeśli tego nie zrobimy, oni wrócą. I to zacznie się od nowa.

Nie mógł pohamować wściekłości na widok leżących to tu, to tam ciał. Nie wszyscy byli martwi, kilku nieszczęśników próbowało odczołgać się do dżungli. Ford i Khon sforsowali drzwi do składziku z materiałami wybuchowymi i załadowali skrzynki z dynamitem na porzucony wóz; nie zapomnieli też o detonatorach, przewodach i mechanizmach czasowych. Zaciągnęli wóz przed wejście do kopalni i przenieśli skrzynie do rozłożonej na ziemi sieci do podnoszenia i opuszczania sprzętu oraz urządzeń. Ford zaopatrzył każdą ze skrzyń w detonator i podłączył je do mechanizmu zegarowego oraz urządzenia zapasowego. Nastawił czas - trzydzieści minut. Elektrycznym kołowrotem podnieśli sieć, skierowali ją nad wylot szybu i opuścili jakieś trzydzieści metrów w głąb tunelu, rozciągając przy tym kable detonatorów. Umieścili prowizoryczną bombę na bambusowej platformie. Ford unieruchomił elektryczną wyciągarkę, uszkadzając terminal łomem, i dla pewności wyrwał jeszcze kilka kabli.

- Dwadzieścia pięć minut - oznajmił Ford, spoglądając na zegarek. - Wynośmy się stąd. Pobiegli w stronę ściany dżungli i niebawem odnaleźli stary szlak, którym tu dotarli. Biegnąc, mijali po drodze grupki przyodzianych w łachmany, idących wolno tubylców. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Żołnierze zniknęli.

- Już czas - rzekł Ford, czując w żołądku nieprzyjemną gulę.

Nigdy dotąd w swoim życiu nie zetknął się z podobnym przykładem porażającej ludzkiej niedoli, wyzysku i okrucieństwa. Co mieli w sobie Kambodżanie, że pozwolili, by ludzie z natury łagodni i dobroduszni, pełni rozwagi i przepełnieni silną wiarą buddyjską pogrążali się w otchłani takiego zła?

Ford i Khon zatrzymali się, by odpocząć, i usiedli na wielkim kamieniu w korycie wyschniętego strumienia. Wybuch nastąpił punktualnie o wyznaczonym czasie.

Randall Worth wyłączył silnik i dryfował we mgle, wpatrując się w swój radar. Jasny punkt na ekranie kilka metrów na południe od niego musiał być Marea. Jeszcze dalej zielona smuga przedstawiała Shark Island.

Shark Island. Osiem mil od brzegu, bez zatoki, otoczona rafami wyspa, do której nie sposób przybić, chyba że podczas flauty. Wymarzona wyspa skarbów. Dlaczego sam na to nie wpadł?

Rzucił kotwicę, nie przejmując się grzechotaniem łańcucha, kiedy kotwica spadała na dno, zaczął ładować rzeczy do plecaka. Trafiła do niego niewielka skrzynka z niezbędnymi narzędziami, kombinerki do cięcia drutu, zwój linki, taśma klejąca, nóż, RG kaliber 44 magnum i pudełko z nabojami o wydrążonych czubkach.

Przez pewien czas Worth czekał, nasłuchując we mgle. Wyspa znajdowała się o czterysta metrów od niego, a mgła wytłumiała wszelkie odgłosy. Zupełnie nic nie słyszał. Czuł, jak dudni mu serce, i starał się ignorować to nieprzyjemne świerzbienie pod skórą, jakby roily się tam niewidzialne robaki. Jeszcze nie, nie teraz. Musiał zachować trzeźwy umysł. I wtedy coś usłyszał, cichy okrzyk. Wychylił się do przodu. Okrzyk poprzedził odległe, ochocze wołanie i odgłosy radości. Odgłosy radości.

Usiadł sztywno, serce zaczęło tłuc mu się w piersi. To były okrzyki triumfu. Znalazły to. Kurwa, to niewiarygodne. Sięgnął po plecak. Wrzucił do szalupy, wskoczył w ślad za nią i zaczął wiosłować jak oszalały w kierunku Marei. Morze było gładkie jak stół, a mgła dawała mu przewagę zaskoczenia. Szczęście chyba uśmiechnęło się do niego.

Kilka minut później ujrzał przed sobą kształt Marei. Podniósł wiosła z wody i nasłuchiwał z uwagą. Znalazszy się bliżej wyspy, mógł teraz wyraźniej słyszeć przytłumione głosy, pełną ekscytacji wymianę

zdań, charakterystyczne dźwięki kopania, brzęk łopaty i zgrzyt kilofa o kamienie. Podpłynął do Marei od strony rufy, przywiązał szalupę do relingu, zabrał swój plecak i wskoczył na pokład łodzi.

Po wejściu do sterówki Worth z niemałym trudem zapanował nad przyspieszonym oddechem i drżeniem rąk. Metadon naprawdę wszystko w nim rozchrzanił, sprawił, że stał się nerwowy. Po tym wszystkim będzie ustawiony na całe życie, a wtedy to rzuci. Nie będzie już tego potrzebował. Czuł łomotanie serca i szum krwi w uszach. Na konsoli w sterówce stała butelka jima beama, sięgnął po nią i upił spory łyk. Powolutku opróżnił całą butelkę.

Zmuszając swój umysł do skupienia, sprawdził przełącznik akumulatora i upewnił się, że był wyłączony. Wyjął z plecaka pudełko z narzędziami, a z niego śrubokręt i odkręciwszy płytę panelu elektrycznego, odłożył ją na bok. Jego oczom ukazała się plątanina różnokolorowych przewodów. Wiedział doskonale, co ma zrobić.

30

Około trzeciej po południu Mark Corso zaczął wreszcie oddychać swobodniej. Kiedy zjawił się w swoim biurze tego ranka, dzień po katastrofalnym zebraniu zarządu, z niejaką ulgą stwierdził, że na biurku nie czeka na niego formularz rozwiązania umowy o pracę. Przez cały dzień pracował jak szalony nad danymi z SHARAD-u i wreszcie się z nimi uporał. Spisał się na medal, musiał sam to przyznać: mapy i cała reszta zostały należycie posortowane, spięte i powkładane do specjalnych teczek, obrazy były wyraźne i ostre, pozbawione szumu tła i obrobione cyfrowo.

Nie czekała go nieprzyjemna wizyta Derkweilera, ostrzegawczy okólnik ani telefon. Nawet nie spotkał się z przełożonym. Popełnił błąd, jeżeli chodziło o okresową powtarzalność emisji promieniowania, ale był pewien, że w kwestii danych miał rację. To było coś ważnego, bardzo ważnego, i kto wie, może Chaudry jeszcze to przemyśli i uzna, że warto byłoby to sprawdzić.

Mark Corso włożył teczkę pod pachę, przełknął ślinę i ruszył korytarzem w stronę gabinetu Derkweilera. Zapukał energicznie, usłyszał „wejść” i z niepokojem otworzył drzwi.

Derkweiler siedział za swoim biurkiem, pod pachami jego koszuli widać było ciemne ślady potu.

- A, to ty, Corso.

- Mam dane z SHARAD-u - powiedział Corso, wykrzesawszy z siebie tyle chłodnej powagi, ile zdołał; poklepał teczkę, którą trzymał pod pachą, powtarzając w myślach ustalony wcześniej tekst. - Chciałbym przeprosić za wczorajszą prezentację. Poniosło mnie z tymi danymi o promieniowaniu gamma. Zapewniam, że to już się nie powtórzy.

Derkweiler patrzył na niego. Nie tyle świdrował go wzrokiem, ile raczej mu się przyglądał. Oczy miał zaczerwienione. Wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka.

- Corso... Cóż, przykro mi, że muszę to powiedzieć - westchnął Derkweiler i położył dłonie na stole. - Wczoraj podpisałem papiery... aby zwolnić cię z zajmowanego stanowiska. Bardzo mi przykro.

Corso był tak wstrząśnięty, że nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

- W naszym zakładzie panuje quasi-rządowa biurokracja i zwolnienie musiało trochę potrwać. Z żalem ubolewam, że musiałeś czekać. Ale chyba obaj wiemy, że tu nie pasujesz - powiedział Derkweiler, wpatrując się w Corsę lodowatym wzrokiem.

- Ale doktor Chaudry...

- Doktor Chaudry i ja w pełni się w tej sprawie zgadzamy

Corso znów spróbował przełknąć ślinę. Nie mógł ruszyć się z miejsca. Całkiem go sparaliżowało jak Blaszanego Drwala.

- Cóż - odezwał się Derkweiler, poklepując blat biurka dłonią. - To wszystko. Masz czas do końca dnia. Naprawdę bardzo mi przykro, ale tak będzie najlepiej.

- Ale... czy nadal chcesz dane z SHARAD-u? - zapytał Corso, zanim uświadomił sobie, jak idiotycznie musiało to zabrzmieć.

Na twarzy Derkweilera pojawił się wyraz rozdrażnienia, gdy sięgnął i zabrał od niego teczkę.

- Chyba nie słyszałeś, co powiedziałem na zebraniu: mówiłem, że przygotowuję te dane osobiście. I robiłem to przez całą noc.

Wyciągnął rękę i wrzucił teczkę do kosza na śmieci.

- Nie chcę ich i już nie potrzebuję.

Corso aż się zaczerwienił. Derkweiler wciąż na niego patrzył.

- Coś jeszcze, czy już skończyliśmy?

Corso odwrócił się sztywno i wyszedł.

- Proszę zamknąć za sobą drzwi.

Corso zrobił to i przystanął pod ścianą rozdygotany Szok i niedowierzanie przerodziły się w nim w odczucie bliskie mdłościom, a potem we wściekłość. To było nie w porządku. To było niesprawiedliwe. Wyrzucić jego pracę do kosza... To było bezpodstawne. Nie mógł do tego dopuścić.

Odwrócił się, otworzył drzwi i przyłapał Derkweilera na tym, jak schylał się nad koszem, by wyjąć stamtąd teczkę. To była kropla, która przelała czarę. Corso otworzył usta, a słowa, jakie z nich popłynęły, zdawały się nie pochodzić od niego: ' - Ty... obleśny, tłusty gnoju.

- Słucham?

| - Dobrze słyszałeś.

Kto wypowiadał te słowa? Skąd się one brały? Corso nigdy dotąd nie był równie wściekły.

Derkweiler poczerwieniał i wrzucił teczkę z powrotem do kosza, po czym rozparł się w fotelu i złączył dłonie za głową, wskazując szerokie półksiężycy plam od potu pod pachami.

- Widzę, że odchodzisz z hukiem. Chcesz dodać coś jeszcze?

- Właśnie tak. Dziwię się, że w ogóle tu pracujesz, a co dopiero na tak wysokim stanowisku. Jesteś uosobieniem miernoty Obaj, ty i Chaudry. Dałem ci do ręki dowód, że na Marsie lub w jego pobliżu może dziać się coś niebezpiecznego, co może mieć katastrofalne

skutki dla całej ludzkości. Masz to czarno na białym, ale tego nie dostrzegasz. Nie różnisz się niczym od inkwizycji, która sądziła Galileusza.

- Ach, więc teraz porównujesz się do Galileusza?

Zimny uśmiech wykrzywający oblicze Derkweilera nagle zniknął.

- Cóż, Corso, teraz, kiedy upuściłeś już trochę pary, idź, proszę, do swojego gabinetu. Masz piętnaście minut, by zabrać swoje rzeczy z biurka. Ochrona przyjdzie po ciebie, by wyprowadzić cię z terenu Instytutu. Zrozumiano?

Derkweiler obrócił się na fotelu tyłem do Corsa i zaczął stukać w klawiaturę komputera. Kwadrans później Corso został wyprowadzony przez dwóch strażników ochrony do holu głównego IBRN. Niósł nieduże kartonowe pudło z rzeczami osobistymi, oprawionymi w ramki dyplomami z Brown i MIT, geodą pełniącą funkcję przycisku do papieru i zdjęciem matki.

Gdy wyszedł na sprażony słońcem parking i zaczął iść między stojącymi tam samochodami, doznał objawienia. Zatrzymał się i prawie upuścił pudło. Przypomniał sobie drobny, z pozoru nic nieznaczący

fakt: Deimos, jeden z księżyców Marsa, potrzebował na jedno okrążenie dokładnie trzydziestu godzin. To tłumaczyło anomalie w kwestii powtarzalności emisji.

Źródło promieniowania gamma nie znajdowało się na Marsie, lecz na Deimosie.

31

1 :Mm

Mgła przerodziła się w mżawkę, gdy Abbey gorączkowo wybierała kamienie z krateru, wyłuskując je ostrzem kilofa i wyrzucając za siebie. Meteoryt wbił się na ponad trzydzieści centymetrów w ziemię i litą skałę pod warstwą gleby, przenicowując ją i spiętrzając masę kamieni i błota. Abbey zdziwiła się, gdyż krater był nieduży, miał zaledwie metr głębokości i półtora metra średnicy. Padało coraz bardziej i dno krateru zaczynało rozmiękać, zmieniając je w błotnistą breję, szarą i lepka, wypełnioną pogruchotanymi kamieniami.

Abbey wydłubała wyjątkowo duży fragment i podciągnęła ku obrzeżu krateru. Jackie schwyciła go i wydobyła z otworu.

- Cholernie dużo tam tych kamieni. Skąd będziemy wiedzieć, który z nich to meteoryt?

- Uwierz mi, rozpoznasz go bez trudu. Jest z metalu, niklu i żelaza - zapewniła Abbey

- A jeśli będzie zbyt ciężki, by go wydobyć?

Abbey wyłuskała kolejny kamyk z dna, podniosła i przerzuciła poza obrzeże.

- Coś wymyślimy. W gazecie pisali, że musiał ważyć jakieś pięćdziesiąt kilo.

- W gazecie napisano, że musiał ważyć co najmniej pięćdziesiąt kilo.

- Im większy, tym lepszy

Abbey wygarnęła kilka mniejszych kamieni i wybrała łopatą trochę lepkiego błota. Gdy tak pracowały, rozpadało się na dobre. Mimo sztormiaka wkrótce i tak będzie całkiem przemoczona. Zimne błoto wlewało się do butów Abbey i chlupało w nich, a co gorsza, przy każdym stąpieniu dziewczyna zapadała się coraz głębiej w grząską glebę.

- Przynieś mi wiadro i linę z szalupy.

Jackie zniknęła we mgle i wróciła po pięciu minutach.

Abbey przywiązała linę do rączki wiadra i zaczęła nim wybierać błoto, a Jackie wynosiła je i wylewała poza obręb krateru. Abbey stęknęła, napełniając kolejne wiadro błota. Sięgnęła po łopatę i zaczęła badać nią grunt; metal brzęknął o litą skałę.

- Tu jest skalne podłoże - stwierdziła i znów przez chwilę sondowała grunt. - Meteoryt musi być gdzieś wśród tych porozwałanych skał.

- Wobec tego jak duży może być? - zapytała Jackie.

Abbey zamyśliła się, obliczając w myślach. Ile wynosił ciężar właściwy żelaza? Siedem i trochę.

- Meteoryt o wadze pięćdziesięciu kilogramów - odparła - powinien mieć jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu centymetrów średnicy.

- Tylko?

- To dość sporo.

Abbey wbiła ostrze kilofa między dwa pęknięte kawałki skały i rozszczepiwszy je przy wtórze mlaśnięcia błota, wydobyła z wnętrza krateru. Cała była ubabrana błotem i deszcz wlewał jej się za kołnierz, ale nie dbała o to. Zamierzała dokonać życiowego odkrycia. Randy Worth ponownie przykręcił panel silnika Marei na swoje miejsce i startł z jego powierzchni ślady brudnych od smaru palców. Przesunął się do tyłu i poświecił do maszynowni - wszystko wyglądało normalnie, nic nie wskazywało na to, że tu majstrował. Opuścił klapę i mocno docisnął, po czym z niej również startł ślady swoich brudnych od smaru dłoni.

Wrzucił narzędzia do plecaka, zapiął go i założył sobie na ramię. Wstał i rozejrzał się wokół, wypatrując jakichkolwiek oznak swojej ingerencji. Czysto. Sprawdził wskazania silnika, akumulatora i przerywaczy, aby się upewnić, że były ustawione tak, jak je zastał.

Wyszedł ze sterówki i zaczął nasłuchiwać. Deszcz bębnił o dach i siekł powierzchnię oceanu, jak okiem sięgnąć, ale wciąż do jego uszu

dochodziły odgłosy kopania, zgrzyt metalu o kamienie i gwar pełnej ekscytacji rozmowy.

Wyglądało na to, że jeszcze trochę im to zajmie.

Poszedł na rufę, odcumował szalupę i wsiadł. Świerzbila go skóra, swędziało całe ciało i coś dziwnego działo się z jego gałkami ocznymi. Musiał czym prędzej strzelić sobie działkę.

Cieężko się napracował, zasłużył na to. Zaczął wiosłować tak zawzięcie, że jedno z wiosł wypadło z dulki. Zaklął, drżącymi dłońmi poprawił je i po-wiosłował dalej. Niebawem Marea rozmyła się wśród mgieł, a kilka minut później ujrzał w oddali kształt swojej łodzi, brudnej od ropy i rdzy.

Wszedł na pokład i zajrzał do kajuty, gdzie po chwili odszukał towar. Rozdygotany, drżącymi palcami zaczął nabijać firkę, upuścił ją, zaklął, podniósł firkę, nabił i przypalił. A niech to, ale ten szajs był dobry. Położył się wygodnie z głuchym stęknięciem i poczuł, że wraz z narkotyczną euforią doznał wzrodu, a jego myśli skoncentrowały się na tym, co zrobi z tymi sukami, kiedy już je dopadnie.

Abbey wciąż wybierała wiaderem błoto i wyłuskiwała kolejne kamienie z dna krateru w miejscu, gdzie doszło do uszkodzenia skalnego podłoża. Lało jak z cebra i dziewczyna usłyszała szum przybierających na sile fal uderzających o niewidoczne skały poniżej; zbliżał się sztorm, lepiej, żeby uporały się jak najszybciej z tym, co tu robiły.

Wyłuskała wyjątkowo duży kamień, a Jackie zeszała, by pomóc jej wydobyć go z otworu.

Łopatą poruszyła kilka kolejnych, po czym ukłękła i zaczęła grzebać rękami w chłodnym bloku.

- W tamtej dziurze jest naprawdę mnóstwo rozmaitego świństwa. Ale chyba jesteśmy bardzo blisko.

- Wyglądasz okropnie - zauważyła Jackie, śmiejąc się.

- Ty też raczej nie nadajesz się, aby pójść na bal.

Kolejne kamienie i następne wiaderko błota, w pewnej chwili Abbey przestała grzebać rękoma w mule.

- Nie znajdziemy żadnego meteorytu - zwątpiła Jackie.

- Jest tutaj. Musi być.

Abbey na kolanach zaczęła wygarniać rękami błoto z granitowego podłoża dna krateru.

Deszcz obmył to miejsce do czysta. Dziewczyna z narastającym podnieceniem ujrzała otwór z rozchodzącą się promieniście na wszystkie strony siateczką pęknięć w kamiennym podłożu, ale błoto wciąż napływało.

- Musi tu być - powtórzyła głośniej, jakby to mogło coś zmienić i sprawić, że faktycznie tak będzie. Wybierała garściami błoto do wiadra.
- A to nie był żaden z tych kamieni, które stamtąd wyjęłyśmy? - spytała Jackie.
- Mówiłam ci, on jest żelazo-niklowy!
- Ojej, tak tylko spytałam...

Rozdrażniona i coraz bardziej przybita, Abbey zaczęła macać dłońmi w poszukiwaniu dna w zagłębieniu. Może meteoryt zaklinował się tak mocno, że wzięła go za część skalnego podłoża. Wybrała dłońmi tyle żwiru i błota, ile tylko zdołała, wypełniając nimi kolejnych kilka wiader.

- Jackie, napełnij wiadro morską wodą, opłuczemy wnętrze tego zagłębienia. Jackie z wiadrem w ręku zeszła po zboczu i wróciła kilka minut później. Abbey połała wodą błotniste popękane kamieniste podłoże. Nagle rozległ się głośny bulgot i woda zniknęła w dziurze w skale jak w otworze odpływowym w zlewie.

- Co jest, kurwa? - zdziwiła się Abbey i włożyła palce do otworu. - Potrzebuję jeszcze trochę wody.

Jackie wróciła, niosąc wiadro wypełnione niemal po brzegi. Abbey wlała zawartość do otworu. Woda znowu zniknęła, jakby spłynęła do kanalizacji, ale tym razem oczom dziewcząt ukazał się idealnie okrągły otwór w litej skale, mierzący dziesięć centymetrów średnicy i prowadzący pionowo w głąb ziemi. Wokół niego rozchodziła się promieniście pajęczyna pęknięć.

Abbey zdjęła rękawiczkę i włożyła dłoń do otworu, macając tak głęboko, jak tylko zdołała dosięgnąć. Ściany były gładkie jak szkło, a okrągły otwór wydawał się tak idealny, jakby został wywiercony

Sięgnęła po nieduży kamyk i wrzuciła do otworu. Po chwili usłyszała rozlegający się poniżej cichy plusk. Spojrzała na Jackie. I - Nie ma go. Meteorytu tutaj nie ma.

- A gdzie jest? [- Poleciał dalej.

I choć Abbey starała się rozpaczliwie powstrzymać szloch, zaczęła pochlipywać.

32

W ruinach klasztoru roiło się oó uciekających wieśniaków, mnisi rozlokowywali chorych w zniszczonym bombami sanktuarium i przynosili im jedzenie oraz wodę. Płacz dzieci i szloch matek mieszały się z gwarem przerażonych głosów. Gdy Ford wypatrywał opata, ze zdumieniem ujrzał mnichów dźwigających ciężką broń i pasy z amunicją przerzucone przez ramię; najwyraźniej patrolowali szlaki prowadzące od strony gór. W oddali nad wierzchołkami gór dostrzegł czarny wirujący słup dymu unoszący się ku rozpalonemu niebu. W końcu odnalazł opata; klęczał nad chorym chłopcem, pocieszając go i pojąc wodą ze starej butelki po coli. Opat uniósł wzrok i spojrzał na niego.

- Jak pan to zrobił?
- To długa historia.
- Dziękuję - powiedział krótko opat, kiwając głową.
- Potrzebuję ustronnego miejsca, by odbyć rozmowę przez telefon satelitarny - rzekł Ford.

- Cmentarz - zaproponował opat, wskazując ręką na omszałą ścieżkę.

Pozostawiając za sobą chaos panujący w ruinach klasztoru, Ford wszedł w rzadziejący zagajnik. Wśród drzew rozsiane były stupy, niewielkie wieżyczki zawierające prochy czcigodnego mnicha. Niegdyś złożone i malowane, z czasem wyblakły, a niektóre popękały i przewróciły się. Ford znalazł ciche miejsce wśród grobów, wyjął telefon satelitarny, podłączył do kieszonkowego komputera i wybrał numer.

Po chwili usłyszał chropowaty głos Lockwooda. W Waszyngtonie była druga w nocy.

- Wyman? Udało ci się?
- Parszywy z ciebie łgarz, Lockwood.

- Chwileczkę. O co ci chodzi?
- Od początku wiedziałeś, gdzie jest ta kopalnia. To cholera było wielkie, nie dałoby się go przegapić z kosmosu. Dlaczego mnie okłamałeś? Jaki był cel tej szarady?
- Wszystko ma swój powód, i to w pełni uzasadniony. Masz odczyty, o które cię prosiłem?

Ford opanował narastający gniew.

- Tak. Wszystko. Zdjęcia, odczyty poziomu promieniowania, koordynaty GPS.
- Doskonale. Możesz mi je przesłać?
- Otrzymasz je, kiedy udzielisz mi niezbędnych wyjaśnień.
- Nie pogrywaj ze mną.
- Żadnych gier. Zwykła wymiana informacji. W twoim gabinecie.

Nastała długa cisza.

- To nierozsądne stawiać nam takie żądania.
- Nie słynę z roztropności. I doskonale o tym wiedziałeś. A nawiasem mówiąc, wysadziłem tę kopalnię.
- Co?
- Wysadziłem. Sayonara. Już jej nie ma.
- Oszalałeś? Zabroniłem ci jej tknąć!

Ford z najwyższym trudem zdusił w sobie wściekłość. Wziął głęboki oddech, przełknął ślinę.

- Oni brali w niewolę ludność całych wiosek, kobiety i dzieci. Setki ludzi umierały. Trupy wrzucali do masowego grobu. To był wielki grób. Nie mogłem pozwolić, aby to trwało dłużej.

Znów cisza.

- Co się stało, to się nie odstanie - rzekł w końcu Lockwood. - Czekam w moim gabinecie, przyjdź, kiedy tylko wrócisz do Waszyngtonu.

Ford wyłączył telefon. Wyrównując oddech, próbował odzyskać równowagę. Na zewnątrz panowała cisza, zapadał zmierzch i w gasnącym świetle cała nekropolia zdawała się upstrzona złocistozielonkawymi plamami. Stopniowo poczuł powracający wewnętrzny spokój i rozsądek. To, co zobaczył, pozostanie w nim jednak do końca życia.

No i jeszcze problem samej kopalni - było coś, o czym nie powiedział Lockwoodowi. To, co sobie uświadomił, było tak dziwne, tak niewiarygodne, że wymykało się wszelkim analizom. Ale ukryte znaczenia, jakie się w związku z tym nasuwały, mroziły krew w żyłach.

33

Worth wrócił za ster swojej łodzi, otworzył piwo i patrzył na wijące się strużki deszczu ściekające po szybach. Dziewczyny były na wyspie co najmniej od dwóch godzin. To musi być kurewsko duży skarb, pomyślał.

Znów sprawdził rewolwer, którego użył podczas napadu na spożyw-czak Harrisona, kiedy miał piętnaście lat; uniósł broń do światła, zważył ją w dłoni i spojrział przez muszkę i szczerbinę. Ostatnio próbował przehandlować spluwę za forszę na prochy, ale nikt nie chciał jej wziąć. Wszyscy mówili, że to złom. Co oni mogli wiedzieć? Tamtej nocy spisała się na medal. Uśmiechnął się na myśl o wszystkich ropuchach, które on i jego wujek roznieśli w krwawy pył, strzelając z tego rewolweru.

Spojrzął wzdłuż lufy, udając, że mierzy w mewę kotyszającą się na wodzie za relingiem rufowym. Chciał ją rozwalić, w wyobraźni widział już rozlatujące się na wszystkie strony strzępy piór, ale nie mógł ryzykować, robiąc hałas. „Pif-paf - powiedział. Mewa odleciała. Odłożył rewolwer na deskę rozdzielczą, obok czterech pudełek naboju, noża myśliwskiego typu Bowie, zwoju linki, kombinerek, grubego sznura i taśmy klejącej. Tej ostatniej raczej nie potrzebował, ale miał ją na wszelki wypadek. Upił kolejny łyk piwa i nasłuchiwał. Prócz szumu deszczu nie słyszał nic więcej, żadnych odgłosów dochodzących z oparów mgły,

jedynie ciche skrzeczenie mew. Znów poczuł mrówki na skórze, ale zignorował je. Nie ma mowy, aby przed taką robotą strzelić sobie działkę.

Poczuł, że łódź lekko się poruszyła, rufa zakotłowała się pod wpływem zrywającego się wiatru. Przez ostatnie pół godziny fale przybrały na sile, zwiastując zmianę pogody. Spojrzał na zegarek. Piąta. Robiło się późno. Wiedział, że przy wzburzonym morzu dziewczyny nie mogły kotwiczyć u brzegów Shark Island przez całą noc, gdyż nie było się tam gdzie schronić. Przeniosą skarb na pokład i przepłyną na którąś z wcześniejszych wysepek, zapewne do zatoki przy Otter, gdzie zaszyły się po ucieczce z wyspy admirała. Usłyszał coś i zaczął nasłuchiwać. Nad wodą unosiły się słabe głosy i skrzypienie wiosła w dulkach. Wracaly. Słyszał, jak podnoszą wiosła i wyładowują rzeczy na pokład łodzi, doszły go głucho stuknięcia rzucanego sprzętu, brzęk szpadla. Ich głosy były ciche, bardzo ciche. Z nadejściem ulewy mgła zaczęła rzednąć, ale widoczność wciąż była ograniczona do niecałych stu metrów.

Worth raz jeszcze wszystko skontrolował. Gotowe.

Usłyszał odgłos odpalanego silnika Marei, który pracował leniwie przez chwilę, gdy podniosły kotwicę. Pewnie zaczęły manipulować przy radiostacji VHF i radarze, zastanawiając się, dlaczego nie działają. Gdyby były bystre, zabrałyby ze sobą dla pewności krótkofalówkę i GPS-a, ale podczas przeszukania Marei niczego takiego nie znalazł. Silnik Marei zagrał równym rytmem, a Worth patrzył, jak zielona lampka oznaczająca łódź na ekranie jego radaru zaczyna się przesuwać. Spojrzał na zegarek, aby sprawdzić czas. Piąta dziewięć.

Ustawił zasięg radaru na dwie mile morskie, nieznacznie go powiększając, i patrzył, jak Marea przemieszcza się na zachód w kierunku wysp wewnętrznych, dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Gdy Marea przekroczyła na radarze dystans jednej mili morskiej, Worth uruchomił silnik swojej łodzi, podniósł kotwicę i zaczął płynąć w ślad za dziewczętami. Od bezpiecznej zatoki przy którejś z wysepek dzieliło je sześć mil morskich otwartych wód, a płynęły z prędkością sześciu węzłów. Morze z każdą chwilą było coraz bardziej wzburzone. Jakies pół mili dalej zwolnił. Marea się zatrzymała. Szybko wyłączył silnik i dryfując, zaczął nasłuchiwać. Nic. Silnik Marei z całą pewnością przestał pracować, łódź unosiła się bezwładnie na falach, spowita mgłą o siedem mil od brzegu, bez łączności radiowej. Ponownie uruchomił swój silnik i ruszył dalej z pełną mocą, biorąc kurs na Mareę. Punkt widoczny na radarze zbliżał się, pół mili, ćwierć, trzysta metrów...

Z odległości stu metrów mógł już nawiązać kontakt wzrokowy; Marea wyłoniła się z mgły. Jedna z dziewcząt użerała się z radiostacją, druga otworzyła klapę przedziału silnikowego i zaglądała do środka, przyświecając sobie latarką. Obie odwróciły się i spojrzały na niego. Cześć, suki.

Znalazłszy się o sześć metrów od Marei, wykonał swoją łodzią zwrot o 90 stopni na sterburcie, zredukował biegi, wrzucił luz, a następnie wsteczny, po czym gwałtownie zatrzymał swoją jednostkę. Ujął rękami kolbę rewolweru, wycelował w dziewczęta i zaczął strzelać.

34

Mark Corso zamknął na zasuwkę drzwi do swojego mieszkania, położył pudło na stole kuchennym i zaczął gorączkowo szukać pod zlewem leżącego tam gdzieś śrubokrętu. Dziecko znów zaczęło płakać, klimatyzator rzeził, po ulicach niósł się jęk syren, ale dla niego, skupionego na obecnym zadaniu, były to tylko dźwięki w tle. Włożywszy śrubokręt do tylnej kieszeni, przestawił krzesło z kuchni do pokoju, wszedł na nie i odkręcił płytę panelu oświetleniowego w suficie. Zdjął go i sięgnął do otworu po ukryty tam twardy dysk. Po chwili uruchomił komputer i podłączył do niego dysk. Jak w transie wpisał hasło, myśląc się trzy razy, nim zdołał się uspokoić. Pospiesznie sprawdził okres jednego okrążenia orbitalnego Deimosa -wynosił 30,4 godziny, podczas gdy dzień marsjański trwa 24,7 godziny.

Następnie wybrał dane o promieniowaniu gamma i sprawdził powtarzalność emisji: 30,4 godziny.

Setki godzin poświęcił na przeglądanie zdjęć powierzchni Marsa wykonanych w wysokiej rozdzielczości, poszukując czegoś dziwnego, czegoś niezwykłego, co mogło stanowić źródło emisji promieniowania gamma. Ale sonda orbitalna wykonała mnóstwo fotografii obejmujących czterysta tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni Marsa w najwyższej rozdzielczości i przepatrywanie zdjęć było jak szukanie igły nie w jednym, lecz w milionie stogów siana. Deimos był inny. Deimos był mały - ot bryła skały przypominająca kartofel i mierząca zaledwie piętnaście na dwanaście kilometrów. Cokolwiek emitowało promieniowanie gamma na powierzchni Deimosy, powinno być łatwe do odnalezienia. Prawie wstrzymując oddech, zaczął przeszukiwać foldery i pliki na 160-terabajtowym dysku i odkrył niewielki plik oznaczony jako „Deimos”. Przypomniał sobie, że jakieś trzy, cztery miesiące te-

mu marsjańska sonda orbitalna minęła go w niewielkiej odległości, omiatając go wiązką przenikających w głąb fal promieni radaru i wykonując serię zdjęć wyjątkowo wysokiej rozdzielczości. To były pierwsze zdjęcia Deimosy od czasu tych zrobionych przez Yikinga I w 1977 roku.

Otworzył plik i stwierdził, że było tam zaledwie trzydzieści fotografii i dwanaście obrazów sporządzonych z użyciem radaru. Wybrał pierwsze zdjęcie, powiększył je do najwyższej rozdzielczości, po czym nałożył na nie siatkę i zaczął uważnie przepatrywać po kolei każdy kwadrat. Deimos miał gładką, pozbawioną nierówności powierzchnię, pokrytą głównie grubą warstwą szarego pyłu, z ledwością utrzymywaną przez wątłą siłę ciężenia tego niedużego księżycy. Było tam zaledwie pół tuzina kraterów, z których dwa nazwano na cześć Swifta i Voltaire'a.

Zmuszając się, by nieco zwolnić, zaczął przeglądać kolejno wszystkie siatki. Rozdzielczość była na tyle dobra, że dało się rozpoznać poszczególne głązy na powierzchni; niektóre miały nie więcej niż metr średnicy.

Minęła godzina, potem dwie i wreszcie Corso skończył. Nie znalazł niczego, jedynie kilka dużych głębokich kraterów, skał, fragmentów ejektamentów oraz niekończące się pola i zwały regolitu.

Wstał i nagle poczuł się kompletnie wyczerpany i przybity. Uświadomił sobie, że być może gonił za czymś, co nie istniało; może to, co widział, było jedynie spotęgowaną przez promieniowanie kosmiczną emanacją samego księżycy, który, jako niewielki, mógł zostać potraktowany w danych jako punktowe źródło emisji.

Niepokojony tą myślą, wstawił wodę na kawę. Zanim się zagotowała, zaczął się zastanawiać nad swoją obecną sytuacją. To była katastrofa. Zawalił wszystko dokumentnie. Złamał już umowę najmu tego mieszkania, tracąc zastaw i czynsz za zeszły miesiąc; wpłacił zastaw oraz dwie raty - pierwszą i ostatnią za mieszkanie, na które nie było go stać. Nie miał dość funduszy, by przenieść swoje manatki z jednego mieszkania do drugiego, a co dopiero by wrócić na Brooklyn.

A jednak nie pozostawało mu nic innego. Nie mógł zostać tutaj i szukać nowej pracy, nie stać go było na to, nie mógł żyć z dnia na dzień ze studenckich pożyczek i żyłowania i tak już mocno nadszarpniętych kart kredytowych. Zresztą nie chciał zostać w południowej Kalifornii; nie znosił tego miejsca, nie znosił wszystkiego, co się z nim wiązało - z wyjątkiem Marjory. Marjory. Wylali go z Instytutu Badań i Rozwoju Napędów tak szybko i bezceremonialnie, że nawet nie zdążył się z nią pożegnać, wyjaśnić, co się stało, ani wysłuchać jej żartobliwego komentarza, który z pewnością poprawiłby mu humor.

Teraz mogło go uratować jedynie osiem tysięcy dolarów odprawy i wynagrodzenie za niewykorzystane urlopy, które mu się należały

Zaparzył kawę, dorzucając sporo cukru i dolewając śmietanki, po czym upił mały łyk. Miał jeszcze do przejrzenia obrazy zdjęć radarowych z Deimosa, ale wątpił, by mogły ukazywać coś ciekawego, gdyż obszar obejmowany przez radar wynosił trzydzieści metrów, a nie jeden metr jak w wypadku zdjęć z satelity. Przynajmniej było ich mniej, a co za tym idzie, miał mniej do obejrzenia. Nie bez wahania wrócił do komputera i wybrał plik z obrazami z radaru. Zostały obrobione komputerowo i przedstawiały długie pionowe paski wnikające pod powierzchnię Deimosa; wiązka radarowa sięgała nawet sto metrów w głąb gruntu. Obrazy wyglądały jak długie czarne paski lub wstążki, fragmenty obejmujące powierzchnię i obszar tuż pod nią miały czerwone i pomarańczowe obwódki.

Niemal natychmiast zauważył coś dziwnego. Pod kraterem Voltaire syntetyczny kształt jakiejś materii o dużej gęstości jarzył się pomarańczowym blaskiem. Corso przymrużył lekko powieki, próbując się zorientować, co to jest. Odchylił się do tyłu - oczywiście to była bryła meteorytu, która wybiła ten skądinąd spory krater. Nie było w tym nic niezwykłego.

Naukowcy z Instytutu zapewne już zbadali te zdjęcia i doszli do tego samego wniosku. Mimo to wybrał obraz przedstawiający krater Voltaire i ponownie mu się przyjrzał. To był najgłębszy i najświeższy krater na Deimosie, tak głęboki, że jego dno tonęło wśród głębokich cieni.

Corso wychylił się do przodu, mrużąc lekko powieki. Pośród tych cieni coś było.

Wyostrając obraz, zaczął wydobywać dziwny kształt z ciemności. Zwiększył kontrast, nałożył fałszywe barwy, wyostrzył kontury i sprawił, że niemal z każdego piksela udało się wydobyć maksimum informacji; Corso umiał to zrobić, dysponując nawet najsłabszymi, najbardziej nieostryimi danymi. Zajmował się tym już od prawie roku i wiedział doskonale, jak tchnąć życie w obraz - jeżeli to był prawdziwy obraz, a nie jakaś usterka. Był to trudny, wymagający wyczucia proces, który trwał blisko godzinę. Powoli zdumienie Corso przerodziło się w zaskoczenie, oszołomienie i wreszcie w osłupienie. Ponieważ to, co ujrzał w ciemnościach na dnie krateru Voltaire, nie było naturalnym obiektem. Nie miał najmniejszych wątpliwości. To nie była usterka czy błąd w oprogramowaniu.

To była konstrukcja, sztuczny obiekt, machina.

Oddychając ciężko, Corso wstał, podszedł do okna i oparł się o parapet, by twarz omiótł mu podmuch chłodnego powietrza z klimatyzatora; chłonał je łapczywie, usiłując uspokoić bijące gwałtownie serce. Słońce zachodziło nad skrzyżowaniem, rzucając brązowe światło na pejzaż pełen samochodów, świateł, linii energetycznych i tandetnych sklepików, przed którymi rosły rachityczne palmy.

Machina. Obca machina.

Mark Corso nagle poczuł spokój. Zdumiewający spokój. Ta sprawa była poważniejsza niż jego banalne kłopoty osobiste. Przypomniała mu, że właśnie dlatego zainteresował się nauką. Teraz, kiedy wylano go z roboty, miał czas, by wszystko gruntownie przemyśleć i postanowić, co powinien zrobić. Dane były tajne, posiadając je, popełniał poważne przestępstwo, nie mógł zatem ogłosić swojego odkrycia. Gdyby pochwalił się tym w Instytucie, na pewno jego byli przełożeni znaleźliby sposób, aby odebrać mu związane z tym zaszczyty, a może nawet posłaliby go za kratki. Choćby tylko dlatego musiał działać ostrożnie, wszystko dokładnie przemyśleć, nie robić niczego pochopnie. Potrzebował czasu, przestrzeni i spokoju, by podjąć

właściwe decyzje, ponieważ to, co uczyni, wpłynie nie tylko na jego losy, lecz bardzo możliwe, że zadecyduje o przyszłości całej planety.

Corso wziął jeszcze jeden głęboki oddech, wyprostował się i zaczął pakować swoje rzeczy, szykując się na powrót do Brooklynu.

35

Ogłuszający huk rozbrzmiał raz i drugi, pociski przebiły wykonaną z włókna szklanego ścianę sterówki, zasypując Abbey deszczem ostrych odłamków. Z krzykiem rzuciła się na pokład,

ogarnięta otępiającą paniką. Nagle z mgły wyłoniła się łódź, płynąc prosto na Mareę z pełną prędkością, a gdy wykonała zwrot i nieznacznie się wycofała, okazało się, że na pokładzie stoi Randall Worth z wielkim rewolwerem i zaczyna strzelać.

- Co jest, kurwa? - wrzasnęła Jackie rozciągnięta płasko na pokładzie.

Bach! Bach! Kolejne dwie kule przebiły szyby, a następna wyrwała dziurę wielkości piłki tenisowej tuż obok jej głowy.

- Jackie! - krzyknęła Abbey. - Jackie!

- Tu jestem - rozległ się zduszony głos.

Abbey zobaczyła przyjaciółkę skuloną w kącie, zasłaniającą głowę rękami.

- Zejdź pod pokład! - krzyknęła, pełzną w kierunku zejściówki. - Poniżej linii wody.

Dotarła do zejściówki i zjechała po niej głową w dół, lądując na podłodze kajuty. Jackie zjawiła się po chwili, krzycząc i osłaniając głowę.

- Jesteś ranna? - zawołała Abbey.

- Nie wiem - zaszlochała Jackie.

Abbey przyjrzała się jej, ale nie dostrzegła żadnych obrażeń poza skaleczeniami od odłamków z włókna szklanego.

- Co się, kurwa, dzieje? - wrzasnęła Jackie z rękoma nad głową. - Co jest, kurwa?

- To Worth. Strzela do nas.

- Ale dlaczego? - jęknęła Jackie.

Abbey potrząsnęła nią.

- Ej, posłuchaj mnie.

Jackie przełknęła ślinę.

Kolejne pociski przeszły nadbudówkę, przebijając kadłub i bulaje nad kojami. Jedna z kul wybiła otwór na wysokości linii wody i do kajuty zaczęła wdzierać się woda.

Jackie wrzasnęła, osłaniając głowę.

- Słuchaj mnie, do cholery! - zakrzyknęła Abbey, próbując zmusić Jackie, by ta opuściła rękę. - Jesteśmy poniżej linii wody. Tu nie może nas trafić. Ale wejdź na pokład. Będziemy musiały się bronić. Rozumiesz?

Jackie pokiwała głową.

Abbey rozejrzała się wokoło. Koje wyglądały fatalnie, zmięte śpiwory, brudne naczynia w zlewie, wszystko pokryte fiberglasowym pyłem. Woda wdzierała się przez otwór i Abbey słyszała odgłos włączających się automatycznie pomp zęzowych.

Skrzynka z narzędziami pod zlewem. Schylając się nisko, Abbey wyciągnęła rękę i otworzyła szafkę.

Nad wodą poniósł się głos:

- Hej, dziewczynki! Tatuś wrócił!

Zaraz potem rozległo się sześć kolejnych wystrzałów, kule przebiły ścianki kajuty nad ich głowami. Zgięta wpół Abbey wyciągnęła skrzynkę spod zlewu, otworzyła i wysypała narzędzia na podłogę. Zaczęła w nich grzebać i wybrała nóż do oprawiania ryb oraz młotek.

- Gaz pieprzowy. Gdzie jest?

- Na rufie w plecaku - zachlipała Jackie.

- Cholera.

Abbey włożyła nóż za pasek i podała młotek Jackie.

- Weź to.

Bach! Bach! Bach! Bach! Bach! Padła kolejna seria wystrzałów. Odłamki włókna szklanego rykoszetowały po całej kajucie, wypełniając powietrze duszącym żywicznym pyłem. Abbey podpełzła do drzwi zejściówki, przekręciła zasuwkę i cofnęła się.

- Toniemy - powiedziała Jackie.

- To najmniejszy problem.

Usłyszały odgłos silnika, gdy Worth ustawił swoją łódź równolegle do Marei. Najpierw bieg jałowy, potem szybko wsteczny, a po chwili łódź lekko uderzyła w Mareę, na którą z głuchym stukotem przeskoczył Worth.

- Kurwa mać - wycedziła, dysząc ciężko Jackie. - Jest na pokładzie.

Abbey próbowała opanować oddech. Potrzebowały planu.

- Połóż się na pokładzie - rzekła - pośrodku. Udawaj, że jesteś ranna. Ja się schowam.

Kiedy sforsuje drzwi, wyskoczę z ukrycia i dźgnę go nożem.

- Oszalałaś? On ma spluwę!

- Jest naćpany po uszy. Rób, co mówię, i kładź się.

Jackie skuliła się na podłodze, bezradna i szlochająca. Abbey zaczęła się przy wejściu, przysmykając drzwi tak, że przez szparę mogła widzieć schody zejściówki. Sprężyła się do skoku. Usłyszała tupot buciorów Wortha na pokładzie.

- Tatuś wrócił!

Abbey ścisnęła nóż w dłoni i wyrzała przez szparę. Mężczyzna powoli obszedł cały pokład i wszedł do sterówki. Spróbował otworzyć drzwi, a gdy okazało się, że są zamknięte, załomotał w nie.

- Teraz się dowiesz, co znaczy głębiej, ty czarna zdiro! Ty i twoja pieprzona kumpela! Zabiorę wasz skarb i dam wam nauczki, której nigdy nie zapomnicie!

Skarb? Ten kretyń uwiarył w ich historyjkę. Abbey usłyszała jego urywany, zmęczony oddech i wyraźne drżenie w głosie. To przeraziło ją bardziej niż strzały.

- Ale... my nie mamy żadnego skarbu - rzuciła Jackie zwinięta w kłębek na podłodze i z trudem dobywająca słowa przez ściśnięte trwogą gardło.

- Masz mnie za durnia, parszywa cipo? - wychrypiął Worth. - Nie próbuj mnie okłamywać. Jestem tutaj, by odebrać wam skarb i nauczyć was obie szacunku.

- Przysięgam, że nie mamy...

Przerwało jej kopnięcie w wątle drzwi, które pękły prawie na pół.

- Nie! Nie! - krzyknęła Jackie.

Abbey się sprężyła. Jeszcze jedno kopnięcie i drzwi ustąpiły, rozłupane na dwie części, zwieszając się luźno we framudze. Worth pojawił się u szczytu schodów z wielkim rewolwerem w ręku, schylił się i spojrzał w dół.

- Wendy, wróciłem!

Kolejnym kopniakiem usunął z drogi zniszczone drzwi i postawił wielką stopę na górnym stopniu, zrobił krok, potem następny i w ten sposób dotarł na sam dół krótkich schodów. Jackie leżała zwinięta w kłębek na podłodze, popłakując. Wycelował w nią, trzymając rewolwer pod kątem.

- Gdzie skarb?

- Błagam... nie ma żadnego skarbu... - zaszlochała Jackie, zakrywając głowę i kuląc się jeszcze bardziej. - Nie ma żadnego skarbu... słowo daję... tylko krater...

- Pieprzenie! - wrzasnął Worth, potrząsając bronią. - Nie pogrywaj ze mną!

Jeszcze jeden krok.

Postąpił krok naprzód.

Abbey wyskoczyła z ukrycia i z całej siły zamachnęła się, mierząc w jego plecy. On jednak usłyszał ją i wolną ręką odtrącił w bok. Nóż wypadł jej z ręki, a Worth strzelił na oślep; kula wybiła jeszcze jeden otwór w kadłubie poniżej wody. Struga morskiej wody zaczęła wdierać się do środka.

Abbey rzuciła się na niego, ale on trzasnął ją pięścią w brzuch i osunęła się na kolana bez tchu, dławiąc się i stękając, walcząc o odzyskanie oddechu; lodowata woda zalewała jej ciało.

- Gdzie skarb, suko!

Schwycił ją za włosy, odwrócił jej głowę i wbił lufę rewolweru w ucho.

Dyszała ciężko. Znow odwrócił jej głowę i włożył lufę rewolweru do ust.

- Hej, Jackie! Gadaj, gdzie skarb, albo pociągnę za spust!
- Ten skarb to było kłamstwo - wyszeptwała Jackie. - Błagam, uwierz mi, wymyśliłam tę historyjkę dla zamydlenia ci oczu...

Odciągnął kurek.

- Przestań kłamać, suko, albo ona zdechnie! Gadaj, kurwo, gdzie to jest! Ale już!
Abbey próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła, wody szybko przybywało.

- Ostatnia szansa!

- Dobra, dobra, już powiem! - krzyknęła Jackie. - Przestań, to powiem!

- Gdzie? - ryknął Worth, a jego podniesiony głos zabrzmiał dziwnie piskliwie.

- W kokpicie rufowym. Pod pokrywą tylnego luku. Przyklejony pod pokładem, powyżej przedziału sterowego.

- Szybko, idź po to. Łódź tonie!

Jackie podniosła się z podłogi. Była cała mokra. Poziom wody w kajucie wynosił już prawie piętnaście centymetrów.

- Ty, Abbey! Idź z nią.

Worth wyszarpnął lufę rewolweru z jej ust, łamiąc jej ząb, i po-dźwignawszy ją brutalnie na nogi, zmusił, by wspięła się po zejściów-ce i przeszła ze sterówki na rufę.

- Otwieraj! - ryknął do Jackie, wciąż trzymając rewolwer przy głowie Abbey.

Dziewczyna próbowała otworzyć luk, unosząc dźwignię i przekręcając.

- Pospiesz się albo ją rozwalę!

Naparła raz jeszcze z całej siły.

- Nie mogę! Zaklinowało się! Potrzebuję pomocy!

Worth pchnął Abbey, przewracając ją na pokład.

- Pomóż jej!

Twarz miał wykrzywioną okropnym grymasem i rozognioną, żyły wyszły mu na szyi, przetluszczone włosy lepiły się w strąkach do

czaszki, z ust wypełnionych pieńkami poczerńiałych zębów ział cuchnący oddech.

Abbey przepęzła przez pokład i schwyciła za dźwignię z jednej strony, a Jackie z drugiej. Ich spojrzenia spotkały się, po czym dziewczęta przez chwilę udawały, że mocują się z dźwignią. W dalszym ciągu bez powodzenia.

- Mocniej!

Kolejna chwila gorączkowej szarpaniny.

- Przejdźcie na drugą stronę łodzi. Obie. Tam - nakazał Worth i machnął trzymanym w dłoni rewolwerem.

Zrobiły tak, po czym przytuliły się do siebie, a Abbey szturchnęła Jackie, kierując wzrok na młotek, który jej przyjaciółka wciąż miała przy sobie. Jackie niepostrzeżenie podała jej młotek.

Powoli, nie spuszczać ich z oczu, Worth odłożył broń, schwycił obiema rękami za dźwignię i obrócił. Luk otworzył się bez najmniejszego oporu.

- Żalotne cipy - wycedził, przesuwając pokrywę luku.

Zawahał się, zaglądając z przejściem do ciemnego otworu. Nie mógł się powstrzymać, pochylił głowę, by zajrzeć pod pokład.

Abbey przemknęła po pokładzie i zamachnęła się trzymanym obu rączy młotkiem, w chwili gdy właśnie podnosił głowę. Młotek trafił go w sam czubek czaszki, przy wtórce odgłosu przyprowadzającego o mdłości, przywodzącego na myśl dźwięk kija uderzającego w wydrążony pień. Worth osunął się bezwładnie do przodu. Z wgniecenia na czaszce buchnęła krew, zalewając pokład i mieszając się z deszczówką. Mały palec Wortha zadrżał groteskowo i znieruchomiał. Jackie dopadła do plecaka, wyjęła gaz pieprzowy i potraktowała nim leżącego bezwładnie mężczyznę.

Zapadła długa cisza, po czym Jackie z trwogą w głosie oznajmiła:

- O Boże, on nie żyje.

Abbey patrzyła w osłupieniu. To wydawało się takie nierealne, zupełnie jak film. Nie mogła się poruszyć ani nawet oddychać.

- Abbey? - rzuciła Jackie. - Toniemy.

Łódź ojca Abbey tonęła. Dziewczyna upuściła młotek i podbiegła do panelu kontrolnego. Pompy żezowe pracowały pełną parą, ale jeszcze gdy zaczęła sprawdzać poziom uszkodzeń, rozległo się głośnie skwierczenie; to podnoszący się poziom wody zalał akumulatory i wyłączył je wskutek krótkiego spięcia. Elektryka łodzi siadła, pompy żezowe umilkły.

Jackie również przeszła do działania. Wpadła do kajuty, brodząc przez wodę, i sprawdziła otwory w kadłubie łodzi. Następnie zgarnęła koc, zwój liny i wyniosła na pokład.

- Pomóż mi, Abbey! - krzyknęła i rzuciła jej linę. - Przetnij ją na cztery części i przywiąż do czterech rogów koca!

Abbey wykonała polecenie, podczas gdy Jackie zdjęła buty, wstrzymała oddech i wskoczyła do wody. Po chwili pojawiła się na powierzchni.

- Podsuń w moją stronę jeden róg koca! Obwiążemy go wokół łodzi, zakrywając te dziury.

Abbey wystawiła koc przez burłę, a Jackie schwyciła jeden koniec i wpłynąwszy pod łódź, przesłoniła kocem otwory w kadłubie, po czym wypłynęła z drugiej strony z linami w dłoni. Znalazłszy się na powierzchni, parsknęła przez chwilę, próbując złapać oddech.

- Weź to ode mnie!

Abbey przywiązała linki do relingu i wciągnęła Jackie na pokład. Marea zaczęła się przechylać.

- Myślisz, że to poskutkuje? - spytała Abbey.

- Powinno dać nam trochę czasu. Użyjemy łodzi Wortha, by ją po-holować do najbliższej wyspy Tam ją zostawimy - powiedziała Jackie. - Za mną.

Przeskoczyła z Marei na Old Salt, która wciąż była do niej przycumowana; silnik pracował na jałowym biegu. Stała za sterem. Abbey po chwili do niej dołączyła. Jackie uruchomiła silnik i zwiększyła obroty na pełną moc. Silnik zaryczał, łódź pomknęła naprzód, ciągnąc obok siebie dziewięcietonową Marea. Jackie wyregulowała ster, by skompensować obciążenie.

- Dokąd płyniemy? - zawołała Abbey.

- Na Franklin. Wprowadzimy obie łodzie na jedną z tamtejszych plaż. To jedyne wyjście. Sprawdź, czy knagi wytrzymają.

Podczas gdy Abbey wykonała polecenie, Jackie włączyła radiostację i zaczęła nadawać wezwanie o pomoc:

- Tu Marea, Marea, Marea na 43° 50' szerokości północnej i 69° 23' długości zachodniej. Moja łódź tonie i mamy ciężko rannego pasażera. Towarzyszy nam druga łódź, która nas holuje. Proszę o natychmiastową pomoc. Odbiór.

Zakończyła nadawanie i czekała. Minutę później nadeszła odpowiedź:

- Marea, tu posterunek straży przybrzeżnej z Tenants Harbor. Najbliżej ciebie znajduje się łódź do połowu homarów Misty Sue, na południe od Friendship Long Island, i płynie już do ciebie z prędkością dziesięciu węzłów. Misty Sue skontaktuje się z tobą na kanale szóstym. Odbiór.

- Nie ma nikogo bliżej? - wrzasnęła Jackie. - My toniemy!

- Na morzu nie ma dziś wiele jednostek, Marea. Wysyłamy z Tenants Harbor jednostkę straży przybrzeżnej Admirał Fitch z lekarzem na pokładzie.

- Spróbuję dopłynąć i osadzić łódź na brzegu Franklin - powiedziała Jackie.

- Marea, o jakich obrażeniach mowa?

- Myślę, że ten człowiek nie żyje. Ma czaszkę rozbitą młotkiem.

Zapadła cisza.

- Proszę powtórzyć.
- Powiedziałam, że on nie żyje. Randall Worth. Strzelał do nas, a potem wdarł się na pokład naszej łodzi. To była napaść i usiłowanie kradzieży. Więc go zabiłyśmy.

Chwila przerwy.

- Czy ktoś jeszcze jest ranny?
- Właściwie to nie.
- Wobec tego mamy do czynienia z miejscem zbrodni i tak musimy to potraktować.

Zalecam... - ciągnął głos.

Łodzie wlokły się z prędkością trzech węzłów i zwalniały, w miarę jak Marea coraz bardziej nabierała wody. Abbey zajrzała pod pokład; koc spowolnił napływ wody, ale go nie zatrzymał. Do Franklin pozostawały jeszcze cztery mile, przy tej prędkości powinny tam dotrzeć za ponad godzinę.

- Kurwa! - rzuciła głośno Jackie, przerywając połączenie ze strażą przybrzeżną i przechodząc na kanał szósty.

- Tu Marea, wzywam Misty Sue, gdzie jesteś?

- Właśnie przechodzę przez przesmyk przy Allen Island. Co się dzieje?

- Holuję tonącą łódź. Potrzebuję więcej mocy do holowania. Próbuję dotrzeć z nią do brzegu Franklin.

- Powiniennem dopłynąć do ciebie za... czterdzieści minut.

Łódź Wortha uparcie parła naprzód, ciągnąc obok siebie tonącą Mareę. Ta miała już bardzo mocny przechył, a ponieważ stawiała coraz większy opór, Old Salt z wolna traciła sterowność.

- Musimy ją odciąć - powiedziała Jackie. - Gdy zatonie, przewróci nas i wciągnie pod wodę.

- Nie - zaprotestowała Abbey. - Zdejmiemy cumy z knag i przywiążemy je ponownie do rufy, a potem poholujemy ją za nami. W ten sposób będziemy płynąć szybciej.

- Spróbuj.

Abbey odwiązała Mareę od relingu burtowego i przymocowała cumę do knagi rufowej.

- Ta knaga nie wytrzyma - stwierdziła Jackie.

- Jest lepsza niż tamta.

Jackie powoli zaczęła zwiększać obroty, stopniowo wzmacniając napór. Marea miała teraz tak duży przechył na lewą burtę, że woda zaczęła wlewać się do środka przez jedną z rufowych luk odpływowych. Łódź Wortha ryczała i natężała się, lina była napięta jak struna, ale mimo to jednostki ledwie posuwały się naprzód.

- Abbey, na miłość boską, łódź tonie! Wciągnie nas pod wodę!

Jackie pchnęła przepustnicę do oporu. Silnik zawył z wysiłku, rozległ się trzask jak wystrzał ze śrutówki i knaga odpadła wraz z dużym fragmentem rufy Łódź Wortha wyskoczyła do przodu. Jackie mocno zakręciła sterem w lewo, zawracając w stronę Marei, ale już było za późno. Przy wtórze głuchego westchnienia wyduszanego na zewnątrz powietrza łódź do połowy homarów ciężko osunęła się na burtę. Po chwili zanurzyła się w falach i zniknęła, pozostawiając po sobie tylko plamę ropy

- O Boże - jęknęła Jackie. - Worth został na pokładzie.

Abbey patrzyła ze zgrozą, nie do końca ogarniając ogrom koszmaru, jaki się właśnie wydarzył.

- Łódź mojego ojca... właśnie poszła na dno.

36

Boja sygnałowa u wylotu Round Pond Harbor, ledwie widoczna wśród siąpiącej mżawki, kołysała się w przód i w tył na coraz większych falach. Abbey stała u steru łodzi Wortha, wpływając za Admiralem Fi-tchem, jednostką straży przybrzeżnej, do zatoki. Spotkała się z

nimi o jakąś milę od lądu - za późno, by mogła się do czegokolwiek przydać - a teraz straż przybrzeżna miała mały ubaw, eskortując dziewczyny do portu. Mgła niemal całkiem się rozwiła, pozostawiając świat w wilgotnym, przygnębiającym zmierzchu. Kiedy ich oczom ukazało się nabrzeże, Abbey dostrzegła całą masę błyskających świateł na parkingu nad przystanią.

- Wygląda na to, że mamy komitet powitalny.

Znalazłszy się w zatoce, zredukowała obroty silnika i przeniosła wzrok na Jackie. Wyglądała okropnie, mokre włosy miała brudne i po-zlepiane w strąki, pod oczami wielkie sińce, a twarz, dłonie i ubranie umazane błotem.

- Co im powiemy? - spytała Jackie.

- Wszystko, z wyjątkiem historii z meteorytem. Szukałyśmy skarbu Dixie Bulla. Tak jak przypuszczają.

- Ee, ale czemu mamy im nie mówić o meteorycie?

- Może wciąż uda się nam na tym zarobić.

- Jak?

- Nie wiem. Potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić.

Nastała długa cisza.

- Może zdołają podnieść łódź mojego ojca - powiedziała wreszcie Abbey - i uda się ją wyremontować.

- Oczywiście, że ją podniosą - odparła Jackie. - To miejsce zbrodni, a na pokładzie są zwłoki. Ale łódź możesz spisać na straty, Abbey. Spoczęła na dnie, na trzydziestu metrach. Przykro mi.

Abbey spojrzała na przyjaciółkę i zobaczyła, że tamta płacze.

- Hej, Jackie. Co jest... Przecież robiłaś, co w twojej mocy, by ją ocalić. - Objęła ją ramieniem. - Boże, przepraszam, że zabrałam cię na tę okropną wyprawę w pogoni za iluzją. To tak jak z innymi szalonymi projektami, w które cię wciągnęłam. Nie wiem, dlaczego wciąż chcesz się ze mną przyjaźnić.

- Ja też nie wiem - przyznała Jackie.

- Kocham cię. Uratowałaś mi życie.

- A ty mnie i też cię kocham.

Abbey wierzchem dłoni otarła łzę z kącika oka.

- Cholera, jakoś przez to przebrniemy

Gdy w oddali zamajaczyła przystań, Abbey ujrzała co najmniej tuzin radiowozów z włączonymi kogutami stojących w rzędzie na parkingu. Nieco dalej na trawniku przed Anchor Inn zebrała się chyba połowa miasteczka wyczekująca z niecierpliwością na ich powrót. Były tam także ekipy stacji telewizyjnych z kamerami.

- Boże, spójrz tylko, ile tam ludzi - rzuciła Jackie, wycierając oczy i wydmuchując nos.

- Jak ja im się pokażę? Wyglądam okropnie.

- Przygotuj się na swoje piętnaście minut sławy.

Usłyszały gwar niosący się nad wodą, głosy ludzi, okrzyki gliniarzy, trzaski i szumy z policyjnych radiostacji. Był tam także zastęp ochotniczej straży pożarnej, Samoset Nr 1, z nowiutkim czerwonym wozem strażackim. Wszyscy strażacy mieli na sobie sztormiaki i trzymali w dłoniach kaski. Wszyscy świetnie się bawili.

- RBM Fitch do Old Salt, zgłoś się - dobiegł surowy głos z radiostacji ustawionej na częstotliwość VHE

- Tu Old Salt - Abbey z ledwością przeszło przez gardło wymówienie nazwy starej łajby Wortha.

- Old Salt, policja stanowa zażądała, abyście przybyli do pirsu pierwszego na przystani handlowej i natychmiast opuściły łódź, niczego z niej nie zabierając. Nie gaście silnika ani nie rzucajcie cum. Funkcjonariusze policji wejdą na pokład i przejmą kontrolę nad łodzią.

- Zrozumiałam.
- RBM Fitch, odbiór.

Fitch podpłynął do przystani handlowej, członkowie straży przybrzeżnej w chwackich mundurach zeskoczyli na molo i gładko jak na ćwiczeniach zacumowali łódź. Abbey zatrzymała Old Salt tuż obok Fitcha.

Na przystani roilo się od funkcjonariuszy policji stanowej i kilku z nich natychmiast wskoczyło na pokład, by zabezpieczyć łódź. Abbey zeszła na przystań ramię w ramię z Jackie. Tuż obok nich pojawił się zaraz funkcjonariusz z notesem na podkładce.

- Panna Abbey Straw i panna Jacqueline Spann?
- To my.

Abbey powiodła wzrokiem przez parking. Odniosła wrażenie, jakby całe miasteczko przyglądało się im spoza kordonu policji. Po jednej stronie rozległ się dźwięk pracujących kamer. Usłyszała krzyk, odgłosy szamotaniny.

- To moja córka, idioto! Abbey! Abbey!

To był jej ojciec. Wcześniej wrócił do domu.

- Puszczaj!

Sprintem przebiegł po trawiastym zboczu, w kraciastej koszuli, rozchełstanej i wyciągniętej ze spodni, ze zmierzwioną brodą, z tupotem pokonał drewniane stopnie, minął sklep z przynętami i pognął wzdłuż przystani. Dotarł do końca pirsu i zaciskając dłonie na poręczach schodków, zbiegł po nich w okamgnieniu i rzucił się w stronę córki z rozwianymi dziko włosami.

- Tato...

Funkcjonariusz cofnął się. Gdy ojciec podbiegł do Abbey, wziął ją w ramiona, a z jego szerokiej piersi dobył się potężny szloch.

- Powiedzieli, że próbował was zabić!

- Tato...

Abbey starała się wyślizgnąć z jego uścisku, ale jej nie puścił, więc stała tam, skrepowana, zakłopotana i upokorzona.

Całe miasteczko ma nie lada ubaw - co za widowisko. Ojciec ujął ją za ramiona i nieznacznie odsunął się do tyłu.

- Tak się martwiłem. Zobacz tylko... twój ząb. I masz rozciętą wargę. Czy ten skurwiel...?

- Tato... ząb nieważny... Twoja łódź utonęła.

Spojrzał na nią kompletnie oszołomiony.

Zwiesiła głowę i rozplakała się.

- Tak mi przykro. Przepraszam.

Długa cisza, aż w końcu ojciec przełknął ślinę albo przynajmniej próbował, jego jabłko Adama unosiło się i opadało gwałtownie. Po chwili ponownie ją objął.

- A co tam. Łódź to tylko łódź.

Od strony miasteczka dały się słyszeć spontaniczne oklaski i wiwaty

37

Ford wszedł do biura i zastał Lockwooda siedzącego za swoim biurkiem. Obok niego stał generał brygady ze zmierzwionymi włosami i w wymiętym mundurze; Ford rozpoznał go od razu - był to łącznik Pentagonu z Urzędu do spraw Nauki i Polityki Technologicznej.

- Wyman - rzekł Lockwood, wstając z miejsca - znasz generała porucznika Jacka Mickelsona z Sił Powietrznych USA, zastępca dyrektora Narodowej Agencji Wywiadu Geoprzestrzennego. Kieruje całym tym wywiadem.

Ford wyciągnął rękę do generała.

- Miło mi znów pana widzieć - rzekł nieco lodowatym tonem.
- Ja też cieszę się, że pana widzę, panie Ford.

Dłoń generała była miękka, a nie twarda jak kamień, inaczej niż większości oficerów, którzy przez całe życie starali się udowodniać swoją męskość. Ford przypomniał sobie, że to mu się spodobało w Mickelsonie. Teraz nie miał już pewności, czy lubił tego człowieka.

Lockwood wyszedł z biurka i skinął w stronę kąpaka rekreacyjnego nieopodal.

- Usiądziemy?

Ford usiadł, generał zajął miejsce naprzeciwko niego, a Lockwood wybrał dla siebie sofę.

- Poprosiłem generała Mickelsona, by do nas dołączył, bo wiem, że darzysz go sporym szacunkiem, Wyman, i miałem nadzieję, że wspólnie uda się nam szybko znaleźć rozwiązanie obecnych problemów.

- Świetnie, wobec tego przejdźmy do rzeczy - rzekł Ford, spoglądając na Lockwooda. - Okłamałeś mnie, Stanton, wysłałeś mnie na niebezpieczną misję, zafałszowałeś faktyczny cel tej misji i co więcej, zataiłeś przede mną istotne informacje.

- To, o czym mamy tu rozmawiać, jest ściśle tajne - powiedział Lockwood.

- Wiesz doskonale, że nie musisz mi o tym przypominać.

Mickelson wychylił się do przodu, podpierając się na łokciach.

- Mogę ci mówić Wyman? Ty mów mi Jack.

- Z całym szacunkiem, generale, żadnych przeprosin ani pogawędek. Tylko wyjaśnienia.

- Dobrze.

Głos generała stał się szorstki, lekko chropowaty, niebieskie oczy błyszczały przyjaźnie, a wrażenie pewności siebie graniczącej z butą łagodziły swobodne gesty i ubiór. Ford poczuł narastające rozdrażnienie wynikające z przeświadczenia, że znów ktoś chce zamydlić mu oczy.

- Jak zapewne wiesz, mamy na całym świecie sieć czujników sejsmograficznych.

Czternastego kwietnia o godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści cztery nasza sieć wykryła test z użyciem umieszczonego pod ziemią ładunku jądrowego w górach Kambodży. I właśnie dlatego postanowiliśmy to zbadać. Szybko ustaliliśmy, że eksplozja była w rzeczywistości wynikiem uderzenia w ziemię meteoroidu, i odkryliśmy powstały przy tym krater. W tym samym czasie u wybrzeży Maine zaobserwowano meteor, który wpadł do oceanu. Dwa równoczesne uderzenia. Nasi naukowcy wyjaśnili, że była to zapewne niewielka asteroida, która rozpadła się w przestrzeni kosmicznej na dwie części, a te rozdzieliły się i w efekcie wylądowały w dwóch sporo od siebie oddalonych miejscach. Jak mi powiedziano, to zdarza się dość często.

Generał przerwał, gdy na biurku Lockwooda włączył się cichy sygnał, a po chwili podano kawę - asystent wprowadził niewielki wózek ze srebrnym dzbankiem z kawą, małymi filiżankami i bryłkami cukru w niebieskiej szklanej miseczce. Ford nalał sobie kawy i wypił duszkiem, nie słodząc jej ani nie dodając śmietanki. Była czarna, mocna, świeżo parzona. Mickelson podziękował. Kiedy asystent wyszedł, generał kontynuował:

- Uderzenia meteoroidów nie należą do naszego zadania, więc zwyczajnie odłożyliśmy tę informację ad acta. I na tym mogłoby się to zakończyć. Ale...

Mickelson wyjął z aktówki cienką niebieską teczkę, położył ją i otworzył. Wewnątrz znajdowało się wykonane z kosmosu zdjęcie czegoś, co Ford w okamgnieniu rozpoznał jako kopalnię miodówek w Kambodży

- Wtedy na rynku zaczęły się pojawiać radioaktywne kamienie. Stały się one przyczyną poważnych zmartwień naszych speców od zwalczania terroryzmu, którzy zaczęli się obawiać, że mogłyby zostać użyte do produkcji brudnych bomb. Każdy, kto dysponowałby sprzętem laboratoryjnym na poziomie gimnazjalnym, mógłby pozyskać z tych kamieni ameryk-241.

- A co z uderzeniem w Maine? Zbadaliście to?

- Tak, ale meteoryt wpadł do Atlantyku kilka mil od brzegu. Nie do odzyskania i co więcej, nie jesteśmy w stanie określić dokładnego miejsca jego upadku.

- Rozumiem.
 - Tak czy owak wiedzieliśmy o kraterze po uderzeniu meteorytu w Kambodży, wiedzieliśmy, że kamienie pochodziły, najogólniej rzecz biorąc, z tamtej okolicy, ale nie byliśmy w stanie potwierdzić więzi między jednym a drugim. Dlatego potrzebna była operacja w terenie.
 - I tu wkraczam ja.
- Mickelson pokiwał głową.
- Powiedziano ci wszystko, co powinieneś być wiedzieć.
 - Generale, z całym szacunkiem, powinien pan być zapewnić mi większe wsparcie, powinienem zostać wtajemniczony w sprawę, trzeba było mi pokazać zdjęcia satelitarne. Tak by się pan zachował, gdyby miał do czynienia z agentem CIA.
 - Szczerze mówiąc, właśnie dlatego na tę misję wybraliśmy kogoś spoza CIA. Chcieliśmy jedynie obserwatora w terenie. Potwierdzenia z niezależnego źródła. Nie spodziewaliśmy się... - odchrząknął i odchylił się do tyłu - że zdecydujesz się tak po prostu zniszczyć kopalnię.
 - W dalszym ciągu nie wierzę, że mówi mi pan całą prawdę.
- Lockwood wychylił się do przodu.
- Oczywiście, że nie mówimy ci całej prawdy. Na miłość boską, Wyman, od kiedy w tym biznesie ktokolwiek dowiaduje się całej prawdy? Chcieliśmy zbadać tę kopalnię, ale miała pozostać nietknięta. Narobiłeś nam ogromnych kłopotów.
 - To jeszcze jeden minus zatrudniania wolnego strzelca - odrzekł lodowatym tonem Ford.
- Lockwood westchnął z rozdrażnieniem.
- Dlaczego ta kopalnia była taka ważna? - spytał Ford. - Czy chociaż tego mógłbym się dowiedzieć?
 - Ten meteoroid wydaje się naprawdę niezwykły, jak możemy stwierdzić na podstawie analizy wspomnianych już kamieni.
 - To znaczy?
 - Nawet gdybyśmy to wiedzieli, a nie wiemy, i tak nie moglibyśmy ci tego powiedzieć. Powiem ci tylko, że nigdy dotąd nie spotkaliśmy się z czymś takim. A teraz, Wyman, czy byłbyś łaskaw przekazać nam dane? Bardzo proszę.
- Ford zauważył już wcześniej żołnierzy przed gabinetem Lockwooda i dobrze wiedział, co by się z nim stało, gdyby nie wypełnił polecenia. Nieważne, dostał to, po co tu przybył. Wyjął z kieszeni flash drive'a i rzucił na stolik.
- Wszystko jest zaszyfrowane: zdjęcia, koordynaty GPS, nagranie wideo.
- Podał im hasło.
- Dziękuję.
- Lockwood uśmiechnął się ponuro i wziął do ręki flash drive'a. Wyjął z kieszeni białą kopertę i położył na stoliku.
- Druga rata twojego honorarium. Dziś o czternastej czekają na ciebie w Langley, masz złożyć szczegółowe wyjaśnienia w sali konferencyjnej dyrektora centrali wywiadu. Dopiero wtedy twoje zadanie zostanie uznane za zakończone.
- Lockwood wygładził dłonią czerwony jedwabny krawat, poprawił granatowy garnitur i dotknął siwych włosów nad uszami.
- Prezydent pragnie wyrazić podziękowanie za twój trud, chociaż, delikatnie mówiąc, nie trzymałeś się sztywno zaleceń.
 - Przyłączam się - rzekł Mickelson - świetnie się spisałeś.
 - Cieszę się, że mogłem pomóc - odparł Ford z nutką ironii i jakby mimochodem dodał:
 - Ach, i jeszcze jedno. Zupełnie bym zapomniał.
 - Co takiego?

- Wspomniał pan, że ta asteroida rozpadła się na dwie części i że te dwa fragmenty uderzyły w Ziemię.
- Zgadza się.
- Wcale nie. Mamy do czynienia tylko z jednym obiektem.
- Niemożliwe - mruknął Mickelson. - Nasi naukowcy są absolutnie pewni, że doszło do dwóch uderzeń, jednego na Atlantyku i drugiego w Kambodży
- Nie, kopalnia w Kambodży to nie był krater powstały w wyniku uderzenia.
- Wobec tego co to jest?
- Otwór wylotowy.

Lockwood patrzył, podczas gdy Mickelson wstał z fotela.

- Sugerujesz, że...?
- Właśnie tak. Meteoryt, który uderzył w Maine, przeszedł przez Ziemię na przestrzał i wyleciał w Kambodży Dane na tym flash drivie powinny to potwierdzić.
- Jak możesz odróżnić otwór wylotowy od wlotowego?
- To tak jak z ranami od kuli i powstałymi w ten sposób otworami wlotowym i wylotowym. Ten pierwszy jest gładki i symetryczny, a drugi wygląda naprawdę paskudnie. Przekona się pan, o czym mówię.
- Co, na Boga, mogło przebić Ziemię na wylot? - rzucił z przejęciem Mickelson.
- To dobre pytanie - mruknął Ford, sięgając po kopertę z czekiem.

38

Abbey przygotowała na kolację cheeseburgery, ale były suche i przypalone, ser spieczony, a bułki rozmiękłe. Jej ojciec siedział za stołem po drugiej stronie ze spuszczonym wzrokiem, przeżuając w milczeniu, mięśnie jego szczęk poruszały się powoli. Przez całą wieczór był złowieszczo milczący.

Odłożył napoczętego burgera na talerz, przesunął go palcem do przodu i w końcu spojrzał na Abbey. Miał przekrwione oczy. Przez chwilę podejrzewała, że znowu zaczął pić jak po śmierci matki. Ale nie, nie cuchnął piwem.

- Abbey? - głos miał szorstki, ochryply.
 - Tak, tato?
 - Dostałem odpowiedź od towarzystwa ubezpieczeniowego.
- Poczuła, że odgryziony kawałek cheeseburgera rośnie jej w ustach, nie mogła go przełknąć. Udało jej się to dopiero po chwili.

- Nie pokryją strat.

Nastąpiła długa cisza.

- Dlaczego nie?
 - To była polisa handlowa. Nie łowiłaś homarów. To, co robiłaś, zostało przez nich uznane jako wycieczka rekreacyjna.
 - Ale... przecież mogłeś powiedzieć, że wypłynęłam na połów homarów.
 - Są raporty straży przybrzeżnej, policji, artykuły prasowe. Nie łowiłaś. Koniec kropka.
- Abbey poczuła, że ma suchość w ustach. Zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć, ale miała w głowie pustkę.

- Wciąż jestem winien pieniądze za łódź i dopóki jej nie spłacę, nie ma mowy, abym dostał pożyczkę na następną. Spłacam hipotekę, która kosztuje więcej niż nasz dom. A moje niewielkie oszczędności poszły na twój półtoraroczny flirt ze studiami.

Abbey znów przełknęła ślinę, wpatrując się w talerz. W ustach czuła gorzki smak popiołu.

- Oddam ci moje zarobki jako kelnerki. I sprzedam teleskop.
- Dziękuję. Chętnie przyjmę tę pomoc. Jim Clayton zaproponował mi na ten sezon posadę sternika. Dzięki temu, co wspólnie zarobimy, ty i ja, jeżeli sezon będzie udany, może zdołamy zatrzymać dom.

Abbey poczuła, że z jej oka wypływa łza, ścieka po skrzydełku nosa, zawisa tam i skapuje na talerz. Potem następna i jeszcze jedna.

- Naprawdę mi przykro, tato.

Poczuła, że jego szorstka dłoń poszukuje jej ręki i zaciska się na niej.

- Wiem.

Zwiesiła głowę, łzy skapywały na cheeseburgera, jeszcze bardziej go rozmiękczejac. Po chwili ojciec puścił jej dłoń i wstał. Podeszedł do swojego starego fotela w szkocką kratę przy kominku, usadowił się na nim i sięgnął po egzemplarz „The Lincoln Country News”.

Abbey pozbierała talerze, wrzuciła resztki niedojedzonych cheese-burgerów do kosza na śmieci, aby potem móc rzucić je kurom, umyła naczynia i odstawiła na suszarkę. Ojciec wspomniiał, że kiedyś kupiła zmywarkę, ale było to raczej wątpliwe.

Cóż, pomyślała Abbey, czując w sobie dziwną obojętność, w sumie, jakkolwiek by na to patrzeć, zrujnowała ojcu życie.

39

„Dotarłeś do celu” - oznajmił miły kobiecy głos w GPS-ie. Wyman Ford zaparkował samochód na pylistym placu przed lokalnym sklepikiem i wysiadł, rozglądając się wokoło. Pole naprzeciw sklepiku porastał kwitnący łubin. Za nim na szczycie wzgórza stały dwa kościoły wybudowane po dwóch stronach ulicy, brązowy kongregacjonistów i biały dom modlitwy metodystów. Przy drodze stały drewniane domy, a w nieco pochylonym budynku z dachem krytym gontem mieścił się nieduży sklepik spożywczy. I to było w zasadzie całe miasteczko.

Ford zajrzał do notesu. Miasteczka New Harbor, Pemaquid, Chamberlain i Muscongus już wykreślił, zostało tylko jedno.

Round Pond.

Droga biegła obok sklepiku i kończyła się przy zatoce. Nawet stąd widział wylaniającą się spoza sosnowego zagajnika zatokę pełną łodzi rybackich i niewielki skrawek oceanu poza nią. Ford wszedł do sklepiku, w którym panował akurat spory hałas, bo grupka dzieciaków kupowała najtańsze słodycze. Kręcił się przez chwilę po sklepie, przepatrując produkty: słodycze, pocztówki, noże, modele łodzi, zabawki, pacynki, latawce, płyty lokalnych zespołów muzycznych, kalendarz, dżemy i marmolady oraz stojaki z gazetami. To było jak cofnięcie się w czasie do okresu dzieciństwa.

Sięgnął po gazetę „The Lincoln Country News” i stanął w kolejce za dziećmi; kilka minut później wybiegły ze sklepiku z brązowymi papierowymi torbami pełnymi słodyczy. Za ladą stała licealistka. Ford położył gazetę na kontuarze i uśmiechnął się.

- Chyba też miałbym ochotę na coś słodkiego.

Pokiwała głową.

- Poproszę o... kulę ognistą, nie jadłem ich od lat, garść mlecznych cukierków, pałeczkę lukrecji i rurkę miętową.

Ekspedientka włożyła słodycze do torby i położyła ją na gazecie.

- Dwa dolary i dziesięć centów - powiedziała.

Ford sięgnął do kieszeni i wyjął portfel.

- Słyszałem, że kilka miesięcy temu nad tą okolicą przeleciał meteor.

- Zgadza się - powiedziała dziewczyna.

Zaczął przeglądać banknoty w portfelu.

- Widziałaś go?

- Widziałam blask przez okno. Wszyscy widzieli. A potem rozległ się potężny huk jak odgłos grzmotu. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, widać było świetlisty ślad na niebie.

- Czy ktoś znalazł ten meteor?

- Ee, nie, bo on wpadł do morza.

- Skąd to wiadomo?

- Pisali o tym we wszystkich gazetach.
Ford pokiwał głową i w końcu wyłuskał z portfela banknot i znowu zapytał:

- Do zatoki to w tę stronę?

Dziewczyna skinęła głową.

- Droga prowadzi obok sklepu i kończy się przy przystani.

- Można tu gdzieś kupić żywe homary?

- W przetwórni.

Wziął torbę ze słodyczami i gazetę, po czym wrócił do samochodu. Włożył kulę ognistą do ust i spojrzał na pierwszą stronę „The Lincoln Country News”. Widniał na niej krzykliwy nagłówek.

Z ZATOPIONEJ ŁODZI WYDOBYTO ZWŁOKI I REWOLWER

Poniżej wydrukowano niewyraźne zdjęcie wskazujące jednostkę straży przybrzeżnej i funkcjonariuszy wciągających bosakami ciało na pokład. Ford czytał artykuł z coraz większym zainteresowaniem. Na kolejnej stronie ujrzał zdjęcie dwojga dziewcząt, które zostały napadnięte, zdjęcie z liceum przedstawiające napastnika oraz kilka fotografii zniszczonej łodzi odholowanej do suchego doku. To była prawdziwa sensacja w Round Pond - napaść z bronią w rękę na otwartym morzu, wtargnięcie na pokład, próba morderstwa i zatopienie łodzi. Było to w jakiś sposób związane z legendarnym skarbem. To obudziło w nim detektywistyczną żyłkę: w tej historii było mnóstwo luk i niekonsekwencji, które aż się prosiły o wyjaśnienia.

Ford przewrócił stronę, przeczytał o fasolowej wieczerzy w Sea-side Grange, skargach na nowe światła uliczne oraz artykuł o żołnierzu, który wrócił z Bliskiego Wschodu. Przejrzał policyjne notatki i zapoznał się z kąśliwym wstępniakiem na temat fatalnego zebrania rady pedagogicznej, rzucił także okiem na ogłoszenia o zatrudnieniu, sprzedaży nieruchomości i listy do redakcji.

W końcu złożył gazetę oczarowany wizerunkiem miasteczka. To była cicha, spokojna osada rybacka, klejnot Nowej Anglii, wyjątkowo urzekająca i malownicza, choć pod względem ekonomicznym pogrążona w stagnacji. Któregoś dnia deweloperzy od handlu nieruchomościami zatopią swoje szpony w tym miasteczku i będzie po nim. Ford miał nadzieję, że ten dzień nigdy nie nastąpi. Włączył silnik samochodu i ruszył drogą w kierunku przystani. Ujrzał ją niemal natychmiast -przetwórnia homarów po prawej, pirs, bar przy nabrzeżu, zatoka pełna łodzi rybackich, uderzający w nozdrza zapach solonej przynęty. Zaparkował i pomaszerował w stronę zakładu przetwórczego, drewnianego baraku wznoszącego się nad pirssem; drewniane kłapy były otwarte, zbiorniki z wodą pełne homarów. Na tablicy kredą wypisano aktualne tego dnia ceny. Łysy mężczyzna w pomarańczowych wade-rach podszedł do okna.

- Czym mogę służyć?

- Łowi pan homary na tych wodach?

- Nie, ale moja córka owszem. Ja je tylko sprzedaję.

Ford dostrzegł w głębi pomieszczenia kobietę zajmującą się przyrządzaniem homarów.

- Widział pan meteor?

- Nie. Wtedy już spałem.

- A ona? To mnie interesuje.

Mężczyzna odwrócił się.

- Martho, ten pan chce wiedzieć, czy widziałaś meteor.

Kobieta podeszła, wycierając ręce.

- Jasne, że tak. Przeleciał tuż nad nami. Widziałam go przez okno, kiedy właśnie zmywałam naczynia.

- Dokąd poleciał?

- Ponad Louds Island i dalej w stronę otwartego morza.

Ford wyciągnął rękę.

- Wyman Ford.

Kobieta uściśnęła mu dłoń.

- Martha Malone.

- Liczę na to, że uda mi się znaleźć ten meteoryt. Jestem naukowcem.

- Mówią, że wpadł do oceanu.

- Jest pani rybaczką?

Zaśmiała się.

- Musi pan być przyjezdny. Jestem poławiaczką homarów.

- Pojawia się pewien problem - Ford postanowił przejść do sedna. - Tej nocy ocean był całkiem spokojny. Lokalne boje meteoro nie zarejestrowały nawet najlżejszego ruchu wód w momencie uderzenia. Jak pani to wytłumaczy?

- Morze jest olbrzymie, panie Ford. Meteoryt mógł wylądować w oceanie o sto mil morskich od brzegu.

- Nie słyszała pani, by ktokolwiek w okolicy wspomniał o odnalezieniu krateru albo innych śladów w postaci zwalonych drzew?

Kobieta zrobiła przeczący ruch głową.

Ford podziękował jej i wrócił do swojego auta. Włożył do ust mlecznego cukierka i zaczął ssać w zamyśleniu. Gdy usiadł na fotelu, otworzył schowek na rękawiczki, wyjął notes i skreślił Round Pond.

I to w zasadzie wszystko. Próbował porwać się z motyką na słońce i rzecz jasna nic z tego nie wyszło.

40

Abbey Straw przyniosła dwa talerze gotowanych małży i dwie Margarity do stolika, gdzie siedziała para z Bostonu. Postawiła posiłek i drinki na stole.

- Czy mogę podać coś jeszcze?

Kobieta spojrzała na swojego drinka i z rozdrażnieniem postukała paznokciem w szkło.

- Mówiłam, że ma być bez soli.

Miała mocny bostoński akcent.

- Bardzo przepraszam, zaraz przyniosę drugi.

Abbey zabrała drinka ze stolika.

- I nie myśl, że możesz tak po prostu wytrzeć sól, i tak ją wyczuję - powiedziała kobieta.

- Przynieś mi nowego drinka.

- Oczywiście.

Już miała się oddalić, gdy mężczyzna wskazał palcem na talerz.

- To wszystko, co podajecie za czternaście doliczając?

Abbey odwróciła się. Mężczyzna ważył co najmniej sto piętnaście kilo, miał na sobie bluzę z golfem, która nieomal rozchodziła się na nim w szwach, i zielone spodnie, był łysy, a środek jego czaszki zdobiło lekkie wgłębienie. Z jego uszu wyrastały gęste czarne kłaczki.

- Czy wszystko w porządku?

- Czternaście doliczając za dziesięć małży? Toż to rozbój w biały dzień.

- Przyniosę państwu więcej.

Gdy zawróciła do kuchni, usłyszała, jak mężczyzna na cały głos zwraca się do żony:

- Nie cierpię miejsc, gdzie niektórym wydaje się, że mogą zdzierać z turystów.

Abbey weszła do kuchni.

- Potrzebuję jeszcze kilku małży do stolika numer pięć.

- A co, skarżą się?

- Po prostu daj mi te małże.

Szef kuchni wrzucił na mały talerzyk trzy maleńkie małże.

- Jeszcze.

- To wszystko, co dostaną. Jakby im się nie podobało, powiedz, żeby spierdalali.
- Powiedziałam „więcej”.

Szef kuchni dorzucił na talerzyk jeszcze dwa małże.

- Pieprzyć ich.

Abbey sięgnęła, zgarnęła jeszcze pół tuzina, nałożyła na talerz i odwróciła się, by wyjść.

- Już ci mówiłem, ręce precz od mojej kuchni.
- Chrzań się, Charlie.

.Wróciła do sali i postawiła talerz przed mężczyzną. Tamten uporał się właśnie z dziesięcioma małżami i bez wahania sięgnął po nową porcję.

- Poproszę też więcej sosu tatarskiego.
- Już podaję.

W jej części sali usiadł właśnie wysoki mężczyzna. Idąc po sos tatarski, przystanęła przy jego stoliku i podała menu.

- Kawy?
- Poproszę.

Gdy naląła mu filiżankę, usłyszała gderliwy głos mężczyzny z Bostonu wyróżniający się pośród gwaru rozmów.

- Problem polega na tym, że im się wydaje, że my wszyscy jesteśmy bogaci. Aż ślinka im cieknie, kiedy nadchodzi lato i z Bostonu zaczynają zjeżdżać się ludzie.

Abbey na chwilę się zdekoncentrowała i kawa przelała się z filiżanki na spodeczek.

- Bardzo przepraszam.
- Nic się nie stało - zapewnił wysoki mężczyzna. - Naprawdę.

Dopiero teraz Abbey przyjrzała się mężczyźnie. Kanciasty, z dużym mięsistym orlim nosem i kwadratową szczęką, szczupły i silny

w dziwnie przyjemny sposób. Kiedy się uśmiechnął, jego twarz diametralnie się zmieniła.

- Halo? Co z tym sosem tatarskim? - dobiegło od sąsiedniego stolika.

Wysoki mężczyzna skinął głową i mrugnął porozumiewawczo:

- Lepiej zajmij się najpierw nimi.

Poszła i przyniosła sos tatarski.

- Żenująca obsługa - wycedził mężczyzna, odbierając od niej sos tatarski i nakładając łyżeczką na małże.

Wróciła do wysokiego mężczyzny z bloczkiem do zamówień w dłoni.

- Co mogę podać?
- Poproszę o kanapkę z łupaczem.
- Coś jeszcze do picia oprócz kawy?
- Może być woda.

Zawahała się i spojrzała na stolik bostończyków, aby sprawdzić, czy chcą czegoś jeszcze, ale byli zajęci jedzeniem. Podążył za jej wzrokiem.

- Przepraszam za nich..
- To nie twoja wina.

Ostatnio zbyt często się jej to przytrafiało.

- Mieszkasz tutaj?
- Nie - odparła. - Na półwyspie.

Pokiwał głową z zamyśleniem.

- Rozumiem. Wobec tego musiałaś mieć dobry widok na meteoryt parę miesięcy temu?

Abbey nagle nabrała czujności zaskoczona niespodziewanym pytaniem.

- Nie.
- Nie widziałaś śladu meteorytu ani nie słyszałaś huku fali dźwiękowej?
- Niestety nie - uznała, że to zaprzeczenie zabrzmiało zbyt stanowczo, i spróbowała załagodzić jakoś to nieprzyjemne wrażenie: -A poza tym to był meteor, a nie meteoryt.

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

- Te dwie nazwy zawsze mi się mylą.
- Mogę zaproponować coś jeszcze? Sałatkę? Frytki?
- Dziękuję.

Przyjęła zamówienie i podeszła do stolika bostończyków, którzy właśnie skończyli jeść.

- Czy mogę podać coś jeszcze?
- A co, potrzebny już wam wolny stolik?
- To niewybaczalne, kiedy tak od razu starają się ciebie pozbyć -stwierdziła kobieta.

Abbey poroznosiła rachunki do innych swoich stolików, odebrała kanapkę z łupaczem i podała ją wysokiemu mężczyźnie.

- Ej, a co z naszym rachunkiem? - dobiegło wołanie od stolika bostończyków. - Nie widzisz, że już skończyliśmy?

Wyjęła kwit zamówienia, podeszła do kasy, wbiła i wydrukowała rachunek, po czym wróciła na salę i położyła rachunek na stoliku.

- Miłego dnia życzę.

Mężczyzna rozłożył rachunek, ostentacyjnie spojrzał na cenę.

- Rozbój w biały dzień - powiedział i zaczął odliczać pieniądze na blacie stolika, mnóstwo drobnych i kilka pomiętych banknotów, po czym usypał z nich kupkę na rachunku. Wysoki mężczyzna wyszedł chwilę później, pozostawiając tak duży napiwek, że z pewnością mógł jej zrekompensować wątpliwą przyjemność, jaką było obsługiwanie pary skąpych bostończyków. Gdy sprzątała jego stolik, przez chwilę zastanawiała się, dlaczego zadał jej tych kilka konkretnych pytań dotyczących meteoru. Mężczyzna wydawał się miły, ale było w nim coś podejrzanego - coś bardzo podejrzanego.

41

Wyman Ford przejechał przez most Wiscasset i zatrzymał się przed sklepem z antykami.

Zjechał na pobliski parking i siedział przez chwilę w aucie, rozmyślając. Coś mu nie pasowało i miało związek z dziwnym zachowaniem kelnerki w restauracji i szalonym artykułem w lokalnej prasie. Sięgnął po gazetę, którą wcześniej rzucił na fotel pasażera. Dziewczyna z restauracji była z całą pewnością dziewczyną z artykułu, tą, która szukała pirackiego skarbu. Kiedy zapytał ją o meteoryt, nagle się zdenerwowała. Dlaczego? No i ile kelnerek z małych miasteczek znało różnicę między „meteorem” a „meteorytem”?

Wyjechał z parkingu i zawrócił w stronę, z której przyjechał. Dziesięć minut później wszedł do restauracji. Dziewczyna wciąż tam była, krzątała się po sali, a on przyglądał się jej przez chwilę, stojąc w drzwiach. Tak, to na pewno musiała być ona, jedyna czarnoskóra, jaką widział podczas całej swojej wyprawy do Maine. Krótkie kręcone czarne włosy okalały jej twarz z błyszczącymi czarnymi oczami. Była wysoka, szczupła, o atletycznej sylwetce. Chodziła po sali z sardonicznym, nieomal ironicznym uśmiechem. Bez makijażu była

urzekająco piękną dziewczyną. Ile miała lat? Może dwadzieścia jeden?

Zobaczyła go, gdy tylko wszedł do środka, i na jej twarzy natychmiast pojawił się wyraz zaniepokojenia. Ford skinął do niej głową i uśmiechnął się.

- Zapomniałeś czegoś? - spytała.
- Nie.
- Czego chcesz? - wycodziła lodowato.
- Przepraszam. Nie chcę być wścibski, ale czy to ty jesteś tą dziewczyną, o której niedawnej feralnej przygodzie czytałem w gazecie?

Teraz całe jej oblicze stało się zimne i nieprzystępne. Skrzyżowała ramiona.

- Skoro nie chcesz być wścibski, to nie bądź.

Odwróciła się, by odejść.

- Zaczekaj. Poświęć mi chwilę. To bardzo ważne.

Znieruchomiała.

- Poprawiłaś mnie, gdy powiedziałem „meteoryt” zamiast „meteor”.
- I co z tego?
- Skąd znałaś różnicę?

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok w stronę stolików, które obsługiwała.

Ford nie był pewien, do czego zmierzał, co chciał w ten sposób osiągnąć, niemniej próbował dalej.

- To musiało być ekscytujące, kiedy meteor tak przemknął po niebie.
- Muszę wracać do pracy.

Ford patrzył na nią niewzruszonym wzrokiem. Zrobiła się dziwnie nerwowa.

- Na pewno go nie widziałaś? Nawet śladu? Pozostawał widoczny na niebie jeszcze przez co najmniej pół godziny.
- Już mówiłam, niczego nie widziałam.

W jej spojrzeniu malowało się niewyjaśnione napięcie. Dlaczego miałyby kłamać? Poszedł za ciosem, wciąż niepewny, co chciał przez to zyskać. Najwyraźniej nie miała w zwyczaju kłamać, jej twarz zdradzała zakłopotanie i strach.

- Co robiłaś, kiedy spadł?
- Spałam.
- O dwudziestej pierwszej czterdzieści cztery? Dziewczyna w tak młodym wieku?

Spojrzała mu w oczy zuchwale i chłodno.

- Naprawdę zależy ci na tym meteorycie, prawda?
- Poniekąd.

Przymrużyła lekko powieki.

- Szukasz go?
- Prawdę mówiąc, tak.

Zamyśliła się przez chwilę i uśmiechnęła.

- Chciałbyś go znaleźć?
- Owszem, byłbym tym zainteresowany

Podeszła bliżej i niemal szeptem dodała:

- Kończę za pół godziny. Spotkajmy się w kępielni przy końcu ulicy.

Dziewczyna pojawiła się pół godziny później. Przebrała się, zamieniając strój kelnerki na dzinsy i koszulę w kratę.

Ford wstał, wskazując jej miejsce.

- Kawy?
- Potrójną espresso z podwójną śmietanką i czterema kostkami cukru.

Zamówił dwie kawy i przyniósł do stolika. Dziewczyna spojrzała na niego, jej ciemne oczy wydawały się niepokojąco bystre i żywe.

- Ty pierwszy. Powiedz mi, kim jesteś i dlaczego szukasz tego meteoru.
- Jestem geologiem planetarnym...
- Daj spokój... - parsknęła sarkastycznie.
- Dlaczego uważasz, że nie jestem tym, za kogo się podaję?
- Żaden geolog planetarny nie pomyliłby nazwy „meteor” z „meteorytem”. Prawdziwy geolog planetarny użyłby właściwego naukowego określenia „meteoroid”.

Ford spojrzał na nią zbity z tropu i nieco zmieszany, że go tak szybko przejrzała, i to dziewczyna z małego miasteczka, która dorabiała jako kelnerka.

- Jesteś bystra.

Wciąż mu się przyglądała, trzymając dłonie splecione przed sobą na stoliku.

Ford wyciągnął rękę.

- Zacznijmy od przedstawienia się. Jestem Wyman Ford.
- Abbey Straw.

Chłodna dłoń dotknęła i ucisnęła jego dłoń.

- Jestem kimś w rodzaju prywatnego detektywa. Ten meteoroid mnie interesuje. Próbuję go znaleźć.

- Poco?

Zastanawiał się nad kolejnym kłamstwem, ale ostatecznie poprzestał na półprawdzie.

- Pracuję dla rządu.

- Naprawdę? - Wychyliła się do przodu. - Dlaczego rząd się nim interesuje?

- W związku z tym... obiektem pojawiły się pewne anomalie i to one są najbardziej intrygujące. Powiem tylko, że nie jestem tu oficjalnie, przyjmijmy, że pracuję na zasadach wolnego strzelca.

Abbey zamyśliła się, po czym rzekła powoli:

- Wiem dość sporo na temat tego meteoroidu. Ile to jest dla ciebie warte?

- Przepraszam. - Ford poczuł się bardziej niż dotychczas dezorientowany. - Chcesz, żebym zapłacił za te informacje?

Abbey zaczerwieniła się.

- Potrzebuję pieniędzy.

- A jakimi dysponujesz informacjami?

- Wiem, gdzie to spadło. Widziałam krater.

Ford nie wierzył własnym uszom. Czy kłamała?

- Opowiesz mi o tym?

- Jak już wspomniałam, potrzebuję pieniędzy.

- Ile?

Zawahala się przez chwilę.

- Sto tysięcy dolarów.

Ford spojrzał na nią, po czym wybuchnął śmiechem.

- Oszalałaś?

- Podałam taką kwotę, bo... no cóż... właśnie tyle kosztowało mnie znalezienie krateru.

- Za sto tysięcy dolarów mógłbym znaleźć ten krater z pięć razy.

- Nie żartuję, mógłbyś przeczesywać tę zatokę sto lat, a i tak go nie znajdziesz, dopóki nie będziesz wiedział, gdzie dokładnie szukać. Jest nieduży i prawie niewidoczny z powietrza.

Ford odchylił się do tyłu, sącząc kawę.

- Może zatem powiesz mi, jak dokonałaś tego odkrycia i dlaczego kosztowało cię sto tysięcy dolarów?

Dziewczyna wypiła spory łyk kawy.

- Jasne. Otóż czternastego kwietnia kupiłam teleskop i ustawiłam go na długi czas .naświetlania, by sfotografować konstelację Oriona. Szeroki zakres. Meteor akurat przeleciał w tym miejscu i na filmie uwieczniony został fragment pozostawionej przez niego smugi.

Albo powinnam raczej powiedzieć cyfrowo.

- Sfotografowałaś to? - Ford nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu.

- I wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Sprawdziłam w internecie dane z boi meteo. Nie zarejestrowała silniejszych fal. Domyśliłam się więc, że meteoroid nie wpadł do oceanu, lecz na którąś z wysp. Następnie, obliczając kąt na podstawie zdjęcia, udało mi się ustalić linię, wzdłuż której musiał spaść. Pożyczyłam łódź ojca, zabrałam ze sobą przyjaciółkę i wyruszyliśmy na poszukiwania.

- Co jest tak interesującego w meteoroidach?

- Są warte kupę szmalu.

- Masz głowę do interesów.

- Dla niepoznaki zaczęłyśmy rozpuszczać fałszywe pogłoski, że zamierzamy szukać pirackiego skarbu.

- Już zaczynam rozumieć, co tu zaszło - mruknął Ford.

- Właśnie. Nasz uzależniony od metadonu prześladowca miał umysł tak przeżarty prochami, że uwierzył w naszą bajeczkę, napadł na nas i zatopił łódź mojego ojca. Firma ubezpieczeniowa odmówiła pokrycia kosztów.
 - Bardzo mi przykro.
 - Mój ojciec spłaca raty za łódź, której już nie ma. Możemy stracić nasz dom. Teraz rozumie pan, po co mi są potrzebne pieniądze. Aby kupić ojcu nową łódź.
- Była bliska łez. Ford udał, że tego nie dostrzega.
- Znalazłaś krater - rzucił jakby mimochodem. - I jak właściwie wyglądał ten meteoryt?
 - Czy powiedziałam, że znalazłam meteoryt?
- Ford poczuł, że jego serce zaczyna bić jak szalone. Instynktownie czuł, że dziewczyna mówi prawdę.
- W kraterze nie było meteorytu?
 - Dochodzimy do informacji, za którą musisz mi zapłacić.
- Ford patrzył na nią przez dłuższą chwilę. W końcu powiedział:
- Czy mogę spytać, co dziewczyna tak bystra jak ty robi, pracując jako kelnerka w Damariscotcie w Maine?
 - Rzuciłam studia.
 - Który uniwersytet?
 - Princeton.
 - Princeton? Czy to nie jest gdzieś w Jersey?
 - Bardzo zabawne.
 - Z czego robiłaś magisterkę?
 - Miałam pójść na medycynę, ale chodziłam też często na zajęcia z fizyki i astronomii.
- Zbyt często. Oblałam chemię organiczną, straciłam stypendium.
- Ford zamyślił się przez chwilę. A co tam.
- Tak się składa, że mam akurat pod ręką wolne sto tysięcy dolarów. Są twoje, abyś mogła kupić ojcu nową łódź. Ale stawiam w związku z tym pewien warunek. Od tej pory pracujesz dla mnie. Masz milczeć jak grób, ani słowa na wiadomy temat, nawet w rozmowie z przyjaciółką. I pierwsze, co zrobimy, to po zakupie nowej łodzi popłyniemy zobaczyć krater. Umowa stoi?
- Dziewczyna zaskoczyła Forda szczerym uśmiechem. Wyciągnęła rękę.
- Stoi.

42

Mark Corso rzucił pocztę na blat stołu, po czym zanurzył się w fotelu w mieszkaniu przyjaciela w suterenie przy Upper West Side. Oparł potylicę o miękki zagłówek i zamknął oczy. Czuł się skonany, chyba szykowała mu się migrena. Przez trzy ostatnie wieczory pracował dwie zmiany u Moto sam i aby dać sobie radę, po cichu popijał drinki pod ladą. Ale mimo tej fuchy nie udało mu się spłacić zaległego czynszu. Potrzebował odprawy z IBRN, i to jak najszybciej. W wolnym czasie, a nie miał go za dużo, rozglądał się za nową posadą i obsesyjnie pracował nad zdjęciami z twardego dysku, obrabiając je i doszlifowując. Prawie nie sypiał. Co więcej, bardzo mu brakowało Marjory Leung, dzień i noc fantazjował o jej smukłym, nagim, wysportowanym ciele. Rozmawiał z nią kilkakrotnie, ale było oczywiste, że ich związek nie przetrwa, choć zapewne nadal będą się przyjaźnić.

Walcząc z ogarniającą go sennością, zmusił się, by wstać i przejrzeć pocztę. Odzew na jego podania i aplikacje o pracę był znikomy. Nie bez wysiłku zaczął przeglądać listy, otworzył jeden z nich i przeczytał pierwszą linijkę. Następnie zmiął go w garści, wyrzucił, otworzył drugi, trzeci, a potem czwarty.

Sterna zgniecionego papieru u jego stóp rosła.

Szósty i ostatni list sprawił, że Corso zamarł jak wryty. Wzywano go do działu kadr CalTechu, który obsługiwał całą administrację Instytutu Badań i Rozwoju Napędów. W

pierwszej chwili sądził, że w kopercie znajdował się czek na odprawę. Z niedowierzaniem skoncentrował całą uwagę na pierwszym akapicie.

„Po sprawdzeniu pańskiego stażu pracy i zbadaniu przyczyn zwolnienia dyscyplinarnego na podstawie treści pisma pańskiego przełożonego z IBRN niniejszym stwierdzamy, że nie przysługuje panu

odprawa ani rekompensata za niewykorzystane urlopy, o których wspomina się w treści umowy o pracę. Zgodnie z paragrafem 4.5.1 do 6 kodeksu pracy...”.

Przeczytał list dwukrotnie i rzucił go na stół. To niemożliwe. Byli mu winni dwutygodniową odprawę i świadczenia z tytułu niewykorzystanego dwutygodniowego urlopu. W sumie ponad osiem kawałków. Po sześciu latach studiów i osiemdziesięciu tysiącach dolarów w pożyczkach studenckich oto na co mu przyszło: gnieździł się w suterenie u kumpla, na koncie miał niecałe pięćset dolarów, stracił robotę, nie miał żadnych perspektyw, a debet na jego kartach kredytowych był tak wielki, że na dobre mógł o nich zapomnieć. A teraz nawet nie było go stać na czynsz.

Powoli narastał w nim gniew. Ci dranie z Instytutu jeszcze mu zapłacą. Byli mu winni osiem tysięcy dolarów i on otrzyma te pieniądze. Jakoś je zdobędzie. Odegra się.

Otworzyły się drzwi i wszedł jego współlokator.

- Cześć, Mark, nie chcę być upierdliwy, ale wisisz mi za czynsz, a ja potrzebuję pieniędzy. Niezwłocznie.

Mark Corso stanął w walizkami w rękach na progu kamienicy czynszowej na Greenpoincie, gdzie mieszkała jego matka, i nacisnął dzwonek. Kac dawał mu się ostro we znaki, w ustach miał sucho, a za gałkami ocznymi czuł nieprzyjemne pulsowanie. Nie był w stanie zadzwonić i uprzedzić o swoim przyjeździe. Usłyszał dochodzące z mieszkania szuranie stóp, szcęk otwieranych zasuwek, a potem drżący, niepewny głos matki.

- Kto tam?

- To ja, Mark.

Ostatnia zasuwka ustąpiła i ujrzał swoją matkę, niską, pulchną, o stalowosiwych włosach. Jej oblicze rozpromieniło się.

- Mark!

Objęła go ramionami w miazdzącym uścisku. Pachniała świeżym makaronem, ręce miała oproszone mąką.

- Co tam masz, walizki? Wprowadzasz się z powrotem? Nie stój tak na zimnie, wchodź! Zamierzasz zostać czy tylko wpadłeś z wizytą? Wyglądasz na okropnie zmęczonego! Kolejny silny uścisk, tym razem okraszony zapowiedzią łez. Poprowadziła syna, który bynajmniej się nie opierał, do salonu i posadziła na kanapie.

- Upiekę twoje ulubione ciasto orzechowe, a ty odpocznij trochę i rozluźnij się. Ale schudłeś!

- Nic mi nie jest, mamó.

Corso zrzucił buty i wyciągnął się na kanapie, splatając dłonie za głową, po czym wlepił wzrok w malowany sufit domu swojego dzieciństwa, rozmyślając o pieniądzach, jakie był mu winien Instytut. Nie mogli ot tak po prostu odmówić mu odprawy, istniały procedury, których musieli przestrzegać. A niewykorzystany urlop? To nie było w porządku. Zastanawiał się, czy Derkweiler nie próbował wykorzystać swoich wpływów, aby uniemożliwić mu znalezienie nowej pracy, gdyż jak dotąd wszystkie jego wysiłki speszły na niczym. To niewiarygodne, miał w rękach dowód naukowego odkrycia, a w środowisku był traktowany jak czarna owca. Ale trzymał asa w rękawie: twardy dysk. Zastanawiał się, kiedy odkryją jego zniknięcie. Nagle coś mu zaczęło świtać. Parę lat temu, przypomniał sobie, w laboratoriach Los Alamos zaginął twardy dysk ze ściśle tajnymi danymi. To była wiadomość, która trafiła na pierwszą stronę „New York Timesa” i doprowadziła do zwolnienia dyrektora oraz całej grupy

naukowców. Może dysk z Instytutu powinien trafić do któregoś z biur FBI? Sam fakt, że wypłynął poza Instytut, wywoła nielichy skandal. A kto za to odpowie? Dyrektor projektu. Usiadł. To jest to. Kariera Chaudry ego ległaby w gruzach, gdyby wyszło na jaw, że ktoś z jego zespołu wyniósł z Instytutu ściśle tajny twardy dysk. A Derkweiler byłby załatwiony. Miałby w garści ich obu. Ale załatwienie ich obu tylko z zemsty miało się z celem. Groźba, że pójdzie ze swoją sensacją do FBI, powinna dać mu atut. Odpowiednik kija. Marchewką byłaby świadomość, że to odkrycie przyniesie sławę im obu, jak również jemu, gdyby tylko okazali się na tyle rozsądni, by przywrócić go do pracy.

Tak, to zaczynało wyglądać jak konkretny plan. Krótka rozmowa telefoniczna, nic na piśmie. Nie prosił o nic, na co nie zasługiwał, taką drobnostkę Chaudry mógł załatwić jednym ruchem pióra, przyjmując go z powrotem do pracy. Dzięki poczynionemu przez niego odkryciu wszystkie dawne przewinienia zostaną zapomniane i wybaczone. Czuł narastające podniecenie. Gdyby Chaudry odrzucił jego propozycję i doniósł o kradzieży dysku, zaprzepaściłby całą swoją karierę. Nigdy więcej nie dano by mu pracować ze ściśle tajnymi danymi. Chaudry był cwany, wyrachowany, a przede wszystkim ambitny. Zorientuje się, jakie rozwiązanie jest dla niego najrozsądniejsze.

Corso spojrzął na zegarek. Dziesiąta przed południem w Nowym Jorku, w Kalifornii siódma rano, Chaudry powinien być jeszcze w domu. Doskonale.

Zdobycie jego numeru domowego w internecie zajęło mu pół minuty. Corso powoli, z namaszczeniem wybierał numer, serce tłukło mu się w piersi, gdy powtarzał w myślach przygotowaną wiadomość: Mam należący do Instytutu twardy dysk zawierający ściśle tajne dane, a konkretnie wykonane w wysokiej rozdzielczości zdjęcia planety. Freeman przesłał mi go na krótko przed tym, jak go zamordowano. Na tym dysku znajduje się zdjęcie obcego artefaktu. Machiny. Możesz być pewien, że ty tego nie znajdziesz. Ale mnie się udało. A oto jak brzmi moja propozycja. Przywracasz mnie do pracy, a ja oddam ci twardy dysk i nikt nie dowie się o złamaniu procedur bezpieczeństwa - ananas wszystkich spłyną zaszczyty z tytułu dokonania największego odkrycia naukowego wszech czasów. Jeżeli odmówisz, anonimowo prześlę ten dysk do FBI i będziesz mógł pożegnać się z kańerą. Raz na zawsze. Definitywnie. Pamiętasz, co się stało w Los Alamos? Wybór należy do ciebie. Dobrze się zastanów, zanim zrobisz coś głupiego.

Rozległ się sygnał, a po chwili chłodny głos Chaudry ego:

- Halo?

43

Ford wyszedł z szalupy na skalisty brzeg Shark Island i wziął głęboki wdech, napełniając płuca słonym powietrzem. Cieszył się, że znalazł się na twardym gruncie, rejs po oceanie - nawet niewzburzonem - wzbudzał w nim spory niepokój. Musiał przyznać, że nie miał natury żeglarza. Przepiękny letni dzień skąpał wyspę w złocistych promieniach słońca, a woda skrzyła się od łądu aż po horyzont. Mewy, skrzecząc, kołowały nad ich głowami rozdrażnione, że przegnano je z ich zwyczajowego miejsca odpoczynku na skalistym brzegu.

- Nie pobrudź sobie pantofli od Gucciego - powiedziała Abbey.

Pomaszerował za nią na wierzchołek wyspy, lawirując wśród skał i krzewów wawrzynu, aż znalazł się na skraju niewielkiego krateru. Niedawne deszcze obmyły do czysta uszkodzone podłoże skalne na dnie krateru. Pośrodku skalnego łożyska otoczona siateczką pęknięć ziała idealnie okrągła dziura o średnicy siedmiu i pół centymetra. Ford ponownie wziął głęboki oddech. Zastanawiał się, co mogło utworzyć otwór wlotowy o średnicy siedmiu i pół centymetra, przebić całą planetę na przestrzał i po pokonaniu 12870 km, pozostawić po sobie otwór wylotowy o średnicy trzech metrów?

- Wybrałyśmy się na poszukiwanie meteorytu - rzekła Abbey - i oto co znalazłyśmy: otwór. - Zaśmiała się smętnie.

Ford wyjął z plecaka licznik Geigera; urządzenie zarejestrowało jedynie normalne promieniowanie tła rzędu 0,05 milirema na godzinę. Zrobił kilka zdjęć i w GPS-ie ustalił położenie otworu. Następnie przykucnął i dokonał pomiaru wewnątrz samego otworu, przesuając licznikiem Geigera w tę i z powrotem. Tu odczyt był nieco wyższy, rzędu 0,1 milirema na godzinę.

- Czy będę mieć dwugłowe dzieci? - zapytała Abbey

- Raczej nie.

Ford ześlizgnął się do krateru, ukląkł i wsunął palce do otworu, by pomacać dookoła. Ściany były gładkie i szkliste, tak samo jak ściany większego otworu w Kambodży. Pozaziemski obiekt wyrzył w skale cylindryczny otwór, jakby był wyposażony w świder. Na zewnątrz rozchodziła się promieniście siateczka pęknięć, ale nie było oznak użycia siły ani śladów, jakie powstają wskutek uderzenia obiektu spadającego na Ziemię z przestrzeni kosmicznej; otwór był zdumiewająco czysty, grunt prawie nienaruszony, jakby jakaś niespotykana siła wchłonęła lub zrównoważyła energię uderzenia. Tak samo musiało być po drugiej stronie Ziemi, w Kambodży. Otwór wylotowy powinien być olbrzymi jak w wypadku kuli przebijającej dynię, sama fala uderzeniowa powinna wyrzucić na zewnątrz fontannę szczątków, pozostawiając po sobie czynny wulkan albo erupcję lawy. Ale nie. Oba otwory jakby samorzutnie się zasklepiły. Nie było żadnej magmy czy erupcji wulkanu, jedynie szczątkowe promieniowanie. To nie miało sensu. Wszystko, co było na tyle duże i szybkie, by mogło wywiercić otwór w skale i przebić się na wylot przez kulę ziemską, powinno roznieść tę wyspę w drobny mak.

Ford poświecił latarką w głąb otworu, który ciągnął się pionowo w dół tak daleko, jak sięgało światło. Zadrżał, ba, coś w związku z tą sprawą go przerażało, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Sprawdził pomiary otworu, sfilmował go pod każdym kątem, zrobił zdjęcia.

Następnie wyjął młotek z plecaka i odłupał kilka kawałków kamienia z krawędzi krateru, w tym takie z fragmentami zeszkłonej warstwy wewnętrznej, i włożył je do foliowych torebek. Pobrał również próbki gleby i roślin.

- Jak, u licha - odezwała się Abbey - meteor tak duży, że rozświetlił niebo nad całym wybrzeżem Maine, mógł pozostawić po sobie tylko taki nieduży otwór?

- Cholernie dobre pytanie.

Ford podniósł się, otrzepując z kolan grudki ziemi.

- Jak głęboko się wbił, zanim się w końcu zatrzymał?

Ford odchrząknął i spojrzał na nią.

- Nie zatrzymał się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przebił się przez całą Ziemię na wylot.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Bynajmniej. Wyleciał w północno-zachodniej Kambodży. Tylko że otwór wylotowy był większy od wlotowego, nie miał siedmiu i pół centymetra, lecz trzy metry średnicy

- O rany.

- Wyleciał na zewnątrz z taką siłą, że powalił drzewa w dżungli na obszarze ponad dwóch kilometrów kwadratowych.

- Domyślasz się, co to mogło być?

Ford zaczął pakować swój sprzęt i próbki.

- Nie mam pojęcia.

- Mnie to wygląda na miniaturową czarną dziurę. Przebija całą Ziemię na wylot, powiększając przy tym swoje rozmiary i pozostawiając po sobie ślady promieniowania.

- To intrygująca hipoteza.

- Udało ci się określić, skąd to coś przybyło?

Ford zarzucił plecak na ramię.

- Nie.
- Dlaczego nie?

Westchnął.

- A niby jak można to zrobić?
 - Masz zdjęcia tego czegoś? Koordynaty punktu wlotowego oraz jego kąt, dokładny czas uderzenia, kąt i umiejscowienie otworu wylotowego. A niech mnie, podejrzewam, że nawet ty, dysponując takimi informacjami, mógłbyś przeprowadzić ekstrapolację trajektorii orbitalnej obiektu. Takie rzeczy robi się cały czas w odniesieniu do OZZ.
 - OZZ?
 - Obiektów Zbliżających się do Ziemi. To klasyczny problem dynamiki orbitalnej.
- Ford spojrzął na Abbey.
- A czy ty mogłabyś tego dokonać?
 - Daj mi tylko godzinę i dobry komputer z programem Mathematica.

44

Corso wszedł do domu, stąpając powoli, by nie obudzić matki. Potknął się o dywan w przedpokoju, zaklął i wszedł do salonu, przymykając drzwi, by zminimalizować hałas. Właśnie skończył zmianę u Moto, choć został nieco dłużej, aby wypić jeszcze kilka głębszych. Była druga w nocy Dwudziesta trzecia w Kalifornii.

Dwudziesta trzecia. Usiadł na kanapie, czując mętlik w głowie. Wcześniej tego dnia rozmawiał z Marjory; odbyli krótką rozmowę, przerywaną dość obcesowo, bo przecież Marjory była w pracy. Spotykali się zaledwie przez tydzień, zanim odszedł, to, co ich łączyło, było dziwne i zmysłowe, ale na odległość taki związek nie miał szans na przetrwanie. Boże, to było okropne. Nigdy jeszcze nie było mu tak dobrze z żadną dziewczyną. Rozpaczliwie pragnął z kimś pogadać, poradzić się kogoś, kto znał odpowiednich ludzi, odpowiednie miejsca.

Sięgnął po telefon i wybrał numer. Po czterech sygnałach usłyszał w słuchawce cichy odległy głos.

- Mark?
- Tak, cześć, to ja.
- Wszystko u ciebie w porządku?
- Daję radę. Posłuchaj, chciałem o czymś z tobą pomówić... o czymś związanym z pracą. To naprawdę ważne.

Nastąpiła cisza.

- Ale o czym w związku z pracą? - jej głos przepełniały niepewność i wahanie. Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, by wplątywał ją w swoje machinacje i narażał w ten sposób jej karierę.

- Mam twarde dyski z Instytutu. Jeden z tych ściśle tajnych. Są na nim zdjęcia w wysokiej rozdzielczości.
- Kurczę, Mark, nie mów mi tego, nie chcę nawet o tym słyszeć.
- Musisz mnie wysłuchać. Coś na nim odkryłem. Coś niewiarygodnego.
- Naprawdę, nie chcę o tym słyszeć. Rozłączam się.
- Nie, zaczekaj! Odkryłem... obraz obcej... maszyny albo artefaktu na... - przerwał. Nie podawaj jej prawdziwej lokalizacji. - Na Marsie.

Znowu cisza.

- Chwileczkę. Coś ty powiedział?
- Odczytałem obraz na zdjęciu. Bardzo, ale to bardzo wyraźny obraz bardzo, ale to bardzo starej konstrukcji na powierzchni Marsa. Nie ma mowy o pomyłce.
- Chyba coś piłeś.
- Owszem, ale dokonałem tego odkrycia, kiedy byłem trzeźwy. Marjory, wiesz, że nie jestem idiotą i że miałem najlepsze noty na studiach w MIT, byłem pierwszy na moim roku, a

potem byłem najmłodszym technikiem w całym projekcie marsjańskim. Wiesz, że skoro mówię ci, że to prawda, to musi to być prawda. Myślę, że właśnie ta machina jest źródłem emisji promieniowania gamma.

Usłyszał w słuchawce jej oddech.

- Dużo formacji geologicznych może wyglądać jak sztuczne twory.
- To nie jest formacja. Ma jakieś sześć metrów średnicy i składa się z idealnie cylindrycznej rury, której koniec wystaje ponad powierzchnię i mierzy ze dwa metry średnicy, a wokół niego znajduje się pięć idealnie sferycznych wybrzuszeń, całość zaś wznosi się na pięcio-kątnej platformie, częściowo zasypanej warstwą naniesionego regolitu.
- Skąd wiesz, że to coś jest stare?
- Dzięki regolitowi. Poza tym widać też wgłębienia i ślady erozji powstałe wskutek zetknięcia z mikrometeoroidami. To musi mieć wiele milionów lat.

Ponownie cisza.

- Gdzie to jest na Marsie? Chciałabym zobaczyć zdjęcia.
- Przykro mi, nie mogę ci tego powiedzieć.
- Dlaczego?
- Ponieważ ja to odkryłem, ja zgarnę związane z tym zaszczyty. Przypuszczam, że mnie rozumiesz.
- Owszem. Ale... Co zamierasz z tym zrobić? Jak zamierzasz zgarnąć te zaszczyty?
- Zadzwoń do Chaudry ego.
- Jezu. Powiedziałeś mu, że ukradłeś dysk ze ściśle tajnymi danymi?
- Nie wspominałem, że go ukradłem, ale owszem, powiedziałem całą resztę.

Stwierdziłem, że jeśli przyjmie mnie z powrotem, zwrócę dysk, wszystko pójdzie w zapomnienie i podzielimy się tym odkryciem. W przeciwnym razie wyślę dysk do FBI i storpeduję jego dalszą karierę.

- O Boże. No i?
- Ten dupek nie uwierzył w istnienie maszyny obcych. Powiedział, że jestem kłamcą i mitomanem. Nie uwierzył nawet, że mam twarde dyski ze ściśle tajnymi zdjęciami. Więc na dowód prawdziwości moich słów wysłałem mu fragment zdjęcia w wysokiej rozdzielczości. Nie zdjęcie maszyny, ma się rozumieć, bo wówczas odnalazłby ją, wykorzystując plik z danymi. Ale wysłałem mu fragment innego zdjęcia. Ten skurwiel oddzwonił błyskawicznie.
- Kompletnie ci odbiło.
- To gra o wysoką stawkę.
- I co?
- Nie poszło tak, jak się spodziewałem. Powiedział, że nie zamierza nic dla mnie zrobić. I że ja nic nie mogę zrobić jemu. Bo gdybym anonimowo przesłał dysk do FBI i gdyby federalni go zgarnęli, on z miejsca mnie zakapuje. „Jeżeli ja pójdę siedzieć, to ty razem ze mną”. Tak się wyraził. To pat meksykański.

Nastała długa przerwa.

- Wiesz, że ma rację.
- Teraz już tak. Ten skurwiel załatwił mnie bez mydła.
- I co dalej?
- To jeszcze nie koniec. Zastanawiam się, czy nie pójść z tym dyskiem do „Timesa”.

Przysięgam na Boga, że zrobię użytek z tych zdjęć, nawet gdyby to była ostatnia rzecz, jakiej dokonam. - Zawahał się. - Potrzebowałem opinii osoby trzeciej. Chcę wiedzieć, co o tym myślisz. Mnie już od myślenia o tym pęka głowa. Przez dłuższą chwilę na linii słychać było tylko suche trzaski i cichą muzykę gdzieś w tle.

- Nie rób niczego pochopnie - powiedziała powoli Leung. - Nie wiem, czy pójdzie do „Timesa” to dobry pomysł. Daj mi parę dni, abym się nad tym zastanowiła, dobra? Po prostu przyczaj się i nic nie rób.

- Ale pośpiesz się. Jestem w rozpaczliwej sytuacji.

45

Abbey nie potrafiła zebrać się na odwagę, by przekazać ojcu nowinę podczas kolacji, a i teraz, o szóstej rano, znosząc po schodach walizkę, wciąż nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Zastała go w kuchni. Siedział przy stole, pił kawę i czytał „Portland Press Herald”. Była wstrząśnięta tym, jak bardzo wydawał się zmęczony fasnobrazowe włosy, przetłuszczzone i pozlepiane w strąki, przylepiały mu się do czoła, był nieogolony i dziwnie przygarbiony. Choć niewysoki, zawsze trzymał się prosto, był krępy i muskularny. Teraz wydawał się bliski kompletnego załamania. Odkąd zatopiła jego łódź i zrujnowała mu życie, przestał przypominać jej o studiach i w ogóle o przyszłości, nie skarżył się też, że przepadły pieniądze, które poszły na jej wykształcenie. Zupełnie jakby zrezygnował z niej i z własnego życia. Czuła się z tym fatalnie.

Kiedy postawiła walizkę przy drzwiach, uniósł wzrok ze zdziwieniem.

- Co to ma znaczyć? Wybierasz się gdzieś?

Wysiliła się na szeroki uśmiech.

- Znalazłam nową pracę.

Uniósł brwi w wyrazie zaskoczenia.

- Usiądź, napij się kawy i opowiedz mi o tym.

Promienie słońca wpadały przez okno, a za nim widać było błękit odległej zatoki usianej łodziami rybackimi, przez okno naprzeciwko zaś Abbey mogła ujrzeć rozległą łąkę za domem, trawa była wysoka i zielona. Do przyjazdu samochodu miała jeszcze pół godziny. Wyjęła kubek z kredensu, naląła sobie kawy, nasypała jak zwykle cztery łyżeczki cukru, dodała sporą porcję śmietanki, zamieszała i usiadła.

- Koniec z posadą kelnerki?

- Koniec. Mam prawdziwą pracę.

- W sklepie Reilly ego? Widziałem ogłoszenie, że poszukują sprzedawczyni na całe lato.

- Jadę do Waszyngtonu.

- Do tego Waszyngtonu?

- Na tydzień, dwa, a potem może wrócę. Ta posada wiąże się z licznymi podróżami.

Ojciec wychylił się do przodu, na jego twarzy malowała się niepewność.

- Podróże? Czym, u licha, miałybyś się zajmować?

Przełknęła ślinę.

- Będę pracować dla geologa planetarnego. Jako jego asystentka.

Ojciec patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Co ty wiesz o geologii?

- To nie jest zwykła geologia. To geologia planetarna. Dotyczy planet, tato. To trochę jak astronomia. Ten naukowiec prowadzi firmę konsultingową dla rządu.

Przerwała, przypominając sobie, o czym rozmawiali.

- Był w restauracji parę tygodni temu, rozmawialiśmy i zaproponował mi posadę asystentki.

Upiła łyk kawy i uśmiechnęła się nerwowo.

- Ależ, Abbey, to wspaniale. A jeżeli wolno wiedzieć, ile będziesz zarabiać?

- To intratna posada. Prawdę mówiąc, wiąże się z tym pewna premia...

- O czym ty mówisz?

- O premii na rozpoczęcie nowej współpracy. No wiesz, czasem tak bywa, że kiedy ktoś zostaje przyjęty do nowej pracy, otrzymuje z tego tytułu premię.

Jego oczy zwęziły się w szparki.

- To robota dla prawdziwych ekspertów. W jakiej dziedzinie ty jesteś ekspertem?

Abbey nie znośiła kłamać.

- Na Uniwersytecie Princeton chodziłam na zajęcia z fizyki i astronomii.

Ojciec wciąż przyglądał się jej z uwagą.

- Jesteś pewna, że to uczciwa robota?

- Oczywiście! Posłuchaj, za kwadrans przyjeżdża po mnie samochód, więc już muszę się pożegnać. Ale chciałabym ci jeszcze coś powiedzieć...

- Samochód? Po ciebie?

- Tak. Zamówione auto ma mnie zawieźć na lotnisko. Lecę do Waszyngtonu.

- Chcę się spotkać z twoim pracodawcą. Muszę z nim pomówić.

- Tato, jestem już dużą dziewczynką. Umiem o sobie zadbać.

Przełknęła ślinę i wyrzała przez okno.

Jej ojciec zmarszczył brwi i odstawił kubek z kawą.

- Chcę się z nim zobaczyć.

- Spotkasz się z nim - przyrzekła Abbey i wskazała ręką w stronę okna. - Popatrz na zatokę.

- Co takiego? - zapytał, a jego oblicze aż poczerwieniało z zatroskania.

Teraz albo nigdy, pomyślała.

- Tato, spójrz na twoje miejsce przy przystani!

Odwrócił się i mrużąc lekko powieki, wyrzał przez okno w kuchni, po czym, szurając, gniewnie odsunął krzesło do tyłu.

- Ach! Niech to szlag, jakiś cwaniak zajął moje miejsce na przystani.

- Ci cholerni letnicy - mruknęła Abbey; to była stara śpiewka, letnicy stale zajmowali wolne miejsca na przystani rybackiej.

- Przyplływają z Massachusetts i wydaje im się, że zatoka należy do nich.

- Lepiej spisz nazwę łodzi i zawiadom komendanta portu.

- Oczywiście, że to zrobię. Sięgnął do kosza z gazetami i wyjął stamtąd lornetkę. Przez chwilę spoglądał przez nią w kierunku portu.

- Co, u licha?

- Jak się nazywa łódź, tato?

- To jakiś żart?

Abbey nie mogła już dłużej się powstrzymać.

- Tato, to Marea II. Dwunastometrowy willis beal z silnikiem vol-vo o mocy dwustu piętnastu koni mechanicznych i przebiegu niespełna dwóch tysięcy godzin. Naprawdę dobra łajba. Ma wszystko, czego ci potrzeba, a nawet więcej. Zbudowana w stoczni RP Boatworks w 2002 roku. Jest gotowa, by wypłynąć nią na połów. Nie jest nowa, ale miałam tylko sto tysięcy.

Lornetka zaczęła drżeć.

- Co... u licha?

Od strony podjazdu rozległ się dźwięk klaksonu.

- O, jest już mój samochód.

- Nie stać mnie na spłaty...

- Nic się nie martw. Wszystko już jest spłacone. Kupiłam ją dla ciebie za moją premię na rozpoczęcie nowej pracy. Wszystkie dokumenty znajdziesz na pokładzie. Muszę lecieć.

- Abbey... zaczekaj, kupiłaś mi nową łódź? Zaczekaj, na miłość boską...

- Masz mój numer, zadzwonię do ciebie później z komórki.

Wybiegła z domu, wrzuciła walizkę na tylne siedzenie czarnego

SUV-a i sama też wsiadła do auta. Jej ojciec podszedł do drzwi, wciąż nie potrafił jeszcze zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Pomachała mu, gdy samochód ruszył z chrzęstem opon po żwirowym podjeździe i wyjechał na szosę.

Kiedy Ford wszedł do lśniącego od chromu i szkła holu hotelu Water-gate, zastępca kierownika, który najprawdopodobniej czekał na niego, wyłonił się zza swojego biurka jak diabełek z pudełka z dłońmi złączonymi przed sobą. Był niskim mężczyzną ubranym na czarno, ze zbolałym, służalczym wyrazem twarzy.

- Panie Ford?

- Tak?

- Proszę wybaczyć moje zatroskanie, ale chodzi mi o dziewczynę w wynajętym przez pana pokoju.

Ford wychwycił nutę dezaprobaty w pełnym zaniepokojenia głosie mężczyzny. Może popełnił błąd, ulokowując ją w Watergate. W Waszyngtonie było wiele spokojniejszych i tańszych hoteli. Uniósł brwi.

- W czym problem?

- Od dwóch dni nie wychodziła z pokoju, nie pozwala personelowi posprzątać ani uzupełnić minibaru, zamawia dostawy posiłków głównie w środku nocy i nie odbiera telefonu.

Mężczyzna wykonał gest, jakby załamywał ręce.

- A poza tym przed godziną doszły do mnie skargi na hałas.

- Hałas?

- Głośne wrzaski. Donośne entuzjastyczne okrzyki. To brzmiało tak, jakby odbywała się tam jakaś... impreza.

Ford starał się zachować pełen powagi wyraz twarzy.

- Zajmę się tym.

- Jesteśmy zaniepokojeni. Właśnie skończyliśmy odnawiać hotel. Goście są zobowiązani regulować należność za wszelkie szkody wyrządzone w pokojach... - głos pełen dezaprobaty powoli ucichł.

Ford sięgnął do kieszeni i wcisnął mężczyźnie do ręki dwudziesto-dolarowy banknot.

- Proszę mi zaufać, wszystko będzie dobrze.

Tamten spojrział pogardliwie na banknot, po czym włożył go do kieszeni i wrócił na swoje stanowisko. Ford ruszył w kierunku windy; zaczął się obawiać, że to przedsięwzięcie może być kosztowniejsze, niż przypuszczał. Zapukał, Abbey otworzyła drzwi. W pokoju panował bałagan, brudne talerze, pudełka po pizzy i chińszczyźnie piętrzyły się przy wejściu i wciąż jeszcze unosiła się z nich woń resztek jedzenia. Z kosza na śmieci wysypywały się puszki po dietetycznej coli, na podłodze walały się papiery, pościel na łóżku była skotłowana.

Zauważyła, że się rozglądał.

- Co?

- W dużych hotelach, takich jak ten, mają usługę znaną jako sprzątanie pokoi. Słyszałaś o czymś takim?

- Nie mogę się skupić, kiedy ktoś obok mnie sprząta.

- Mówiłaś, że to zajmie godzinę.

- No dobrze, pomyliłam się.

- Ty? Pomyliłaś się?

- Może lepiej, żebyś usiadł, to pokażę ci, co udało mi się odkryć.

Spojrzał na nią z uwagą: wyglądała mizernie, włosy miała zmierzwiłone, oczy przekrwione, ubranie zmięte, jakby w nim spała. Ale na jej twarzy malował wyraz triumfu.

- Nie mów mi, że rozwiązałaś problem?

- A czy na sedesie się siada?

Skrzywił się.

- Powinnaś spisywać swoje odzywki.

Sięgnęła do minilodówki i wyjęła dietetyczną colę.

- Chcesz?

- Nie, dzięki - wzdrygnął się.

Usiadła przed komputerem, a on postawił sobie krzesło przy niej.

- Problem był poważniejszy, niż sądziłam.

Upiła spory łyk coli, przedłużając napięcie.

- Każdy obiekt w Układzie Słonecznym wytycza pewien tor, krzywą, elipsę lub hiperbolę. Orbita hiperboliczna oznacza, że obiekt przybył spoza Układu Słonecznego i znowu tam powróci, poruszając się szybciej, niż wynosi prędkość ucieczki. Ale obiekt X poruszał się po orbicie eliptycznej.

- Obiekt X?

- Musiałam to jakoś nazwać.

Ford wychylił się do przodu.

- Chcesz zatem powiedzieć, że to coś pochodziło z naszego Układu Słonecznego?

- Tak. Miałam zdjęcie nadlatującego obiektu X i znałam kąt, pod jakim uderzył w Ziemię. Nie znałam tylko jego prędkości. Okazuje się, że na Uniwersytecie Maine w Orono mają stację monitorowania meteoroidów. Nie zrobili zdjęcia obiektowi X, ale uzyskali jego zapis akustyczny na taśmie - falę dźwiękową - i na tej podstawie ustaliłam prędkość obiektu na dwadzieścia przecinek dziewięć kilometra na godzinę. Znacznie mniej niż sto siedemdziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę, jak początkowo donosiła prasa.

Ford pokiwał głową.

- Jak na razie nadażam.

- Tak więc obiekt poruszał się po orbicie eliptycznej. Apogeum, czyli punkt najdalej oddalony od Słońca, to przypuszczalne miejsce, gdzie obiekt rozpoczął swoją podróż.

- Rozumiem.

Abbey nacisnęła kilka klawiszy i na ekranie pojawił się schemat Układu Słonecznego.

Wpisała polecenie i na schemat została naniesiona elipsa.

- To orbita obiektu X. Zwróć uwagę, że apogeum znajduje się tuż przy orbicie Marsa. A teraz najlepsze: ekstrapolując jeszcze bardziej, zauważymy, że Mars znajdował się dokładnie w tym punkcie na swojej orbicie, kiedy obiekt X rozpoczął wędrówkę w kierunku Ziemi.

Usiadła prosto.

- Obiekt X - powiedziała - pochodzi z Marsa.

W pokoju hotelowym zapadła długa cisza. Ford wlepił wzrok w ekran. To wydawało się niesamowite.

- Jesteś pewna?

- Sprawdziłam trzy razy.

Ford potarł dłonią podbródek i rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Wygląda na to, że musimy udać się do miejsca, gdzie wiedzą wszystko o Marsie.

- Czyli dokąd?

Ford zamyślił się przez chwilę.

- Obecnie prowadzone są prace mające na celu gruntowne zbadanie Marsa. Tworzone są jego mapy. Projekt opracowano w Instytucie Badań i Rozwoju Napędów w Pasadenie w Kalifornii. Powinniśmy udać się tam i poprosić, czy nie natrafili na coś niezwykłego.

Abbey przekrzywiła głowę i spojrzała na niego.

- Wiesz, Wyman, jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego to robisz? Co z tego masz?

Nikt ci nie płaci, prawda?

- Jestem poważnie zaniepokojony. Nie wiem dlaczego, ale mój wewnętrzny alarm huczy jak szalony i nie spocznę, dopóki nie dowiem się, o co w tym chodzi.

- Co cię właściwie niepokoje?

- Jeżeli to była miniaturowa czarna dziura, oznacza to, że nasza planeta została właśnie obdarzona pocałunkiem Posępnego Żniwiarza. Byliśmy o włos od całkowitej zagłady. A jeżeli tam, skąd przybyła, jest ich więcej?

Harry Burr czekał na parkingu przed centrum handlowym Connecticut, opierając się o zderzak żółtego volkswagena New Beetle i pałac american spirita. Wiadomość była pilna, otrzymał ją wczoraj późnym wieczorem. Burr nigdy dotąd nie przyjął zlecenia, które nie byłoby pilne. Kiedy ktoś pragnął czyjejs śmierci, nigdy nie mówił „nie spiesz, się, zrób to powoli”.

Przesunął papierosa w zamyśleniu pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, ugniatając gąbczasty filtr i patrząc, jak z żarzącego się koniuszka unosi się smużka dymu. Fatalny nałóg, szkodliwy dla zdrowia, nieatrakcyjny, typowy dla klasy robotniczej. Profesorowie w tweedowych garniturach nie palili papierosów, co najwyżej fajkę z korzenia wrzośca. Cisnął niedopałek na betonową płytę parkingu i zdeptał kilkoma energicznymi skrętami stopy obutej w elegancki skórzany mokasyn, aż zostały z niego tylko strzępki. Rzuci palenie, ale jeszcze nie dziś.

Przejechało kilka samochodów, w końcu jeden zwolnił, podjeżdżając do niego. To był szpetny amerykański wóz, jeden z najnowszych modeli crown victoria, rzecz jasna czarny. Jego pracodawcy, kimkolwiek byli, oglądali zbyt wiele filmów. Uwielbiał swojego volkswagena, to było idealne auto do pracy, jaką wykonywał. Nikt się nie spodziewa, że płatny zabójca jeździ żółtym garbusem. Albo że nosi tweedową marynarkę ze skózanymi łatami na łokciach od L.L. Beana, a do tego materiałowe spodnie, mokasyny i elastyczne skarpetki.

Patrząc na podjeżdżający czarny wóz, Burr nie wiedział ani nie chciał wiedzieć, kto go wynajął, ale domyślał się, że ktoś wysoko postawiony. Ostatnio miał dużo podobnych zleceń. Crown vic zatrzymał się, a przyciemniona szyba - przyciemniona szyba! - została opuszczona. To był ten sam Azjata, z którym miał już wcześniej do czynienia, facet w granatowym garniturze i ciemnych okularach. Mimo to nie obyło się bez wymiany ustalonego uprzednio hasła i odzewu.

- Zwalnia pan to miejsce? - zapytał mężczyzna.

- Dopiero za sześć minut.

Uwielbiali tego typu gierki. W odpowiedzi w jego stronę wysunęła się dłoń z szarą grubą kopertą. Burr odebrał ją, otworzył, przesunął kciukiem po pliku banknotów i rzucił kopertę na fotel pasażera.

- Przede wszystkim chcemy ten twardy dysk - rzekł mężczyzna. - Zwiększamy premię do dwustu tysięcy za nienaruszony dysk. Rozumiemy się?

- Jasne - potwierdził Burr, uśmiechając się chłodno, i machnięciem ręki odprawił samochód.

Crown vic odjechał przy wtórze ostentacyjnego pisku opon. Pięknie, pomyślał, grunt to nie zwracać na siebie uwagi.

Wrócił do swojego auta i otworzył kopertę, wysypując z niej całą zawartość: najważniejsze informacje, zdjęcia i pieniądze. Sporo tego było. A będzie jeszcze więcej. Dobra robota, wręcz wyśmienita.

Włożył pieniądze do schowka na rękawiczki, po czym przejrzał zdjęcia i list ze szczegółami zlecenia. Zagwizdał. To będzie bułka z masłem. Odzyskać twardy dysk i sprzątnąć jajogłowego. Na tym dysku musiało być coś naprawdę ważnego; wyłuskał z pliku jego zdjęcie i przyjrzał mu się, następnie odłożył na miejsce, obejrzał pozostałe i wrócił do lektury podstawowych informacji. Poświęci im więcej czasu wieczorem, zbada teren, a jutro zrealizuje kontrakt. Nie mógł sobie wyobrazić, jak to było w czasach przed Google Earth, MapQuest, Face-bookiem, YouTube em, które wyparły zapisy na fiskkach i kartkach, przed wyszukiwarkami i całą masą innych narzędzi służących do naruszania prywatności, od których roiło się w internecie. W pół godziny mógł zdobyć informacje, których zgromadzenie wymagało wcześniej tygodnia harówki.

Harry Burr odłożył papiery na bok i na chwilę pograżył się w zadumie. Był dobry i bynajmniej nie tylko dlatego, że chodził do elitarnej szkoły i doskonale znał łacinę. Był dobry, ponieważ nie lubił zabijania. Nie sprawiało mu przyjemności. Nie musiał tego robić, nie czuł takiej potrzeby, to nie było dla niego porównywalne z jedzeniem czy seksem. Był dobry, gdyż umiał się wczuć w swoje ofiary. Wiedział, że były prawdziwymi ludźmi, potrafił postawić się w ich położeniu, spojrzeć na świat ich oczami. To znacznie ułatwiało ich likwidację.

No i przede wszystkim Harry Burr był skuteczny. Dawno temu, w innym życiu, kiedy był jeszcze dobrze wyedukowanym smarkaczem z Greenwich o nazwisku Gordie Hill, ojciec nauczył go, co oznacza bycie skutecznym. Zasypywał go mnóstwem cytatów: jeżeli zamierzasz coś zrobić, zrób to; jeśli masz mnóstwo pieniędzy, nikogo nie obchodzi, w jaki sposób do nich doszedłeś; jeżeli zamierzasz zwyciężyć, to każdy sposób jest dobry. Zwycięzcy nikt nie pyta, czy mówi prawdę - powiedział któregoś dnia jego ojciec, gdy wyszedł z kuchni po tym, jak zastrzelił matkę. I Harry już nigdy więcej go nie widział. Kilka lat później dowiedział się, że ojciec cytował Hitlera. I to było zabawne.

Harry Burr uśmiechnął się. Był „uszkodzony”, a w każdym razie przekonanie o tym wpoił mu po śmierci jego matki liczni szkolni psychologowie, doradcy, pracownicy społeczni i wszyscy inni trudniący się zawodowo doradzaniem i biorący po sto dolarów za godzinę terapeutów. Dlaczego zatem nie miałby zrobić kariery, bazując na tym, że jest „uszkodzony”? Wyjął z kieszeni koszuli wygniecioną paczkę papierosów. Wysunął ostatniego, zapalił i wsunął pustą już paczkę do kieszeni. Jak to ujął święty Augustyn? „Boże, obdarz mnie czystością, ale jeszcze nie teraz”. Pewnego dnia rzuci ten nałóg, ale jeszcze nie dziś.

48

Abbey stała za Fordem, gdy ten zapukał do otwartych drzwi gabinetu doktora Charlesa Chaudryego, dyrektora projektu marsjańskiego. Świerzbiło ją całe ciało i w nowym kostiumie, który kazał jej włożyć Ford, było jej gorąco w upalny czerwcowy kalifornijski dzień.

Dyrektor wstał i wyszedł zza biurka, wyciągając rękę na powitanie.

- Moja asystentka, Abbey Straw - przedstawił dziewczynę Ford.

Abbey uściśnęła chłodną dłoń. Chaudry był przystojnym mężczyzną, o pociągłej twarzy z wyrazistymi rysami, ciemnobrązowych oczach, sprężystym kroku, atletycznej sylwetce, i emanującym pewnością siebie. Miał niewielki kucyk, który wydawał się nieodłączną cechą Kalifornijczyków w pewnym wieku.

- Zapraszam - rzekł miękko, nieomal melodyjnym głosem.

Ford usiadł na krześle, Abbey zrobiła to samo. Próbowwała ukryć swoje zdenerwowanie. Była trochę podniecona całą tą aferą w stylu płaszcza i szpady oraz perspektywami, jakie się przed nimi otwierały Ten Ford, który wydawał się spięty i chłodny, w głębi serca był prawdziwym buntownikiem. To jej się podobało.

Gabinet był zaskakująco obszerny i urządzone po spartańsku, z oknami wychodzącymi na szarobrązowe góry wznoszące się tuż za połącją rozległego parkingu. Dwa regały z książkami przydawały mu przyjaznej akademickiej atmosfery. Wszystko było uporządkowane i na swoim miejscu.

- A więc - rzekł Chaudry, splatając dłonie - pisze pan książkę na temat naszego projektu marsjańskiego.

- Tak - przyznał Ford. - To będzie wydanie albumowe z mnóstwem zdjęć.

Poinformowano mnie, że to pan odpowiada za mapowanie i zdjęcia powierzchni Marsa.

Chaudry pokiwał głową.

Ford z entuzjazmem zaczął szczegółowo opowiadać o planowanej książce, co miała zawierać oraz jakimi zdjęciami powinna być zilustrowana. Abbey zdumiała ta przemiana z chłodnego,

rzeczowego pragmatyka w tryskającego pasją autora. Chaudry słuchał uprzejmie, trzymając przed sobą dłonie złożone koniuszkami palców.

- Rozumiem - powiedział, kończąc, Ford - że ponieważ jest to projekt NASA, zdjęcia są własnością publiczną. Chciałbym mieć dostęp do wszystkich posiadanych przez was zdjęć w najwyższej rozdzielczości.

Chaudry rozdzielił dłonie i wychylił się do przodu.

- Ma pan rację, zdjęcia są własnością publiczną, lecz z wyjątkiem tych o największej rozdzielczości.

- Ale nam potrzebne są te najbardziej wyraziste.

Dyrektor odchylił się do tyłu.

- Przykro mi, ale są one objęte klauzulą tajności. Proszę się nie obawiać, dostarczymy panu do książki dość fotografii w odpowiedniej rozdzielczości.

- Dlaczego utajniacie zdjęcia?

- To standardowa procedura postępowania. Technologia obróbki obrazu jest ściśle tajna i nie chcielibyśmy, aby nasi wrogowie wiedzieli, na jakim jest poziomie.

- Ile wynosi największa rozdzielczość?

- Powtarzam, nie wolno mi mówić o szczegółach. Powiem tylko, że z orbity jesteśmy w stanie dojrzeć obiekt o średnicy pięćdziesięciu centymetrów. A dzięki naszemu radarowi SHARAD potrafimy też wejrzeć na sto metrów pod powierzchnię.

Ford zagwizdał.

- Widział pan może coś niezwykłego?

Chaudry uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- W zasadzie wszystko, co oglądamy, jest niezwykle. Jesteśmy jak Kolumb stawiający stopę na amerykańskiej ziemi.

- A może... coś nie do końca naturalnego?

Uśmiech Chaudry ego przygasł.

- O co konkretnie panu chodzi? - zapytał chłodno.

- Powiedzmy, że ujrzałby pan na powierzchni, dajmy na to, statek kosmiczny obcych. -

Ford cicho zachichotał. - Co by pan wtedy zrobił?

Uśmiech dyrektora zupełnie zniknął.

- Panie Ford, niech pan tak nawet nie żartuje. Mamy sporo, naprawdę sporo, różnego rodzaju oszołomów i świrów wysuwających rozmaite szalone teorie. Przed naszym Instytutem dochodzi do demonstracji grup domagających się, abyśmy ujawnili zdjęcia obcych cywilizacji, które odkryliśmy. - Chaudry przerwał i dodał po chwili: - Pan żartuje, prawda, panie Ford? A może miał pan jakiś konkretny powód, by zadać akurat to pytanie?

- Ależ skąd - zapewnił Ford - oczywiście, że żartowałem.

- Ma pan rację, doktorze Chaudry - odezwała się Abbey - Czytałam kiedyś, że prawie czterdzieści procent Amerykanów wierzy, że gdzieś tam w kosmosie istnieją inteligentne formy życia. Jak można być tak głupim!

Chaudry poruszył się niespokojnie na fotelu.

- No cóż - rzekł Ford, spoglądając z ukosa na Abbey. - Bardzo nam pan pomógł, doktorze.

Chaudry wstał i odetchnął z wyraźną ulgą.

- Panie Ford, chętnie udzielimy panu pomocy przy tworzeniu tej książki. Wszystkie zdjęcia są dostępne w sieci na naszej stronie internetowej. Wystarczy wybrać, które się panu spodobają, a moje biuro prasowe z przyjemnością przekaże panu płytę DVD ze wskazanymi zdjęciami w najwyższej dozwolonej rozdzielczości.

Z nieco wymuszonym uśmiechem wykonał zamaszty gest ręką, wskazując im drzwi.

- To była strata czasu - mruknęła Abbey, gdy przemierzali długie korytarze.

Ford potarł podbródek, rozejrzał się dokoła, po czym skręcił za róg i skręcił w niewłaściwy korytarz.

- Ej, Einsteinie - rzuciła Abbey - to nie jest droga do wyjścia.

Na ustach Forda pojawił się szelmowski uśmieszek.

- A niech to. Ten Instytut jest naprawdę olbrzymi. Nietrudno się tu zgubić.

Skręcił za załom korytarza i znalazł się w kolejnym. Abbey próbowała dotrzymać mu kroku, co nie było proste.

- Idź za mną i tyle - powiedział Ford.

Skręcił w następny korytarz, a Abbey uświadomiła sobie, że musiał doskonale znać rozkład budynku. Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami jakiegoś gabinetu. Ford zapukał i ze środka dobiegło pełne rozdrażnienia „wejść”. Ford otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Abbey dostrzegła potężnego mężczyznę o niesympatycznej nalanej twarzy, w podkoszulku z krótkimi rękawami. Było gorąco i w pomieszczeniu czuć było potem.

- Doktor Winston Derkweiler? - rzucił ostro Ford.

- Tak?

- Jestem z Agencji - oznajmił Ford i skinął na Abbey. - To moja asystentka.

Derkweiler spojrział na nią i ponownie na niego.

- Z Agencji? Z jakiej Agencji?

- Mniej więcej miesiąc temu - ciągnął, jak gdyby nigdy nic, Ford - zamordowany został jeden z waszych naukowców.

Abbey była mocno zdziwiona. To było dla niej coś nowego. Ford trzymał wszystkie karty przy orderach. I rozgrywał je na chłodno.

- Zgadza się - przyznał Derkweiler. - Ale o ile mi wiadomo, śledztwo zostało zamknięte.

Ford odwrócił się do Abbey.

- Panno Straw, zechciałaby pani zamknąć drzwi?

- Oczywiście - powiedziała Abbey, która dodatkowo przekreśliła zasuwkę, ot tak, dla lepszego efektu.

- Śledztwo może i zostało zamknięte, ale w dalszym ciągu trwa dochodzenie w sprawie o naruszenie procedur bezpieczeństwa.

- Naruszenie procedur bezpieczeństwa? Nie rozumiem.

- Powiedzmy, że doktor Freeman nie należał do osób dyskretnych.

- To mnie nie dziwi.

- Cieszę się, że rozumie pan istotę problemu, doktorze Derkweiler.

- Dziękuję.

Ford uśmiechnął się.

- Powiedziano mi, że mogę liczyć na pańską pomoc. A teraz poproszę o listę personelu pańskiego wydziału.

Derkweiler zawahał się.

- Cóż, skoro o bezpieczeństwie mowa... Czy mogę zobaczyć jakiś dokument, odznakę...

- Oczywiście. Bardzo przepraszam!

Ford wyjął znoszoną legitymację, na której Abbey dostrzegła nie-biesko-biało-złote charakterystyczne logo CIA.

- Ach, to z tej Agencji - mruknął Derkweiler.

Odznaka szybko zniknęła w kieszeni marynarki Forda.

- To tak między nami, zrozumiano?

- Oczywiście - zapewnił Derkweiler i sięgnął do swojego archiwum, po czym wyjął stamtąd kartkę, którą podał ją Fordowi. - Proszę, to lista ludzi zatrudnionych w moim wydziale, nazwiska, tytuły, kontakty

- A co z byłym personelem?

Derkweiler zmarszczył brwi i przez chwilę grzebał w aktach.

- To jest lista z ostatniego kwartału. Gdyby pan chciał sprawdzić wcześniejszy okres, proponuję, aby udał się pan bezpośrednio do działu kadr.

Wyszli z budynku i pięć minut później byli już na rozległym parkingu przy Instytucie. W wynajętym aucie było piekielnie gorąco, siedzenia nagrzały się jak grill. Abbey nigdy wcześniej nie była w południowej Kalifornii i miała nadzieję, że nigdy tu nie wróci. Jak ci ludzie mogli znosić takie upały? Oddałyby wszystko za Maine w styczniu.

Ford uruchomił wóz i z klimatyzacji buchnęły strugi gorącego powietrza. Abbey spojrzała na niego, mrużąc powieki.

- Dobra robota, agencie specjalny Ford.

- Dziękuję.

Ford wyjął z kieszeni listę otrzymaną od Derkweilera i podał jej.

- Znajdź mi niezadowolonego byłego pracownika, najlepiej kogoś, kto został stąd wyrzucony.

- Myślisz, że próbują coś zatuszować?

- W miejscu takim jak to zawsze próbuje się coś zatuszować. Taka już jest ich natura. Wszystkie duże firmy oparte na systemie biurokratycznym, niezależnie czym się zajmują, mają skłonność do kontrolowania przepływu informacji, zwiększania swojego budżetu i uwieczniania samych siebie. Jeżeli odkryli coś niezwykłego, mającego związek z Marsem, możesz być pewna, że zostało to starannie utajone. Dzięki ci, Boże, za niezadowolonych pracowników, bo nikt bardziej niż oni nie stara się o ujawnienie rządowych machlojek.

49

Mark Corso wszedł do zaniedbanej kamienicy z piaskowca, przejrzał leżący na stoliku plik poczty, cisnął listy z powrotem na blat z wyrazem zdegustowania i zawodu, po czym poczłapał do salonu. Opadł na kanapę i włączył Xboxa z wgranym Resident Evil 5. Za godzinę szedł do pracy, do Moto i chciał jakoś zabić czas.

Gdy zaczęła się gra, niewielki pokój wypełniły odgłosy wystrzałów, eksplozji i rozdzieranego mięsa. Grał przez dziesięć minut, ale nie szło mu najlepiej. Włączył pauzę, odłożył konsolę i zapanowała grobowa cisza. Nie potrafił się rozluźnić, nic go już nie bawiło. Zwłaszcza gdy jego odkrycie wciąż trwało w zawieszeniu, bo przecież czekał, kiedy oddzwoni do niego Marjory. Czekał, czekał i nic. Jutro z samego rana pójdzie z tym do „Timesa”. Minęły zaledwie dwa dni, odkąd zadzwonił do Marjory, ale ona nadal ostrzegała go, aby nie wychylał się z tą sprawą. Może grała na czas i sama próbowała odnaleźć machinę. Powodzenia, na powierzchni Marsa na pewno jej nie znajdzie.

Powrócił myślami do dziennikarki, która zadzwoniła do niego dziś rano. Był ostrożny, mówił ogólnikami, ale podał jej dość informacji, by, jak miał nadzieję, zdołała dobrać się Chaudry emu do skóry. Niech skurwiel się boi, kiedy ten artykuł ujrzy światło dzienne. Choć, gdy teraz wspominał tę rozmowę, czuł lekki niepokój, zastanawiał się, czy nie powinien być trochę mniej wylewny. Zapewniła go jednak, że wszystkie informacje zostaną utajnione, potrzebowała ich jedynie do zapewnienia artykułowi odpowiedniego tła - jego nazwisko w ogóle się w nim nie pojawi.

Przechodząc obok stolika, raz jeszcze rzucił okiem na pocztę, choć mijało się to z celem i tylko wzmagало jego rozdrażnienie. Żadnej oferty pracy, nic. Był wściekły, że byli pracodawcy okantowali go na osiem tysięcy dolarów i że Chaudry skwitował z chłodną pogardą jego warunki, odpowiadając pogroźką na pogroźkę.

Zdenerwowany wszedł do łazienki, ochlapał sobie twarz zimną wodą, po czym otarł ją do sucha ręcznikiem. Zimna woda nie pomogła. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pójdzie do pracy, aby nie myśleć o tym, co go dręczyło, i ukoić nerwy paroma głębszymi. Kręcenie się po domu przez cały dzień kompletnie go wykończyło.

Tak, pójdzie ze swoim odkryciem do „Timesa”, to już postanowione. Po czymś takim władze nie odważą się go aresztować. Stanie się bohaterem. Jak Daniel Ellsberg. Z rozmyślań wyrwał go głęboki dźwięk dzwonka do drzwi.

- Mark? - usłyszał dochodzący z kuchni trwożliwy głos matki. -Zobaczysz, kto to?

Corso podszedł do drzwi i spojrział przez judasz. Mężczyźni w tweedowej marynarce zapewne musiało być przerażająco gorąco w ten parny, choć szary poranek.

- Słucham? - Corso rzucił przez drzwi.

Mężczyzna nie odpowiedział, lecz otworzył trzymaną w dłoni skórzaną wyświechtaną legitymację, ukazując policyjną odznakę.

- Porucznik Moore.

O cholera. Corso spojrział uważniej przez judasz. Funkcjonariusz wciąż trzymał w uniesionej dłoni otwartą legitymację z odznaką. Zdjęcie wyglądało na prawdziwe. Ale to była odznaka policji waszyngtońskiej. Co to mogło oznaczać? Corso poczuł nagły przypływ paniki.

Chaudry go wsypał.

- O co chodzi? - wykrztusił z trudem.

- Mogę wejść?

Corso przełknął ślinę. Czy miał prawo go wpuścić? Czy tamten powinien pokazać mu nakaz?

Może lepiej go nie wkurzać. Odciągnął zasuwkę, odczepił łańcuch i otworzył drzwi.

Funkcjonariusz Moore wszedł pospiesznie do środka, a Corso czym prędzej zamknął za nim drzwi.

- O co właściwie chodzi? - spytał Corso, stając w przedpokoju.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- To nic poważnego. Czy ktoś jeszcze jest w domu?

Nie chciał, by jego matka musiała tego wysłuchiwać.

- Nie ma nikogo. - Lepiej jak najszybciej pozbyć się tego gliny. - Zapraszam - powiedział, wskazując ręką salon.

Weszli do środka, Corso delikatnie zamknął drzwi do pokoju. Może powinien zadzwonić do adwokata. Tak się zazwyczaj robi w podobnych sytuacjach. Nie należy rozmawiać z policją, gdy nie ma się przy sobie adwokata.

- Proszę spocząć - powiedział, siłąc się na spokojny ton i siadając na kanapie.

Policjant nie skorzystał z zaproszenia.

- Chyba muszę skontaktować się z adwokatem - rzekł Corso. - To zrozumiałe.

Niezależnie, o co właściwie chodzi.

Mężczyzna sięgnął pod marynarkę i wyjął duży czarny pistolet. Corso spojrział na broń.

- Ależ, panie władzo, to nie będzie konieczne.

- Myślę, że jednak tak.

Tamten wyjął długi cylindryczny przedmiot i przykręcił go do pistoletu. Dopiero teraz Corso zauważył, że miał czarne rękawiczki.

- Co pan robi? - spytał.

To nie było normalne. W głowie miał mętlik i ogarnął go strach.

- Tylko spokojnie. Żadnych krzyków szlochów, proszę się opanować. Wszystko będzie dobrze, jeżeli będziesz robił dokładnie to, co każe.

Corso zamilkł. Kojący głos mężczyzny nieco go uspokoił, ale to wszystko nie miało sensu. W głowie miał istną goniącą myśl.

Mężczyzna sięgnął i podniósł Xboxa. Obraz na ekranie wciąż pozostawał unieruchomiony dzięki włączonej pauzie.

- Grasz, Mark?

Corso próbował odpowiedzieć, ale z jego ust dobył się tylko zduszony bulgot.

Mężczyzna wcisnął guzik i gra ponownie się włączyła. Mężczyzna podkręcił dźwięk prawie do maksimum.

- A teraz, Mark - ciągnął, przekrzykując hałas i mierząc do Corsa z pistoletu - szukam twardego dysku, który zabrałeś z Instytutu.

To wszystko, czego chcę, i gdy tylko to dostanę, pójdę sobie. Gdzie go masz?

- Powiedziałem, że żądam adwokata - wykrztusił Corso przez ściśnięte gardło i przełknął ślinę, próbując odzyskać oddech.

- Nie rozumiesz, durniu, nie jestem gliną. Chcę ten twardy dysk. Daj mi go albo cię zabiję.

Corso miał pustkę w głowie. To nie gliniarz? Czy Chaudry nastąpił na niego płatnego zabójcę? To jakiś obłąd.

- D... dysk? - zaczął się jąkać. - Dobrze, tak, tak. Powiem ci, gdzie on jest, zabiorę cię tam, nie ma sprawy...

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie.

- Co, u licha? - krzyknęła jego matka, stając w bezruchu, ubrana w fartuch, ze ścierką w dłoniach; jej oczy się rozszerzyły, gdy zobaczyła pistolet. - Aaaaa! - wrzasnęła, cofając się o krok. - On ma broń! Ratunku! Na pomoc! Policja!

Mężczyzna obrócił się, a Corso skoczył, by ochronić matkę, lecz było już za późno. Pistolet wydał zduszone kasznięcie, a Corso z niedowierzaniem i zgrozą zobaczył, jak jego matka, trafiona pociskiem, zatacza się do tyłu, a krew rozbryzguje się po ścianie za jej plecami. Z wybałuszonymi oczami osunęła się po ścianie, gubiąc jeden pantofel, i zległa ciężko na podłodze.

Z nieartykułowanym okrzykiem pierwotnej wściekłości Corso schwycił pierwszą broń, jaka mu wpadła w ręce - lampkę stojącą na stoliku - i zamachnął się nią, mierząc w głowę tamtego. Mężczyzna uchylił się i lampka roztrzaskała się, trafiając go w ramię. Mężczyzna zachwiał się i zatoczył do tyłu, unosząc broń.

- Nie! - krzyknął. - Powiedz mi tylko, gdzie jest dysk...

Rycząc jak rozjuszony niedźwiedź, Corso rzucił się na niego, zaciskając palce na szyi mężczyzny i próbując wycisnąć z niego życie. Poczuli, że tamten wbił przedłużoną przez tłumik lufę pistoletu w jego brzuch, a zaraz potem dwa potężne uderzenia odrzuciły go do tyłu na ścianę i ni stąd, ni zowąd znalazł się na podłodze zwinięty w kłębek obok matki, a po chwili przepełnił go spokój.

50

Kiedy uczęszczała na zajęcia na Uniwersytecie Princeton, Abbey kilkakrotnie odwiedziła Nowy Jork z przyjaciółmi, ale nigdy nie wypuściła się poza Manhattan. Stojąc na skraju parku Monsignora McGol-ricka w Brooklynie w strugach deszczu ściekających z parasola, uświadomiła sobie, że to był Nowy Jork, jakiego nigdy wcześniej nie widziała, prawdziwa robotnicza dzielnica pełna skromnych kamienic, szeregowców, sklepików, warsztatów, pralni samoobsługowych i restauracyjek.

- Driggs Avenue numer osiemdziesiąt siedem - powiedziała, spoglądając na przemoczony plan miasta. - To musi być ta uliczka po drugiej stronie parku.

- Chodźmy

Dwa dni temu Abbey wykonała kilka telefonów do byłych pracowników Instytutu Badań i Rozwoju Napędów i trafiła w dziesiątkę, gdy zatelefonowała do technika nazwiskiem Mark Corso. Udając dziennikarkę piszącą artykuł o nieuczciwych praktykach wobec personelu Instytutu, sprowokowała go do mówienia. Nie tylko był wściekły, że go zwolniono, ale chciał również wyjawic najciemniejsze sekrety Instytutu, a przynajmniej tak twierdził. Dał przy tym do zrozumienia, że dysponował pewnymi naprawdę gorącymi informacjami, które powinny „kompletnie pogrążyć całą tę instytucję”.

Przeszli przez park, a następnie przez ulicę w kierunku jednego z domów w długim ciągu szeregowców, ze śladami zacieków po deszczu i zaciągniętymi zasłonami w oknach. Wspięli

się po stopniach, a Ford nacisnął dzwonek. Abbey usłyszała dochodzący ze środka ponury dźwięk. Czekali przez dłuższą chwilę. Wreszcie zadzwonił ponownie.

- Na pewno mówił, że o czwartej?

- Tak - odparła.

- Może się rozmyślił?

Abbey sięgnęła do kieszeni po komórkę, którą dostała od Forda, i wybrała numer komórki Corsa.

- Słyszysz? - zapytała, bo z wnętrza domu dobiegł stłumiony, ledwie słyszalny dźwięk. Ford nachylił się w stronę drzwi.

- Rozłącz się i zadzwoń jeszcze raz - powiedział.

Tak właśnie zrobiła.

Muzyka ucichła, a po chwili rozbrzmiała ponownie.

- To na pewno jego komórka - stwierdziła Abbey. - Tylko inżynier NASA ustawiłby sobie jako sygnał w telefonie temat z filmu Serenity.

Nie mieli jak zajrzeć do mieszkania, gdyż zasłony były starannie zaciągnięte, nawet na piętrze. Dom wyglądał na zamknięty na cztery spusty. Drzwi ozdobiono trzema małymi okienkami rozmieszczonymi na kształt trójkąta, ale wykonano je z barwionego nieprzejrzystego szkła. Ford ukląkł i przyjrzał się framudze oraz zamkowi.

- Nie ma śladów włamania.

- Co robimy?

- Anonimowo wezwiemy policję - odparł - będziemy obserwować.

Przeszli przez park do starej budki telefonicznej na rogu. Ford przez chusteczkę podniósł słuchawkę i wybrał 911.

- Driggs Avenue osiemdziesiąt siedem - rzucił szorstkim, ochryłym głosem. - Pilna sprawa. Przyjedźcie natychmiast.

Odłożył słuchawkę. Gdy wyszedł z budki, Abbey zaniepokoił posępny wyraz jego twarzy. Już miała powiedzieć coś zabawnego, ale się powstrzymała.

Ford wrócił do parku, włożył ręce do kieszeni. Abbey szła obok niego. Schronili się przed deszczem w pseudoklasycystycznej altanie i czekali tam na przybycie policji. Po kilku minutach na Driggs Avenue pojawiły się dwa radiowozy z włączonymi kogutami, ale bez syren. Zatrzymały się. Dwóch funkcjonariuszy z pierwszego radiowozu weszło po schodach i zapukało do frontowych drzwi. Nikt im nie otworzył.

- Podejźmy bliżej - rzekł Ford, ruszając w stronę ulicy.

Teraz przy drzwiach było już trzech funkcjonariuszy, podczas gdy czwarty został w samochodzie i rozmawiał z kimś przez radio. Jeden z policjantów wziął z radiowozu łom i rozbił nim szybkę w drzwiach, wyjął odłamki szkła, wsunął rękę przez otwór i otworzył drzwi. Dwaj policjanci weszli do domu, jeden miał krótkofalówkę.

Ford szybko przeszedł przez ulicę i nachylił się w stronę radiowozu.

- Coś się stało?

- Rutynowa kontrola - odparł gliniarz, odprawiając ich ruchem ręki.

Nagle z radia dobiegł głos:

- Mamy dziesięć-dwadzieścia-dziewięć, podwójne zabójstwo przy Driggs osiemdziesiąt siedem, dwa radiowozy na miejscu zbrodni, zabezpieczyć teren.

Po chwili rozległ się kolejny komunikat:

- Wysłaliśmy dwie karetki i zespół techników śledczych, wydział zabójstw dziesięć-trzydzieści...

Wymiana komunikatów trwała jeszcze przez kilka chwil i niebawem dał się słyszeć jęk zbliżających się syren.

Ze swojego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy Abbey mogła dostrzec przez otwarte drzwi fragment wnętrza pokoju, a konkretnie ścianę z widniejącym na niej rozbryzniętym śladem krwi i gołą kobiecą stopę na podłodze poniżej.

51

Abbey była zdumiona, jak szybko opustoszały, tonący w strugach deszczu park wypełnił się ludźmi. Wychodzili z pobliskich domów piętrowych i szeregowców. Siwowłose kobiety mówiące po polsku, mężczyźni w średnim wieku z solidnymi brzuchami od jedzenia kiełbasy, młodzi zawodowcy, hiphopowe dzieciaki, ćpuny, pijacy, sklepikarze i yuppie; gapie zebrali się przed małym dwupiętrowym szeregowcem. Ford i Abbey wtopili się w tłum, podczas gdy policja zmusiła wszystkich, by się cofnęli, rozstawiła bariery i zablokowała ulicę. Zjawyły się dwie karetki, a po nich nieoznakowane auta ze śledczymi z wydziału zabójstw w brązowych garniturach, furgonetka techników i na koniec wóz lokalnej stacji telewizyjnej.

Abbey spróbowała precyzyjnie się do przodu, nasłuchując toczących się wokoło rozmów. Jak na skutek osmozy wszyscy nagle wszystko wiedzieli - w sieni domu odkryto dwa ciała, ofiary zastrzelono z bliskiej odległości, mieszkanie splądrowano. Nikt nie widział samochodów parkujących przed domem. Kiedy gliniarze zaczęli spychać do tyłu napierający tłum, Ford skinął głową do Abbey i oboje ruszyli w stronę plotkującej w najlepsze gromadki miejscowych kobiet.

- Bardzo przepraszam - rzekł Ford - ale jestem w tej dzielnicy nowy. Co tu się stało? Odwróciły się dziarsko ku niemu, mówiąc jedna przez drugą, przerywając sobie nawzajem, a on zachęcał je pełnymi zaciekawieniem spojrzeciami, drobnymi wtrąceniami i pytaniami. Abbey raz jeszcze zdziwiła się, że Ford był niczym kameleon, gdy chodziło o zachowanie i umiejętność pozyskiwania informacji.

- To pani Corso i jej syn, Mark... Właśnie wrócił z Kalifornii... Cudowna kobieta, jej mąż zmarł kilka lat temu na atak serca... Od tej pory ledwie wiązała koniec z końcem... Mieszkali tu całe życie... To był dobry chłopak, pilnie się uczył, poszedł na studia, na Uniwersytet Browna... Pracował u Móta, by zarobić na kieszonkowe... A wydawałoby się, że jeszcze wczoraj grał w piłkę w parku... Straszna tragedia...

Kiedy wyciągnęli już od kobiet wszystkie informacje, jakimi dysponowały, wycofali się na obrzeża tłumu gapiów. Oblicze Forda spo-chmurniało.

- Jaki miał status w aktach osobowych? - zwrócił się do Abbey.

- Starszy technik, analityk danych.

Bez słowa wyjął komórkę, zadzwonił do Instytutu i po chwili połączono go z Derkweilerem.

- Mówi Ford z Agencji - rzekł oschłym tonem. - Ten Corso, który dla pana pracował, czym się właściwie zajmował i dlaczego został zwolniony?

Zapadła długa cisza, gdyż Ford słuchał swojego rozmówcy. Abbey słyszała tylko niewyraźny piskliwy głos Derkweilera dochodzący z komórki. Wreszcie Ford podziękował tamtemu i rozłączył się.

- No i? - spytała.

- Zajmował się obróbką danych, obrazów z radaru oraz zdjęć przesyłanych przez marsjańską sondę orbitalną.

- No i?

- Właśnie dlatego go wylano. Derkweiler stwierdził, że Corso nie potrafił przyjąć narzucanych mu odgórnie priorytetów i miał obsesję na punkcie mało istotnych danych dotyczących promieniowania gamma. Odmówił wykonywania poleceń przełożonego i wywołał skandal podczas zebrania personelu naukowego.

Abbey zamyśliła się przez chwilę.

- Miał obsesję, tak?

Ford odchrząknął.

- Co wiesz na temat promieniowania gamma?
- Tylko tyle że Mars nie powinien go emitować.

52

Harry Burr siedział w greckiej tawernie naprzeciwko parku McGolricka z cheeseburgerem, kawą i egzemplarzem „Post”. Patrzył, jak strużki deszczu spływają bez końca po okiennej szybie. W tych strużkach zawierały się zasady matematyczne opisujące chaos. To było trochę tak jak z zasadami opisującymi kontrakt na zabójstwo. Kontrolowany chaos. Bo nigdy nie zdołasz wszystkiego przewidzieć. Zawsze coś cię zaskoczy - jak ta kochana matka staruszka, która, jak się okazało, była w domu, choć Corso twierdził, że jest całkiem sam. Albo to, że został zmuszony, aby zabić Corsa.

Życie było pełne niespodzianek.

Powiódł wzrokiem dalej, ponad obrzeżem parku McGolricka w stronę szeregowca, gdzie zastrzelił Corsa i jego matkę. Jajogłowy miał mu właśnie powiedzieć, gdzie ukrył twardego dysk, nieomal moczył się w spodnie, aby to zrobić - i właśnie wtedy do pokoju weszła jego matka.

Burr sączył mocną kawę, przeglądał gazetę i obserwował widowisko. Nie odnalazł twardego dysku, ale znał bar, w którym pracował Corso, i wiedział, gdzie mieszka jego dawny współlokator. Twardy dysk będzie albo w barze, albo u kumpla. Najpierw zajrzy do baru. Gdyby Corso był naprawdę bystry, mógłby wysłać go pocztą pod swoim adresem domowym albo umieścić w skrytce depozytowej. Ale Burr był pewien, że tamten wolał mieć go pod ręką.

Upił kolejny łyk kawy i przez chwilę wertował gazetę, udając, że czyta. W tawernie prawie nie było ludzi, większość klientów pospiesznie dokończyła posiłek i poszła do parku, by zobaczyć, co się dzieje. Przepatrywał tłum, poszukując kogoś, kto mógł być krewnym, kolegą lub dziewczyną Corsa, osobą bliską mu na tyle, by zechciał powierzyć jej dysk.

Jego uwagę zwróciły dwie osoby: czarnoskóra dziewczyna i wysoki mężczyzna o posępnej twarzy poranej zmarszczkami. Wydawali się nazbyt czujni, trochę za bardzo odstawali od reszty gapiów. Nie pasowali do tej okolicy. Wszystko bacznie obserwowali. Byli w to w jakiś sposób zaangażowani.

Zapamiętał ich na wypadek, gdyby ujrzął ich ponownie.

53

Abbey usadowiła się na stołku przy kontuarze w barze Moto. Ford zasiadł obok niej. To był ultranowoczesny nowojorski bar znajdujący się przy nabrzeżu w Williammsburgu, urządzony w czerni i bieli, z parawanami malowanymi w pasy na wzór zebry, mnóstwem czarno-białych dodatków, mlecznego szkła i chromowanej stali. Za kontuarem stały na półkach butelki z alkoholem błyszczące w łagodnym białym świetle. O czwartej po południu w deszczowy dzień lokal świecił pustkami.

Podszedł do nich łysy Japończyk o kanciastej twarzy i w okularach z czarnymi oprawkami, ubrany w tradycyjny strój orientalny Przesunął dłonią po blacie, trzymając serwetkę za jeden z rogów, i podsunął ją Abbey.

- Co dla pani? Zawahała się.
- Pellegrino.

Dłoń trzymająca między kciukiem a palcem wskazującym drugą serwetkę przesunęła się w stronę Forda.

- Dla pana?
- Dżin z martini. Z plasterkiem cytryny. Bez lodu. Zdecydowany ruch głową i mężczyzna z mistrzowską wirtuozerią zaczął przyrządzać drinki.

- Pan musi być Moto - powiedział Ford.
- Tak to ja.

Oblicze Moto rozpromienił szeroki uśmiech, gdy po wymieszaniu drinka zamaszystym ruchem wlał go do szklaneczki.

- Jestem Wyman Ford. Przyjaciel Marka Corsa.
- Witam. Ale Marka jeszcze nie ma. Będzie dopiero o siódmej. Mężczyzna podrzucił shaker, złapał, po czym wprawnym ruchem wylał jego zawartość, wstawił do uchwyty.
- Właśnie wracam z parku McGolricka - powiedział Ford. - Obawiam się, że mam dla pana złą wiadomość.
- Tak?

Moto znieruchomiał zaskoczony pełnym powagi spojrzeniem Forda.

- Mark i jego matka zostali zamordowani wczoraj w nocy lub może dziś rano. Włamanie i kradzież.

Moto znieruchomiał kompletnie oszołomiony.

- Policja jest już na miejscu.
- Moto oparł się ciężko o kontuar, przykładając dłoń do czoła.
- Boże mój, Boże, jakie to straszne.
 - Przykro mi.

Moto milczał przez chwilę, ukrywając twarz w dłoniach.

- Co za czasy, te gnoje są coraz bardziej bezwzględne. Jego matka też?

Ford pokiwał głową.

- Gnoje. To był dobry dzieciak. Bystry. Boże. Moto był głęboko wstrząśnięty.

Ford ze współczuciem pokiwał głową.

- Pracował u pana jako barman?
- Co wieczór, odkąd tu wrócił.
- Co się właściwie stało, że stracił pracę w Kalifornii? Moto machnął ręką.
- Pracował w Instytucie Badań i Rozwoju Napędów. Ale go wylali. A co z tymi gnojami, złapali ich?
- Jeszcze nie.

Miejmy nadzieję, że ich usmażą - wtrąciła Abbey. Moto energicznie pokiwał głową.

Miał zaczerwienione oczy.

- Mark był moim dobrym starym kolegą - dodała Abbey. - Odmienił moje życie.

Ford odwrócił się i spojrzał na nią srogo.

- Brałam u niego korepetycje z matematyki, kiedy jeszcze chodziłam do liceum. Tylko dzięki niemu zaliczyłam matkę. To nie do wiary.

Jeszcze wczoraj go widziałam. Wspomniał, że odkrył w tym Instytucie coś ważnego, co miało związek z promieniowaniem gamma.

Moto skinął głową.

- Nie wypłacili mu odprawy, więc chciał się na nich odegrać. Załamał się po tym, jak go wylali. Nigdy nie widziałem go tak przybitego.

- Jak zamierzał się odegrać?

Mówił, że odkrył coś, a oni to zignorowali. Powiedział, że za to zapłacą. Biedny dzieciak, w pracy trochę zaczął popijać. Kiedy barman zaczyna dawać w szyję... - Moto nie dokończył, bo nie chciał mówić źle o zmarłym.

- Co właściwie odkrył? - spytała Abbey.

Moto otarł łzy z oczu.

- Jezu. Co za gnoje.
- Co odkrył? - powtórzyła łagodnym tonem Abbey.
- Nie pamiętam. Nie... chwileczkę, wspomniał, że odkrył coś na Marsie. Coś, co emitowało promieniowanie.
- Promieniowanie? Jakie? Może gamma?

- Chyba tak.
- Ale jak zamierzał odegrać się na Instytucie?
- Któregoś wieczoru, kiedy trochę za dużo wypił, pokazał mi twardy dysk, który zabrał z Instytutu.
- Ale jak? Co na nim było?
- Powiedział, że wyniósł go z Instytutu jego przyjaciel, jakiś profesor, i przekazał mu. Na dysku było coś, co miało uczynić go sławnym, odmienić świat, ale nie chciał powiedzieć nic konkretnego. To brzmiało jak jakiś bełkot.
- Gdzie jest teraz ten dysk?

Moto pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Czy to ważne? Te gnoje zabiły też jego matkę... Ten świat schodzi na psy... Coraz więcej jest na nim bydlaków.

Na koniuszku nosa Moto zadrżała iza.

Rozległo się skrzypnięcie drzwi i brzęk zawieszzonego nad nimi dzwonka. Moto pospiesznie otarł oczy, wydmuchał nos i zebrał się

w sobie. Mężczyzna, który wszedł, miał na sobie szary golf, tweedową marynarkę i spodnie khaki. Usiadł przy samym końcu kontuaru. Abbey przymrużyła powieki; facet wyglądał jak jej stary wykładowca matematyki na Uniwersytecie Princeton.

- Przepraszam - powiedział półgłosem Moto. - Mam klienta.

Przeszedł wzdłuż kontuaru.

Abbey odwróciła się do Forda.

- Znow to promieniowanie gamma.
- To właśnie dysku szukał zabójca, dlatego splądrował mieszkanie.
- Tak i założę się, że dane dotyczące promieniowania są na tym twardym dysku.

Ford nie odpowiedział. Abbey zauważyła, że zerkał na mężczyznę przy końcu kontuaru, nowego klienta, który nachylił się nad barem i po cichu mówił coś do Moto.

Rozmowa trwała przez chwilę, aż w końcu Moto zaczął podnosić głos, w jego tonie pojawiło się rozdrażnienie, ale wciąż nie sposób było rozróżnić słów. Abbey próbowała to zignorować, koncentrując się raczej na emisji promieniowania gamma z Marsa, zauważyła jednak, że Ford z przejęciem patrzył na nowo przybyłego, i zastanawiała się, co go tak zainteresowało.

- Nic ci nie powiem, gnoju! - krzyknął nagle Moto.

Nieznajomy mówił półgłosem.

- Nie zamierzam odpowiadać na twoje pytania! Wynoś się, bo wezwę policję! - odgrażał się Moto i wyjął z kieszeni komórkę, a nawet zaczął wybierać numer. - Dzwonię po gliny!

Mężczyzna zamachnął się i wytrzącił komórkę z dłoni Moto, a równocześnie sięgnął pod marynarkę, by wydobyć spod niej okazałych rozmiarów pistolet.

- Unieś ręce powyżej kontuaru - wycedził, a kiedy Moto podniósł ręce, machnął pistoletem w ich stronę. - Wy dwoje, wiem, w co gracie. Podejdźcie tutaj.

Zanim Abbey zdążyła odpowiedzieć, Ford skoczył i zepchnął Abbey ze stołka, wciągając ją za kontuar baru. Po chwili mężczyzna za-

czął strzelać i rozdzierający huk wystrzałów wypełnił wnętrze lokalu. Bach! Bach! Wielkie lustro za barem rozprysnęło się w drobny mak.

Ford pociągnął Abbey po podłodze.

- Rusz się! Zaczynij się czołgać!

Bach! Wokół nich sypał się grad szklanych odłamków i rozbryzgujących się strug alkoholu.

Abbey usłyszała, jak w tle Moto wyrzuca z siebie kolejne przekleństwa, wśród których epitet „gnój” był najłagodniejszym, a potem dały się słyszeć jeszcze donośniejsze wystrzały z innej broni - Bam! Bam! Bam! Bam! I powtarzające się jak mantra słowo „gnój”!

Abbey rozpaczliwie pełzła za Fordem w kierunku zaplecza.

Bach! Bach! Kolejne szkło i butelki rozprysnęły się na wszystkie strony, fragmenty strzaskanego drewna, kawałki izolacji i ścianki działowej wzbily się w powietrze. Moto ryknął coś po japońsku.

Bach! Bach! Kontuar nad ich głowami eksplodował ostrymi drewnianymi drzazgami, fragmentami metalu, izolacji i sklejki.

- Wracać mi tu! - krzyknął mężczyzna.

Nagle obok nich pojawił się ślaniający się na nogach Moto, rzeził i kaszał przeraźliwie, krew wypłynęła mu z ust. W dłoniach ścisnął wielki rewolwer i oddał jeszcze dwa strzały, lecz niestety niecelne.

Bach! Bach! rozległo się w odpowiedzi i Moto, trafiony w pierś, runął do tyłu na strzaskaną ścianę, jedną ręką rozpaczliwie osłaniając się przed kaskadami tłuczonego szkła, zanim ciężko runął na podłogę.

Bach! Bach! Niewielka chłodziarka podziurawiona kulami spadła na podłogę przed Abbey, uwalniając z sykiem chmurę freonu, a do tylnej ścianki chłodziarki przyklejone było taśmą wąskie aluminiowe pudełko z logo Instytutu Badań i Rozwoju Napędów, na które dziewczyna od razu zwróciła uwagę. Bez namysłu oderwała pudełko od ścianki chłodziarki i wsunęła za pasek.

- W nogi! - krzyknął Ford, odwracając się i chwytając ją za rękę. Wybiegli przez drzwi do małego pomieszczenia magazynowego z mnóstwem tekturowych pudeł. Na drugim końcu magazynu znajdowały się kolejne drzwi. Ford sforsował je i przebiegli, pokonując kondygnację

wąskich schodów, by dotrzeć do korytarza piwnicznego. Skręcili za róg, wspięli się po kilku stopniach i przebiegli przez metalowe drzwi wahadłowe, po czym znaleźli się w uliczce na tyłach baru. Wciąż trzymając ją za rękę, Ford pociągnął Abbey wzdłuż ulicy i skręcił za róg, by dotrzeć do ruchliwego skrzyżowania. Tam przystanęli, by zaczerpnąć tchu.

- Nic ci nie jest? - zapytał Ford.

- Nie wiem - wysapała, łapiąc gorączkowo powietrze, a serce w jej piersi biło jak oszalałe. - Ty krwawisz.

W yjął chustkę i*otarł nią czoło.

- To nic. Musimy stąd zniknąć.

Uniósł rękę i zagwizdał na taksówkę. Wytrząsnął odłamki szkła z włosów, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Jej dłonie drżały To było okropne widzieć na własne oczy, jak ktoś obok ginie; znów przypomniała sobie Wortha leżącego na pokładzie i krew sączącą się z jego pękniętej czaszki. Schyliła się i zwymiotowała na chodnik.

- Taksi! - krzyknął Ford, podając jej chustkę.

Westchnęła ciężko, spróbowała się wyprostować i otarła usta chustką.

- Taksi!

- Nie czekamy na policję?

- Mowy nie ma - uciął krótko i zatrzymał taksówkę, po czym otworzył drzwiczki i wepchnął ją do środka. - Na lotnisko La Guardia - rzekł do kierowcy. - Proszę jechać przez Grand do Flushing. Niech pan unika dróg ekspresowych.

- Klient nasz pan. Ale to będzie dziesięć minut dłużej.

Taksówka, kolebiąc się, włączyła się do ruchu.

- Dlaczego uciekamy? - nieomal krzyknęła Abbey.

Ford nachylił się do niej; twarz miał zlaną potem. Z rozcięcia u nasady nosa sączyła się krew.

- Bo nie wiemy, kto właśnie próbował nas zabić.

- Zabić nas? Ale dlaczego?

Ford pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale to był zawodowiec. Gdyby nie to, że nasz nieżyjący dzielny przyjaciel miał za barem spluwę, już bylibyśmy martwi.

Muszę cię zabrać gdzieś w bezpieczne miejsce. Nie powinienem być cię w to w ogóle wciągać.

Abbey pokręciła głową. Dudniło jej pod czaszką.

- To szaleństwo. Co się dzieje, do cholery?

- Ktoś poszukuje tego twardego dysku. I wygląda na to, że podejrzewa, iż to my możemy go mieć.

Abbey sięgnęła pod żakiet i wyjęła aluminiowe pudełko ze zwisającymi kawałkami taśmy klejącej.

- Bo mamy. Był przyklejony taśmą z tyłu do chłodziarki.

Ford spojrział na nią.

- Czy strzelec widział, jak to zabierasz?

- Chyba tak.

- Cholera - wycedził pod nosem Ford. - Niech to szlag.

54

Abbey siedziała po turecku na skotłowanym łóżku, trzymając przed sobą laptop z podłączonym do niego tajemniczym twardym dyskiem. Na pudełku z boku widniała informacja:

#785A56H6T 160 Tb ŚCIŚLE TAJNE: NIE POWIELAĆ

Własność IBRN Kalifornijski Instytut Technologii Krajowy Wydział Aeronautyki i Badań Kosmicznych

Motelowy zegar za pięć dolców przykręcony do stolika nocnego z formiki, aby go nie ukradziono, wskazywał północ. Dotarli do Wa-szyngtonu-Dulles o ósmej i po godzinie jazdy przez pustkowia podmiejskiej Wirginii zatrzymali się w hotelu, z którego Ford korzystał kiedyś jak z bezpiecznego domu. Nie był to Watergate i Abbey ani trochę się tu nie spodobało. Żadnej obsługi, pokój cuchnący zatęchłym dymem z cygar i podejrzanie brudne prześcieradła. Ford zameldował się, nie pokazując dokumentów, i zapłacił gotówką. Lubieżny recepcjonista uśmiechnął się do nich znacząco, a Abbey mogła się tylko domyślać, jakie kosmate myśli chodziły mu po głowie.

Ford zamówił pizzę i zniknął, odmawiając wyjaśnienia, dokąd się udaje, obiecał jedynie, że wróci przed świtem. Zostawił ją z laptopem i twardym dyskiem i polecił, żeby się do niego włamała.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Próbowwała od wielu godzin, lecz bez powodzenia. Twardy dysk był nieznaney marki, niczego takiego nie znalazła też w sieci. Wyglądał na opatentowany, o bardzo wysokiej gęstości. Żaden zwykły dysk tej wielkości nie mógłby zawierać 160 Tb danych. To był specjalny dysk Instytutu. Chroniony hasłem. Sprawdziła wszystkie hasła, które się jej nasuwały: „password”, „awerty”, „12345678”, i miliony innych kombinacji pobranych z list sieciowych zawierających te najpopularniejsze. Potem zaczęła wprowadzać kombinacje imienia Corso, jego daty urodzenia, imiona i daty urodzin jego matki, ulic i lokali w pobliżu jego domu, miejscowych knajpek, nazw szkolnych i licealnych zespołów, maskotek, znanych kapel i przebojów z jego młodzieńczych lat, innymi słowy, wszystko, co mogła wymyślić, biorąc pod uwagę wiek Corso i informacje, jakie uzyskała na jego temat w internecie.

I nagle uświadomiła sobie, że od początku poszła złym torem. Hasło musiało zostać wymyślone przez tajemniczego profesora, który ukradł dysk z Instytutu. Jak miała odgadnąć jego hasło? Lub, co gorsza, mogło to być nadal hasło służbowe z Instytutu, które byłoby praktycznie nie do złamania. Załadowała kilka programów z internetu i spróbowała brutalnego siłowego ataku z wykorzystaniem mieszania i tęczyowych tablic, lecz również bez powodzenia. Sytuacja wyglądała coraz bardziej beznadziejnie. Dysk mógł zostać zabezpieczony przez kryptologów jak tajemnica wojskowa.

Na szczęście dysk wciąż domagał się hasła i to było pocieszające. Musiał istnieć inny sposób na rozwiązanie problemu. Otworzyła szóstą puszkę dietetycznej coli i napiła się. Czując głód, sięgnęła do pudełka po pizzę i wyjęła ostatni zimny stwardniały kawałek. Pochłonęła go i popiła colą.

Pomyślała o tym, jak wybierała swoje hasła. Większość wymyślała na bieżąco, często bywały to przekleństwa przemieszane z zamienionymi niektórymi z liter pierwszymi cyframi rozwinięcia Tl albo e, dwiema liczbami, które zapamiętała do wielu miejsc po przecinku jeszcze w liceum. Jej ulubionym było C3h1a4cli5w9d oraz F2u7clk8y2o8u. Proste do zapamiętania, niemożliwe do złamania. Dla pewności wpisała oba hasła, lecz bez powodzenia.

Upiła łyk coli, wyobrażając sobie dzień pracy profesora, uczucia, jakie musiały nim targać, kiedy został wylany i gdy kazano mu, by do siedemnastej opróżnił swoje biurko. Był na tyle wściekły, by ukraść

dysk ze ściśle tajnymi danymi. Po powrocie do domu musiał natychmiast zmienić hasło na dysku, by uniemożliwić do niego dostęp komukolwiek z Instytutu.

Westchnęła i wrzuciła puszkę do kosza. Puszka odbiła się od obrzeża i potoczyła po podłodze, rozbryzgując kropelki napoju po i tak już zaplamionym dywanie.

- O kurwa - rzuciła głośno.

Gdyby tylko miała jointa, żeby móc się odprężyć, poukładać sobie to wszystko.

Wróciła do poprzedniego toku rozumowania. Po powrocie do domu musiał natychmiast zmienić hasło. Zamknęła oczy, usiłując wyobrazić sobie tę scenę: wkurzony profesor wracający do jakiegoś zapuszczonego letniego domku w południowej Kalifornii, brudne dywany, żona na piętrze głośno skarży się na brak pieniędzy. Facet wyjmuje twardy dysk ukryty w gaciach czy gdzieś tam i podłącza do laptopa. Jest wściekły, wkurzony, nie może uwierzyć, że to go spotkało. Nie myśli trzeźwo. Ale musi zmienić hasło - to podstawa.

Wpisuje więc pierwsze słowo, które mu przychodzi do głowy.

Co musiało mu w tym momencie chodzić po głowie?

Abbey wpisała: „FuckIBRN”. Nic z tego.

Przypomniała sobie standardowe zasady: dobre hasło powinno zawierać co najmniej osiem liter i cyfr przemieszanych ze sobą.

Wpisała: „FuckIBRN 1”.

Bingo.

55

Ford jeździł wynajętym mercedesem po krętych uliczkach ekskluzywnej dzielnicy w Waszyngtonie, wokół Quebec Street, aż natrafił na przyjęcie odbywające się w jednym z domów. Zaparkował swój wóz za innymi autami pozostawionymi przy ulicy i wysiadł w ciepłą noc, zapinając guziki marynarki od garnituru. Wytworne georgiańskie domy ciągnęły się wzdłuż szerokich, ocienionych przez rozłożyste drzewa alejek, z okien bił żółty blask rozpraszający letni mrok. Dom, w którym trwało przyjęcie, był oświetlony jaśniej niż inne i gdy Ford przechodził obok, usłyszał rozchodzące się w powietrzu przytłumione dźwięki muzyki jazzowej. Maszerował wzdłuż ulicy z rękoma w kieszeni marynarki, jak jeden z sąsiadów na wieczornym spacerze, w kierunku parku Spring Valley, niewielkiego zagajnika ciągnącego się wzdłuż strumienia. Wszedł główną ścieżką, po czym upewniwszy się, że jest sam, czym prędzej zniknął wśród drzew, przekroczył strumień i zbliżył się od tyłu do domu przy Hillbrook Lane 16. Dochodziła północ, ale dopisało mu szczęście: na podjeździe stał tylko jeden samochód. Lockwood wciąż był w biurze. Bez wątplenia miał teraz dużo pracy zarówno w dzień, jak i w nocy.

Okrażając posesję, Ford nie zauważył, aby była szczególnie pilnowana czy patrolowana. W domu było ciemno, jedynie w oknie na piętrze paliło się światło, przypuszczalnie żona Lockwooda czytała do poduszki. Światło na frontowym ganku pozostawiono zapalone. Na

szczęście doradca prezydenta do spraw naukowych nie korzystał z ochrony tajnych służb. Niemniej jednak wokół domu mogły być zamontowane alarmy albo czujniki ruchu włączające światła, zabezpieczenia typowe na większości przedmieść. Poruszając się bardzo wolno, mógł zminimalizować ryzyko uruchomienia któregoś z nich. Udało mu się niepostrzeżenie podkraść do podjazdu.

Wybrał kryjówkę wśród cisów rosnących wzdłuż podjazdu i przyciął się wśród najgłębszych cieni. Istniała możliwość, że Lockwood zostanie w pracy przez całą noc, ale znał jego nawyki na tyle dobrze, by wiedzieć, iż doradca nie sypiał w swoim biurze. Prędzej czy później wróci do domu.

Ford czekał.

Minęła godzina. Zmienił pozycję, próbując się przeciągnąć i rozprostować ścierpięte nogi. Na piętrze domu zgasło światło. Minęła kolejna godzina. Wreszcie kilka minut po drugiej na ulicy pojawiły się reflektory samochodu i dał się słyszeć zgrzyt otwieranych automatycznie drzwi garażu, które zaczęły się podnosić.

Po chwili blask reflektorów omiótł podjazd i toyota highlander minęła Forda niemal bezszelestnie. Wyślizgnął się ze swojej kryjówki i wpadł za samochodem do garażu.

Przykucnął za tylnym zderzakiem. Minęło kilka chwil, po czym drzwiczki po lewej otworzyły się i z samochodu wysiadł mężczyzna.

Ford wstał i wyszedł zza samochodu.

Lockwood drgnął gwałtownie i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Co, u licha...

Ford uśmiechnął się, wyciągając do niego rękę. Lockwood spojrzał na nią.

- Ale mnie przestraszyłeś. Co ty tu robisz?

Uśmiechając się przyjaźnie, Ford opuścił rękę i postąpił krok naprzód.

- Odpraw swojego człowieka.

- O czym ty mówisz? Jakiego człowieka?

W głosie Lockwooda pojawiła się nuta, której Ford dał wiarę.

- Człowieka, który zamordował Marka Corso i próbował zabić mnie i moją asystentkę dziś po południu w Brooklynie. Otworzył ogień w knajpie, zabijając barmana. Możesz przeczytać dziś o tym w internecie na stronie „Timesa”. Podejrzewam, że to ktoś z Agencji. Szukał twardego dysku.

- Chryste Panie, Wyman, wiesz, że nigdy nie wziąłbym udziału w czymś takim. Jeżeli ktoś próbował cię zabić, to na pewno nikt z nas.

Lepiej powiedz mi, co, u diabła, robiłeś, by narazić się na taką reakcję.

- Wciąż pracuję nad wiadomą sprawą.

Wargi Lockwooda zacisnęły się, doradca wyraźnie próbował nad sobą zapanować.

- Jeżeli ktoś chce cię dopaść, to na pewno nie CIA. Oni nie są tak prymitywni, a ty byłeś jednym z nich. Oczywiście to może być ktoś z którejś z akronimowych agencji podlegających dyrektorowi centrali wywiadu. Którejś z tych zamieszanych w czarne operacje. Te sukinsyny nie odpowiadają przed nikim. - Oblicze Lockwooda poczerwieniało. - Zaraz to sprawdzę i jeżeli to oni, podejmę niezbędne działania. Ale, Wyman, co ty, na miłość boską, wyprawiasz? Twoje zadanie dawno temu dobiegło końca. Już wcześniej ostrzegałem cię, abyś dał sobie z tym spokój. Teraz mówię wprost: odpuść natychmiast albo dobiorę ci się do skóry. Czy to jasne?

- Ani trochę. I jeszcze jedno: moja asystentka to dwudziestoletnia studentka, która jest absolutnie niewinna i nie ma związku z tą sprawą.

Lockwood pokręcił opuszczoną głową.

- Jeżeli to jeden z naszych, to możesz mi wierzyć, dowiem się tego i narobię niezłego smrodu. Ale na twoim miejscu zacząłbym rozpatrywać możliwość, że to jednak ktoś spoza

agencji rządowych. Muszę zapytać raz jeszcze: dlaczego to robisz, do cholery? Nie twój cyrk, nie twoje małpy.

- Nie rozumiałbyś. Przyszedłem tu, by zdobyć więcej informacji. Chcę, żebyś powiedział mi, co się dzieje, co ty wiesz.

- Mówisz poważnie? Nic ci nie powiem.

- Nawet w zamian za informacje, którymi ja dysponuję?

- Czyli?

- Ten obiekt nie spadł do oceanu u wybrzeży Maine. Uderzył w wyspę.

Lockwood postąpił krok naprzód i zniżył głos:

- Skąd wiesz?

- Byłem tam. Widziałem otwór.

- Gdzie?

- To informacja, która mogę dać ci w zamian.

Lockwood spojrzał na niego z uwagą.

- Dobrze. Nasi fizycy uważają, że to, co przeszło na wylot przez Ziemię, było drobiną materii dziwnej. Znaną jako dziwadetko.

- To nie była miniaturowa czarna dziura?

- Nie.

- Czym, u licha, jest materia dziwna?

- To odmiana materii o wyjątkowej gęstości. Utworzona wyłącznie z kwarków.-I szczególnie niebezpieczna. Nie całkiem to rozumiem. Jeżeli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, będziesz musiał trochę pogrzebać. To właściwie wszystkie nowiny, jakimi dysponujemy. No więc gdzie jest ta wyspa?

- Nazywa się Shark. Leży w Zatoce Muscongus, jakieś osiem mil od brzegu. To mała skalista wysepka, krater znajduje się w jej najwyższej położonej części.

Lockwood odwrócił się, wyjął z samochodu aktówkę i zatrzasnął drzwiczki. Kiedy Ford odwrócił się, by odejść, Lockwood wyciągnął rękę i uściśnął jego dłoń; zaskoczył go tym gestem.

- Nie wychylaj się i miej się na baczności. Jeżeli dowiem się, że to nasi na ciebie polują, daję słowo, że ich powstrzymam. Ale pamiętaj, że to może nie być nikt z naszych...

Ford odwrócił się, pochylił, by prześlizgnąć się pod drzwiami garażu, przemknął przez podwórze i zniknął w ciemnościach parku. Ruszył w kierunku strumienia, gdzie zarośla były najgęstsze, przeszedł przez potok i wrócił na ścieżkę. Dotarłszy na Quebec Street, wyprostował się, poprawił garnitur i przeczesał palcami włosy. Znow wyglądał jak jeden z tutejszych mieszkańców na nocnym spacerze, który postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza. Szedł szybkim krokiem, a raz ukrył się wśród głębokich cieni, by nie zostać zauważonym przez krążący po ulicach osiedla radiowóz. Pokonawszy kilka zakrętów, dotarł do końca ulicy, gdzie zostawił swój samochód, ale przez cały czas starał się nie rzucać w oczy i trzymał się blisko drzew rosnących przy ulicy.

Niedobrze. Gdy wyjrzał spoza jednego z drzew, dostrzegł dwa wozy patrolowe stojące z włączonymi kogutami po dwóch stronach jego wynajętego auta; najwyraźniej funkcjonariusze sprawdzali numery tablic rejestracyjnych. Czy to Lockwood wezwał policję? A może po prostu zbyt długo tu parkował - przyjęcie w pobliskim domu skończyło się dawno temu i jakiś mieszkający w tej okolicy paranoik zadzwonił po gliny. Niestety wynajął tego mercedesa na swoje prawdziwe nazwisko, nie miał wyboru.

Klnąc pod nosem, Ford wtopił się w ciemność i przedzierając się przez podwórze na tyłach domu oraz opustoszały park, ruszył w kierunku American University i przystanku autobusowego przy Massachusetts Avenue.

Abbey zlustrowała pliki na 160-terabajtowym twardym dysku, wybierając losowo niektóre z nich. Były tam setki tysięcy, może nawet miliony zdjęć Marsa, zdumiewające, niesamowite obrazy kraterów, wulkanów, wąwozów, pustyń, wydm, gór i równin. Obrazy z radaru były równie niesamowite, ukazywały wycinki sondowania marsjańskiej gleby. Ale dane o promieniowaniu gamma stanowiły jedynie tabele liczb i rozmaite niezrozumiałe wykresy, których nie potrafiła rozszyfrować. Żadnych obrazów, same liczby

Abbey kliknęła na plik pps. Na ekranie pojawiła się prezentacja.

Comptonowski czujnik promieniowania gamma

marsjańskiej sondy orbitalnej Analiza danych o nietypowej wysokoenergetycznej emisji promieniowania gamma Mark Corso, starszy analityk danych komputerowych Strzał w dziesiątkę, to musiała być prezentacja, która tak rozsierdziła jego przełożonego, Derkweilera, że postanowił go zwolnić. To była ta jego obsesja. Kliknęła na następną stronę, gdzie ukazany był schemat Marsa z wykreślonymi wokół niego trajektoriami orbitalnymi sondy, liczne orbity nakładały się na siebie. Potem pojawił się wykres oznaczony jako „Teoretyczna sygnatura punktowego źródła promieniowania gamma na powierzchni Marsa” przedstawiony w formie ładnego wykresu falowego. Następny oznaczono jako „Prawdziwa sygnatura promieniowania gamma”, lecz dość trudno było się zorientować, o co chodzi, a potem oba zostały na siebie nałożone i nawet Abbey zgodność obu wykresów wydawała się mocno wątpliwa, słupki błędów były dość spore, szumy tła silne. Czasami zgadzały się zarówno

w punktach szczytowych, jak i tych najniższych, ale było ich za mało, a teoretyczne i właściwe sygnatury nie zachowywały zbieżności.

Kliknęła raz jeszcze, ale na tym prezentacja się zakończyła. Co to mogło oznaczać?

Ewidentnie chodziło o przemówienie, gdyż nie znalazła żadnego tekstu pisanego. Ponownie odtworzyła prezentację, próbując się zorientować, o co chodziło. Teoretyczne punktowe źródło promieniowania gamma na powierzchni Marsa. Powróciła myślami do zajęć z fizyki na pierwszym roku studiów i tego, co powinna wiedzieć o promieniowaniu gamma.

Stanowiło ono najbardziej energetyczną część elektromagnetycznego spektrum, silniejszą nawet niż promieniowanie rentgenowskie. Promieniowanie gamma... promieniowanie gamma... Jak sama powiedziała Fordowi, z Marsa nie powinno być żadnych emisji tego rodzaju, lecz czy aby na pewno? Skłęta w duchu samą siebie, że nie przyłożyła się bardziej do nauki.

Wyguglowała hasło „promieniowanie gamma” i przeczytała podstawowe wiadomości.

Powstawało jedynie wskutek wyjątkowo gwałtownych wydarzeń - wybuchu supernowej, utworzenia się czarnej dziury, gwiazdy neutronowej czy anihilacji w wypadku zetknięcia się materii z antymaterią. W Układzie Słonecznym, jak przeczytała Abbey, promieniowanie gamma powstaje tylko i wyłącznie w jeden sposób - kiedy potężne promieniowanie kosmiczne z odległej przestrzeni uderza w atmosferę lub powierzchnię planety Każdy promień kosmiczny rozdziera na strzępy atomy materii, emitując promieniowanie gamma. Wskutek tego wszystkie planety Układu Słonecznego, skąpane w rozrzedzonych strugach promieniowania kosmicznego pochodzącego z odległej przestrzeni, wytwarzają nieznaczną emanację, innymi słowy, słabo świecą w promieniach gamma. Poświata jest rozrzedzona i obejmuje całą planetę.

Abbey przeczytała kilka artykułów, ale wszystkie sprowadzały się do jednego: żaden znany naturalny proces nie jest w stanie stworzyć punktowego źródła promieniowania kosmicznego w Układzie Słonecznym. Nic dziwnego, że Corsa to zaciekało. Odkrył punktowe źródło promieniowania gamma na Marsie i nikt w Instytucie mu nie uwierzył. A może tylko to sobie uroił? Trudno powiedzieć.

Wlepiła wzrok w ekran komputera, przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Trzecia w nocy.

Gdzie się podziewał Ford?

Westchnęła i wstała, zaglądając do niewielkiej lodówki. Pusto. Wypiła cały zapas coli, zjadła wszystkie cheetosy i nie został jej już ani jeden batonik czekoladowy. Może powinna się położyć. Ale nie chciało jej się spać. Za bardzo martwiła się o Forda. Zaczęła leniwie przeglądać dane, po czym wygooglowała hasło „marsjańska sonda orbitalna”. Wystrzelona przed kilkoma laty, po roku weszła na orbitę Marsa. Na pokładzie sondy znajdowały się kamery, spektrometry, radary podpowierzchniowe oraz czujnik promieniowania gamma. Cel: sporządzenie mapy Marsa. Sonda była również zaopatrzona w najpotężniejszy teleskop, jaki kiedykolwiek udało się wystrzelić w kosmos, urządzenie zwane HiRISE, które było ściśle tajne, ale uważano, że jest w stanie dostrzec obiekt o średnicy trzydziestu centymetrów z wysokości ponad dwustu kilometrów. W ciągu kilku miesięcy sonda przesłała na Ziemię więcej danych niż wszystkie inne wcześniejsze misje kosmiczne razem wzięte.

I wyglądało na to, że większość tych danych - o ile nie wszystkie - znajdowały się na tym twardym dysku. Uporządkowała foldery według dat. Na samym szczycie pojawił się najświeższy z nich, ostatni, jaki dołączono, z nazwą „Machina z Deimosa”.

To brzmiało intrygująco. Otworzyła folder i okazało się, że było w nim trzydzieści plików o nazwach w rodzaju „Deimos - duży” oraz „Voltaire oryg.” po „Voltaire szczeg.” z całą gamą plików oznakowanych od „Voltaire 1” do „Voltaire 33”.

Przejrzała je wszystkie, wpatrując się w rozmazane kształty z nałożonymi sztucznymi kolorami, każdy kolejny ważniejszy od poprzedniego. Wszystkie przedstawiały dziwnie wyglądającą konstrukcję, wydrążony cylinder otoczony sferycznymi wypustkami rozmieszczonymi na pięciokątnej podstawie. Przysypany pyłem. To wyglądało jak coś rodem z planu filmowego albo fragment instalacji artystycznej.

Zaczęła przeglądać wszystkie obrazy oznaczone jako „Voltaire”, a następnie większe pliki, te znajdujące się na samej górze - „Deimos

- duży” i „Voltaire oryg.”, wpatrując się w obrazy z coraz bardziej narastającym zrozumieniem. Serce zabiło jej szybszym rytmem, gdy uświadomiła sobie, gdzie wykonano zdjęcia tej dziwacznej konstrukcji. Prawie nie mogła oddychać. To było niesamowite, niewiarygodne...

Usłyszała kroki za drzwiami, głucho stuknięcie, a potem szcęk zamka i drzwi otworzyły się na oścież.

Usiadła.

- Nie uwierzysz...!

Ford uciszył ją zdawkowym gestem dłoni.

- Wyłącz to i spakuj. Wynosimy się stąd. Natychmiast.

57

Harry Burr zlustrował wzrokiem hol taniego hotelu, poczuł nieprzyjemną woń i obejrzał podeszwy swoich butów. Nic - a więc ktoś inny musiał w coś wdepnąć. Miał sporo czasu, by ochłonać podczas podróży do Waszyngtonu. Był już tak blisko - Chryste Panie, zobaczył nawet, jak ta dziewczyna zrywa dysk przyklejony do tylnej ścianki chłodziarki, a potem wybiega z knajpy, ale oboje zdążyli złapać taksówkę, zanim miał szansę ich dopaść i dokończyć robotę.

Niezupełnie zdołali mu zwiać. Zdążył zapisać numer taksówki, którą odjechali, i z pomocą przyjaciela z waszyngtońskiej policji udało mu się dotrzeć ich śladem aż tutaj. Podszedł do recepcji i nacisnął dzwonek, a po chwili z zaplecza wyłonił się chłopak o ziemistej cerze i przeraźliwie otyły, zwały tłuszczu wylewały się na zapięty na ostatnią dziurkę pasek u jego spodni.

- Czym mogę służyć?

Burr przyjął odpowiednio zdenerwowaną pozę i zaczął mówić pospiesznie, z przejęciem:

- Mam nadzieję, że zdoła mi pan jakoś pomóc. Szukam mojej córki. Uciekła z facetem. Prawdziwym bydlakiem. Poznała go w kościele. Wyobraża pan sobie? A to, panie,

zbocheniec jest i ostatnia łajza. -Przerwał i wziął głęboki oddech. - Myślę, że spędzili tu noc. Udało mi się zdobyć kilka ich zdjęć.

Sięgnął do walizki i wyjął fotografie przedstawiające Forda i dziewczynę.

- To oni.

Przerwał, gorączkowo chwytając powietrze.

Oblizawszy wargi, mężczyzna pochylił się wolno nad dwoma zdjęciami i przyjrzał się im z uwagą. Zapadła długa cisza. Burr miał ochotę podsunąć mu dwudziestaka, na co tamten najwyraźniej czekał. Burr

nie lubił płacić za informacje; zdarzało się, że wtedy dostawał same kłamstwa. Ci, którzy udzielali informacji z dobroci serca i w swojej naiwności przekonani, że wyświadczają przysługę, zawsze mówili prawdę.

Kolejne cmoknięcie. Flegmatyk uniósł wzrok i odnalazł jego spojrzenie.

- Córka? - zapytał sceptycznym tonem.

- Adoptowana - odparł Burr. - Z Nigerii. Moja żona nie mogła mieć dzieci i postanowiliśmy dać szansę dziewczynce z Afryki. To jak, panie, widział ją pan? Niech mi pan pomoże, to moja mała córeczka. Ten bydlak poznał ją w naszym kościele. Jest od niej dwa razy starszy i co gorsza, żonaty.

Tamten znów wlepił wzrok w zdjęcia i westchnął przeciągle, jakby ze znużeniem.

- Widziałem ich.

- Naprawdę? Gdzie? Zatrzymali się tutaj?

- Nie chcę żadnych kłopotów.

- Bez obawy, obejdzie się bez kłopotów. Chcę tylko ocalić moją córkę.

Recepcjonista pokiwał głową, leniwie żując gumę. Kojarzył się Burrowi z bezmyślną krową na pastwisku.

- Jak pojawią się kłopoty, będę musiał wezwać gliny.

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto sprawia kłopoty? Panie, jestem profesorem, wykładowcą literatury angielskiej na Uniwersytecie Yale. Chcę z nią tylko pomówić. Numer pokoju?

Bez odpowiedzi. Nadeszła pora, by sięgnąć do portfela. Wyjął pięćdziesiąt dolców, które recepcjonista skrzętnie wyłuskał z jego dłoni. Z głośnym stęknięciem poczłapał na zaplecze i wrócił z księgą meldunkową. Otworzył ją, położywszy na kontuarze, wskazał tłustym paluchem jeden z wpisów. Pan i pani Morton.

- Pan i pani Morton? Wzięli tylko jeden pokój? Numer sto pięćdziesiąt pięć?

Mężczyzna pokiwał głową.

Harry Burr zrobił minę jak ojciec rozważający coś, o czym wolałby nawet nie myśleć.

- A co z dokumentami? Nie musieli okazać żadnych dokumentów?

- Czasami zapominamy o to poprosić - przyznał smętnie recepcjonista bez większego przekonania.

Burr sprawdził plan motelu i stwierdził, że pokój 155 mieścił się w tylnej części skrzydła, na parterze. To był tani motel, wszystkie pokoje miały oddzielne wejścia od frontu i żadnego tylnego wyjścia. Tym lepiej dla niego.

Wyprostował się.

- Dziękuję panu, bardzo, ale to bardzo dziękuję.

- Tylko żadnych hałasów, bo wezwę gliny.

- Bez obawy.

Burr wrócił do swojego auta, które zostawił z włączonym silnikiem, wycofał je z podjazdu i sięgnawszy do schowka na rękawiczki, uspokajającym gestem zacisnął palce na kolbie izraelskiego desert eaglea kaliber 44 magnum, półautomatycznej broni, której zazwyczaj używał podczas realizacji zleceń. Przymocował do pistoletu tłumik i odłożył broń na siedzenie pasażera, po czym zawrócił samochód, by podjechać do motelu od zaplecza.

O ile wszystko pójdzie po jego myśli, załatwi tę sprawę bez najmniejszego hałasu.

58

- Przez okno? Odbiło ci?

Abbey stała w drzwiach łazienki, opierając dłonie na biodrach.

Ford zignorował ją. Otworzył tanie przesuwane aluminiowe okno w łazience. Wyrzucił przez nie walizkę Abbey, a potem swoją.

- Teraz ty.

- To jakiś obłąd.

Ale Abbey wykonała polecenie, wychyliła głowę na zewnątrz i przecisnęła przez otwór resztę ciała.

Ford podał jej laptopa oraz dysk, a potem sam wyslizgnął się przez okno na ulicę. Znaleźli się na tyłach motelu. Był tam porośnięty chwastami podjazd służbowy, ogrodzenie z drucianej siatki, rów odpływowy i rozległy parking przy tandetnym centrum handlowym. Niebo było szare, padała lekka mżawka.

Abbey podniosła swoją walizkę.

- Co teraz? Zamówimy taksówkę?

- Do centrum handlowego.

- Jest jeszcze zamknięte.

- Nie idziemy na zakupy. Po prostu chodź za mną.

- Dlaczego uciekamy? - spytała Abbey. - Co nawy wij ałeś?

- Później.

Abbey przeszła za Fordem przez podjazd. Przerzucił ich walizki i swoją aktówkę przez płot.

- Przechodź.

- To jakiś absurd.

Abbey schwyciła się drucianej siatki i zwinnie prześlizgnęła się przez ogrodzenie, zeskakując po drugiej stronie. Ford po chwili uczynił to samo.

- Za mną.

Zaczął biec przez zasłany śmieciami, porośnięty trawą fragment placu, przeskoczył nad rowem melioracyjnym i skierował się na parking. Abbey usłyszała cichy pisk opon i odwróciła się, by ujrzeć żółtego volkswagena garbusa zajeżdżającego wąską uliczką na plac za motelem. Samochód stanął, drzwiczki otworzyły się i wyskoczył przez nie mężczyzna, po czym ukląkł. Ford złapał ją za ramię i wciągnął za stojące na parkingu auto. Rozległo się głośne brzęknięcie i boczne szyby rozprysnęły się w drobny mak.

- Jezus Maria!

Usłyszeli kolejne łupnięcia, gdy pocisk uderzył w karoserię.

- Nie podnoś się. Zapomnij o walizkach. Chodź za mną.

Abbey podążyła za Fordem, pochylona, przemykając między stojącymi na parkingu samochodami. Po chwili znów usłyszała pisk opon; volkswagen odjechał. Widziała, jak mknął na pełnym gazie w kierunku głównej szosy

- Objedzie centrum handlowe i wjedzie na ten parking - powiedział Ford. - Biegnij co sił w nogach.

Pognał sprintem w stronę jedynej części parkingu, gdzie stały samochody, poły marynarki unosiły się za nim, w dłoni wciąż trzymał aktówkę. Abbey starała się dotrzymać mu kroku. Obejrzała się przez prawe ramię i dostrzegła żółte auto sunące wzdłuż szosy, a potem usłyszała pisk opon, gdy skręciło na parking i pomknęło w ich stronę.

- Schyl się.

Przykucnęli za rozklekotanym starym fordem pikapem, a Ford z miejsca zabrał się do forsowania zamka. Po chwili udało mu się otworzyć drzwiczki.

- Wpełnij do środka i nie podnoś się.

Abbey wykonała polecenie, trzymała głowę poniżej linii szyby w drzwiczkach. Ford wślizgnął się obok niej, wrzucił aktówkę na siedzenie i otworzył schowek na rękawiczki. Wyjął śrubokręt, po czym zdjął osłonę oraz panel wokół stacyjki, odsłaniając pęk przewodów przymocowany z tyłu. Wsunął koniec śrubokręta do otworu stacyjki, przekręcił i uruchomił samochód.

Abbey siedziała skulona na podłodze przed przednim fotelem z nisko pochyloną głową.

- W porządku - rzekł Ford. - A teraz trzymaj się i nie podnoś z podłogi.

Usłyszała ryk silnika, podłogę przeszyły wibracje i furgonetka pomknęła przed siebie, a ją odrzuciło do tyłu. Rozległ się pisk opon, gdy pikap wziął zakręt, i kolejny rozdzierający ryk silnika, gdy Ford mocniej nadepnął pedał gazu.

Usłyszała pach, pach wystrzałów, poczuła, jak furgonetką zarzuca i zaczyna wchodzić w poślizg, ale Ford wprawnie opanował samochód i wykonawszy obrót o 360 stopni, pojechał dalej.

- Jezu - krzyknęła, z trudem przytrzymując się fotela, by nie wypaść na zewnątrz.

- Przepraszam.

Rozległy się kolejne odległe pach, pach.

Przy wtórze rozdzierającego wizgu opon, któremu towarzyszył przyprawiający o mdłości poślizg, ford napotkał na swojej drodze jakąś nierówność, podrzuciło go w górę, ale zaraz ciężko opadł z powrotem na cztery koła. Teraz toczył się, kolebiąc i kołysząc jak szalony po polnej drodze, a może po łące; cały trzął się i dygotał przy wtórze głośnego grzechotu i metalicznych zgrzytów, wszystko wokół Abbey zdawało się wibrować i sprawiało wrażenie, jakby lada moment auto miało się rozpaść.

- Możesz już się podnieść.

Abbey, przytrzymując się mocno oburącz, powoli wgramoliła się na siedzenie. I faktycznie, furgonetka toczyła się przez puste pole w stronę torów kolejowych. Ford zawrócił i ruszył równoległe do torów, po koleinach pozostawionych przez przejeżdżające tędy traktory, i kilometr dalej dotarł do starego przejazdu, wyjechał na pobocze, przejechał przez tory i pomknął wzdłuż polnej drogi z prędkością od stu trzydziestu do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Rozejrzyj się, Abbey, i upewnij się, że go zgubiliśmy.

Odwróciła się. Jak okiem sięgnąć, nie było nic prócz polnej drogi, rozległego rżyska i kolein pozostawionych przez przejeżdżające tędy pojazdy gospodarskie, a w oddali widać było tylko uszkodzone ogrodzenie i drogę, którą tu przyjechali. Abbey wydawało się, że dostrzega żółtą plamę volkswagena garbusa przy poboczu drogi.

- Nie ma go.

- Doskonale.

Ford zwolnił i niebawem dotarli do asfaltowanej szosy.

- Chryste - mruknęła Abbey, wyluskując spomiędzy włosów starą frytkę.

Dopiero teraz zlustrowała wzrokiem wnętrze szoferki. To był stary model pikapa, cuchnący dymem papierosowym i skwaśniałym mlekiem. Była cała brudna, bo na podłodze w szoferce walały się resztki jedzenia i najwyraźniej dawno nikt tu nie sprzątał. Minęli tabliczkę zjazdu na autostradę międzystanową i skorzystali z niego.

- To mi się nie podoba - rzekła Abbey - Ani trochę.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Zabiorę cię teraz w bezpieczne miejsce.

- Rezygnuję. Ta robota jest do bani. Chcę wrócić do domu.

- Jeszcze nie teraz. Przykro mi.

- Czy my właśnie zwędziliśmy tę furgonetkę? A może to głupie pytanie?

- Tak. To odpowiedź na oba pytania.

Pokręciła głową i otarła oczy, które wypełniły się nagle łzami.

- To jest jak kiepski film.
- Tak.
- Dokąd jedziemy?
- Jeszcze nie wiem. Zabiorę cię gdzieś, gdzie będziesz absolutnie bezpieczna, i zostawię cię tam, dopóki nie uporam się z tym problemem.

Abbey usiadła wygodniej, sięgnęła do schowka na rękawiczki, wyjęła chusteczkę higieniczną i wydmuchała nos.

- W walizce miałam iPoda.
- To najmniejsze z twoich zmartwień.
- Ale miałam tam wszystkie moje ulubione piosenki!
- Muszę cię zabrać w bezpieczne miejsce. Myślę teraz o pewnej małej chatce w Nowym Meksyku, z której już kiedyś korzystałem...
- Nowy Meksyk? Nie dojedziemy tam. Zwłaszcza kradzionym autem.
- Masz lepszy pomysł?
- Owszem, tak. Rodzina mojej przyjaciółki Jackie ma wysepkę u wybrzeży Maine. Jest tam chatka rybacka z panelami słonecznymi, wodą deszczówką z dachu. Idealne miejsce, by się przyczaić.

Wóz mknął gładko autostradą międzystanową.

- A co z Jackie?
 - Pojedzie z nami. Jest w porządku. I zna się na łodziach i morzu jak nikt inny
- Ford zjechał z autostrady.
- A jak mielibyśmy dotrzeć do tej chatki rybackiej?
 - Pożyczmy łódź mojego ojca i popłyniemy tam nocą.
 - To może się udać - przyznał Ford. - Musisz zrozumieć, Abbey, że zamierzam zostawić cię tam na pewien czas, dopóki nie zrobię z tym wszystkim porządku. Będziecie musiały same o siebie zadbać.
 - Jestem za tym, żeby zaszyć się w tej chatce. Nie lubię, gdy do mnie strzelają.
 - Świetnie. Wobec tego jedziemy do Maine.
 - Nie miałam wcześniej okazji, aby powiedzieć ci o tym - rzekła Abbey, biorąc głęboki oddech - że rozpracowałam ten dysk z Instytutu i dokonałam naprawdę wstrząsającego odkrycia.

Ford wyglądał na mocno zdziwionego.

- Jak zdołałaś się do niego włamać?
- Domyśliłam się hasła. Nie uwierzysz, na tym dysku są zdjęcia czegoś, co znajduje się na Deimosie. Czegoś niezwykłego. Nienaturalnego. I bardzo starego. Corso nazwał to coś „Machiną z Deimosa”.

Ford spojrzał na nią.

- Nie rób sobie ze mnie jaj.
- Wcale sobie nie robię. Tych zdjęć jest cała masa. To coś znajduje się na dnie krateru Voltaire, ukryte wśród głębokich cieni i ledwie widoczne. To jakaś konstrukcja. Maszyna. Bez kitu.

- To może być naturalna formacja geologiczna. Albo dowcip jakiegoś naukowca.
- Nie ma mowy.

Ford spojrzał na nią, jego jasne niebieskie oczy świdrowały ją.

- Jak wygląda to coś?
- Jest długie, okrągłe, cylindryczne, kojarzy się też trochę z wylotem tunelu. I ma po bokach takie kuliste coś. Te kule są przymocowane do cylindrycznej konstrukcji. A wszystko jest na wpół przysypane pyłem.
- Chcesz powiedzieć, że to coś to jakaś obca konstrukcja?
- Właśnie to chciałam powiedzieć.

Harry Burr wszedł do centrum handlowego żwawym krokiem, z tępą miną kogoś, kto wybrał się na niezobowiązujące zakupy. Rzucił okiem na mapę centrum i zorientował się, dokąd ma iść. To było podrzędne centrum, zapuszczone, jedna piąta punktów handlowych niewynajęta. Klimat podkręcony na maksa. Burr uznał, że potrzebowali tu iście syberyjskich temperatur, żeby ochłodzić gorące głowy tutejszych mieszkańców. Lepiej, żeby żaden z tych spaślaków nie padł na zawał, zanim nie zostawi w kasie swoich ciężko zarobionych dolarów.

W końcu znalazł to, czego szukał, tabliczkę z napisem „Ochrona obiektu”. Drzwi były zamknięte. Burr zapukał, odczekał chwilę, po czym nacisnął klamkę. Zamknięte na klucz. Rozejrzał się wokoło, jak okiem sięgnąć, ani jednego ochroniarza. Poczuł, że rozdrażnienie narasta w nim jak gorzki refluks w gardle. Szło mu jak po grudzie. Nie żeby tracił wyczucie. Okazało się, że Ford był kiedyś agentem CIA; skurwiel miał niezłego farta, że zdołał wymknąć się z knajpy tylnym wyjściem, kiedy ten cholerny żółtek zaczął strzelać ze swojego gnata. Całe szczęście, że Japoniec nie miał celnego oka, pewnie nigdy dotąd nie strzelał z czterdziestki. Jakimś sposobem Ford wymknął mu się również w motelu. A tak niewiele brakowało. Burr był pewien, że tym razem mu się uda.

Spróbował stłumić w sobie gniew. Szczycił się tym, że był człowiekiem z natury pogodnym, niepoddającym się nastrojom i bynajmniej nie mściwym. To kolejny z jego atutów. Nie pozwalał sobie na zaangażowanie emocjonalne, co stanowiło warunek niezbędny w fachu polegającym na zabijaniu dla pieniędzy. A w każdym razie tak sobie tłumaczył. Nie mógł pozwolić, aby stało się to dla niego sprawą osobistą.

Rozejrzał się po centrum, które szybko wypełniało się porannymi klientami. W takim miejscu nie ma co bawić się w szukanie ochrony. Zamiast marnować cenne godziny na przemierzanie centrum handlowego w poszukiwaniu strażników, niech raczej to oni przyjdą do niego. Jak w powiedzeniu z górą i Mahometem...

Burr dostrzegł sklep muzyczny i wszedł do środka, odnalazł dział z muzyką heavymetalową i zaczął przeglądać zawartość pobliskich regałów. Ofiara była idealna: przyszczaty got o fioletowych włosach, cuchnący trawą i trzymający w dłoni reklamówkę. Burr zbliżył się do niego, wybrał kompakt kapeli o nazwie Spineshank, odwrócił się i mijając gona, lekko go szturchnął.

- Przepraszam.

Got wymamrotał coś niezrozumiale, po czym wrócił do przeglądania płyt. Burr zczekał, aż tamten skończy, po czym ruszył w ślad za nim do wyjścia. Kiedy tylko got przeszedł przez bramkę, rozległ się sygnał alarmu, a dziwoląg znieruchomiał jak jeleni uchwycyony w krąg światła reflektorów; podkreślone konturówką oczy niemal wychodziły mu z orbit w wyrazie kompletnego zdziwienia: „ale o co chodzi?”.

I oto przyszła góra do Mahometa, a konkretnie dwie góry, posa-pując i pobrzękując metalicznie. Otoczyli gona i przeszukali jego reklamówkę, w której znaleźli płytę Spineshank. Nie zważając na jego nieskuteczne i zgoła niewiarygodne protesty, że płyta musiała wpaść mu do torby przez przypadek, zaczęli zasypywać go pytaniami, jak na twardzieli przystało, grożąc mu procesem i odsiadką.

Harry Burr podszedł i błysnął Odznaką, która należała niegdyś do funkcjonariusza waszyngtońskiej drogówki, lecz została mu w łatwy sposób skradziona podczas postoju w korku.

- Funkcjonariusz Wilson? - zapytał osiłka pilnującego drzwi, odczytawszy nazwisko na odznace.

- Tak?

Burr schował odznakę.

- Powiedziano mi, że to do pana mam się zwrócić.

- A o co właściwie chodzi?

- O kradzież samochodu dziś rano. Jestem oficerem łącznikowym między Waszyngtonem a Wirginią z ramienia Wydziału Dochodzeń Tajnych Sekcji Pojazdów Mechanicznych. Porucznik Moor.

Podał mu rękę. Wilson uściśnął ją.

- Czy możemy pomówić na osobności?

- Oczywiście.

Burr odprowadził Wilsona z dala od coraz bardziej histerycznie krzyczącego dzieciaka, któremu właśnie założono kajdanki. Wyciągnął nieduży notatnik, oblizał palec i zaczął przewracać kartki.

- To potrwa Chwilę, potrzebuję tylko kilku szczegółów.

- Akta mamy w biurze. Przekazaliśmy już wszystkie informacje policji stanowej.

Burr wyrócił oczami w wyrazie zdegustowania wszechobecną biurokracją.

- Mamy ostatnio dość spory młyn. Potrwa z tydzień, zanim te akta wypłyną... Chyba że zechce pan pomóc mi już teraz - mrugnął. - Co pan na to?

- Jasne, poruczniku. Zawsze chętnie służę pomocą.

Biuro było dokładnie takie, jak Burr tego oczekiwał, ciasne jak cela i pachnące tanim dezodorantem. Wilson, wyróżniony ochroniarz, usiadł za biurkiem, wysunął szufladę i wyjął z niej teczkę.

- Potrzebuję tego, co zwykle - powiedział Burr. - Marki auta, numeru rejestracyjnego, świadków... Wszystkiego, co pan tam ma.

- Nie było żadnych świadków, poruczniku - stwierdził Wilson z pełną powagi miną, opowiadając o powadze przestępstwa.

- To był biały ford FI50 pikap, model z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego, tablice z Wirginii... - zaczął rutynowo wyliczać szczegóły, które Burr skrupulatnie zapisywał.

- Odzyskamy pojazd, jak zawsze zresztą - powiedział Wilson. - Pewnie jakieś dzieciaki chciały się przejechać. Żadna dziupla nie byłaby zainteresowana tak starym modelem pikapa.

- Nie wątpię, że zdoła pan pozytywnie zakończyć tę sprawę - odrzekł Burr, stukając złotym ołówkiem w notes, po czym schował go. Wyciągnął rękę.

- Niech pan nie zawraca sobie głowy kontaktowaniem się ze mną, sam zadzwonię do pana. Oczywiście chcielibyśmy wiedzieć, kiedy ten pikap się odnajdzie. Ma pan wizytówkę? Wilson wręczył mu jedną.

- Bardzo dziękuję za pomoc - powiedział Burr i zawahał się. - Choć może byłoby lepiej, z czysto dyplomatycznych powodów, aby nie wspominał pan o mojej wizycie policji z Waszyngtonu ani drogówce z Wirginii. Nie patrz przychylnie, gdy ktoś z Wydziału Dochodzeń Tajnych napotyka na mur biurokracji, która torpeduje jego śledztwo. Ponownie mrugnął porozumiewawczo do Wilsona.

- Jasne - rzekł tamten z uśmiechem.

Burr wrócił do swojego garbusa. Boże, ależ było gorąco, zwłaszcza po chłodzie, jaki panował w centrum handlowym. Ford i dziewczyna na pewno gdzieś się ukryli. Teraz mógł tylko siedzieć na tyłku i czekać, aż odnajdzie się skradzione auto. Klepiąc w wyrazie frustracji w kierownicę otwartą dłonią, Harry Burr zdusił w ustach przekleństwo. Co za pochrzaniona sytuacja. Może tym razem zrobi wyjątek i zrealizuje zlecenie, czerpiąc z tego prawdziwą przyjemność.

60

Ciepła letnia bryza powiała od strony Zatoki Great Salt, gdy Abbey podbiegła do drzwi starego budynku w centrum Damariscotty; drabinka wyjścia pożarowego majaczyła nad nią, odcinając się na tle rozgwieżdżonego nieba. Zadzwoiła do mieszkania Jackie cztery razy, długo i natarczywie. Aż wreszcie zduszony głos zapytał:

- Co jest, kurwa?

- To ja, Abbey. Wpuść mnie.

Rozległo się brzęczenie domofonu, Abbey otworzyła drzwi i wspięła się po rozchwierutanych schodach. Skradzioną furgonetkę porzucili na parkingu smętnego minimarketu przy Route 1, gdzie przynajmniej przez jakiś czas nikt nie powinien jej odnaleźć, po czym po trzyipółki-lometrowym marszu przez las i bocznymi drogami dotarli do Damariscotty

Abbey stanęła przed drzwiami mieszkania.

- Jackie?
- Spadaj - usłyszała pełen rozdrażnienia głos.
- Obudź się, to ważne.

Rozległ się jęk i odgłos stóp ślizgających się po podłodze. Szczęknęły zamki i Jackie otworzyła drzwi. Stała w koszuli nocnej, mrużąc lekko powieki; włosy miała w nieładzie.

- Kurde, jest druga w nocy.

Abbey odepchnęła ją na bok i zamknęła drzwi.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Jackie spojrzała na nią i westchnęła:

- Boże, znów się w coś wpakowałaś?
- Po uszy.
- Czemu mnie to nie dziwi?

* * *

Zatoka Round Pond skrzyła się czernią pod powłoką nocnego nieba, fale leniwie rozbijały się o dębowe pylony. Abbey przystanęła u szczytu pirsu. Widziała Mareę II kotwiczącą o jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Była trzecia w nocy, ciemno choć oko wykol, tarcza Księżyca przesłoniła chmury, a poławiacze homarów zaczną przypływać najwcześniej za pół godziny. O tej porze uruchomienie łodzi i wypłynięcie na morze nie było uznawane za nic niezwykłego.

Jackie Spann i Wyman Ford stali na przystani; Ford jak zawsze miał ze sobą aktówkę.

- Zaczekajcie tu - powiedziała Abbey. - Podpłynę łodzią do pomostu, a wtedy szybko zbliżycie się i wejdziecie na pokład.

Abbey odcumowała szalupę ojca i włożyła wiosła do dulek. W myślach łudziła się, że jej ojciec jeszcze nie wstał. Zostawiła mu krótki liścik, ale nie sposób było stwierdzić, jak on zareaguje na ponowne „pożyczenie” przez nią łodzi w bliżej nieokreślonym celu i prośbę, aby nikomu nie mówił prawdy na ten temat.

Wiosłowała z całych sił. Plusk wiosel i odgłos olinowania uderzającego o maszty żaglówek stojących na kotwicach były jedynymi dźwiękami rozlegającymi się w tej cichej zatoce. Nawet mewy spały. Dopłynęła do Marei II, weszła na pokład i uruchomiła silnik, głośny warkot zburzył spokój letniej nocy. Była prawie pewna, że nikt nie zwróci na to uwagi. Odgłosy łodzi, nawet w środku nocy, były elementami codziennego życia w zatoce przy miasteczku rybackim. Podpłynęła do pływającego pomostu, nawet nie zadając sobie trudu, by zupełnie zatrzymać łódź. Jackie i Ford wrzucili prowiant do łodzi i weszli na pokład, a po chwili Abbey zakręciła kołem sterowym i wypłynęła z zatoki, mijając mrugającą lampę na sygnałowej boi oznaczającej wejście do cieśniny

- No dobra - rzekła Jackie, sadowiac się na fotelu w sterówce i odwracając się z uśmiechem do Forda - kim jesteś i co się dzieje, u diabła?

61

Mabel Fortier wyszła z pralni samoobsługowej z praniem w metalowym wózku, który toczyła przez parking w kierunku swojego auta. Na drugim końcu parkingu spostrzegła jak zawsze grupę szemranych nastolatków, które spotykały się tam, przyjeżdżając podrasowanymi samochodami, rozmawiały przez komórki, przeklinały, piły piwo, paliły papierosy i rzucały niedopałki na ziemię.

Mabel Fortier raz jeszcze usiłowała przekonać samą siebie, że to były dobre dzieciaki, które po prostu musiały się wyżyć. Uczyła kilkoro z nich w pierwszej klasie, zanim przeszła na

emeryturę. Wtedy to były takie cudowne dzieci. Co się stało? Pokręciła głową: teraz wszystkie nastolatki paliły, a przekleństw nie traktowano dziś tak jak za jej czasów. Usiłując myśleć o nich możliwie jak najlepiej, położyła pranie na tylne siedzenie i złożony wózek schowała do bagażnika. W oddali usłyszała pisk opon, gdy na miejsce spotkań młodzieży zajechał nowy samochód. Uniosła wzrok i zobaczyła metalicznie niebieską toyotę camaro, auto chłopaka Hintonów mknące przez parking na pełnym gazie i obwieszczające swoje pojawienie się głośnym trąbieniem. Chłopak jechał zdecydowanie za szybko. Wóz zakręcił z piskiem opon, a zaraz potem usłyszała pach! i zgrzyt metalu szorującego o metal, gdy kawałki plastiku posypały się po asfalcie. Ten dureń wziął zbyt ostro zakręt i zahaczył o tylny zderzak białego pikapa stojącego wśród rzędu aut zaparkowanych przed opuszczonymi, zlikwidowanymi sklepikami opodal.

Mabel Fortier patrzyła, jak kierowca toyoty zatrzymuje wóz, wysiada i pochyla się, by obejrzeć długie na metr wgniecenie w karoserii swojego auta. Nawet nie spojrzął na uszkodzenie furgonetki, której tylne światło zostało strzaskane, a tylny zderzak niemal

całkiem zerwany. Usłyszała jego okropne przekleństwa niosące się przez cały parking, a odpowiedzią ze strony grupy nastolatków był głośny rechot -liwy śmiech i radosne okrzyki. Po chwili chłopak wsiadł do swojego samochodu i wyjechał z parkingu na pełnym gazie i z piskiem opon.

Była wstrząśnięta, bo chłopak właśnie uciekł z miejsca zdarzenia, co gorsza, pozostali nastolatki też zaczęli wsiadać do swoich aut i opuszczać parking, by ulotnić się, zanim przyjadą gliny.

Oburzające. Po prostu oburzające. Chłopak Hintonów uszkodził czyjś samochód - sądząc po wyglądzie pikapa, koszt naprawy wyniesie parę tysięcy dolarów - i tak po prostu odjechał. To była kropla, która przepełniła czarę goryczy Nie ujdzie im to płazem. Dość już tego. Żarty się skończyły. Mabel Fortier wyjęła komórkę i z posępną miną wybrała numer policji.

62

Abbey obudziła się w chacie, czując w nozdrzach aromat smażonej na kuchence jajecznicy na boczku; promienie słońca wpadały przez okna, słychać było łagodny chłupot fal rozbijających się o kamienistą plażę. Gdy weszła do głównej izby, zastała Forda przy stole kuchennym pochylonego nad laptopem podłączonym do twardego dysku z IBRN. Widziała, że przeglądał zdjęcia.

- Najwyższy czas! - zawołała stojąca przy kuchni Jackie. - Właśnie minęło południe. Wcisnęła Abbey do ręki kubek z kawą przygotowaną tak, jak lubiła, z mnóstwem cukru i śmietanki.

- Chodź na dwór na śniadanie.

Spoglądając raz jeszcze na Forda, Abbey przeszła do ustawionego na zewnątrz starego, mocno sponiewieranego stołu piknikowego. Rozległa pofałdowana łąka ciągnęła się pod kątem w dół ku kamienistej plaży. Jeszcze dalej widać było małe, porośnięte świerkami wysepki, a przez prześwity między nimi można było dostrzec fragment horyzontu.

Jackie postawiła przed przyjaciółką talerz ze śniadaniem i usiadła obok z kubkiem kawy w rękę.

- Gdzie Marea? - zapytała Abbey, pochłaniając jajecznicę na bekonie; umierała z głodu.

- Ukryłam ją w zatoce po drugiej stronie wyspy - wyjaśniła Jackie.

Abbey dopiła kawę i powoli zaczęła się rozbudzać, spoglądając

w kierunku morza. Wysepka, na której się znajdowali, Little Green, była wciśnięta pomiędzy trzydzieści innych i oddzielona od stałego lądu przez kanał Muscle Ridge. Na południe stąd znajdowała się Zatoka Muscongus, a na północ Zatoka Penobscot. To była idealna kryjówka, pośrodku całego skupiska małych wysepek, niewidoczna zarówno

z morza, jak i z lądu i wspaniale chroniona przed zmienną aurą. Z tego, co wiedziała, nikt nie zauważył, jak wypływali z Round Pond i nikt nie wiedział, dokąd się udali. Nawet jej ojciec. Tu byli bezpieczni. Ale jakie groziło im niebezpieczeństwo? Oto jest pytanie.

Kawałkiem chleba Abbey starła z talerza resztki jajecznicy i dołała sobie kawy z dzbanka. Ocean był spokojny, łagodne fale przelewały się ponad kamieniami i wycofywały z niezmaconą regularnością. Wysoko w górze skrzeczały mewy, gdzieś pomiędzy wyspami przepływał kuter rybacki, słychać było charakterystyczny dźwięk silnika łodzi do połowu homarów.

Ford wyszedł z chaty z kubkiem kawy w dłoni i również usiadł przy stole.

- Dzień dobry! - rzuciła Jackie, uśmiechając się do niego szeroko. - Dobrze się spało, panie Ford?

- Jak nigdy dotąd.

Upił łyk kawy i wlepił wzrok w ocean.

- Zauważyłam, że przeglądałeś zdjęcia z Deimosa - wtrąciła Abbey.

- Tak.

- Co o nich myślisz?

Ford nie odpowiedział od razu, tylko patrzył na nią jasnoniebieskimi oczami. W końcu odrzekł półgłosem:

- Myślę, że to nadzwyczajne odkrycie.

Abbey pokiwała głową.

- To bezsprzecznie obca konstrukcja i najprawdopodobniej właśnie ona jest źródłem tego błędnego promieniowania gamma. Wygląda na bardzo starą, jakby nadgryzioną zębem czasu.

- Mówiłam ci, że ona naprawdę istnieje.

Ford powoli pokręcił głową.

- To odpowiedź na jedną z największych tajemnic kosmosu. Odnajdując tę obcą konstrukcję, teraz wiemy już na pewno, że nie jesteśmy sami. Aż trudno mi to pojąć. W głowie się nie mieści.

- Nic nie skumałeś.

- To znaczy?

Abbey pokręciła głową.

- Obca konstrukcja. Akurat. To jakaś forma broni. I oddano z niej strzał w kierunku Ziemi.

63

- Broń... - powtórzył powoli Ford.

Abbey przeniosła wzrok na Jackie, która przysłuchiwała się temu w milczeniu.

- Dokładnie tak.

Ford przesuwał dłoń po swoich kędzierzawych włosach.

- Dlaczego tak uważasz?

- Kiedy wyeliminujesz niemożliwe...

- Znam ten cytat - powiedział.

- To elementarne, drogi Watsonie. Po pierwsze, to coś wygląda jak broń. Po drugie, to coś wystrzeliło miniaturową czarną dziurę, która przebiła Ziemię na wskroś.

Ford odchylił się do tyłu.

- To nie do końca tak. Nawet jeżeli to coś wystrzeliło i zamierzało zniszczyć Ziemię, to mu się nie udało. I nie spróbowało ponownie. Nawet jeżeli to jest broń, wydaje się, że zrezygnowała z dalszych prób.

- Skąd wiesz, że zrezygnowała? Może szykują się do kolejnego wystrzału.

Ford pokręcił głową.

- A więc ci wrogo nastawieni obcy... Gdzie mogą być? Żyją wewnątrz Deimosa?

- Obcych już dawno nie ma - parsknęła Abbey.
- Nie ma? Skąd wiesz?
- Spójrz na zdjęcie. Ta rzecz to starość cały przysypany kurzem i pokryty wgłębieniami. Nikt się tym nie opiekuje. Może obcy pozostawili tę broń i odeszli.
- Po co?
- Któż to wie? Niedługo przed tym, jak ta rzecz oddała do nas strzał, marsjańska sonda orbitalna przeleciała w pobliżu Deimosa, penetrując grunt wiązką fal radarowych i wykonując serię zdjęć. Może to spowodowało aktywizację tej rzeczy. Może kosmici przelatywali tędy miliony lat temu, zauważyli zamieszkaną planetę i pozostawili tę broń, aby zajęła się przyszłymi technologicznymi cywilizacjami, które mogły im zagrażać. Do licha, takich broni rozsianych po całej galaktyce może być tysiące albo więcej.
- Mam nadzieję, że nie obrazisz się, jeżeli potraktuję twoją teorię z przymrużeniem oka. Abbey skrzyżowała ręce na piersiach i czekała.
- To jak scenariusz odcinka Strefy mroku - kontynuował Ford.
- Dobrze się zastanów - nie odpuszczała Abbey - a dojdiesz do tego samego wniosku. Ford westchnął.
- Zastanowię się. Ale może ciebie zainteresuje to - moje źródła w sferach rządowych uważają, że to nie była miniaturowa czarna dziura, lecz fragment dziwnej materii, a konkretnie obiekt zwany dziwadłem.
- Co to takiego?
- Odmiana supergęstej materii, skupisko cząstek zwanych kwarkami, w zwyrodniałej postaci... Uważa się, że niektóre gwiazdy neutronowe mogą być w rzeczywistości gwiazdami dziwnymi albo gwiazdami kwarkowymi, zbudowanymi z materii dziwnej. Czytałaś Kurta Vonneguta?
- O tak - odparła Abbey - uwielbiam jego książki.
- Pamiętasz substancję o nazwie lód-dziwięc z Kociej kołyski? To była szczególna odmiana lodu, który w zetknięciu ze zwykłą wodą przemieniał ją w lód o temperaturze pokojowej.
- Pamiętam.
- Taka jest właśnie materia dziwna. Gdy wchodzi w kontakt ze zwykłą materią, zaczyna ją przemieniać, pochłaniać, zmieniając ją w materię dziwną. Problem polega na tym, że dziwna ma gęstość tak dużą, że wszystko, czego dotknie, zostaje zgniecione i nieomal obrócone w nicość. Gdyby Ziemia została zmieniona w materię dziwną, zmniejszyłaby się do rozmiarów pomarańczy.
- Lał.
- Co gorsza, proces jest niestabilny. W efekcie Ziemia eksplodowałaby z siłą tak wielką, że rozerwałaby zewnętrzne warstwy Słońca i uszkodziłaby cały Układ Słoneczny
- Dlaczego to coś nie utworzyło większego otworu wylotowego? Nie spowodowało powstania wulkanu ani żadnej erupcji?
- Dobre pytanie. Dziwadło nie spowodowało fali uderzeniowej, ponieważ pochłania wszelką materię, z którą się zetknie. Pożera materię, przebijając się coraz dalej i pozostawiając tunel, który natychmiast jest zapełniany przez ciśnienie struktur geologicznych w miarę przemieszczania się obiektu. Jedynym dowodem na przejście obiektu przez Ziemię jest niewielki otwór wlotowy, znacznie większy otwór wylotowy i niezwykle zapis sejsmiczny
- Abbey zagwizdała.
- To wszystko jedynie potwierdza moją teorię. Dziwadło mogłoby być bronią ostateczną, zastanów się nad tym.
- Ford wstał i odstawił kubek.

- Nie wiem, ile wiedzą na ten temat w Waszyngtonie, ale muszę pojechać tam z tym dyskiem. Muszę zostawić cię tutaj. Nie odważę się pozostawić cię pod opieką CIA ani nawet miejscowej policji, bo nie wiem, kto nas ściga. Bardzo możliwe, że mamy do czynienia ze zbuntowaną agencją w naszym rządzie.

- Ale co z tobą? Jak pojedziesz do Waszyngtonu? Mogą cię posłać do Guantanamo czy Bóg wie gdzie.

- Nie mam wyboru. Bo uważam, że możesz mieć rację. Ta rzecz to może być broń. I kto wie, możliwe, że stawką w tej grze jest los Ziemi.

Abbey skinęła głową.

- Na tej wyspie jak na razie będziecie bezpieczne. Przyczajcie się, a ja skontaktuję się z wami za pięć dni lub może nawet wcześniej. Dacie sobie radę?

- Nic się nie martw, poradzimy sobie.

Ford odwrócił się i schwytał Abbey za ramiona.

- Dziś wieczorem przewieziesz mnie na ląd, o zmierzchu, kiedy trudniej będzie wypatrzeć łódź. - Przerwał i po chwili mruknął: - Broń... tak, to coś z całą pewnością jest jakiś rodzaj broni.

64

Harry Burr zaparkował swojego volkswagena garbusa przed pralnią samoobsługową i wysiadł z samochodu. To był tani minimarket z tuzinem sklepików i punktów usługowych, z czego połowa stała nieczynna, żadnej ochrony, za to mnóstwo nastolatków rozrabiaków. Idealne miejsce, by porzucić skradziony samochód - żadnego dozoru, niewielu klientów, wiele pustych sklepików. Mogły minąć tygodnie, zanim ktoś by się w końcu zorientował. Ford miał pecha - a Burrowi dopisało szczęście - że jakiś popisujący się przed kolegami gnojek w drogiej bryce zahaczył o tę furgonetkę.

Przemaszerował przez parking, usiłując wyczuć to miejsce. Biały pikap rzecz jasna zniknął, został odholowany. Pytanie brzmiało, dokąd udali się stąd Ford i dziewczyna? Dzięki internetowi wiedział, gdzie należało poszukać. Dziewczyna pochodziła z tych stron, a jej ojciec mieszkał niedaleko. Burr uznał, że to równie dobre miejsce jak każde inne.

Zaśmiał się i zapalił papierosa, mocno zaciągając się dymem. Jednak wszystko zaczynało powoli się układać.

Dopalił papierosa i rzucił niedopałek na ziemię, po czym wrócił do samochodu. Miasteczko Round Pond. Cóż za kretyńska nazwa! Zgodnie ze wskazaniem GPS-a znajdowało się dwadzieścia kilometrów stąd. Był przekonany, że dobry stary George Straw wyjawia mu, gdzie podziwia się jego córka.

Droga do Round Pond wiała się przez lasy i pola, aż w oddali po prawej pojawiła się zatoka i skupisko starych białych domów. Gdy zajechał na niewielką farmę, z dala od zatoki, GPS poinformował go głosem z charakterystycznym brytyjskim akcentem, że dotarł do celu. Zaparkował za czerwonym pikapem furgonetką. Włożywszy desert eagle a do aktówki, wysiadł z samochodu, wszedł na ganek i nacisnął dzwonek.

Usłyszał ciężkie kroki i niebawem drzwi się otworzyły. Od razu widać, że to prowincja, pomyślał, kiedy ten dureń otworzył drzwi, nawet nie sprawdziwszy, z kim ma do czynienia. Burr zdziwił się, ujrawszy w drzwiach białego krępego mężczyznę o ogorzalej twarzy i jasnoniebieskich oczach, ubranego w kraciastą koszulę i dżinsy na szelkach. Dziewczyna musiała być adoptowana, a może to było mieszane małżeństwo.

- W czym mogę pomóc? - zapytał przyjaźnie gospodarz.

Burr pokazał mu odznakę.

- Pan George Straw?

- Tak?

- Jestem porucznik Moore z wydziału zabójstw policji waszyngtońskiej. Czy zechciałby pan poświęcić mi chwilę?

Oblicze mężczyzny spochmurniało.

- O co chodzi, panie władzo?

Ten zwrot „panie władzo” bardzo się Burrowi spodobał. Najwyraźniej tamten żywił szacunek wobec prawa.

- Chodzi o pańską córkę, Abbey.

Pochmurne oblicze przepełnił niepokój, typowy lęk ojca o dziecko. Świetnie.

- Co z moją córką? Nic jej nie jest?

Burr tonem pełnym powagi zapytał:

- Mogę wejść?

Straw odsunął się od drzwi. Cały się trząsł.

- Tak. Proszę.

Burr wszedł za Strawem do pokoju i nie czekając na zaproszenie, usiadł.

- Czy mojej córce nic nie jest?

Burr odczekał dłuższą chwilę, po czym rzekł:

- Panie Straw, to, co powiem, może być dla pana trudne do zniesienia, ale potrzebuję pańskiej pomocy. To ściśle poufne i już wkrótce sam pan zrozumie dlaczego.

Twarz Strawa zrobiła się całkiem biała, ale wciąż trzymał fason.

- Prowadzę sprawę dotyczącą seryjnego zabójcy, który od lat poluje na młode dziewczęta, głównie na terenie Dystryktu Kolumbia, ale również w Nowej Anglii. Nazywa się Wyman Ford. Jest bardzo wyrafinowany. Jest dobry. Ma mnóstwo pieniędzy i dobrze się ubiera.

- Ford? Wyman Ford? Moja córka podjęła właśnie pracę dla mężczyzny, który tak się nazywa!

Straw aż podniósł się z krzesła.

- Wiem, Niech pan pozwoli mi dokończyć. Ten szczególny osobnik przekonuje młode dziewczęta, aby przyjęły posadę jego asystentki. Szczegóły dotyczące pracy są dość mgliste, ale mają dotyczyć pracy dla rządu, innymi słowy, są ściśle tajne. Ten człowiek zwodzi je i wozi się z nimi przez kilka tygodni, a potem je zabija.

- Boże święty, on ma moją córkę!

- Uważamy, że nic jej nie jest. Przynajmniej na razie. Ale musimy ją znaleźć. I musimy to zrobić szybko i po cichu. Kiedy ten człowiek zaczyna podejrzewać, że ktoś może mu deptać po piętach, zabija swoją ofiarę i znika. To już mi się wcześniej przytrafiło. Dlatego musimy zachować absolutny spokój i działać po pierwsze dyskretnie, a po drugie nad wyraz ostrożnie.

- Boże, mój Boże - lamentował Straw i krążył po pokoju z zaciśniętymi pięściami, aż kłykcie mu pobielwały. - Ten człowiek zaproponował jej pracę jakiś tydzień temu. Wyjechała do Waszyngtonu. Potem wrócili i pożyczili moją łódź. Zabiję tego skurwiela, przysięgam. Strzał w dziesiątkę.

- Pożyczyli pańską łódź? Dokąd popłynęli?

- Nie wiem! Zabrali ją i zostawili mi liścik. W ogóle się z nią nie widziałem. O Boże. Straw ukrył twarz w dłoniach.

- Mogę zobaczyć ten liścik?

Straw poszedł do kuchni i wrócił z kartką papieru, którą podał Burrowi.

Kochany Tato,

Nie wiem, jak mam to napisać, ale pożyczyłam Twoją łódź. Znowu. Naprawdę bardzo mi przykro. Wiem, że to nie brzmi dobrze, ale uwierz mi, to konieczne. Nie mogę powiedzieć ci, dokąd się wybieramy, ale mam nadzieję, że wrócę za tydzień, dwa. Będę poza zasięgiem komórki, ale jeżeli tylko nadarzy się okazja, zadzwonię. Nic mi nie jest, wszystko gra, o nic się nie martw. Proszę, nie mów nikomu, że zabraliśmy łódź. Będę o nią dbała.

Kocham Cię, Abbey

Burr przeczytał treść listu, marszcząc czoło, i odłożył kartkę na blat stolika.

- Tak, to on, bez dwóch zdań. Domyśla się pan, dokąd mogli popłynąć albo dlaczego? Oblicze Strawa wykrzywił grymas, gdy próbował wydobyć z siebie głos.

- Na północ. Na pewno popłynęła na północ. Tam jest mniej ludzi i więcej wysepek. Musieli popłynąć gdzieś dalej, w kierunku tych wysepek, bo wspomniała, że będą poza zasięgiem, czyli na pełnym morzu. Blisko brzegu komórki zwykle działają.

- Ale dlaczego? Co mogą robić z tą łodzią?

- Bóg raczy wiedzieć. Pan pewnie ma trafniejsze spostrzeżenia niż ja.

Burr powstrzymał się od komentarza.

- Boże, nie mogę stracić mojej córeczki! - głos Strawa łamał się. - Nie mogę! Straciłem już żonę...! - głos uwiązł mężczyźnie w gardle, gdy jego ciałem targnęły silne dreszcze.

Burr wstał i schwycił go za ramię.

- Proszę wziąć się w garść.

Straw pokiwał i przełknął ślinę.

- Musi mi pan zaufać, że wiem, co robię. Potrafi pan mi zaufać?

Straw tępo pokiwał głową.

- Oto co zrobimy. Załatwi pan dla nas nową łódź, i to naprawdę dobrą. Pan kierował, a potem popłyniemy we dwóch i odnajdziemy pańską córkę.

- Bzdura! Trzeba powiadomić straż przybrzeżną, niech wyślą samoloty obserwacyjne--

- Nic z tego - przerwał Burr, dając Strawowi czas, by się opanował. - Jeżeli nasz człowiek nabierze jakichkolwiek podejrzeń, że jesteśmy na jego terenie będzie po wszystkim. On jest w stanie z daleka wypatrzeć jedną straż przybrzeżną, że o samolotach obserwacyjnych nie wspominam? Jest inteligentny, bardzo przebiegły i nigdy nie traci czujności. Nie możemy nawet ryzykować powiadomienia lokalnej policji. Nie odpowiednio przeszkoleni, aby zająć się tą sprawą. Mamy większe szanse, aby ich odnaleźć, jeżeli popłyniemy tylko we dwóch. Pan zna te okolice, a ja znam się na mentalności przestępców. Kiedy ich znajdziemy, dopiero wtedy wezwiemy wsparcie. I to na wielką skalę. Jedyńcy tam sami. Ale na razie zajmijmy się poszukiwaniem tylko we dwóch. Rozumie pan? I proszę się nie przejmować kosztami. Wszystko zapłaci.

Straw pokiwał głową. Z trudem oddychał. To zdumiewające, jak szybko ludnie przestawali myśleć logicznie, gdy chodziło o bezpieczeństwo ich dzieci. Burr cieszył się, że sam nigdy nie miał własnych.

- No dobra - rzekł, chwytając Strawa za rękę. - Chodźmy.

Straw pokiwał głową, twarz miał błyszczącą od potu.

- To mała miejscina - wykrztusił. - Plotki szybko się tu rozchodzą. Lepiej sam wynajmę łódź, a pan niech się nie pokazuje. Nie ma chwili do stracenia-

- Od tej pory nadajemy na tych samych falach, panie Straw. Bez obawy, odnajdziemy pańską córkę. Obiecuję.

65

Harry Burr stał na pokładzie Halcyona, obserwując Strawa (kierunek) cęgo łodzią płynącą na pełnych obrotach przez wzburzone inorze-Z braku czasu musieli wynająć większą, wolniejszą łódź, niż Burr sobie życzył, ale ta przynajmniej była solidną, godną zaufania3 nostką. Po wypłynięciu z portu w samo południe sprawdzili komunikaty pogodowe podawane przez radio VHE Zapowiadano zbliżający się sztorm mogący stanowić zagrożenie dla mniejszych jednostek-Burr nie był pewien, czy dwunastoipółmetrowy jacht, taki jak Hal-cyon, z dwoma silnikami Diesla, mógł być określony mianem mniejszej jednostki, ale wolał tego nie sprawdzać.

- Nie moglibyśmy płynąć szybciej?

- Już i tak wyciskam z tych silników więcej, niż powinieneś1 ~ odrzekł Straw.

Po raz nie wiadomo który Burr uniósł do oczu lornetkę, by c>bserwo~ wać ocean i wyspy Zdumiał się, jak wiele ich było - dziesiątki, inoże nawet setki, nie mówiąc o skałach i rafach. Niektóre z nich były zarnicszka-ne, a na kilku wzniesiono nawet całe kompleksy zabudowań, większość jednak pozostawała opustoszała. Burr przeniósł wzrok na elektroniczny chartplotter w dobrze wyposażonej sterówce. Dorastając w Greenwich> spędził sporo czasu wśród łodzi i czuł się na nich swobodnie. r*Jiemniej jednak uważnie obserwował Strawa przy sterze, aby mieć peW*10@^ że poradzi sobie z kierowaniem łodzią, kiedy już zabije kogo trzeba i będzie musiał samemu wrócić na ląd. Sztorm będzie dla niego doskonałą okazją na wyjaśnienie powodów zaginięcia poławiacza homaró^-

- Gdy tylko opłyniemy cypel przy końcu tej wyspy - powiedział Straw - w zasięgu naszego wzroku pojawią się wyspy po północnej stronie Zatoki Muscongus. Niech pan ma lornetkę w gotowi" i Pa~ trzy uważnie.

- Mijamy tu mnóstwo wysepek. Skąd pan wie, że nie zawiñeli do którejś z zatoczek?

- Nie wiem. Najpierw sprawdzimy na otwartym morzu, a potem zaczniemy przeszukiwać zatoczki.

- To brzmi rozsądnie.

Straw miał motywację, to nie ulegało wątpliwości. Mocno zaciskał dłonie na sterze, jego kłykcie zbiełły, przymrużone oczy spoglądały to w jedną, to w drugą stronę, lustrując mijane łodzie. Był bliski załamania.

- Wciąż jeszcze mamy dość czasu - zapewnił Burr, usiłując zachować spokojny ton. - Proszę się nie martwić. Dopóki są na morzu, on nie zaatakuje. Będzie jej potrzebował do kierowania łodzią.

- Znam każdą zatokę, przystań i miejsce cumowania stąd do Isle au Haut i przysięgam, że przeczeszemy je wszystkie, aż ją w końcu znajdziemy

- Znajdziemy ją.

- Na pewno.

Burr wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wytrząsnął jednego. Ten facet zaczynał go nużyć.

- Mogę zapalić?

Straw spojrział na niego, oczy miał podkrążone, przekrwione. Ten biedny facet zdecydowanie za dużo myślał.

- Palić można na rufie, z dala od silnika - powiedział. - Niech pan weźmie lornetkę i wypatruje z uwagą.

Burr podszedł do relingu rufowego i zapalił papierosa. Okrążali cypel i niebawem od północnego wschodu ich oczom ukazała się rozległa połać oceanu usiana wysepkami. Popołudniowe słońce zalewało błękitną toń oceanu złocistymi promieniami. Widać było kilka kutrów rybackich pływających w tę i z powrotem i wybierających pułapki na homary. Burr uniósł lornetkę do oczu i przyjrzał się kolejno każdej z łodzi.

Żadna z nich nie była Mareą II.

Znów zaciągnął się dymem, zastanawiając się, co kombinował Ford i dziewczyna. Dlaczego wybrali taki rodzaj ucieczki i wypłynęli na pełne morze. Jakiś szpiegowski numer? Jak zwykle nie znał prawdziwej tożsamości swoich klientów ani nie wiedział, dlaczego chcieli zdobyć ten twardy dysk, przez co nie był w stanie zrozumieć, dlaczego Ford i dziewczyna udali się z Brooklynu do Waszyngtonu, ukradli samochód, pojechali do Maine i wypłynęli łodzią na pełne morze. Wiedział tylko, że Ford miał twardy dysk wart dwieście tysięcy dolarów. I właściwie tylko tyle potrzebował wiedzieć.

66

Abbey wprowadziła Mareę II do niewielkiej przystani przy Owls Head Harbor. Jackie zeskokczyła i przycumowała łódź do pomostu. Przystań była opustoszała, stało tu zaledwie kilka łodzi, ze szczytu falochronu obserwowały ich mewy. Słońce właśnie zaszło, a niebo

zasnuły pierzaste pomarańczowe chmury, które ojciec Abbey nazywał grzywami klaczy i które zwiastowały załamanie pogody.

Wyman Ford podniósł swoją aktówkę i zszedł na skrzypiący pomost, wygładzając pomięty garnitur i przeczesując palcami włosy.

- Zapomnij, i tak wyglądasz, jakbyś był wczorajszy - powiedziała ze śmiechem Abbey - Zamierzasz ukraść kolejny samochód?

- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Którędy do miasta?

- Musisz iść wzdłuż drogi. Na pewno trafisz. I lepiej się pośpiesz, zbliża się sztorm.

- Skąd wiesz?

Abbey spojrzała w górę.

- Po tym, jak wygląda niebo.

- Zostań na wyspie, dopóki się nie odezwę. Jeżeli nie dam ci znać w ciągu pięciu dni, będzie to oznaczało, że mnie aresztowali. W tej sytuacji popłyn łodzią w kierunku lądu, do miejsca, gdzie będzie zasięg, i zadzwoń z komórki pod ten numer.

Ford podał Abbey świstek papieru.

- Ten człowiek ci pomoże. - Przerwał. - Postanowiłem upublicznić tę informację.

- Zrobi się niezły bajzel.

- To jedyny sposób. Świat musi się dowiedzieć.

Ford ujął Abbey czule za ramiona, spoglądając na nią z wysoka, jego kręcone włosy sterczały w nieładzie, jasnyniebieskie oczy przepęniała troska.

- Obiecuj mi, że zostanieie na wyspie i przyczaicie się. Nie kręćcie się łodzią po okolicy. Prowiantu wystarczy wam na tydzień.

- Damy radę - dodał po chwili, cały czas ściskając ją za ramiona. - Powodzenia Abbey. Byłaś świetną asystentką. Przepraszam, że cię w to wmieszałem.

Parsknęła:

- Nie ma sprawy, lubię kraść auta i uwielbiam, gdy do mnie strzelają.

Ford odwrócił się, a ona patrzyła, jak on schodzi po trapie, wchodzi na pomost, a stamtąd na drogę. Po chwili jego wysoka kanciasta sylwetka zniknęła za zakrętem i dziewczyna poczuła, że ogarnia ją dziwne uczucie osamotnienia.

- No proszę, nasz agent z CIA poszedł sobie - rzekła Jackie. - Już go przeleciałaś?

- Jackie, daj spokój. On jest dwa razy starszy ode mnie. A tobie tylko seks w głowie.

- Jak wszystkim, no nie?

Odbiły od pomostu i gdy opuściły zatokę, Jackie zapaliła skręta. Abbey kierowała łodzią powoli, napawając się ■wieczorem. Przed nimi zamajaczył masyw porośniętej drzewami Monroe Island. Przybierające na sile, fale rozbijały się o Cutters Nubble, rafę rozciągającą się za południowym krańcem wyspy; kadencja fal była regularna jak w zegarku. Abbey ominęła rafę szerokim łukiem, a gdy znalazły się w bezpiecznej odległości, ponad powierzchnią oceanu ukazała się żółtawa tarcza Księżyc w pełni. Stado nurzyków przemknęło nisko nad wodą jak wystrzelone pociski, podczas gdy rybołów wysoko w górze zawrócił ku swojemu gniazdu, ściskając w szponach miotającą się jeszcze rybę.

- Rany, popatrz tylko - rzuciła Jackie, spoglądając na Księżyc w pełni. - Wygląda tak, jakby można go było dotknąć.

Abbey pchnęła przepustnicę do przodu, zakręciła kołem i skierowała Mareę II w kierunku Muscle Ridge Islands, rzędu ciemnych wzniesień widocznych na horyzoncie cztery mile dalej. Wszystko

wydawało się takie spokojne, idealne, ponadczasowe... Aż trudno było uwierzyć, że gdzieś tam, na odległym Księżycu mogła znajdować się broń, która, kto wie, może nawet teraz celowała w kierunku Ziemi. I że w ułamku sekundy to wszystko mogło przestać istnieć.

Burr wyrzucił niedopałek w pozostawiany za rufą łodzi kilwater i ponownie uniósł do oczu lornetkę. Słońce już zaszło i większość łodzi rybackich zniknęła, ale od czasu do czasu dostrzegał to tu, to tam zbłąkany kuter obciążony pułapkami, wlokący się w stronę tego czy innego portu macierzystego. Niekiedy zdarzyło mu się ujrzeć również jacht motorowy lub żaglówkę, ale żaden nie był Marea II. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak rozległe było wybrzeże ani ile było tych małych wysepek. A tamci najprawdopodobniej zaszyli się gdzieś z dala od wścib-skich oczu. Po raz pierwszy zaczął się martwić, że mógł nie zrealizować zlecenia.

Zapalił kolejnego papierosa, już ósmego. Zazwyczaj wyznaczał sobie granicę siedmiu dziennie, ale to był dla niego wyjątkowo kiepski dzień.

Wszedł do otwartej sterówki i spojrzął na chartplotter.

- Gdzie teraz jesteśmy?
- Właśnie opuszczamy północny kraniec Zatoki Muscongus.
- Dokąd teraz?
- Po drugiej stronie kanału rozciąga się Zatoka Penobscot.

Burr chrząknął i zaciągnął się dymem.

- Już zmierzcha. Myślę, że powinniśmy znaleźć jakieś miejsce, by przycupnąć tam na noc.
- Nigdzie się nie zatrzymujemy. Będziemy szukać dalej. Mamy radar i GPS-a. Możemy pływać wśród tych wysepek całą noc, szukając łodzi w nietypowych miejscach.

Burr burknął:

- A niby jak mielibyśmy wypatrzeć ją w ciemnościach?
- Dziś jest pełnia. Przy świetle Księżyca na wodzie będzie jasno jak w dzień.

Burr uniósł wzrok.

- A co ze sztormem?
- Z tym problemem uporamy się, kiedy nadejdzie. To dobra łódź, można jej zaufać.
- Świetnie.

Podszedł do okrężnicy i dopalił papierosa. Robiło się ciemno, ale nic nie wskazywało na to, że nadchodził sztorm. Wyrzucił niedopałek za burtę. W oddali widział rozmyty kształt jeszcze jednej łodzi do połowu homarów przepływającej przez przeciwległy kraniec kanału. Wyłoniła się zza potężnej wyspy i kierowała się na pełne morze. Czym prędzej uniósł lornetkę do oczu. Było dość jasno, by mógł odczytać nazwę na rufie.

Marea II.

Z trudem pohamowując podniecenie, raz jeszcze uważnie przyjrzał się łodzi. Z ledwością dostrzegł dwie postacie w sterówce. Ford i dziewczyna. Jednak dopisywało mu szczęście. Łódź kierowała się w stronę skupiska wysepek na wschód od kanału.

Burr obmyślił już wcześniej dokładnie, co zrobi, gdy odnajdzie swoją ofiarę. Sięgnął do kabury i wyjął desert eaglea. Tłumik był niepotrzebny, bo znajdowali się co najmniej o milę od brzegu. I bardzo dobrze, bo był cholernie niewygodny. Burr podszedł z tyłu do Strawa, który właśnie uniósł do oczu lornetkę, by spojrzeć na łódź. Na chwilę wstrzymał oddech.

- Widzi pan tę łódź? - zawołał. - To Marea II! Płyną w stronę Muscle Ridge Islands!

Straw zakręcił kołem.

- Dobrze. Udało się. Pański plan się powiódł. Teraz możemy wezwać wsparcie i dorwać tego sukinsyna.

Sięgnął w stronę radia.

Burr delikatnie przytknął mu do potylicy lufę pistoletu.

- Rób dokładnie to, co powiem, Straw, albo cię zabiję.

68

Gdy Marea II wpłynęła między skupisko wysepek, Abbey zredukowała prędkość do czterech węzłów. Little Green leżała w samym centrum tego skupiska i można było do niej dotrzeć

tylko na dwa sposoby: od północnego zachodu i od wschodu. Oba przesmyki były wąskie, usiane podwodnymi skałami i rafami, podejście wymagało wyjątkowej ostrożności. Zapadał już zmierzch i na nocnym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

Mijane wysepki tonęły w ciemnościach i ciszy, Abbey, nie odrywając wzroku od ekranu chartplottera, kierowała łodzią przez kręte kanały, aż w zasięgu wzroku pojawiła się Little Green - długa wysepka porośnięta świerkami, z półksiężycowatą zatoczką pośrodku i łąką powyżej, a na jej drugim krańcu stała stara chata rybacka. Ostrożnie wprowadziła łódź do zatoczki, Jackie zaś rzuciła kotwicę, która, ciężka, z pluskiem wpadła do wody, a łańcuch z głośnym grzechotem prześlizgnął się przez kluzę. Kiedy kotwica spoczęła na dnie, Abbey wyłączyła silnik. W ciszy, jaka wtedy zapadła, usłyszała odległy odgłos innej łodzi, gdzieś między wysepkami na zachód od nich.

Wsiadły do szalupy i powiosłowały do brzegu. W chacie Jackie zapaliła światła, podczas gdy Abbey nałożyła szczapek do pieca.

- Hamburgery? - spytała Jackie, grzebiąc w chłodziarce.

- Brzmi kusząco.

Abbey rozpałała w piecu i wyregulowała szyber. Szczapy zajęły się ogniem. Podeszła do drzwi i zaczerpnęła potężny haust nocnego, ciężkiego, nieruchomego powietrza. Czuć było zapach mokrej trawy, dymu palonego w piecu drewna i morza. W cieśninie rozchodziło się echo przelewających się leniwie fal, a w oddali uporczywe pyrkotanie silnika łodzi.

Najwyraźniej nadpływała zza pobliskiej wyspy i poruszała się bardzo wolno.

Abbey odwróciła się w drzwiach i spokojnie odezwała się do Jackie, aby jej nie niepokoić:

- Chyba się przejdę.

- Tylko wracaj szybko, hamburgery są już prawie gotowe.

Zamiast przejść wzdłuż brzegu, Abbey weszła w spowity księżycowym blaskiem las i ruszyła w kierunku zachodniego krańca wyspy, skąd dobiegały odgłosy łodzi. Przystanęła na cyplu, ukryta wśród drzew, i spojrzała w stronę oceanu, skąd dochodził dźwięk silnika. Powietrze było parne. Nadchodził przyptyw, prądy wokół wyspy przybrały na sile od północnego wschodu. Zbliżał się sztorm, niebo zmieniło barwę, ale zmiana nie dosięgnęła jeszcze Księżyca, który boleśnie jasno świecił na nocnym niebie.

Odgłos zdawał się dochodzić zza najbliższej wyspy. Pewnie to tylko jacht pragnący gdzieś zakotwiczyć - rekreacyjne rejsy wzdłuż wybrzeża były latem bardzo popularne. Złajała się w myślach za swoją paranoję.

Ciemny kształt łodzi, oddalonej o jakieś czterysta metrów, minął przesmyk między dwiema wysepkami. Nagle zimny dreszcz przebiegł jej po plecach; jacht płynął z wygaszonymi światłami. Zniknął za kolejną wyspą i po chwili dźwięk silnika umilkł.

Abbey nasłuchiwała z uwagą, ale zerwał się wiatr i szelest wśród drzew zagłuszył wszelkie cichsze odgłosy. Przycupnęła w ciemnościach, czekając. Spróbowała się uspokoić; była podminowana, bo Ford wyjechał. Przecież zabójca nie mógł dotrzeć za nimi do Maine, a co dopiero na Little Green. To pewnie jakiś żeglarz, który wypił o jedno martini za dużo i zapomniał o włączeniu światła. A może to przemytnicy narkotyków. Przemytnicy marihuany często wykorzystywali te zapomniane fragmenty wybrzeża, by sprowadzać tu z Kanady trawkę całymi skrzyniami.

Czekała i patrzyła.

I wtedy zobaczyła ciemny kształt łodzi wiosłowej, która wyłoniła się z mroku w krąg księżycowego blasku, przepływając wolno przez wąski kanał oddzielający drugą wysepkę od Little Green. Abbey za-

częła wychwytywać szczegóły: szalupę i wysokiego mężczyznę żwawo obracającego wiosłami, kierującego się w stronę ich wysepki w taki sposób, by nie można go było zobaczyć z chatki rybackiej. Łódka płynęła szybko wskutek przybierającego prądu przyptywu. Za kilka minut wyląduje na plaży, tuż poniżej kamiennego występu na skalnym cyplu.

Abbey wycofała się do lasu i podpełzła do miejsca, skąd mogła obserwować miejsce, w którym łódka mogła przybić do brzegu. Mężczyzna wiosłował rytmicznie; cichy plusk wiosel niosący się nad wodą docierał do jej uszu. Mężczyzna pozostawał ciemnym kształtem, skulonym wewnątrz łódeczki i regularnie pracującym wiosłami. Po kilku chwilach z głośnym chrzęstem łódka znalazła się na brzegu. Mężczyzna wyskoczył na zewnątrz, wyciągnął ją nieco wyżej na brzeg, po czym stał, rozglądając się uważnie wokoło; jego twarz tonęła wśród głębokich cieni.

Abbey przywarła do mchu i obserwowała. Mężczyzna wyjął coś spod marynarki i sprawdził. Dziewczyna dostrzegła metaliczny błysk i zorientowała się, że to pistolet. Mężczyzna włożył broń z powrotem do kabury i raz jeszcze rozejrzawszy się dokoła, zniknął w ciemnościach wśród drzew. Za chwilę powinien przejść obok niej.

Abbey wstała i puściła się sprintem przez las, uchylając się przed gałęziami i przeskakując nad zwalonymi pniami. Już po kilku minutach dotarła do chatki i wpadła jak burza do środka.

- Przez ciebie przypaliłam ham...

- Jackie. Musimy iść. Już.

- Ale hamburgery...

Abbey złapała przyjaciółkę za rękę i pociągnęła w stronę drzwi.

- Już. I ani mru-mru, na wyspie jest człowiek z bronią.

- O Boże.

Abbey wyciągnęła Jackie z chaty i rozejrzała się wokoło, przepatrując ciemność. Tamten najprawdopodobniej zmierzał prosto do chatki.

- Tędy - wyszeptała, ciągnąc Jackie przez łąkę do lasu rozciągającego się w kierunku południowego krańca wyspy.

Ale las był zbyt mały i już na pierwszy rzut oka nie mógł stanowić dobrej kryjówki. Z drugiej strony lepszy wybór stanowiły głazy i wielorybie grzbiety na południowym krańcu wyspy, zwłaszcza że podczas kończącego się właśnie odpływu odsłonięty został cały ciąg wielkich, pokrytych wodorostami głazów.

Abbey dała znak Jackie, aby pospieszyła za nią, i przedzierając się między drzewami, dotarli do kamiennego występu nad skałami. Księżyc wciąż wisiał nisko na niebie, wysokie świerki rzucały długie cienie na nieforemne głazy, zalewając wszystko ciemnością. Ześlizgnęły się po zboczu i dotarły do głazów; Abbey ruszyła w dół poniżej linii przyływu ku długiemu rzędowni skał wystających z wody.

- Nadchodzi przyływ - wyszeptała Jackie, pośliznąwszy się na wodorostach. - Utoniemy.

- To tylko na pewien czas.

Przy drugim końcu Abbey wypatrzyła dogodną kryjówkę za dwoma niemal pionowymi głazami pokrytymi glonami i oferującymi schronienie w wąskich niszach u ich podstawy.

Przyływ zbliżał się w szybkim tempie. •

- Właż tam.

- Zamoczymy się.

- I o to chodzi.

Jackie pochyliła głowę, by nie zahaczyć o zimne czarne wodorosty i wcisnęła się pod nawis skalny. Abbey zrobiła to samo, pociągając wodorosty tak, by przesłonić nimi zagłębienie w skale na tyle, na ile to było możliwe. Mogła dostrzec fragment skał aż do granicy świerków powyżej i oświetloną chatkę po drugiej stronie łąki pięćset metrów dalej. A nieopodal woda z pluskiem przelewała się wśród skał, oznajmiając początek przyływu.

- Kto to jest? - wyszeptała Jackie.

- Facet, który nas ściga. A teraz się zamknij.

Czekały. Abbey wydawało się, że minęła wieczność, zanim dostrzegła sylwetkę mężczyzny wyłaniającą się z lasu i wychodzącą na skapaną w księżycowym blasku łąkę. Z pistoletem w dłoni powoli obszedł

chatkę, zakradł się do okna i przylgnąwszy do ściany, zajrzał do środka. Patrzył przez chwilę, po czym podszedł do drzwi i otworzył je kopniakiem. Głośny trzask zburzył spokój nocy i poniósł się echem nad ciemną wodą.

Mężczyzna wszedł do chatki i po chwili z niej wyszedł, rozglądając się we wszystkie strony. W jego dłoni pojawiła się latarka i zaczął powoli krążyć po łące, oświetlając skraj lasu.

A przyływ zaczął się na dobre.

Postać zniknęła wśród drzew nad ich kryjówką, promień latarki omiatał pnie w tę i z powrotem.

Mężczyzna znów pojawił się na skraju lasu na szczycie kamiennego cypla ponad skałami. Schodząc po zboczu, stanął na wysokiej skale i świecił latarką wzdłuż brzegu; żółty promień omiatał głazy wokół nich, sięgając to tu, to tam. Abbey położyła rękę na ramieniu Jackie i poczuła drżenie.

Postać zaczęła iść w ich kierunku, luźne kamyki z grzechotem osypywały mu się spod nóg.

Mężczyzna znów poświecił ponad głazami, sondując prześwity między nimi. Tymczasem Abbey poczuła, że podnosząca się coraz wyżej woda obmywała już pokryte wodorostami skały u ich stóp. Jak szybko zwiększał się jej poziom? O ile dobrze pamiętała, dwa i pół centymetra co dwie minuty, a w czasie pełni jeszcze szybciej.

Gdy mężczyzna podchodził bliżej, Abbey cofnęła głowę, ukrywając ją między wodorostami. Woda, szumiąc, obmywała jej stopy, fale łagodnie pojawiały się i odpływały. Kiedy mężczyzna podszedł całkiem blisko, usłyszała jego ciężki oddech.

I znów, tym razem celowo, żółty promień omiół głazy. Minał je z przeraźliwą powolnością.

Raz. Drugi. Wreszcie rozległo się stęknienie i mężczyzna zaczął się oddalać. Promień prześlizgnął się po skupisku skał na prawo od nich, a potem dalej wzdłuż brzegu.

Woda sięgała im już do kostek, kołyszając wodorostami, i wypływała z sykiem. Ciemność powróciła. Abbey odczekała minutę, dwie, po czym zaryzykowała i wyrzała na zewnątrz.

Widziała, jak mężczyzna

wolno i ostrożnie wędruje wzdłuż brzegu o sto metrów od nich, przyświecając sobie latarką i zmierzając w stronę szalupy

- Musimy wiać z wyspy - szepnęła Abbey.
- A niby jak mamy to zrobić, skoro nasza szalupa została na plaży.
- Weźmiemy jego łódkę.

Jackie drżała. Abbey uspokajającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

- Zostań tu. W miarę jak przyływ będzie się zwiększał, wejdź na wyższy kamień. Ja się wymknę, ukradnę jego łódkę, popłynę po naszą łódź i wrócę po ciebie. Podpłynę tak blisko brzegu jak się da. Kiedy usłyszysz, że się zbliżam, zacznij płynąć. Prąd będzie ci sprzyjał.

- Dobra - wyszeptała Jackie.

Wtem Abbey ujrzała błysk na niebie, nagle dziwnie pojaśniało. Przez chwilę sądziła, że zabójca je odnalazł i skierował na nie promień latarki.

- Cholera! - rzuciła Jackie, instynktownie kuląc się i osłaniając głowę.

Po chwili Abbey wystawiła głowę z kryjówki i spojrzała na Księżyc.

- O Boże, Jackie!

Olbrzymia kula ognia rozkwitła na powierzchni Księżycy po jednej stronie, podczas gdy po drugiej stronie pojawiła się struga świecącego rozproszonego pyłu powiększająca się jak w zwolnionym tempie i nabierająca jasności tak jaskrawej, że Abbey musiała osłonić oczy od blasku. To było dziwne, niesamowite, przeraźliwie piękne zjawisko, jakby Księżyc eksplodował, uwalniając ze swojego wnętrza strugę skrzących się klejnotów gorejących wewnętrznym ogniem.

Tymczasem kula ognia po drugiej stronie Księżyca także powiększyła rozmiary i rozszerzyła paletę barw od zimnej, jasnoniebieskiej pośrodku, po zielonkawożółtą, przechodzącą w pomarańczową i czerwoną na obrzeżach jak klin wzbijający się z powierzchni Księżyca.

- Co się, kurwa, dzieje? - spytała Jackie, wybałuszając oczy.

Przybierający na sile blask skąpał wysepki, ciemne świerki, skały i morze barwną mozaiką żółtawozielonego sztucznego światła. Ho-

ryzont wydzwignął się w górę, odznaczając się linią ostrą jak ślad po brzytwie, niebo powyżej miało barwę ciemnego fioletu, a ocean poniżej był jasnozielony, upstrzony czerwono-czarnymi plamami.

Abbey ponownie przeniosła wzrok w stronę Księżyca, mrużąc oczy od oślepiającego blasku; teraz wokół jego tarczy pojawiło się coś w rodzaju aureoli, jakby Księżyc został trafiony albo uderzony i wyrzucał w przestrzeń niesamowite ilości pyłu. Ponad oceanem zapadła grobowa cisza; całe to widowisko rozgrywało się bezgłośnie, przez co wydawało się zupełnie surrealistyczne.

- Abbey! - rozległ się cichy, przepełniony paniką głos Jackie. - Co to ma być? Co się dzieje?

- Wydaje mi się - odparła powoli Abbey - że to kosmiczne działo na Deimosie właśnie oddało strzał do Księżyca i tym razem użyło pocisku większego kalibru.

69

Harry Burr szedł wzdłuż kamienistej plaży, trzymając w gotowości swój półautomatyczny pistolet, omiatając las i skały promieniem latarki i wypatrując umykających postaci, twarzy ukrytej wśród drzew, czegokolwiek. -Wiedział, że były na wyspie - ich szalupa wciąż znajdowała się na plaży, a na piecu przypalały się hamburgery. Był również pewien, że Ford nie miał broni, bo w przeciwnym razie użyłby jej w barze lub na parkingu. Tak więc tylko on miał tu broń.

Zaklął pod nosem. W jakiś sposób musieli się zorientować, że po nich przybył. Pewnie usłyszeli odgłos silnika łodzi, który nocą niósł się nad wodą na dużą odległość. Ale tak czy owak to on wciąż rozdawał karty - przygwoździł ich na niedużej wysepce, skąd mogli uciec jedynie szalupą. O dopłynięciu do łodzi nie było mowy, przyływ trwał na całego, a u brzegów wyspy prędkość prądów wynosiła kilka węzłów. Zmyłoby ich, zanim zdążyliby dotrzeć do łodzi.

Na wyspie były dwie szalupy - jego i ich.

Nietrudno było się domyślić, co zrobią - spróbują dostać się do któregoś z nich. Jego pierwszym zadaniem było więc zajęcie się łódkami. Zszedł w dół plaży do miejsca, gdzie znajdowała się ich szalupa. Już miał zepchnąć ją do wody na pastwę prądów, uznał jednak, że byłoby to zbyt ryzykowne i gdyby coś poszło nie tak, zostałby pozbawiony wyjścia awaryjnego. Zamiast tego, chwytając za cumę, wciągnął łódkę między drzewa na skraju lasu, gdzie była o wiele mniej widoczna. Następnie wyjął wiosła i ukrył każde osobno w oddalonych od siebie miejscach, wśród krzewów malin. Znalezienie ich zajmie im parę godzin.

Teraz pora zająć się jego szalupą.

Nagły błysk ponad nim sprawił, że Burr pochylił się i obrócił z pistoletem gotowym do strzału, zaraz jednak uświadomił sobie, że błysk dochodził z góry. Od strony Księżyca w pełni.

Spojrzał na lśniącą tarczę i jasną strugę, która oderwała się od jej powierzchni, rozciągając się na nocnym niebie. Kolejny jaskrawy punkt pojawił się po przeciwnej stronie tarczy. Co to, u licha, miało znaczyć?

Nagle dziwna chmura przesłoniła Księżyc, tworząc osobliwe złudzenie optyczne.

Poruszając się szybko i bezgłośnie między drzewami, Burr dotarł na północny kraniec wyspy, gdzie zostawił swoją szalupę. Była tam. Stała spokojnie skąpana w księżycowym blasku. Już

miał wciągnąć ją wyżej i ukryć, tak jak to zrobił z pierwszą, gdy nagle coś mu przyszło do głowy: zostawi ją na widoku jako przynętę i zaczeka, aż po nią przyjdą. Gdy zorientują się, że ich szalupa zniknęła, zaczną szukać drugiej. Czy mieli inny wybór? Nie mogli ukrywać się tu wiecznie.

Znalazł sobie dogodną kryjówkę za skałami na brzegu i czekał.

Niebo stopniowo pojaśniało i spojrzał w górę, zastanawiając się, co, do cholery, działa się z Księżycem. Dziwna chmura powiększała się i właściwie wcale nie wyglądała jak chmura. Burr odwrócił się, koncentrując się na obecnym problemie - czekał, aż nadejdą. Już po kilku minutach spostrzegł cień przemykający wzdłuż skraju lasu; uniósł de-sert eaglea, uruchomił celownik laserowy, ale po chwili zmienił zdanie i wyłączył go. Nie było sensu niepokoić ich tańczącą czerwoną plamką. Podejdą dostatecznie blisko, by nie musiał korzystać z celownika. Ale wypatrzył tylko jedną postać. Dziewczynę. Forda z nią nie było.

70

Jadąc międzymiastową 295 na południe, w pobliżu Freeport Ford zwrócił uwagę na dziwne światło na niebie. Wyrzwał przez przednią szybę na Księżyc i przepełniony nagłym niepokojem zjechał z autostrady, aby lepiej się przyjrzeć. Wyszedł w letnią noc i patrzył ze zgrozą na świetlistą strugę unoszącą się ponad powierzchnią Księżyca. Kolejne auta zaczęły zjeżdżać z autostrady, ludzie wysiadali, by popatrzeć i zrobić zdjęcia.

Długa struga świetlistej substancji, która zdawała się eksplodować z powierzchni Księżyca, rozciągała się po nocnym niebie, lśniąc osłepiającą żółcią. A po przeciwnej stronie pojawił się podobny ślad, choć mniej wyraźny i bardziej skumulowany jak po potężnym uderzeniu. Wyglądało .to tak, jakby Księżyc został trafiony przez coś, co weszło w niego z prawej i wyszło z lewej strony.

Kolejny strzał z maszyny na Deimosie?

To nie ulegało wątpliwości. Ale tym razem musiano użyć potężniejszego pocisku z materii dziwnej, na tyle dużego, by stworzyć oszałamiające widowisko, zauważalne nawet z Ziemi. Może nawet chodziło z założenia o wywołanie tak spektakularnego efektu. Poprzedni wystrzał przeszedł praktycznie bez echa. Ford patrzył, a tymczasem struga szczątków wciąż się wydłużała, stopniowo się zakrzywiając i tworząc szeroki łuk wskutek księżycowej siły ciężenia.

To było uderzające potwierdzenie, że Abbey miała rację, że obcy artefakt na Deimosie był bronią i oddał kolejny strzał, tym razem do Księżyca. Ale dlaczego? Czy miała to być demonstracja siły?

Stanie przy drodze i gapienie się nie miało sensu. Musiał złapać samolot. Wrócił do samochodu i włączył radio, wybierając lokalną stację. Z głośnika popłynęły dźwięki Passacaglii i fugi c-moll Bacha, zaraz

jednak audycja została przerwana i spiker nadał komunikat specjalny o „nadzwyczajnym zjawisku, jakie miało miejsce na Księżycu”.

„- Dodzwoniliśmy się do Elaine Dahlquist - ciągnął komentator -astronoma w Centrum Astrofizyki Harvard-Smithsonian. Pani doktor, czy może nam pani wyjaśnić, czego właśnie jesteśmy świadkami?

- Cóż, Joe, mogę jedynie podejrzewać, że Księżyc został trafiony przez wielką asteroidę, a może nawet dwie jej części naraz, które uderzyły równocześnie po obu stronach.

- Dlaczego nikt nie widział, jak nadlatywała?

- Dobre pytanie. Najwyraźniej mamy tu do czynienia z asteroidą, która umknęła uwagi Spacewatch i innych programów wyszukujących asteroidy zbliżające się do Ziemi. W Harvard-Smithsonian skierowaliśmy teleskopy w stronę Księżyca i o ile mi wiadomo, obserwatorium Keck oraz teleskop Hubble a też mu się przyglądają, podobnie jak tysiące innych teleskopów zarówno amatorskich, jak i profesjonalnych.

- Czy nam, tu na Ziemi, może coś grozić? - spytał komentator.

- Mamy doniesienie o impulsie elektromagnetycznym oraz deszczu naładowanych cząstek wywołujących w wielu miejscach kłopoty z zasilaniem i problemy z siecią komputerową. Ale poza tym sądzę, że jesteśmy tu, na Ziemi, bezpieczni. Od Księżyca dzieli nas odległość prawie trzydziestu dziewięciu tysięcy kilometrów".

Ford wyłączył radio. Gdy ruszył dalej, blask na niebie wciąż przybierał na sile, powoli, lecz nieustannie, w miarę jak chmura szczątków rozciągała się coraz dalej. Miała żółtawy odcień przechodzący na obrzeżach w czerwony; rozpalone wskutek uderzenia szczątki powoli stygły. Jednak widowisko już wkrótce miało dobiegnąć końca, gęsta pokrywa chmur, która wcześniej widniała na niebie, ustąpiła miejsca innym, ciemniejszym, burzowym, czającym się na horyzoncie i zbliżającym się nieubłaganie. We wnętrzu czarnych chmur raz po raz błyskały pioruny.

Ford spojrzął na zegarek; znajdował się o pół godziny drogi od lotniska w Portland; złapie nocny lot do Waszyngtonu i dotrze na miejsce o drugiej, może trzeciej w nocy. Najpierw jednak musiał przygotować drobny przekręt.

71

Świt nigdy nie nastaje w kasynach Las Vegas ani w sali posiedzeń Białego Domu, pomyślał Lockwood, podążając za oficerem dyżurnym do pozbawionej okien, ciasnej jak kokon sali posiedzeń, gdzie zebrało się już sporo ludzi. Rozpoznał przypominającego łasicę doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, zajmującego miejsce u szczytu stołu konferencyjnego, Clifforda Manfreda, którego włoski garnitur i krawat od Thomasa Pinka były nieco zbyt ekstrawaganckie jak na standardy Waszyngtonu. Obok niego siedział dyrektor centrali wywiadu, siwy mężczyzna w szarym garniturze, o czujnych szarych oczach, kilku niepozornych analityków wywiadu i specjalista w dziedzinie łączności. Wielki płaski ekran wideo na drugim końcu sali podzielony był na mniejsze, na jednym z nich było widać nieustannie obraz Księżyca -teraz z dwiema strugami szczątków unoszących się po obu stronach jego tarczy, na innych zaś prezentowano wyciszone audycje informacyjne z USA i zagranicy. Z innych ekranów rozmieszczonych w całej sali patrzyły twarze ludzi, którzy mieli brać udział w tej wideokonferencji, był wśród nich przewodniczący połączonych sztabów, niski, konkretny mężczyzna o śnieżnobiałych włosach, w admirałskim mundurze.

Lockwood usiadł w jednym z olbrzymich czarnych skórzanych foteli. Wokół niego rozległy się ciche głosy i brzęk łyżeczek uderzających o ścianki kubków, gdy podano kawę. Wszyscy oczekiwali na przybycie prezydenta.

Kilka minut później w pokoju niemal jak za podszeptem intuicji zrobiło się cicho i otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich oficer dyżurny, a za nim naczelny szef sztabu i sam prezydent ubrany w nienaganny granatowy garnitur. Wysoki, smukły, o niegdyś czarnych włosach, teraz przyprószonej siwizną, miał nadal bystre oczy, które lustrowały wszystko, jego dużym uszom nie umknął najcichszy szept, były niczym najczulszy radar. Spokojna postawa prezydenta podziałała na wszystkich jak oliwa rozlana na wzburzone fale, rozpraszając atmosferę napięcia. Wszyscy wstali z miejsc, lecz on machnął ręką.

- Siedźcie, proszę, siedźcie.

Oni jednak i tak się podnieśli, by po chwili usiąść, ale dopiero gdy prezydent zajął swoje miejsce, nie u szczytu stołu, ale w połowie jego długości, na jednym z wolnych foteli. Odwrócił się do Lockwooda.

- Stan, w kraju narasta panika. Wszyscy szanujący się astronomowie w tym kraju usiłują zabrać głos w tej sprawie, ale każdy mówi co innego. Zaczynaj więc od początku i powiedz nam, co się właściwie dzieje. Miej jednak na uwadze, że niektórzy z nas, jeżeli chodzi o przedmioty ścisłe, byli i są oporni w przyswajaniu sobie wiedzy. Czy to tylko zjawisko optyczne, czy powinniśmy się zacząć martwić?

Lockwood wstał, trzymając w dłoni cienką szarą kopertę.

- Panie prezydencie, z żalem muszę powiedzieć, że sprawa jest poważniejsza, niż ktokolwiek z tu obecnych mógłby przypuszczać.

Cisza. Wszyscy skierowali wzrok na niego.

- Na początek krótkie wprowadzenie. Czternastego kwietnia nad wybrzeżem Maine przeleciał meteor. Dokładnie w tym samym czasie nasz ogólnoswiatowy system czujników sejsmicznych, przeznaczony do wykrywania podziemnych prób z bronią atomową, zarejestrował zapis odpowiadający wybuchowi w odległych górach na pograniczu Tajlandii i Kambodży. Zlokalizowaliśmy coś, co wydawało się kraterem uderzeniowym, i wysłaliśmy naszego człowieka, aby to sprawdził. Okazało się jednak, że nie był to krater, ale otwór wylotowy. Później nasz człowiek odkrył otwór wlotowy - na jednej z wysepek u wybrzeży Maine.

- Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że coś przeszło przez Ziemię na wylot?

- Zgadza się.

- Kim jest człowiek, którego tam wysłałeś?

v - To były agent CIA, Wyman Ford. Próbuje go właśnie odnaleźć.

- Mów dalej.

- Ustaliliśmy, że to, co przeszło na wylot przez Ziemię, było najprawdopodobniej małą cząstką materii dziwnej, tak zwanym dziwa-dełkiem. Ta niespotykana odmiana materii charakteryzuje się nadzwyczajną gęstością. Cała Ziemia, gdyby była z niej zbudowana, miałaby wielkość pomarańczy. Ma ona również bardzo niepokojącą właściwość - przekształca normalną materię wskutek kontaktu w materię dziwną.

- Dlaczego więc Ziemia nadal istnieje?

- To była bardzo mała cząstka, zapewne niewiele większa od atomu, i leciała z dużą prędkością. Przebiła się przez Ziemię i poleciała dalej. Gdyby poruszała się wolniej i ugrzęzła gdzieś wewnątrz Ziemi, już byłoby po nas.

- Mój Boże.

- To dopiero początek. Przeprowadziliśmy ekstrapolację orbity i okazało się, że źródło znajduje się na Marsie.

- Na Marsie?

- Nie wiemy jeszcze, na czym polega ten związek z Marsem i czy faktycznie istnieje. Wojsko właśnie przewozi tu ekipę naukowców z Instytutu Badań nad Rozwojem Napędów, zajmujących się projektem marsjańskim, oraz dyrektora NASA.

- Świetnie.

- A teraz zła wiadomość, panie prezydencie. Wygląda na to, że to, co się stało z Księżycem, to identyczny incydent z tym, który wydarzył się na Ziemi w kwietniu, aczkolwiek w grę wchodził tym razem większy fragment materii dziwnej. Wygląda na to, że przebił on Księżyc na wylot, wywołując spektakularne widowisko, jakie miał pan możliwość zaobserwować na ekranie.

- Czy to coś przelatuje w przestrzeni wokół nas? Czy Ziemia znalazła się na drodze tego czegoś?

- Nie sądzę. Pewne oznaki wskazują, że atak na Księżyc mógł zostać przeprowadzony ... celowo.

- Celowo? Chcesz powiedzieć, że jakiś kraj wystrzelił pocisk z tą materią?

- Fizycy zapewnili mnie, że żaden kraj nie dysponuje technologią wytwarzania materii dziwnej.

- Co zatem masz na myśli, mówiąc o celowym ataku?

Prezydent podniósł się z fotela, jego legendarny spokój nagle prysnął.

- Chodzi o ten strzał w powierzchnię Księżyca...

Przerwał i wziął głęboki oddech.

- Ten strzał unicestwił Bazę Spokoju. To było bezpośrednie trafienie. Baza Spokoju to miejsce, gdzie ludzie po raz pierwszy postawili stopę na powierzchni Księżyca. Ma to olbrzymie znaczenie dla całej ludzkości.

- Mój Boże. Chcesz powiedzieć, że to jakaś forma ataku?

- Tak właśnie przypuszczam.

- Ale kto za tym stoi? Powiedziałeś, że nikt na Ziemi nie dysponuje technologią wytworzenia tej materii dziwnej!

- Bo to nie jest nikt z Ziemi, panie prezydencie.

Zapadła długa, niezwykła cisza. Nikt się nie odezwał. W końcu prezydent rzekł półgłosem:

- Sugerujesz, że stoją za tym kosmici?

- Nie użyłbym takiego określenia, panie prezydencie. Powiedziałbym raczej, że wszystko wskazuje na to, iż był to celowy strzał oddany przez jakąś istotę nie z tego świata. Może to być również zbieg okoliczności, choć szczerze w to powątpiewam.

Prezydent przesunął dłonią po czubku głowy, opuścił rękę, postukał palcem w blat stołu, po czym uniósł wzrok.

- Stan, chcę, abyście wspólnie z generałem Mickelsonem powołali sztab kryzysowy. W jego skład wejdzie kilku twoich najbardziej zaufanych współpracowników z Biura do spraw Nauki i Polityki Technologicznej, a także naukowcy z IBRN, przewodniczący połączonych sztabów, szef NASA oraz dyrektor centrali wywiadu i szef obrony narodowej. Zebranie ma się rozpocząć natychmiast. Chcę usłyszeć, jakie są zalecenia: plan, strategia, jak mam się uporać z tą sytuacją -i to najpóźniej do jutra, do siódmej rano. Nie zapomnijcie uwzględnić rozwiązań militarnych, strategii dyplomatycznej, a przede wszystkim sposobów na pozyskanie jak najwięcej nowych informacji. Masz siedem godzin.

Prezydent odwrócił się, by wyjść z sali, lecz nagle się zatrzymał.

- I chcę, aby ten człowiek, Wyman Ford, odnalazł się i dołączył do twojej grupy.

72

Dziewczyna stąpała ostrożnie wśród skał, trzymając się głębokich cieni i przekradając się cichcem w stronę szalupy. Minęła Burra o niespełna sześć metrów. Postanowił, że jej nie zabije, ale raczej wykorzysta, by dopaść jej kompana. Drażniło go coraz silniejsze światło na niebie, ale był tak dobrze ukryty, że nawet za dnia by go nie spostrzegła.

Gdy znalazła się w jego zasięgu, wyszedł z ciemności z pistoletem w dłoni.

- Nie ruszaj się.

Krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Burr strzelił ponad jej głową, ryk wielkiego pistoletu zabrzmiał jak wystrzał z armaty.

- Stul pysk i nie ruszaj się!

Uspokoiła się bardzo szybko i stała przed nim rozdygotana.

: - Gdzie Ford?

Nie odpowiedziała.

Sięgnął i lewą ręką złapał ją za szyję, po czym wbił jej w ucho lufę pistoletu.

- Odpowiedz na moje pytanie?

Zaczęła się krztusić, przełknęła ślinę.

- N..r nie wiem.

- Jest na wyspie?

i - Ee, tak.

I - Gdzie? Co robi?

Burr szarpnął ją za włosy i przeciągnął lufą po jej policzku tak mocno, że muszka broni rozcięła jej skórę.

- Odpowiadaj.

|- On... Powiedział, że idzie po ciebie.

- Kiedy? Gdzie?

- Kiedy przybiłeś do brzegu. Powiedział, że idzie, by cię dopaść.
- Jest uzbrojony?
- Ma nóż...

Jezu. Ford prawdopodobnie musiał ich teraz obserwować. Wpijając lufę pistoletu w policzek Abbey, przyciągnął ją do siebie. Niech to szlag, zrobiło się za jasno. Uniósł broń i wystrzelił w nocne niebo. Odgłos wystrzału poniósł się echem ponad wyspą.

- Ford! - zawołał. - Wiem, że tam jesteś. Liczę do dziesięciu i jeżeli nie pojawisz się przede mną z rękami w górze, wpakuję jej kulę w łeb. Słyszysz?

Znow oddał strzał w powietrze i przytknął rozgrzaną lufę do policzka Abbey.

- Słyszysz, Ford? Jeden... dwa... trzy...
- Może cię nie słyszy - zawołała Abbey. - Jest po drugiej stronie wyspy.
- cztery... pięć... sześć...
- Zaczekaj! Skłamałam! Nie ma go na wyspie!
- siedem... osiem... dziewięć...!
- Posłuchaj! Nie ma go na wyspie! Nie!
- Dziesięć!

Długa cisza, po czym Burr opuścił broń.

- Chyba faktycznie go nie ma.

Puścił ją, a gdy zatoczyła się w tył, uderzył ją w twarz, aż przewróciła się na ziemię.

- To za to, że skłamałaś.

Schwycił ją i podźwignął brutalnie.

- Dokąd się udał?

Zdławiła szloch.

- Odwiozłam go na ląd. On... wrócił do Waszyngtonu.
- Gdzie konkretnie do Waszyngtonu?
- Nie wiem.
- Z kim tu jesteś? Widziałem na łodzi kogoś jeszcze.

Przełknęła ślinę. Dźgnął ją mocniej lufą broni.

- Odpowiadaj.
- Nie ma więcej nikogo. Jestem tu sama.
- Kłamiesz.
- Musiałeś widzieć mój sztormiak wiszący przy oknie na kołku w sterówce. Ma duży kaptur przeciwdeszczowy...

- Zamknij się.

Myślał intensywnie. Musiała mówić prawdę, nikt nie byłby w stanie przetrwać odliczania, aby nie wyjawić mu wszystkiego. Poza tym, szczerze mówiąc, nie widział tej drugiej postaci zbyt dobrze, było ciemno, a od drugiej łodzi dzieliło go pół mili morskiej.

- Gdzie twardey dysk?

- Zabrał go ze sobą.

Skurwiel. Burr poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Zlecenie diabli wzięli. Bez twardego dysku nie dostanie ani grosza. Może jeszcze był jakiś sposób, aby dorwać tego Forda. Najpierw jednak musiał tu posprzątać - zabić dziewczynę, wrócić na łódź, załatwić ojca i wrócić na stały ląd. Potem ruszy w pościg za Fordem, do Waszyngtonu. Nie było sensu zostawać tu dłużej, strata czasu. Powalił Abbey na ziemię i żeby się samemu nie upaprać, cofnął się o krok.

Leżała wśród kamieni, próbując się podnieść.

- Rusz się, a zginiesz.

Znieruchomiała, a on stanął na szeroko rozstawionych nogach i ujmując kolbę desert eaglea oburącz, złożył się do strzału. Wymierzył w głowę Abbey, po czym nacisnął spust.

Ford odnalazł to, czego szukał, w Topsham w Maine - otwarte do późna nieduże centrum handlowo-usługowe. Podjechał pod sklep ze sprzętem elektronicznym i kupił nieopisany twardego dysku. W sąsiednim Kinkos zrobił wydruki zdjęć z pliku „Machina z Deimosy”, usunąwszy starannie wszelkie odniesienia do samego Deimosy, i włożył je do aktówki. Wypalił cztery płyty DVD z tymi samymi zdjęciami. W sklepie z artykułami różnymi nabył zmywacz do paznokci, biały lakier, rolkę taśmy maskującej, czarny marker, pudełko, brązowy papier pakowy i folię bąbelkową.

Wróciwszy do samochodu, zmywaczem do paznokci usunął logo identyfikacyjne i numery seryjne z nowego twardego dysku. Zakleił prostokątny fragment dysku taśmą maskującą i pomalował go białym lakierem, a następnie przyłożył do ogrzewania samochodowego włączonego na pełny regulator.

Kiedy dysk schnął, Ford przygotował materiał do wysyłki. Napisał krótki liścik:

Hasło to FuckIBRNI. Polecam przejrzeć wszystkie zdjęcia z pliku „Machina z Deimosy” i serię obrazów z radaru R-2756-2760. TO PRAWDZIWE ZDJĘCIA BEZ ŻADNYCH ZMIAN. Ukazują obcą broń znajdującą się na dnie krateru Voltaire na Deimosie, jednym z księżyców Marsa. Ta broń oddała 14 kwietnia strzał w kierunku Ziemi, a dziś ostrzelała Księżyc - rezultaty były widoczne gołym okiem. To największa sensacja naukowa w dziejach. Wystarczy rzucić okiem na te zdjęcia i wszystko stanie się jasne. Opublikujcie to natychmiast, w przeciwnym razie dostaniecie zakaz, gdyż są to informacje ściśle tajne.

Włożył kartkę do koperty, którą przykleił do oryginalnego twardego dysku, owijając go warstwami folii bąbelkowej i brązowego papieru. Na opakowaniu napisał:

WAŻNE! WŁASNOŚĆ MARTINA KOŁODYEGO, REDAKTORA DZIAŁU NAUKOWEGO .WASHINGTON POST". W PRZYPADKU ZNALEZIENIA UPRASZA SIĘ O NATYCHMIASTOWY ZWROT ZA SOWITĄ NAGRODĄ.

Zamyślił się przez chwilę, po czym dopisał: **W WYSOKOŚCI 500 DOLARÓW, PŁATNE GOTÓWKĄ.**

Następnie wypełnił druk przesyłki pocztowej FedEksu. Wpisał jako odbiorcę wymyślone naprędce imię i nazwisko oraz fikcyjny adres. W tabelce z danymi nadawcy wpisał fałszywe nazwisko, ale prawdziwy adres dobrze znanego hotelu w Waszyngtonie znajdującego się niedaleko siedziby gazety.

Wykładając cztery płyty DVD do kopert, zaadresował je do redaktora działu naukowego „New York Timesa”, redaktora naczelnego „Scientific American”, prezesa Narodowego Stowarzyszenia Rozwoju Nauk i prezesa Narodowej Akademii Nauk. Do każdej przesyłki dołączył krótkie wyjaśnienie i zaopatrzył je w niezbędne znaczki i naklejkę, że zawierają nośniki. Następnie wrzucił przesyłki do skrzynki pocztowej. Oryginalny dysk powinien dotrzeć do Kolodyego w trzy do czterech dni: jeden dzień, aby FedEx zorientował się, że adres był niewłaściwy, jeden lub dwa dni, by przesyłka wróciła do hotelu, i jeden, by hotel przekazał paczkę do redakcji gazety. Była to dość pokrętna trasa, ale dzięki temu trudno byłoby namierzyć i przechwycić przesyłkę, a nazwiska Kolody ego nie będzie w żadnej z baz danych FedEksu. Dysk będzie dowodem, a DVD wersjami pomocniczymi stanowiącymi formę zabezpieczenia, gdyby oryginalny dysk został przechwycony przez federalnych. Przesyłki pocztowe zawierające nośniki nie były możliwe do wyśledzenia, a dotarcie do punktu docelowego zabierało im od trzech do czterech dni.

Wybrał pięćset dolarów z bankomatu, dobrze je zapakował i umieścił w jeszcze jednej kopercie FedEksu, adresując ją bezpośrednio do Kolody ego. Dołączył krótki liścik: **TO ZAPŁATA ZA TO, CO WKRÓTCE PAN OTRZYMA.**

To powinno zwrócić jego uwagę. Za cztery dni prawda zostanie ujawniona na pierwszej stronie „Washington Post” i cały świat w końcu się dowie, co się dzieje.

Oby tylko nie było za późno.

Po nadaniu kolejnej przesyłki wrócił do samochodu. Parking był skąpany w osobiwej żółtawozielonej poświacie Księżyca. Ford przystanął na chwilę, by obejrzeć rozgrywający się spektakl. Struga materii zaczęła właśnie wchodzić na orbitę wokół Księżyca, tworząc sierpowaty kształt. Cały Księżyc otoczyła teraz jasna, nieco rozrzedzona aureola. Kiedy tak patrzył, szybko płynące jedna za drugą ciemne chmury przesłoniły Księżyc i świat skrył się w ciemnościach. Powietrze było ciężkie. W oddali błyskawica przecięła niebo, a pół minuty później rozległ się zduszony grzmot. W powietrzu czuć było wilgoć i zapach ozonu. Nadciągała gwałtowna letnia burza.

Wróciwszy do auta, Ford spojrzął na nowy twardy dysk i stwierdził, że lakier już wysechł. Czarnym markerem wypisał drukowanymi literami te same informacje, które były na oryginalnym dysku:

#785A56H6T 160 Tb ŚCIŚLE TAJNE: NIE POWIELAĆ

Własność IBRN Kalifornijski Instytut Technologii Krajowy Wydział Aeronautyki i Badań Kosmicznych

Włożywszy dysk do aktówki, zawrócił ku autostradzie międzysta-nowej, ruszając w stronę lotniska i Waszyngtonu.

74

Abbey rozpaczliwie rzuciła się w bok i kopnęła mężczyznę w goleń, trafiając w nią piętą w chwili, gdy pistolet wypalił. Równocześnie ujrzała postać podkradającą się do napastnika z tyłu z kamieniem w ręku. Jackie. Kula zrykoszetowała od kamienia przy jej uchu, huk wystrzału rozdarł noc. Zanim ucichło echo wystrzału, dał się słyszeć dziki wrzask i Jackie zamachnęła się trzymanym w dłoni kamieniem, uderzając mężczyznę w skroń tuż po tym, jak wystrzelił po raz drugi. Bach! Zabójca zatoczył się do tyłu, przykładając jedną rękę do głowy i usiłując celować drugą. Bach! Pistolet ponownie wypalił, ale niecelnie, bo mężczyzna potknął się o kamień i runął między głązy.

Wrzeszcząc przeraźliwie, Jackie rzuciła się na niego, podczas gdy Abbey złapała pierwszy lepszy kamień i także skoczyła ku niemu. Facet był jednak szybki i silny, zrzucił z siebie Jackie i poderwał się na nogi, odwracając się do Jackie i unosząc broń. Zanim jednak zdołał złożyć się do strzału, Abbey zdzieliła go kamieniem w tył głowy, powalając na kolana. Wydał z siebie nieartykułowany ryk, wciąż ściskając w dłoni pistolet, i wyprostował się, znów usiłując wycelować w Jackie, która schyliła się po kolejny kamień. I - Jackie!

Abbey rzuciła się na nią i odciągnęła w bok, gdy pistolet huknął raz jeszcze, a pocisk odbił się od pobliskiej skały, obsypując je odłamkami kamieni. Wciąż na kolanach zabójca spróbował wymierzyć dokładniej, trzymając broń oburącz, choć krew zalewała mu twarz.

- Zabiję was! - ryknął, usiłując opanować drżenie rąk.

- W nogi! Do szalupy!

Zbiegły po kamienistej plaży ku zostawionej tam łodzi, za nimi zagrzmiał wystrzał, a nieopodal przed nimi na plaży wytrysnęła w górę fontanna piasku. Abbey schwyciła za cumę i pociągnęła łódź w dół

plaży, Jackie popchnęła szalupę z tyłu. Wbiegły do wody i wskoczyły do łodzi. Abbey złapała wiosła i zdecydowanymi ruchami umieściła w dulkach.

Na plaży pojawiła się postać zabójcy chwiejącego się jak pijak i unoszącego broń do strzału. Mała czerwona plamka rozbłysnęła i zaczęła tańczyć wokół nich.

- Schyl się!

Huk wystrzału poniósł się nad wodą i z okrzynicy posypały się kawałki strzaskanego drewna. Kolejna kula plusnęła w fale obok dziewcząt, zbryzgując je fontanną wody. Abbey pracowała wiosłami, najlepiej jak umiała. Szalupa pomknęła po gładkim jak stół oceanie. Nagle zapadła ciemność, gdy chmury przesłoniły dziwaczny Księżyc. Prąd działał na ich korzyść, znosząc je z dala od wyspy w kierunku zatoki, gdzie zacumowały łódź. Od brzegu posypały się kolejne strzały, donośny huk wielkiego pistoletu przetaczał się nad wodą jak grzmot. Kaskady wody

wytryskiwały w górę po obu stronach szalupy, a jedna z kul wyrwała spory fragment rufy. Abbey wiosłowała jednak nieprzerwanie. Jackie kulila się na dnie łódki, zakrywając głowę i klnąc głośno przy każdym strzale.

Marea II stała sto metrów od brzegu, a opływające wyspę prądy pchnęły szalupę w jej kierunku. Kolejne dwa strzały rozdarły ciszę; kule uderzały w wodę po obu stronach łódki. Abbey widziała, jak zabójca biegnie wzdłuż brzegu, starając się trzymać możliwie jak najbliżej nich. Wyciągnął się na skałach naprzeciwko zakotwiczonej łodzi, opierając lufę pistoletu przed sobą. Najwyraźniej otrząsnął się już po otrzymanych ciosach. Abbey podpłynęła do Marei II od sterburty, wykorzystując łódź, aby osłaniała je przed zabójcą i kolejnymi strzałami. Wgramoliła się na pokład i wyciągnęła rękę, by pomóc Jackie. Usłyszała całą serię strzałów i jedno z okien Marei II rozprysnęło się w drobny mak.

- On strzela do łodzi! - krzyknęła Jackie, wskakując z powrotem do szalupy.

Abbey złapała ją za kołnierz i wciągnęła przez okrężnicę na pokład. Kolejna szyba rozleciała się na kawałki, odłamki szkła posypały się po całym pokładzie.

- Nie podnoś się!

Abbey przepęzła wzdłuż kokpitu i wślizgnęła się do sterówki, Jackie za nią. Abbey wyjęła nóż ze skrzynki z narzędziami i wcisnęła go do rąk Jackie.

- Przygotuj się, żeby podbiec i przeciąć linę kotwiczną. Nie teraz, kiedy dam ci znak. Bach! Pocisk przebił forpik.

Abbey włączyła zasilanie i nie podnosząc się, wyciągnęła rękę, by przekręcić klucz na panelu silnika. Rozległ się ryk, kiedy silnik nagle ożył. Dzięki Bogu.

Bach! Bach!

Zwiększyła obroty i łódź zaczęła przesuwac się naprzód, napinając linę kotwiczną. Przez chwilę Abbey sądziła, że się nie uda, ale podkręciła przepustnicę i poczuła, jak kotwica się uwalnia. Łódź wyrwała do przodu, wlokąc kotwicę po dnie. Gdyby tylko zdołały wydostać się na głębiny, kotwicą mogłaby się zająć później.

Łódź przepłynęła jednak nie więcej niż sto metrów, gdy kotwica zahaczyła mocno o skałę i łódź zaczęła skręcać dziobem w bok, silnik zawył z wysiłku. Wciąż były w zasięgu ognia.

Bach! Bach! rozległy się strzały, a kule wybiły dwa otwory w górnej części kadłuba.

- Teraz! Odetnij kotwicę!

Jackie rzuciła się naprzód i osłonięta przez sterówkę przepęzła w kierunku dziobu, po czym przecięła linę kotwiczną. Łódź zakołysała się, wyrwała do przodu, a Abbey zwiększyła obroty silnika do maksimum, nie odrywając wzroku od ekranu chartplottera, aby bezpiecznie przeprowadzić łódź przez wąskie kanały otaczające wyspę. Po chwili znalazły się poza zasięgiem strzałów, a kilka minut później minęły kraniec Little Green, opłynęły go i krętymi kanałami skierowały się na pełne morze.

Abbey zdławiła przepustnicę i osunęła się ciężko na koło sterowe, bo nagle zakręciło się jej w głowie.

- O Boże - zajęczała Jackie, trzymając się za głowę. - O Boże.

Na twarzy miała krwawiące zadrapania od odłamków szkła.

- Podejdz tu - poprosiła Abbey i papierowym ręcznikiem otarła przyjaciółce krew z twarzy - Stój spokojnie przez chwilę, oddychaj głęboko.

Jackie spróbowała oddychać wolniej, by opanować przyspieszone bicie serca.

- Rany - powiedziała Abbey - aleś ty tam wtedy wrzasnęła. Nigdy więcej nie powiem, że jesteś cieniaską.

Dreszcze targające ciałem Jackie zaczęły słabnąć.

- Dostałam szau.

- I tak to właśnie wyglądało.

Abbey otarła twarz z krwi, po czym przyjrzała się sobie, mocno trzymając rękami ster. Przeniosła wzrok na chartplotter, zastanawiając się nad najdogodniejszym sposobem wejścia do portu.

- Popłyniemy prosto do Owls Head - powiedziała. - Wynośmy się stąd i wezwijmy gliny.

- Gliny możesz wezwać już teraz - stwierdziła Jackie, włączając radio.

Czekały, aż się rozgrzeje. Łódź skręciła na północ w głąb kanału i opłynawszy wysepkę dającą jej schronienie, wpłynęła na otwarte wody przy południowym krańcu Zatoki Penobscot. Silna fala zakołysała łodzią, a Abbey zdumiała się, ujrawszy zbliżające się od wschodu grzywacze zwiastujące silny sztorm. Było ciemno, spojrzała w górę i stwierdziła, że Księżyc już od jakiegoś czasu był niewidoczny. Wiatr wzrastał się regularnie, a na horyzoncie raz po raz pojawiały się błyskawice.

Sięgnęła po mikrofon, włączyła radiostację na kanał 16 i nadała komunikat alarmowy do straży przybrzeżnej.

75

Ze swojego stanowiska strzeleckiego za wielkim głazem Harry Burr patrzył, jak łódź znika między wysepkami. Wcisnął pistolet za pasek i oparł się o kamień; w głowie mu dudniło. Czuł krew wciąż sączącą mu się z ucha i rozciętej skóry na czaszce. Dotknął palcami powiększającego się guza przy skroni i ogarnął go niepokonany gniew, tak silny, że aż gwiazdki pojawiły mu się pod oczami. Te dwie suki wszystko spieprzyły, walnęły go w głowę i zabrały szalupę. Widziały go i mogły rozpoznać. Gwiazdki wciąż wirowały mu pod powiekami i poczuł niemal fizyczny nacisk gniewu na kości czoła od wewnątrz, któremu towarzyszył brzęczący dźwięk, jakby usiłował wydostać się stamtąd rój wściekłych os. Albo one, albo on. Jeżeli ich nie dopadnie i nie zabije, mógł pożegnać się z życiem. Tak po prostu. Jeżeli one dotrą do brzegu, on będzie skończony.

Wyjął pusty magazynek z pistoletu i załadował naboje, które trzymał luzem w kieszeni, po czym wbił magazynek do kolby. Miał niewiele czasu. Ale jeszcze nie wszystko stracone.

Wciąż miał ich szalupę i znacznie lepszą łódź, a także asa w rękawie - ojca.

Ignorując dudnienie pod czaszką, Burr zbiegł po skałkach i zniknął w lesie. Wywłókł szalupę z gęstwiny krzewów, odnalazł ukryte wiosła, wrzucił je do środka, po czym pociągnął łódkę w dół plaży. Spuściwszy ją na wodę, powiosłował ku miejscu, gdzie zostawił Hal-cyona. To nie była zbyt szybka łódź, ale i tak na pewno szybsza niż Marea II, która nie była jachtem, lecz łodzią rybacką.

Popłynął z prądem, zauważył, że zrobiło się ciemno i zerwał się silny wiatr. Nawet na osłoniętych przez wyspy wodach tworzyły się pióropusze piany, a wśród świerków słychać było zawodzenie wichury. Huczały coraz większe fale atakujące nieosłonięte niczym brzegi wysp o milę dalej.

Gdy Burr pokonał kanał i opłynął brzeg najbliższej wysepki, jego oczom ukazał się Halcyon. Zobaczył też ciemną postać rybaka; ręce mężczyzny były ciasno przykute do relingu rufowego.

Szalupa stuknęła o burtę łodzi i Burr wskoczył na pokład, po czym przycumował łódź wiosłową do knagi Halcyona.

- Spręż się, Straw mamy poważną sprawę do załatwienia.

- Tknij tylko moją córkę, to cię zabiję - wycodził tamten. - Znajdę cię...

-.Tak, tak...

Burr podszedł do radia i uruchomiwszy je, przełączył na kanał 16. Przede wszystkim musiał powstrzymać tę dziewczuchę przed skontaktowaniem się ze strażą przybrzeżną.

76

Kiedy Abbey zakończyła komunikat identyfikacyjny i zwolniła przycisk nadawania, usłyszała ochryply głos:

- Abbey? Mam cię.

To był głos zabójcy. Wrócił na łódź i monitorował kanał alarmowy

- Już po tobie, gnoju - zaczęła.

- No, no! Nie powinnaś używać wulgaryzmów na oficjalnej częstotliwości służb ratowniczych, gdzie może usłyszeć cię ojciec.

- Co?

- Twój ojciec. Jest tu, na łodzi, i świetnie się razem bawimy.

Przez chwilę Abbey nie mogła wydobyć z siebie słowa. Wiatr

wstrząsnął sterówką, a o szyby zabębniły nagle strugi deszczu. Błyskawica rozdarła niebo, a zaraz potem rozległ się grzmot.

- Powtarzam, twój ojciec, pan George Straw, jest tu ze mną na łodzi - Burr mówił łagodnym tonem. - Przełącz na kanał siedemdziesiąty drugi, to sobie pogawędzimy.

Kanał 72, o czym Abbey wiedziała, był niekomercyjną częstotliwością, z której rzadko ktokolwiek korzystał.

Zanim odpowiedziała, radio zaskrzeczało:

- Tu posterunek straży przybrzeżnej Rockland, zgłaszani się...

Abbey przerwała połączenie i przełączyła się na kanał 72.

- Dużo lepiej - powiedział głos. - Chcesz przywitać się z tatą?

Zrobiło się jej niedobrze. To musiało być kłamstwo. Usłyszała zduszony dźwięk,

przekleństwo, a potem odgłos zadawanego ciosu. „Odezwij się do niej”. Znów cios.

- Przestań! - krzyknęła.

- Abbey - rozległ się zniekształcony głos jej ojca. - Trzymaj się od nas z daleka. Uciekaj do portu i z miejsca udaj się na najbliższy posterunek policji...

Jeszcze jedno głuche uderzenie, a potem stęknienie.

- Przestań, ty sukinsynu!

Znów rozległ się głos mordercy:

- Wróć na szesnastkę i odwołaj straż przybrzeżną. Ale już! Albo tatuś posłuży za pokarm dla ryb.

Abbey zaszlochała, wróciła na kanał 16 i wyjaśniła straży przybrzeżnej, że to był fałszywy alarm. Dyspozytor polecił jej, aby z uwagi na sztorm czym prędzej zawróciła do najbliższego portu. Rozłączyła się i wróciła na kanał 72. Przeniosła wzrok na Jackie, ale ta patrzyła tylko w niemym osłupieniu. Łódź, kołysząc się, pokonała nadciągającą falę i koło sterowe obróciło się, a jednostka zaczęła schodzić z kursu.

Naraz Jackie schwyciła ster, zwiększyła nieco obroty silnika i łódź zmniejszyła zejście z kursu, pokonując kolejną falę pod kątem od ster-burty.

- Ja zajmę się sterem. Ty zajmij się tym gościem.

Abbey tępo pokiwała głową. Wiatr wzrastał się z każdą sekundą, chłostząc wzburzoną powierzchnię oceanu i pokrywając ją pióropuszcami piany.

Powróciwszy na kanał 72, zabójca zaśmiał się cicho, po czym rzekł:

- Halo? Jest tam kto?

- Proszę, nic nie rób...

Kolejne uderzenie i jęk.

- Jaka jest wasza pozycja?

- Zatoka Penobscot.

- Posłuchaj uważnie, plan jest następujący. Podasz mi wasze współrzędne GPS.

Podpłynę do was i odzyskasz ojca.

- Czego chcesz?

- Obiecacie mi, że o tym wszystkim zapomnicie. Jasne?

- Abbey! - rozległ się słaby krzyk. - Nie słuchaj...

Jeszcze jeden cios.

- Nie, błagam. Nie rób mu krzywdy!

- Abbey - usłyszała spokojny głos zabójcy - miej na uwadze, że rozmawiamy na otwartym kanale. Rozumiesz? Płynę do ciebie. Nie będzie żadnych problemów, jeżeli zachowasz się zgodnie z moimi poleceniami. Próbowała oddychać przez zaciśnięte gardło. Po chwili odparła:

- Rozumiem.

- Świetnie. A teraz podaj mi wasze współrzędne.

Jackie sięgnęła po mikrofon, wyłączając przycisk nadawania, aby Burr nie mógł ich usłyszeć.

- Wiesz, że on kłamie. Wszystkich nas zabije.

- Wiem - odrzekła zuchwale Abbey. - Daj mi się zastanowić. Morze stawało się coraz bardziej wzburzone. Kolejne fale spychały Mareę II, której silnik dawał z siebie wszystko, coraz bardziej w bok.

- Abbey? Jesteś tam? - znów odezwał się Burr. Abbey odebrała koleżance mikrofon.

r - Sprawdzam!

Odwróciła się do Jackie.

- Co robimy?

- Nie wiem.

- Halo? Może jak tatko znów dostanie po pysku, nauczysz się określać współrzędne?

- Jestem na południowy zachód od Devil's Limb - powiedziała Abbey.

- Devil's Limb? A co ty, u licha, robisz tak daleko?

- Płynęliśmy do Rockland - odparła, rozmyślając gorączkowo.

- Bzdura! Jeżeli tam jesteś, podaj mi współrzędne!

Abbey nacisnęła guzik chartplottera, ustalając kurs przebiegający obok Devil's Limb, i podała fałszywe współrzędne.

- Chryste - wycedził po chwili zabójca. - Nie popłynę tam. Musisz tu wrócić.

Abbey zaszlochała.

- Nie możemy. Już prawie nie mamy paliwa!

- Kłamliwa suka! Wracaj tu albo twój tatko pożegna się z życiem!

- Nie, błagam - wychrypiała Abbey. - Jedna z twoich kul przebiła przewód paliwowy. Płyniemy praktycznie na oparach.

- Nie wierzę!

- Dopiero to wykryłyśmy. Mówię prawdę.

Głuche łupnięcie.

- Słyszałaś? To za to, że znów skłamałaś!

Abbey przełknęła ślinę. Musiała zaryzykować.

- Błagam, uwierz mi! - powiedziała, próbując opanować drżenie głosu. - Jak sądzisz, dlaczego próbowałam wezwać straż przybrzeżną?

- Pieprzyć to, nie zamierzam wypływać łajbą na pełne morze. Podmuch wiatru niosący za sobą strugi deszczu, dosięgnął łodzi, woda wdarła się do środka przez wybite szyby. Kolejna fala ustawiła Mareę II bokiem. Abbey musiała złapać się uchwytu pod sufitem, aby nie upaść.

- On nas zabije! - wysyczała Jackie. - Co ty, u licha, wyprawiasz?

- Ja... udaję, że się poddamy

- I co dalej?

- Jeszcze nie wiem.

- Słyszysz mnie? - rozległ się głos. - Bierz tyłek w troki i wracaj tu albo tatko wyciągnie kopyta.

Wcisnęła przycisk nadawania.

- Posłuchaj, nie wiem, jak mam cię przekonać, ale przysięgam, że mówię prawdę. Podziurawiłeś tę łódź jak sito i jedna z kul uszkodziła przewód paliwowy. Ledwie jestem w

stanie nią manewrować. Zwróć mi ojca, a zrobię, co zechcesz. Wygrałeś. Poddajemy się. Błagam, uwierz mi.

- Nie popłynę tam - ryknął mężczyzna.
- Musisz popłynąć w tę stronę, aby dotrzeć do Rockland Harbor.
- A po jaką cholere miałbym płynąć do Rockland?
- Bo przy takim sztormie nie dotrzesz nigdzie indziej! Nie bądź głupcem, znam ten ocean! Jeżeli myślisz, że zdołasz płynąć do Owls Head, to wiedz, że rozbijesz się na rafie Nubble.

Usłyszała stek przekleństw.

- Obyś mówiła prawdę, bo twój ojciec jest przykuty kajdankami do relingu. Jeżeli moja łódź pójdzie na dno, to razem z nim.

- Słowo daję, że nie kłamię, tylko błagam, dopłyn tu i zwróć mi ojca.

- Pozostań na kanale siedemdziesiątym drugim i słuchaj moich instrukcji. Odbiór.

Komunikat zakończył się serią szumów i trzasków.

- Co my wyprawiamy? - krzyknęła Jackie. - Masz jakiś plan? Co zrobimy po tym, jak się poddamy?

- Doprowadź nas do Devil's Limb.

- Przy takim sztormie? To czyste szaleństwo!

- I o to chodzi.

- Masz jakiś plan?

- Wymyślę po drodze.

Jackie pokręciła głową, zwiększyła obroty silnika i poprowadziła łódź przez wzburzone morze, obierając kurs na Devil's Limb.

- Obyś coś wymyśliła jak najszybciej.

77

Wznosząc się po starcie z lotniska w Portland, samolot przebił się przez warstwę burzowych chmur i nagle skąpał go dziwny blask Księżyca w pełni. Wyman Ford wyjrzał przez okno, na nowo zafascynowany i zaniepokojony tym widokiem. To już nie była znajoma tarcza, obiekt romantycznych wspomnień, lecz dziwaczny odmieniec, przerażający, zalewający góry i wąwozy chmur poniżej odrzutowca zielonkawą poświatą. Pióropusz szczątków po uderzeniu wszedł na orbitę i wirował po łuku. W kabinie rozległy się pełne ekscytacji głosy, gdy pasażerowie zaczęli wyglądać przez okna. Ford, skonsternowany niezwykłym widokiem, opuścił roletę w oknie i rozsiadł się wygodnie w fotelu, zamykając oczy i koncentrując się na czekającym go spotkaniu.

Półtorej godziny później, gdy samolot zaczął się zbliżać do lotniska Dullesa, Ford ożywił się i choć wcześniej obiecał sobie, że tego nie zrobi, uniósł roletę, by znów spojrzeć na Księżyc. Szczątki nadal tworzyły wokół niego łukowatą formację, stopniowo układając się w kształt pierścienia. Poniżej rozpościerał się Waszyngton, skąpany w dziwnej zie-lonkawoniebieskiej poświacie, która nie kojarzyła się ani z dniem, ani z nocą.

Ford nie zdziwił się, gdy przy bramce przywitali go agenci federalni i odprowadzili przez opustoszałą halę; na ekranach telewizorów w poczekalni podawano te same wiadomości, prezentując zdjęcie Księżyca i przeplatając je wypowiedziami licznych gadających głów oraz doniesieniami z różnych zakątków świata. Wyglądało na to, że ludzi ogarnęło przerażenie, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Pojawiły się plotki o testach nowej, ściśle tajnej broni przeprowadzonych przez Stany Zjednoczone i Izrael, panice przed promieniowaniem i ogarniętych histerią ludziach przywożonych na ostry dyżur do szpitali.

Agenci szli obok Forda z kamiennymi twarzami, nie mówiąc ani słowa. Ulice Waszyngtonu były opustoszałe; być może instynktownie mieszkańcy stolicy postanowili pozostać w swoich domach.

Przeszedłszy przez hol odbioru bagażu, agenci pomogli Fordowi wsiąść do policyjnego radiowozu, usadawiając go pomiędzy sobą na tylnym siedzeniu. Samochód pomknął przez opustoszałe ulice z włączonym kogutem, aż dotarli do siedziby Biura do spraw Nauki i Polityki Technologicznej przy Siedemnastej Ulicy, podjeżdżając pod szpetny gmach z czerwonej cegły, gdzie pracował Lockwood i jego ludzie.

Tak jak się tego spodziewał Ford, wszystkie światła w budynku były zapalone.

78

Harry Burr wytyczył trasę GPS-em i obrał kurs na rafę zwaną Devil s Limb. Przeniósł wzrok na ojca dziewczyny, który leżał skulony na rufie, wciąż przykuty do relingu i półprzytomny; był cały przemoczony od deszczu i fal zalewających pokład. Możliwe, że ostatnim razem zdzielił go trochę za mocno. Chrzanić to, facet był dostatecznie żywy, by odegrać swoją rolę w ostatnim akcie.

Kiedy łódź wyłynęła zza osłony Muscle Ridge Islands na otwarte wody Zatoki Penobscot, Burr zaczął mieć nie lada kłopoty z utrzymaniem steru. Jedna olbrzymia fala za drugą wyłaniały się z ciemności, sunąc ku niemu, grzbiety każdej z nich ozdobione były pióropuszcami piany rozbryzgiwanymi przez strugi deszczu. Włączył reflektor na dachu sterówki i obrócił go, usiłując przeniknąć wzrokiem sztormowy półmrok. Promień oświetlał kolejne olbrzymie fale rozciągające się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach.

Ogarnęło go przerażenie.

To było szaleństwo. Może nie musiał niczego robić, tamte pewnie same utoną i problem rozwiąże się bez jego udziału. Ale nie mógł na to liczyć, no i Bóg raczy wiedzieć, co zdążyły przekazać straży przybrzeżnej, zanim się z nimi skontaktował. Mogły mieć na pokładzie sygnalizator alarmowy - na jego łodzi był taki - który włączał się automatycznie, nawet gdyby nie skontaktowały się ze strażą przybrzeżną. Nie, nie mógł ryzykować - ani trochę - że przeżyją, aby opowiedzieć, co je spotkało. Cała trójka musiała umrzeć. A sztorm stanowił dogodną okazję na zatuszowanie tej sprawy.

Ekran radaru wypełniły zakłócenia zwrotne wywołane przez rozpryskującą się dokoła pianę morską. Przez chwilę Burr manipulował gałkami, ale radar był bezużyteczny. GPS określił prędkość jego jednostki na sześć węzłów i przynajmniej chartplotter działał bez zarzutu. Burr zwiększył prędkość do ośmiu węzłów, łódź zaczęła się kołysać i dygotać, przebijając się przez wzburzone morze, wznosząc się niebezpiecznie na grzbiecie każdej kolejnej fali, przedzierając się przez pióropusze piany na ich szczytach, a następnie opadając bezwładnie, jakby spływała w dół wodospadu. Przywarł do steru, usiłując utrzymać równowagę i łódź na kursie, lecz wszystkie siły natury wyraźnie próbowały ustawić jednostkę burtą do coraz groźniejszych fal. Jakby na poparcie obaw Burra, wielki grzywacz przetoczył się nad dziobem, zielonkawa fala rozbiła się wzdłuż okrężnicy, wpadając do kokpi-tu i wyciekając przez luki odpływowe. Tracąc zimną krew, zredukował prędkość do sześciu węzłów. Dziewczyna nigdzie nie ucieknie, a ojciec był jego asem w rękawie. Ta suka nigdy nie opuściłaby ojca.

Przez chwilę zastanawiał się nad możliwością zastosowania przez nią jakiegoś fortelu, próby wywabienia go na otwarty ocean, gdzie sztorm mógłby pośląć go na dno. Ale raczej nie miała tego w planach, przecież na pokładzie był jej ojciec. Poza tym miał większą, lepszą i bardziej wypróbowaną jednostkę. Jeżeli ktoś tu pójdzie na dno, to raczej one.

A może jednak zamierzały zastawić na niego pułapkę? Jeżeli nawet, byłby to najgłupszy plan. Przecież miał pistolet i ojca przykutego kajdankami do relingu, a klucz do kajdanek trzymał w kieszeni. A może zamierzały zwabić go na skały? Nie, przecież dysponował najnowocześniejszym GPS-em i chartplotterem.

Burr uznał, że musiały mówić prawdę o kłopotach z paliwem. Były tak wystraszone, że powinny były uwierzyć w jego wątpliwe obietnice. Wystrzelał co najmniej pięć magazynków

z desert eagle a, trzydzieści naboju kaliber 44, i było całkiem możliwe, że któryś z nich uszkodził przewód paliwowy Devil's Limb znajdowało się na kursie do Rockland i było oczywiste, że przy takim sztormie opłynięcie Nubble, by dotrzeć do Owls Head było zbyt niebezpieczne. Wszystko, co powiedziały, miało sens.

Trzymając ster jedną ręką, Burr wyjął cztery puste magazynki i położył na desce rozdzielczej obok pudełka z nabojami. Sterując jedną ręką, drugą niezdarnie załadował naboje do wszystkich magazynków,

które następnie włożył do kieszeni spodni po dwa do każdej. Nie będzie czasu na ceregiele.

Jego plan był prosty: zabić ich, zatopić ich łódź i popłynąć w stronę Rockland Harbor.

Następnie przycumuje łódź i zniknie. Niczego nie wziął na swoje nazwisko; Straw sam wynajął łódź, a potem spotkali się w umówionym miejscu, w odludnej zatoczce na wybrzeżu. Nikt nawet nie wiedział, że był na pokładzie. Oczywiście za kilka dni lub tygodni ktoś może odnaleźć napoczęte przez ryby ciało Strawa z kulą w głowie, ale jego, Burra, już dawno tam nie będzie. Co więcej; dopilnuje, aby Straw miał odpowiedni żeglarski pogrzeb z dużą ilością lin i łańcucha, które obciążą zwłoki tak, by pozostały na dnie.

Co się zaś tyczy dziewcząt, cóż, im także wyprawi należyty pogrzeb i zatopi ich łódź.

Było już zapewne za późno, by zdobyć twardy dysk i zarobić dwieście kawałków, przynajmniej na tym etapie. Ale nigdy nie było za późno, żeby posprzątać - zresztą nie miał wyboru. Znowu poczuł, jak narasta w nim gniew, i spróbował go stłumić. Tak to już bywa, powiedział sobie w myślach. Raz się wygrywa, raz przegrywa. To nie było pierwsze zlecenie, które zawałił, i na pewno nie ostatnie. Zadbaj o wszystkie niedokończone sprawy, a dożyjesz kolejnego kontraktu.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zdał sobie sprawę, że zamokły. Łódź zakołysała się na fali i zjechała po niej w dół, silnik zaryczał donośnie, a Burr mocniej zacisnął dłonie na sterze i przytrzymał. Chryste Panie, ale będzie szczęśliwy, kiedy tych troje skurwieli znajdzie się na dnie Atlantyku.

79

Gdy Marea II wypłynęła dalej na otwarty ocean, szum wiatru zmienił się w ryk, a morze przerodziło się w monstrialne góry i doliny, spienione grzbiety grzywaczy wyglądały jak rozmyte szare masywy sunące w ich kierunku. Abbey pozwoliła Jackie pozostać za sterem, wdzięczna za jej umiejętności żeglarskie. Jackie знаła sztuczkę wspinania się na każdą falę pod kątem trzydziestu stopni przy równomiernym zwiększeniu prędkości i wykonywaniu łodzi lekkiego zwrotu, aby przebiła się przez wierzchołek fali, a następnie zmniejszyła prędkość, gdy jednostka osuwała się w prześwit między falami. Abbey to przerażało, ale Jackie jakoś z tym sobie radziła.

- Niech to szlag - rzuciła Jackie, spoglądając przed siebie.

W ich stronę sunęła linia bieli, wielka, przypominająca dziwną, wiszącą nisko chmurę. Łódź pograżyła się w prześwicie po kolejnej fali z prędkością wywołującą nieprzyjemne harce żołądka, po czym zapadła dziwna cisza przed nadejściem następnej fali. Wreszcie łódź zaczęła sunąć pod górę, podczas gdy czoło fali wznosiło się ponad nią ozdobione strzępami piany.

- Zwolnij! - krzyknęła Abbey, tracąc zimną krew.

Jackie zignorowała ją, zwiększając obroty do trzech tysięcy i zwracając łódź nieco bardziej ukośnie względem fali, po której się wznosiła. Wtem nad nimi pojawił się grzywacz, głośno sycząc, i dziób Marei II uderzył w ścianę wody, kiedy Jackie gwałtownie zakręciła kołem sterowym. Strugi wody roztrysnęły się z rykiem, zalewając pokład, wdzierając się przez okna do sterówki i wypełniając przestrzeń; łódź zatrzęsała się, zawahała, jakby miała zostać wtłoczona pod wodę, i uwolniła z głośnym hukiem, przechylając się do przodu, by zaraz potem runąć w dół. Jackie natychmiast zredukowała obroty niemal do biegu jałowego, pozwalając, by siła ciężenia pociągnęła łódź w dół kolejnego uskoku.

- Przed nami następna fala - krzyknęła Abbey. - Jeszcze większa.
- Widzę - mruknęła Jackie.

Zwiększyła obroty i łódź znów zaczęła się wspinać na czoło fali, przebijając się przez jej grzbiec, by nieuchronnie runąć w dół czającego się za nią uskoku. W ten sposób pokonywały kolejne ogromne fale, istne góry wody wędrujące donikąd. Za każdym razem Abbey była pewna, że pójda pod wodę, ale łódź dzielnie odzyskiwała równowagę przed rzuconiem się ponownie w dół uskoku.

- Jezus, nauczyłaś się tego, kierując łodzią twojego taty?
- Łowiliśmy zimną krew za Monhegan. Parę razy zdarzyło się, że złapał nas sztorm. W sumie nic wielkiego.

Jackie próbowała zachować spokojny ton głosu, ale Abbey nie dała się nabrać. Pomyślała o swoim nadopiekuńczym ojcu, który nigdy nie pozwolił jej pokierować łodzią. Ze strachu o niego aż zbierało się jej na mdłości; był gdzieś tam, na morzu, z tym nieobliczalnym maniakiem, przykuty do relingu. Jej plan był szalony, właściwie trudno to nawet było nazwać planem. Poddać się? I co potem? Oczywiście ten facet pozabijałby ich wszystkich. Taki właśnie miał zamiar. Dlaczego uznała, że mogłaby odwieść go od tego zamiaru? Czy powinna nadać komunikat alarmowy do straży przybrzeżnej? Usłyszałyby to i zabiłyby jej ojca. Zresztą straż przybrzeżna i tak nie wypłynęłaby na morze przy takiej pogodzie. Musiała coś wymyślić.

I właśnie wtedy na kanale 72 rozległ się ochrypły głos:

- Tatuś się obudził. Chcesz się z nim przywitać?

80

Agenci wprowadzili Forda do sali konferencyjnej. Gdy tylko przestąpił próg, Lockwood zerwał się ze swojego miejsca u szczytu stołu, przy którym siedzieli ludzie w garniturach i mundurach; na ścianach wisiały plazmowe ekrany. Po posępnych, pełnych powagi wyrazach twarzy zebranych Ford zorientował się, że przynajmniej do pewnego stopnia wiedzieli, co się działo.

- Boże święty, Wyman, od wielu godzin próbujemy się z tobą skontaktować! Mamy do czynienia z wyjątkową sytuacją. Prezydent chce do siódmej rano usłyszeć nasze zalecenia w tej sprawie.

- Mam dla państwa informacje o kluczowym znaczeniu - powiedział Ford, kładąc aktówkę na stole i rozglądając się wokoło, by oszacować, z kim miał do czynienia. Obok Lockwooda siedział generał Mickelson z dość nieudolnie przyczesanymi krótko przyszyżonymi włosami. Jego mundur był zmięty, a atletyczne ciało wydawało się dziwnie spięte. Po jednej stronie przy stole siedzieli naukowcy z Instytutu Badań i Rozwoju Napędów, wśród nich rozpoznał Chaudry ego i Derkweilera oraz Azjatkę z plaketką, na której widniało nazwisko Leung. Przy drugim końcu stołu siedzieli naukowcy i wysocy urzędnicy z Biura do spraw Nauki i Polityki Technologicznej, na ekranach zaś dostrzec było można przewodniczącego połączonych sztabów, doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego Manfreda, szefa NASA i dyrektora centrali wywiadu. Długi stół z wiśniowego drewna usłany był notatkami i kartkami papieru, stało też na nim kilka laptopów. Liczni sekretarze i asystenci siedzieli w fotelach pod ścianami, sporządzając notatki. Atmosfera była pełna napięcia graniczącego z desperacją.

Ford otworzył aktówkę i wyjął fałszywy twardy dysk, kładąc go na stole delikatnie niczym kryształowy bakaraty. Następnie wyjął duże zdjęcie z pliku „Voltaire 33”, najbardziej wyraźne, które powiększył w zakładzie Kinkos, po czym rozłożył je.

- Oto, drodzy państwo - oznajmił - zdjęcie wykonane przez marsjańską sondę orbitalną dwudziestego trzeciego marca.

Odczekał chwilę, po czym zaprezentował zdjęcie zebranym.

- Przedstawia ono obiekt na powierzchni Marsa. Jestem przekonany, że to właśnie ten obiekt oddał w kwietniu strzał w kierunku Ziemi, a dziś wieczorem w kierunku Księżyca. Kolejna chwila szoku i konsternacji, po czym przy stole rozległy się pytania, stłumione rozmowy i wymówki. Ford zaczekał, aż gwar ucichnie, po czym dodał:
 - Zdjęcie pochodzi z tego oto ściśle tajnego twardego dysku.
 - Gdzie na Marsie znajduje się to miejsce? - zapytała Leung.
 - Wszystko jest na tym twardym dysku - odparł Ford. - Wszystko. -Po czym skłamała, dodając: - Nie znam dokładniejszych współrzędnych.
 - Niemożliwe! - krzyknął Derkweiler. - Zauważylibyśmy to podczas przeglądania tych zdjęć już dawno temu!
 - Nie, ponieważ konstrukcja była ukryta w cieniu krateru i prawie niewidoczna. Samo zdjęcie wymagało długotrwałej obróbki i umiejętności, by wydobyć ów kształt z cienia. Chaudry wstał od stołu i spoglądając podejrzliwie na Forda, wyciągnął rękę i podniósł dysk. Obrócił go w swoich mahoniowych dłoniach, jego czarne oczy przyglądały się uważnie dyskowi, włosy upięte w kucyk nie pasowały do waszyngtońskich standardów.
 - To nie jest dysk z Instytutu - oznajmił i spojrzał na Forda, mrużąc lekko powieki. - Skąd pan go ma?
 - Od nieżyjącego już Marka Corso - odparł Ford.
- Chaudry lekko zbladł.
- Nikt nie jest w stanie skopiować ani wynieść takiego dysku z Instytutu. Nasze kody i procedury bezpieczeństwa są nie do złamania.
 - Czy jest coś niemożliwego dla wprawnego technika komputerowego? Jeżeli pan wątpi, proszę sprawdzić umieszczony z boku numer seryjny.
- Chaudry znów przyglądał się przez chwilę dyskowi.
- Numer wydaje się autentyczny. Ale... to pańskie zdjęcie. Chciałbym zobaczyć oryginał. Równie dobrze mogło ono zostać spreparowane w Photoshopie.
 - Dowód znajduje się na tym oto dysku, w oryginalnych binarnych danych urządzenia do penetracji wiązką fal radarowych z marsjańskiej sondy orbitalnej.
- Ford wyjął z kieszeni marynarki kartkę papieru i pokazał ją zebranym.
- Problem w tym, że oryginalne hasło na dysku zostało zmienione. Mam nowe hasło, które go otwiera. Bez niego dysk jest bezużyteczny.
- Potrząsnął kartką.
- Zaufajcie mi, państwo, to wszystko prawda.
- Marjory Leung wstała z miejsca.
- Przepraszam, czy powiedział pan „nieżyjący” Mark Corso?
 - Tak. Mark Corso został przed dwoma dniami zamordowany.
- Leung zachwiała się, jakby miała zaraz upaść.
- Zamordowany?
 - Zgadza się. I wygląda na to, że jego poprzednik, doktor Freeman, także został zamordowany. Bynajmniej nie przez bezdomnego. Obaj, zarówno on, jak i Corso, zginęli z ręki zawodowca, kogoś, kto szukał tego oto twardego dysku.
- W sali zapadła głęboka cisza.
- Jak sami państwo widzicie - ciągnął Ford - czeka nas mnóstwo pracy. Ponieważ nie tylko Ziemia stała się, jak wszystko na to wskazuje, celem niespodziewanego ataku, ale w dodatku ktoś, kto powinien być po naszej stronie, postanowił nas zdradzić.

Burr podał mikrofon poławiaczowi homarów, wciskając mu go do ręki unieruchomionej kajdankami. To już nieważne, co powie, Burr chciał tylko przypomnieć dziewczynie, że jej ojciec żyje, a w rozpaczliwej sytuacji, utrzymując ją w stanie lęku bliskiego panice, łatwiej było nią manipulować.

- Tato? Tato? Nic ci nie jest?
- Abbey? Zmiataj do portu! Twoja łódź tego nie przetrzyma! Zmiataj!
- Tato.

Zapadła pełna niepokoju chwila ciszy.

- Nie mamy paliwa.
- Boże, Abbey, on ma broń. Wezwij straż przybrzeżną. Nie daj się zwieść...

Burr wyrwał mu mikrofon. To był rzadko używany, mało popularny kanał i nadawali w paśmie ćwierć wata, o niewielkim zasięgu, a przy takiej pogodzie jeszcze bardziej ograniczonym - ale po co ryzykować?

- Słyszałaś to? - rzucił do mikrofonu. - Wszystko będzie dobrze, odzyskasz ojca. Potrzebuję mieć cię żywą, w przeciwnym razie nie odzyskam dysku. Zastanów się nad tym, jesteś dla mnie bardziej przydatna żywa niż martwa. Musimy to jeszcze obgadać, ale zrobmy to gdzieś, gdzie nie będzie nam groziło utonięcie. Słyszysz mnie?

- Słyszę - odparła z przejęciem Abbey.

Wyłączył się, gdyż uznał, że pewnie i tak w to nie uwierzyła, ale cóż one mogły poradzić? To on rozdawał karty. Owszem, mogły mieć jakiś kretyński plan, ale raczej i tak nie zadziała.

Łódź wzniosła się na fali i przechyliła na sterburtę. Chryste, zagapił się. Naciągnęła zabłąkana fala, wysoka jak piętrowy budynek ściana

wody, czarna niczym guinness zwieńczony pióropuszem piany Zakręcił kołem w kierunku fali, łódź szybko się wznosiła. Nie zdążył jednak dokończyć manewru, bo ryczący grzebień fali uderzył w kadłub, przewracając jacht na burtę, a hebanowa woda przelała się nad okrzężnicą, ciskając go w dół i wywracając. Łódź wpadła w uskok, strugi wody wypłynęły przez luki odpływowe, pokład przechylił się o trzydzieści stopni względem horyzontu, podczas gdy Burr przywarł do koła sterowego, zaniemówiwszy ze strachu. Próbował zakręcić kołem, ale odniósł wrażenie, jakby jeden wielki ciężar napierał na niego z drugiej strony, spychając łódź w dół. Pchnął przepustnicę do przodu, nie usłyszał jednak w odpowiedzi warkotu silnika, a jedynie skrzypienie wywołane przez napór ton wody przelewającej się nad łodzią. Wreszcie ster zaczął się luzować, łódź zatrzęsała się, gdy napór fali zelżał, a strugi wody przelewały się ponad dziobem i okrzężnicami. Stopniowo jacht ustabilizował pozycję. Burr jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał. Spojrzał na chartplot-tera: znajdowali się w połowie drogi do Devil's Limb. Za rafą mogli przynajmniej schronić się przed wściekłymi atakami rozszalałego morza. Szli z prędkością sześciu węzłów - jak długo jeszcze? Dziesięć minut. Kolejnych dziesięć minut piekła.

- Pozwól mi przejąć ster - powiedział rybak. - Poślesz nas na dno.
- Spierdalaj.

Burr zaparł się mocno, gdy runął na nich następny grzywacz. Łódź uniosła się szybko na spotkanie rozszalałej góry wody, która w nią uderzyła; sterówka zatrzęsała się i zaskrzypiała, jakby miała się rozlecieć w szwach. Gdyby wysiadła elektronika... byłby bezradny.

Uchwycił się mocno steru, podczas gdy łódź zjechała ostro w dół uskoku po pokonaniu kolejnej fali, strugi wody zakręciły się wokół jego stóp i spłynęły do luków odpływowych.

- Rozkuj mnie - powiedział Straw - w przeciwnym razie obaj pójdziemy na dno.

Burr sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyk.

- Sam się rozkuj i przynieś tu kajdanki.

Trzymając ster jedną ręką, drugą wyjął pistolet i patrzył, jak Straw zdejmuje kajdanki, po czym podchodzi ku niemu, przytrzymując się relingu.

Łódź znalazła się na dnie uskoku i zakołysała przez moment, zapadła dziwna cisza, po czym jednostka znów zaczęła się piąć pod górę. I znów ustawiało ją burtą do fali.

- Oddaj mi ster! - zawołał Straw i przejął kontrolę nad łodzią.

Burr cofnął się, celując z pistoletu.

- Przykuj się der steru.

Rybak zignorował go, mocując się z kołem i zwiększając obroty silnika, w miarę jak łódź pięła się coraz wyżej po fali, której czoło było coraz bardziej strome, i nagle wokół nich rozhulał się wiatr, powietrze wypełniło się wodą, wszędzie zapanował hałas i chaos. Łódź przebiła się przez grzbiet fali i opadła, stabilizując pozycję i schodząc w głąb uskoku.

- Powiedziałem, żebyś się przykuł do koła!

Burr dla podkreślenia rangi swoich słów, oddał strzał w sufit sterówki.

Rybak przykuł swój lewy nadgarstek do koła sterowego, a Burr podszedł, sprawdził, czy obręcz kajdanek była dobrze dopięta, zabrał kluczyk i cisnął do morza.

- Trzymaj kurs na rafę. Jeżeli spróbujesz jakichś sztuczek, zabiję cię. A potem zabiję twoją córkę.

Łódź uniosła się na kolejnej fali, a niebo z przeraźliwym rykiem rozdarła błyskawica, na krótką chwilę oświetlając wzburzone morze.

Burr zapał się mocno obiema nogami, przygotowując się na nadejście następnej fali. Straw nie odezwał się ani słowem, lecz z ponurą miną trzymał się kurczowo steru, a jego oblicze skierowane było ku nieprzeniknionej ciemności.

82

W ciszy dało się słyszeć ciche skrzypienie kółek i pojawił się oficer dyżurny; pchał przed sobą wózek i częstował wszystkich kawą.

- Wspomniałeś, że do siódmej mamy przedstawić prezydentowi nasze propozycje działań - rzekł Ford. - Jakie są możliwości?

Lockwood rozłożył ręce.

- Doktorze Chaudry?

Chaudry potarł dłonią swój pięknie rzeźbiony policzek.

- Na orbicie wokół Marsa mamy pół tuzina satelitów. Zamierzaliśmy je wykorzystać do nowego zadania - zlokalizowania źródła tych ataków. Ale wygląda na to, że pan już ma te współrzędne.

- Tak - powiedział Mickelson - a dysponując tymi współrzędnymi, możemy wykorzystać satelity jako broń i posłać je, aby z dużą prędkością uderzyły w to kosmiczne działo.

Chaudry pokręcił głową.

- To byłoby równie skuteczne jak ciskanie jajkami w czołg.

- Druga możliwość - ciągnął Mickelson - to wystrzelenie w tę konstrukcję bomby atomowej.

- Okno niezbędne do precyzyjnego wystrzelenia pocisku nadarzy się nie wcześniej niż za sześć miesięcy - odrzekł Chaudry - a zanim pocisk dotrze do Marsa, minie ponad rok.

- Opcja nuklearna jest naszą jedyną skuteczną strategią ataku - przemówił widoczny na ekranie przewodniczący połączonych sztabów.

Chaudry odwrócił się do niego.

- Admirale, wątpię, aby ta obca broń trwała beczynn timer i pozwoliła potraktować się bombą atomową.

- Czy mogę raz jeszcze przypomnieć, że właściwy termin to „machina”. Nie wiemy, czy to na pewno jest broń - wtrącił Lockwood.

- To jest broń, bez dwóch zdań - wycedził Mickelson. - Proszę tylko się jej przyjrzeć!

Chaudry odezwał się półgłosem:

- Ten artefakt jest dziełem cywilizacji posługującej się wysoce wyspecjalizowaną, dalece rozwiniętą technologią. Jestem wstrząśnięty, gdy słyszę, że wierzycie państwo, iż konstrukcję dałoby się unicestwić bronią atomową. Jesteśmy jak karaluchy debatujące nad sposobami uśmiercenia dezynsektora. Wszelkie opcje nuklearne nie wchodzi w grę. I są skrajnie-niebezpieczne. Im szybciej to sobie uświadomimy, tym lepiej.

Atmosfera napięcia narastała. Podobnie jak cisza. W sali konferencyjnej zrobiło się gorąco. Ford wykorzystał okazję, aby zdjęć marynarke i jakby od niechcienia przewiesił ją przez oparcie fotela. Przynęta, pomyślał. Teraz trzeba tylko złapać na nią grubą rybę. Albo raczej, co w tym wypadku było bardziej adekwatnym określeniem, kreta.

83

Marea II wspięła się na grzbiet kolejnej przerażającej fali, a Abbey pośród strug zacinającego deszczu dostrzegła w oddali przed nimi białą smugę spiętrzonej wody. Chartplotter wskazywał, że znajdowały się o sto metrów od pierwszej z trzech wielkich skał.

- Tam! Przed nami!

;v - Widzę - odparła spokojnie Jackie, obracając luźno sterem. - Podpłynę od zawietrznej. Morze uspokoiło się, gdy wpłynęły na osłonięty przez skały akwen. Fale wciąż były dość wzburzone, ale wiatr stracił na sile, podobnie jak fale na wysokości. Gdy łódź wznosiła się i opadała, Abbey dostrzegła potężne fale rozbijające się o podstawę skał. Niektóre z nich sięgały nawet na sześć metrów w górę, a kiedy uderzały w głazy, eksplodowały jak w zwolnionym tempie pośród potężnych kaskad rozbitej w pył wody.

- No dobra - powiedziała Jackie, zataczając łodzią powoli ciasny krąg. - Jaki mamy plan?

- Ja... - Abbey się zawahała. - Udamy, że chcemy się poddać. On zabierze nas na pokład swojej łodzi, wtedy rozejrzemy się za jakąś okazją.

Jackie spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Ty to nazywasz planem?

- A co innego możemy zrobić?

- On nas rozwali! I będzie po wszystkim. Nie będzie czasu, by „rozejrzeć się za jakąś okazją”. I nie łudź się, Abbey, nie zwróci ci ojca. Chcę ocalić twojego ojca, ale nie kosztem własnego życia. Rozumiesz?

I - Myślę - westchnęła Abbey.

Jackie wciąż zataczała łodzią ciasne kręgi, trzymając się blisko zapewniających im osłonę skał.

- Uspokój się, on zjawi się tu lada moment. Skup się. Jesteś bystra. Potrafisz kombinować.

Abbey przeniosła wzrok na ekran radaru, by przekonać się, czy urządzenie uprzedzi je o zbliżającej się łodzi. Przez chwilę manipulowała przy sprzęcie, próbując dostroić go do trudnych warunków atmosferycznych. Ekran wypełniały zakłócenia statyczne. Powoli, w miarę jak zmieniała poszczególne parametry, zaczęła uzyskiwać obraz wielkiej odsłoniętej rafy od sterburty, która jawiła się na radarze jako ciąg zielonkawych plam. Niebawem ujrzała jeszcze jedną plamę, mniejszą, to pojawiającą się, to znikającą, lecz ewidentnie kierującą się w ich stronę.

- To oni - rzekła. - Już tu są. Wycofaj łódź do tego kanału między dwiema skałami.

- Oszalałaś? To wąski przesmyk i z obu stron biją silne fale!

- Wobec tego przejmę ster.

- Nie, ja to zrobię.

- Wprowadź łódź do przesmyku, żeby nie mógł zobaczyć nas na radarze.

Jackie spojrzała na nią blada jak ściana.

- A potem?

- Potrzebujemy broni.

Abbey otworzyła drzwi kajuty i trzymając się poręczy, zeszła po rozkołysanych stopniach. Z uczuciem upiornego deja vu weszła do kajuty, wyjęła skrzynkę z narzędziami, a z niej nieduże żeglarskie cęgi, standardowe wyposażenie do usuwania zapieczonych śrub, szekli i

sworzni. Wzięła również nóż rybacki i długi krzyżakowy śrubokręt. Wróciła na pokład i rozłożyła narzędzia na desce rozdzielczej.

Schwyciła Jackie za ramiona i spojrzała jej w oczy.

- Chcesz planu? Oto on. Taranujemy ich łódź. Wchodzimy na pokład. Zabijamy faceta. Uwalniamy tatę.

- Jeżeli staranujemy ich łódź, może być tak, że pójdziemy na dno i my, i oni.

- Nie, jeżeli uderzymy w ich burtę od strony rufy, za sterówką. Ledwie tylko dejwud prześlizgnie się po okrężnicy, ja przeskoczę na drugą łódź, a ty daj wsteczny, na pełen ciąg, i wycofaj się, zanim nasza łódź przełamie się na pół. Marea II jest zbudowana solidnie jak murowany sracz.

- Staranować, wejść na pokład i zabić? On jest uzbrojony A co my mamy, nóż do oprawiania ryb?

- Masz lepszy plan?

- Nie.

- Wobec tego musimy sobie radzić z tym, co mamy.

Zielona plamka na ekranie radaru przybliżała się. Abbey wlepiła wzrok w ciemną wodę i dostrzegła rozbłysk światła.

- Ma włączone reflektory! Dawaj!

Jackie wprawnie wprowadziła łódź za skały, wycofując i wykonując zwroty jak oszalała, walcząc z wiatrem, falami i silnym prądem przepływającym między skałami. Ryk fal był ogłuszający, wiatr ciskał strzępy piany ponad nimi. Jackie usiłowała utrzymać łódź pośrodku kanału, poza zasięgiem gigantycznych fal, które rozbijały się o kamienne iglice.

- Skąd mam wiedzieć, kiedy powinnam wypłynąć i staranować go?

- Będzie tak jak my szukał osłony za skałami - odparła Abbey - i zaczniesz świecić wokół reflektorem, wypatrując nas. Stanie się powolnym celem. Gdy nas nie zobaczy, zaczniesz nas nawoływać. To będzie dla nas sygnałem. Zaczekaj, aż się ustawi burtą w naszą stronę, a wtedy ruszaj z pełną mocą i staranuj drania. Weź nóż.

Jackie wsunęła za pasek długi nóż do filetowania ryb. Abbey włożyła długi wąski śrubokręt do kieszeni, a przecinak do metalu przecisnęła przez szlufkę przy pasku.

- Będę przy relingu dziobowym, aby jak najszybciej przeskoczyć na pokład jego łodzi. Fale spychały Mareę II w kierunku skał i Jackie zaczęła gorączkowo walczyć, aby odzyskać panowanie nad łodzią, nieznacznie cofając i próbując wyprowadzić ją poza zasięg groźnych zasysających prądów.

- To się nie uda...

- Nawet tak nie mów.

84

Zegary w sa Ji wskazywały trzecią w nocy, a rozmowy przeciągały się i prowadziły - donikąd. Z ekranu przy końcu sali przewodniczący połączonych sztabów powiedział w końcu kilka słów pod adresem Chau-dryego, łago »dnie i z kurtuazją:

- Jeżeli wyklucza pan rozwiązanie militarne, to co proponuje w zamian?

Chaudry spojrział na niego.

- Prowa» dzenie badań. I obserwację. Teraz, kiedy wiemy już, gdzie to jest - przysyjmując, że ta rzecz widoczna na zdjęciu jest odpowiedzialna za ystrzelenie dziwadetek - możemy przekierować w jej stronę wszystkie nasze mobilne satelity. Potrzebujemy jedynie poznać koordynaty poodane na tym dysku.

- I co daszej? spytał przewodniczący.

- Spróbuujemy się porozumieć.

- A niby co konkretnie mielibyśmy powiedzieć?

- Wyjaśnimy, że pragniemy pokoju, że jesteśmy pokojowo nastawieni. Ze nieo stanowimy dla nich zagrożenia.

- Pokojowo nastawieni? - parsknął Mickelson. - Miejmy nadzieję, że ta „machina: na” przespała kilka ostatnich krwawych stuleci.
 - W griauncie rzeczy to może stanowić główny powód - powiedział Chaudry - tego, że to coś nam grozi. Nasze agresywne zachowanie. Kto w/vwie, od jak dawna ta rzecz nas monitoruje, nasłuchując naszych przekszarów radiowych i telewizyjnych, które przez ostatnie sto lat były emitowane w kosmos. Komputery tego czegoś na pewno musiały je zdekodować, każdy, kto miałby okazję oglądać nasze wiadomości z okresu ■ minionych stu lat, raczej nie wyrobiłby sobie dobrego zdania na temat : ludzkości.
 - Skąd, u u licha, to coś miałoby znać angielski? - wtrącił Mickelson.
 - Jeżeli tę maszynę zbudowano po to, aby monitorowała inteligentne formy życia - odrzekł Chaudry - przypuszczalnie ma wmontowane wyjątkowo rozwinięte funkcje sztucznej inteligencji, by rozszyfrować każdy język.
 - Ile lat ma ta konstrukcja? Kiedy ją zbudowano?
 - Na zdjęciu widać ślady erozji i wgłębienia będące dziełem mi-krometeoroidów - odezwał się Ford - jak również warstwę regolitu, pamiątkę po dawnych uderzeniach. Można przypuszczać, że machina ma przynajmniej kilkaset milionów lat.
- Mickelson odwrócił się do Chaudryego.
- Zgadza się pan z tym?
- Naukowiec przyjrzał się baczniej zdjęciu.
- Tak, jak najbardziej. To coś jest bardzo stare.
 - A więc uważa pan, że ta konstrukcja jest prawdziwa?
- Chaudry zawahał się.
- Chciałbym obejrzeć oryginalne zdjęcia i poznać współrzędne, zanim odpowiem na to pytanie.
 - Nie mamy teraz czasu na weryfikację - powiedział Lockwood. - Zostały nam cztery godziny, by przygotować raport dla prezydenta. Pomińmy opcję militarną i skupmy się na nawiązaniu kontaktu. Zakładając, że machina jest w stanie zrozumieć nasz język, czy możemy się z nią porozumieć?
 - Musimy ich upewnić, że nie mamy złych zamiarów - upierał się Chaudry.
 - Jeżeli zacznie pan komunikować się z nimi z pozycji uległej -wtrącił Mickelson - wręcz błagając o pokój, da im pan do zrozumienia, że jesteśmy słabi.
 - Bo jesteśmy słabi - uciał Chaudry. -1 machina to wie.
- Zapadła cisza.
- Derkweiler uniósł rękę.
- Grupa Spacewatch w IBRN bada sposoby na odwrócenie toru przemieszczania się zabójczych asteroidów. Może moglibyśmy wykorzystać jedną z ich technik, aby wyłuskać którąś z większych asteroidów z pasa asteroidów i skierować ją wprost na maszynę. Mam na myśli asteroidę o rozmiarach tej, która była odpowiedzialna za wyginięcie dinozaurów.
- Chaudry pokręcił głową.
- Zaplanowanie takiej misji zajęłoby dobrych parę lat, a co dopiero mówić o jej wystrzeleniu i dotarciu w pobliże Marsa. Poza tym nie dysponujemy jeszcze odpowiednią technologią, aby tego dokonać. Musimy powiedzieć prezydentowi prawdę: nie mamy wyboru. Powiódł wzrokiem po sali i znowu zapadła długa cisza, którą w końcu przerwał Lockwood:
 - Wciąż rozważamy rozwiązanie militarne. Zapomnijmy o nim. Pomówmy o czymś innym - czym, u diabła, jest ta machina, kto ją tam umieścił i co ona właściwie robi?
- Ford odchrząknął.
- Może być wadliwa.
 - Wadliwa? - zdziwił się Chaudry

- Jest stara. Umieszczono ją tam dawno temu - ciągnął Ford. - Jeżeli jest uszkodzona, może istnieć sposób, aby ją zmylić. Okpić. W jakiś sposób oszukać. Jak dotąd jej zachowanie można określić jako nieobliczalne, nieprzewidywalne. Może to wcale nie jest celowe działanie, lecz oznaki jakiejś usterki.

- Jak to? - rzucił Mickelson.

Znów zapadła cisza. Lockwood spojrział na zegarek.

- Już prawie świta. Zamówiłem szybkie śniadanie na piątą w prywatnej jadalni. Powiadomimy innych i będziemy już tam kontynuować naszą dyskusję.

Ford wstał, celowo pozostawiając swoją marynarkę przerzuconą przez oparcie fotela.

Wyszedł z sali i zaczekał w korytarzu, aż ostatnie osoby skierują się w stronę jadalni na drugim końcu korytarza. Stał prawie przy samych drzwiach, obserwując wszystkich wychodzących. Jako przedostatnia pojawiła się Marjory Leung. Wyglądała fatalnie. Ford był pewien, że to ona jest kretem, ale nie chwyciła przynęty.

Jako ostatni z sali konferencyjnej wyłonił się Chaudry

Dyrektor projektu wyszedł na korytarz, wyjmując rękę z kieszeni marynarki. Ford podszedł pospiesznie, jakby chciał pomówić z nim na osobności. Włożył rękę do kieszeni marynarki doktora i wyciągnął kartkę papieru.

- Co, do cholery...! - zawołał Chaudry.

Jego zylaste ciało zareagowało błyskawicznie - ręka przecięła powietrze, by odzyskać świstek papieru, lecz Ford uskoczył i znalazł się poza jego zasięgiem. Uniósł trzymaną w dłoni kartkę, ukazując ją grupce kompletnie zaskoczonych świadków.

- Na tej kartce zapisane jest hasło do twardego dysku. Doktor Chaudry właśnie wykradł ją z kieszeni mojej marynarki. Wspomniałem, że wśród nas jest kret. I właśnie go złapaliśmy.

85

Burr stał w sterówce, świecąc reflektorem dokoła i wpatrując się w sztormową ciemność. Promień reflektora przenikał przez rozszalały mrok, nie ukazując niczego prócz wodnej kipieli i skał. Gdzie one się podziały? Czy podryfowały poza osłonę skał? Zaczął manipulować przy radarze, próbując uzyskać konkretny obraz poza zasięgiem światła, ale ujrzał jedynie zakłócenia.

Błysnął piorun, rozświetlając gigantyczne skały na prawo od niego. Ryk wzburzonego oceanu był niemal ogłuszający, a wysokie fale wokół nasilały atak.

- Kurwa mać! - Burr sięgnął po mikrofon: - Gdzie jesteście?

Bez odpowiedzi.

- Odpowiadaj albo on zdechnie!

Wciąż bez odpowiedzi. Czy to pułapka? Wrzasnął do mikrofonu:

- Zaraz wpakuję mu kulę w łeb!

Z głośnym warkotem łódź wyrwała naprzód, a Burr zachwiał się, wytracony z równowagi. Złapał się fotela pasażera, by nie upaść, i spróbował się podnieść, podczas gdy łódź przyspieszyła.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz? - zawołał, próbując odzyskać równowagę i wycelować w rybaka.

Wyjrzał przez okna sterówki: ten skurwiel kierował łódź wprost na rafę - kamienny mur wznoszący się z wodnej kipieli, po którego blankach ściekały strugi deszczu.

- Nie!

Lewą ręką spróbował pochwycić ster, prawą zaś uniósł pistolet i strzelił z bliskiej odległości do Strawa. Rybak jednak przewidział jego ruch i zakręcił kołem, sprawiając, że łódź weszła w ostry skręt, a Burr znów stracił równowagę. Strzał chybił celu. Burr natomiast runął do tyłu, roztrzaskując kruche drzwi sterówki, i wylądował rozciągnięty jak długi w tylnym kokpicie.

- Ty skurwysynu!

Spróbował się podnieść, przytrzymując się relingu przy okężnicy, wokół niego zaś szalał sztorm. Łódź wykonała zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i wciąż miała spory przechył, ustawiając się całą szerokością burty w kierunku nadciągających fal. Straw raz jeszcze zakręcił kołem, usiłując pozbawić Burra równowagi. Ten jednak trzymał się mocno relingu i podźwignął na nogi pomimo przechyłu, dysząc ciężko i kuląc się w sobie. Uniósł pistolet, po czym wycelował w stronę sterówki i Strawa. Już miał nacisnąć spust, gdy usłyszał nowy dźwięk -odgłos silnika pracującego na pełnych obrotach - i odwrócił się, by ujrzeć przerażający widok. Z otchłani sztormu wyłoniła się nagle łódź idąca na nich z maksymalną prędkością, lśniący stalowy kil rozcinał czarne fale, rozrzucając na boki spienione odkosy. Na forpiku zaś, trzymając się relingu, niczym galion z piekła rodem stała ta dziewczyna. Cofnął się odruchowo, rozpaczliwie usiłując usunąć się z drogi nadciągającej łodzi, ale dokładnie w tej samej chwili Straw wrzucił wsteczny, przypieczętowując los Halcyona i znów wytrącając Burra z równowagi. Kolidacja była nieunikniona. Burr, jedną ręką oplatając reling i ślaniając się na nogach, mógł jedynie unieść pistolet i opróżnić magazynek, naciskając spust raz, drugi, trzeci, czwarty...

Przy wtórze ogłuszającego trzasku miazdzonego włókna szklanego dziób łodzi wrył się w okężnicę, przebił się przez nią i zaczął się przesuwać coraz wyżej, po pokładzie. Burr podjął jeszcze ostatnią próbę zejścia Marei II z drogi, ale nogi ślizgały mu się po rozedrganym, wyginającym się pokładzie. Dziób atakującej jednostki trafił go centralnie w klatkę piersiową z tak potężną siłą, że kości nie mogły tego wytrzymać. Poczuł, jakby niewidzialna pięść wbiła jego żebra w kręgosłup, i wyleciał w powietrze, by z głośnym pluskiem wpaść w spienioną kipieli i bezradnie pograżyć się w lodowatej, czarnej, nienasyconej otchłani.

86

Abbey usłyszała przyprawiający o mdłości trzask i ujrzała ciało, które, przekoziółkowawszy w powietrzu, wpadło do morza i zniknęło. Siła zderzenia pchnęła ją do przodu na łukowato wyprofilowany reling i omal nie wylądowała za burtą. Jackie z głośnym okrzykiem zredukowała ciąg silników Marei II i wrzuciła wsteczny. Woda wokół rufy spieniła się, Abbey z całej siły schwyciła się relingu, Marea II zatrzymała się, silnie przechyliła na burtę i omal się nie wywróciła, jednak po pełnej grozy chwili powróciła do pionu. Abbey nie miała nawet okazji, by przeskoczyć na pokład drugiej łodzi. Impet Marei wypchnął Hal-cyona na wzburzone morze, gdzie dopadł ją nadciągający potężny grzywacz i z rozdzierającym, mrozącym krew w żyłach trzaskiem zniósł na skały. Dziewczyna z przerażeniem patrzyła, jak jej ojciec w sterówce rozpaczliwie próbuje uwolnić się z kajdanek, którymi przykuto go do koła sterowego.

Nie czekając na rozkazy, Jackie skierowała Marea II do przodu i zatrzymała przy uszkodzonej rufie drugiej jednostki.

- Tato!

Z cęgami do przecinania śrub w dłoni Abbey przeskoczyła na rufę tonącej jednostki. Nadciągająca fala pchnęła łódź na skały po raz drugi przy wtórze głośnego trzasku miazdzonego tworzywa tak silnie, że dziewczyna zahwiała się na nogach. Trzymając kurczowo cęgi, złapała się uszkodzonego relingu i podźwignęła się na nogi, usiłując zachować równowagę na pękającym, wyginającym się dziko pokładzie. Błyskawica oświetliła tę scenę widmowym blaskiem, po chwili zaś rozległ się grzmot. Zataczając się, Abbey ruszyła w kierunku sterówki. Jej ojciec był wewnątrz, wciąż przykuty do koła sterowego.

- Tato!

- Abbey!

Z półmroku wyłonił się olbrzymi grzywacz, wznosząc się ponad łodzią niczym góra. Abbey zapała się mocno, oplatając ramionami re-ling, kiedy fala runęła w dół, spychając łódź wprost na skalną ścianę i miazdząc sterówkę jak styropianowy kubek. Pograżona we wzburzonej wodzie z całej siły trzymała się relingu, by fale nie zmyły jej z pokładu; zdawało

się, że minęła cała wieczność, a jej płuca niemal pękały z wysiłku, kiedy wreszcie napór fal zelżał i znalazła się na powierzchni, ciężko chwytając powietrze. Łódź była zniszczona, leżała na burcie, kadłub był pęknięty, wręgi połamane, sterówka strzaskana, a ster znalazł się pod wodą. Jej ojciec zniknął.

Nadludzkim wysiłkiem, przytrzymując się relingu podciągnęła się i wypłynęła do zniszczonej sterówki. Łódź szybko się zanurzała i wszystko znajdowało się pod wodą.

- Tato! - krzyknęła ponownie. - Tato!

Następna fala uderzyła w łódź z taką siłą, że cęgi wypadły jej z ręki i zniknęły w czarnej wodzie. Wstrzymała oddech i zanurkowała, jej oczy otworzyły się pod wodą, gdy poczuła nieznosną turbulencję. Zobaczyła wierzgającą nogę i szamocącą się rękę - jej ojciec. Przykuty kajdankami do koła sterowego. Pod wodą.

Cęgi-

Wybijając się z obu nóg zanurkowała na samo dno wywróconej do góry nogami sterówki, gorączkowo poszukując zgubionych cęgów. Światło reflektora Marei II, choć rozrzedzone, pozwoliło jej zorientować się w otoczeniu. Postrzępione podwodne skały cięły i rozłupywały dolne części sterówki w miejscu, gdzie zahaczyła o rafa, poniżej jednak ziała czarna czeluść - cęgi poszły na dno. Prąd był silny, w wodzie mnóstwo szczątków i ropy wylewającej się z uszkodzonego silnika, co niemal zupełnie uniemożliwiło jej zobaczenie czegokolwiek. No tak, teraz, gdy cęgi przepadły, jej ojciec nie miał najmniejszych szans. Nie mogła dłużej wstrzymać oddechu i wypłynęła na powierzchnię, po czym zanurkowała ponownie przepełniona szaleńczą nadzieją, że zdoła zejść na samo dno i odnaleźć narzędzie.

I wtedy je zobaczyła - cęgi zawisły na strzaskanej framudze okna, ponad ciemną głębiną.

Pochwyciła je i podpłynęła do koła sterowego. Jej ojciec już się nie miotał, lecz unosił się spokojnie w zalanej wodą sterówce. Złapała za ster, aby się o niego zaprzeć, przyłożyła cęgi do łańcucha kajdanek i z całej siły nacisnęła na uchwyty cęgów. Łańcuch pękł, a Abbey odrzuciła narzędzie i chwyciwszy ojca za włosy, pociągnęła go w górę.

Wypłynęli na powierzchnię wewnątrz sterówki w chwili, gdy następna fala znów uderzyła w łódź i tym razem obróciła ją do góry dnem. Nagle oboje znów znaleźli się pod wodą. Abbey wciąż trzymała ojca za włosy i po chwili ponownie wyciągnęła go spod wody. Wypłynęli na powierzchnię pod ścianą kajuty, gdzie pozostało jeszcze trochę powietrza.

- Tato! Tato! - krzyknęła, potrząsając nim i próbując utrzymać jego głowę nad wodą. Jej głos brzmiał głucho w niewielkiej pustej przestrzeni pod ścianą kadłuba.

- Tato!

Zakaszał, zaczął się krztusić.

Abbey potrząsnęła nim:

- Tato!

- Abbey... Boże... Co się stało?

- Jesteśmy uwięzieni pod kadłubem...!

Przeraźliwy trzask wypełnił przestrzeń i kadłub zadygotał, przechylając się w bok. Po chwili dał się słyszeć kolejny rozdzierający łoskot i kadłub pękł przy wtórze ogłuszającego huku, woda zaczęła wlewać się do miejsca, z którego błyskawicznie uszło powietrze.

- Abbey! Płyn!

Oszołomiona naporem wdzierającej się przez kadłub wody, poczuła silne pchnięcie i już po chwili oboje znaleźli się wśród spienionej kipieli, tuż poza granicą rafy, gdzie podwodny prąd zaczął znosić ich w stronę zabójczych, bezlitosnych fal.

- Abbeey!

Zobaczyła Mareę II, od której dzieliło ich jakieś dziesięć metrów. Jackie stała przy relingu z kołem ratunkowym, które rzuciła w ich kierunku, ale lina nie była dostatecznie długa i koło wylądowało w wodzie poza ich zasięgiem. Po chwili na powierzchni pojawił się ojciec.

Chwytnąjąc go jedną ręką za włosy, pracując z całej siły nogami i drugą ręką, Abbey

podpłynęła z nim w stronę koła ratunkowego. Jackie wrzuciła wsteczny i odholowała łódź poza zasięg prądów i fal, które zniosłyby ich na skały, przyciągnęła Abbey i jej ojca do Marei, po czym pomogła im wydostać się z wody. Oboje przegramolili się przez reling i ciężko dysząc, zlegli bezwładnie na pokładzie.

87

Chaudry mierzył Forda lodowatym wzrokiem.

- Ja tylko chronię ten kluczowy element ściśle tajnej informacji, który pan tak bez troski zostawił w kieszeni marynarki.

Pozostali patrzyli w osłupieniu.

- Naprawdę? - spytał półgłosem Ford. - Dlaczego więc nie zwrócił się pan bezpośrednio do mnie? Dlaczego czekał pan, aż wszyscy wyjdą z sali, a potem ukradł pan kartkę? Pan wybaczy, doktorze Chaudry, ta kartka była przynęta, a pan okazał się rybą, która ją chwyciła.

- Niech pan da spokój - rzekł Chaudry, nagle dziwnie się rozluźniając. - To jakiś absurd. Chyba nie wierzy pan w to, co mówi. Wszyscy działamy w stresie, po co miałbym potrzebować tego hasła? Jestem dyrektorem projektu, hiam dostęp do wszystkich utajnionych danych.

- Ale nie do lokalizacji, która została podana na tym dysku. Właśnie o to przez cały czas chodziło pańskim klientom - o lokalizację.

Ford spojrział na pozostałych, którzy w dalszym ciągu nie rozumieli, co się stało. Dostrzegł w ich oczach powątpiewanie.

- Wszystko zaczęło się od Freemana. Został zamordowany przez zawodowego zabójcę właśnie w celu odzyskania tego twardego dysku.

- Bzdura - burknął Chaudry. - Śledztwo przeprowadzono bardzo drobiazgowo. Tego zabójstwa dokonał bezdomny

- Kto prowadził dochodzenie? FBI przy silnym wsparciu funkcjonariuszy ochrony Instytutu i pana, doktorze Chaudry.

- To potwarz! - rzucił gniewnie Chaudry.

- Mogę jedynie domyślać się, jak to się odbyło - ciągnął Ford. - Nie zrobił pan tego dla pieniędzy. To zbyt gruba sprawa, wykraczająca poza sferę pieniądza. Jakiś czas temu, podejrzewam dość dawno, uświadomił pan sobie, że Freeman odkrył na Marsie obcą konstrukcję, maszynę kosmitów, choć sam Freeman nie wyciągnął aż tak daleko idących wniosków.

Dlatego zwolnił go pan, aby zachować tę wiedzę dla siebie. I oto nagle dowiedział się pan, że ów wyrzucony naukowiec skradł ściśle tajny dysk. W jakiś sposób go rozkodował, skopiował i wyniósł. To coś, czego nawet pan nie potrafiłby dokonać. Cóż za sposobność, aby pańscy klienci zdobyli wszystkie kluczowe informacje. I wtedy dowiedział się pan, że Corso kontynuował dzieło swojego poprzednika. A nawet zrobił więcej. Odkrył umiejscowienie maszyny. I te koordynaty znajdowały się na tym twardym dysku. Dlatego powiedział pan o tym swoim mocodawcom, a ci postanowili działać i zabili Corsę oraz jego matkę. Ale nie zdobyli dysku, bo to ja znalazłem go pierwszy.

Chaudry popatrzył na osłupiałą grupkę.

- Ten człowiek nie ma żadnych dowodów na poparcie swojej szalonej teorii spiskowej. Mamy zadanie do wykonania.

Ford powiódł po twarzach zebranych i dostrzegł w ich oczach powątpiewanie, a nawet wrogość.

- Freemana zabito przy użyciu garoty, narzędzia do duszenia wykonanego ze struny od fortepianu - ciągnął Ford. - Żaden bezdomny ćpun nie morduje w ten sposób. Nie. Zabójca pragnął zdobyć informacje - i twardy dysk. Właśnie temu miała służyć garota. Gdy owiniesz taką struną czyjąś szyję, ten ktoś z miejsca nabiera chęci do mówienia. Wszyscy, tylko nie Freeman.

- To zwykłe bzdury - rzekł Chaudry i zaśmiał się drwiąco. - Dlaczego go słuchacie? Nagle odezwała się Marjory Leung:

- A ja w to wierzę. Wierzę, że doktor Chaudry jest winny.

- Marjory, postradałaś rozum?

Odwróciła się do niego.

- Nigdy nie zapomnę tego, co mówiłeś o Pakistanie, Indiach i Chinach. To było tamtego wieczoru? - Zaczerwieniła się. - Tego wieczoru, który spędziliśmy razem. Powiedziałeś, że przeznaczeniem Pakistanu jest stać się potęgą technologiczną. Że Stany są skończone, zepsute przez bogactwo, materializm i hulaszczę życie, że utraciliśmy etos pracy, a nasz system edukacyjny się sypie. Nigdy nie zapomnę, jak powiedziałeś, że Chiny i Indie są zbyt skorumpowane i w końcu będą musiały przegrać z Pakistanem.

- Z Pakistanem? - wtrącił Lockwood. - Sądziłem, że doktor Chaudry pochodzi z Indii.

- Jest Kaszmirczykiem - wyjaśniła Leung. - To zasadnicza różnica.

Chaudry zachowywał posępne milczenie.

- Wiem, jak to działa - ciągnęła Leung. - Sama tego doświadczyłam. Kilku moich chińskich kolegów rzuciło raz czy dwa drobną aluzję. Wydaje im się, że ponieważ jestem rodowitą Chinką, zechcę przekazywać informacje, które mogłyby wspomóc ich program kosmiczny. To mnie rozwściecza. Bo jestem Amerykanką. Nigdy bym się na to nie zgodziła. Ale ty... Pamiętam, co powiedziałeś tamtego wieczoru. I właśnie o to w tym wszystkim chodzi: przekazywałeś informacje do Pakistanu.

- Nie chodziło o pieniądze - wtrącił Ford. - Ale o coś znacznie głębszego. Może o patriotyzm albo religię. To największe odkrycie wszech czasów. Bardzo kuszące, by je zawłaszczyć. Kto wie, jakie nowinki technologiczne dałoby się pozyskać z tej obcej maszyny, zwłaszcza że to przecież broń. I kiedy twardy dysk ze wszystkimi danymi na temat owej maszyny w cudowny sposób ulotniły się z Instytutu, nadarzyła się sposobność.

- Bzdury - burknął Chaudry.

- Wiedziałem, że kret najprawdopodobniej musi być w tej sali. I dlatego zastawiłem na niego moją małą pułapkę. Patrzcie tylko, kto się w nią złapał.

- Skończył pan? - rzucił chłodno Chaudry.

Ford rozejrzał się dokoła, napotykalając powątpiewające spojrzenia.

- Proszę, proszę, nieźla historyjka - ciągnął Chaudry. - Jest tylko jeden szkopał.

Wszystko to jest oparte na domysłach niepopartych dowodami. Prawdą jest, że miałem romans z Marjory, jak wielu innych w Instytucie. Pomyliłem się. Ale nie jestem szpiegiem.

- Doprawdy? - powiedziała Leung. - Dlaczego zatem Freeman tuż przed tym, jak został wylany, powiedział mi, że zażądałeś całej jego analizy na temat emisji promieniowania gamma? Tylko po to, by ją zdobyć, a następnego dnia powiedzieć, że go zwolnisz, jeżeli nadal będzie nad tym pracował? Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, by zniechęcić wszystkich w całym Instytucie do bliższego przyjrzenia się danym o promieniowaniu gamma? Kazałeś obecnemu tu Derkweilerowi, aby zwolnił Corsa właśnie dlatego, że zainteresował się emisją promieniowania gamma.

Na twarzy Derkweilera pojawił się wyraz olśnienia.

- Zgadza się. A potem zażądałeś, abym dostarczył ci wszystkie dane z analizy Corsa dotyczące promieniowania gamma. Zastanawiałem się, co cię w nich tak nagle zafascynowało.

Chaudry burknął:

- Nonsens. Niczego takiego sobie nie przypominam. }■ - To było zaledwie tydzień temu.

- Nie zniosę dłużej tych absurdalnych oskarżeń.

Ford uniósł w dłoni świstek z zapisanym hasłem.

- Mógł mnie pan o to poprosić. Ale nie zrobił pan tego. Tylko ukraść pan tę kartkę. Dlaczego?

- Już mówiłem, dla bezpieczeństwa. Zostawił pan tę kartkę w kieszeni marynarki. Leung nie ustępowała:

- Tamtego wieczoru pytałeś mnie wielokrotnie: Co ci mówił Freeman na temat promieniowania gamma?

Przerwała, po czym wymierzyła w niego drżący palec wskazujący.

- Jesteś... mordercą.

- Pakistan? - wtrącił się Lockwood. - Przecież to zacofany kraj. Po jaką cholerę moglibyście chcieć takich informacji? Nie mają programu kosmicznego, badań naukowych, niczego.

- Śmiem twierdzić co innego - rzucił lodowatym tonem Chaudry - Jesteśmy krajem A.Q. Khana, jednego z największych uczonych, jaki kiedykolwiek żył. Mamy bombę atomową, pociski dalekiego zasięgu,

dysponujemy technologią wzbogacania uranu. Ale co najważniejsze, mamy po naszej stronie Boga. Kości zostały rzucone już dawno temu. Wszystko, co się wydarza, jest zrzędzeniem losu, stanowi inne określenie boskiego planu. Ci, którzy uważają, że mogą wpłynąć na prawdziwy bieg rzeczy, błędzą. Einstein określił to mianem czasu uniwersalnego. My nazywamy to Fatum. Kto, pytam was, jest potężniejszy od Allacha?

Ford zwrócił się do jednego z oficerów dyżurnych, który stał sztywno w korytarzu:

- Myślę, że powinien pan odprowadzić tego człowieka do aresztu.

Nikt nawet nie drgnął. Strażnik stał w bezruchu jak sparaliżowany.

Słychać było jedynie ciężki oddech Chaudry ego. Mickelson wyjął pi stolet i wycelował w Chaudry'ego.

- Słyszeliście? Załóżcie mu kajdanki.

Chaudry wyciągnął przed siebie ręce złączone w nadgarstkach. Na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech. \

- Proszę.

Gdy założono mu kajdanki, rzekł półgłosem:

- Teraz to już nie ma znaczenia. Jako kraj jesteście skończeni i do skonałe o tym wiecie. My jesteśmy czysti i zaskarbiliśmy sobie przychylność Boga. Na dłuższą metę zwyciężymy. Zapamiętajcie moje słowa: przyszłość należy do Pakistanu. Jak Bóg pozwoli, pokonamy Indie i zapoczątkujemy nową erę nauki pakistańskiej, która zadziwi świat.

Chowając pistolet do kabury, Mickelson, władczy mimo wygniecionego munduru, rzucił ostro do oficera dyżurnego:

- Wyprowadźcie go stąd.

Odwrócił się do pozostałych.

- Mamy dwadzieścia minut, zanim będziemy musieli złożyć raport prezydentowi, więc weźmy się w karby.

- Teraz, kiedy zdemaskowaliśmy kreta - ponownie odezwał się Ford - mogę podać państwu informację dotyczącą umiejscowienia maszyny. Ponieważ ona wcale nie znajduje się na Marsie.

Grupa, wstrząśnięta, czekała w milczeniu.

- Lecz na Deimosie.

88

Jackie zataczała łodzią ciasne kręgi pod osłoną Devil's Limb, podczas gdy Abbey i jej ojciec sprawdzali rozmiary uszkodzeń Marei. Mężczyzna zajrzał do głównego luku, przepatrując przedział silnikowy, Abbey zaś przyświecała mu latarką. Widziała czarną oleistą wodę przelewającą się w przedziale, łódź przeciekała.

- Jest bardzo źle?

Straw wyprostował się, po czym wytarł ręce papierowym ręcznikiem. Był cały przemoczony, a jasnobrązowe włosy przylepiały się do czoła. Miał podbite oko i rozcięcie na kości policzkowej.

- W kadłubie jest parę paskudnych pęknięć, które mogą się powiększyć na wzburzonym morzu. Ale to nic takiego, z czym na razie nie mogłyby sobie poradzić pompy zęzowe. Jackie włączyła radio na kanał meteo, gdzie głos jak z komputera podawał nieprzyjemne prognozy: wysokość fal do pięciu metrów, siła wiatru trzydzieści węzłów, w porywach do sześćdziesięciu, silne opady, poziom przyływu wyższy o półtora metra od przeciętnego, ostrzeżenie dla mniejszych jednostek... Sztorm przybierał na sile i ani myślał słabnąć. Jackie stała za sterem, spoglądając na mapę rozłożoną na desce rozdzielczej.

- Myślę, że powinniśmy opłynąć Sheep Island i dotrzeć przesmykiem między wyspami do Rockland.

Straw pokręcił głową.

- To zbyt ryzykowne. Wychodząc na pełne morze, bylibyśmy kompletnie odsłonięci. Lepiej spróbować przepłynąć na ukos przez zatokę, tu fale będą stosunkowo mniejsze. Błyskawica rozcięła niebo, zaraz potem rozległ się grzmot. Abbey dostrzegła wrak drugiej łodzi, z której pozostała już tylko zbita masa straskanego włókna szklanego, roznoszona w pył przez fale bezlitośnie i nieustannie ciskające ją na rafy.

- Moglibyśmy popłynąć do Vinalhaven - powiedziała Jackie. - W ten sposób także uniknęlibyśmy wyjścia na otwarte wody.

- Tak, to rozsądna propozycja.

Wtem odezwała się Abbey

- Nie popłyniemy do Rockland ani do Vinalhaven.

- Jak to? - zdziwił się jej ojciec.

Abbey spojrzała na niego i Jackie.

- Mamy coś ważniejszego do zrobienia. Może to zabrzmieć jak czyste szaleństwo, ale Jackie na pewno mnie poprze. W ubiegłym roku Stany Zjednoczone umieściły na orbicie wokół Marsa satelitę badawczego. Jego zadaniem było sporządzenie szczegółowych map Marsa i jej księżyców. Satelita wykonał między innymi zdjęcia księżyca Marsa, Deimos, radarem do penetracji gruntu.

- Abbey, proszę, nie czas teraz...

- Posłuchaj, tato! Ten radar przebudził coś na Deimosie. Bardzo starą, bardzo niebezpieczną maszynę obcych. Przypuszczalnie broń.

- Ze wszystkich szalonych...

- Tato!

Zamilkł.

- Broń kosmitów, która oddała strzał w kierunku Ziemi. Ten meteor, który widzieliśmy kilka miesięcy temu, to był właśnie pierwszy wystrzał. To, co stało się z Księżycem, było efektem drugiego strzału.

Abbey wyjaśniła pokrótce ojcu, jak wspólnie z Jackie wybrała się na poszukiwanie meteorytu i odnalazła dziwny mały otwór, jak poznała Wymana Forda i co wspólnie odkryli.

Wyraz twarzy ojca zmienił się z niedowierzania w powątpiewanie. Spojrzał na nią z przejęciem.

- No i?

- Ten strzał do Księżyca to była demonstracja siły. Ostrzeżenie.

- I co właściwie zamierzasz z tym zrobić? - spytała Jackie.

Silny podmuch wiatru zatrzęsł sterówką, pył wodny spryskał okno.

- Wiem, że to może zabrzmieć jak czysty obłęd, ale wydaje mi się, że możemy to powstrzymać.

Jackie spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Troje przemoczonych do suchej nitki ludzi w uszkodzonej łodzi u wybrzeży Maine, na morzu, na którym szaleje sztorm i gdzie telefony komórkowe nie mają zasięgu, ma ocalić świat? Odbiło ci?

- Mam pewien pomysł.

- O nie, tylko nie kolejny z twoich pomysłów - jęknęła Jackie.

- Znasz Earth Station, tę wielką, białą, wyglądającą jak bańka konstrukcję na Crow Island? Pamiętasz, jak w liceum zabrano nas tam na wycieczkę? Wewnątrz tej instalacji znajduje się talerz zbudowany przez AT&T do przesyłania rozmów telefonicznych do Europy. Teraz wykorzystuje się go do łączności satelitarnej, transmisji telewizyjnych, internetu, sieci komórkowej i takich tam.

- No i?

Jackie odgarnęła mokre włosy z twarzy.

- Skierujemy talerz w stronę Deimosa i wykorzystamy do przesłania temu skurwielowi wiadomości.

Jackie spojrzała na Abbey.

- Jakiej treści? „Mój starszy brat tak ci dołoży, że popamiętasz?”.

- Jeszcze nie wiem, wciąż się nad tym zastanawiam.

89

Jackie się zaśmiała.

- Naprawdę jesteś nienormalna, wiesz? Będziemy mieć szczęście, jeśli uda nam się dotrzeć cało do jakiegokolwiek portu przy tym cholernym sztormie. A ty chciałabyś, żebyśmy przepłynęli przez Zatokę Muscongus, żeby nadać wiadomość? Czy to nie może poczekać do jutra?

- Nie wiemy, kiedy ta broń może ponownie wypalić. A coś mi mówi, że następny strzał może oznaczać koniec.

- Jakim cudem ta machina obcych miałaby znać angielski?

- Jest bardzo zaawansowaną konstrukcją i co najmniej od dwóch miesięcy, odkąd została uaktywniona, monitoruje nasze transmisje radiowe.

- Skoro jest tak zaawansowana, zwrócimy się do niej bezpośrednio przez radio.

- Daj spokój, Jackie, bądź poważna. Nawet gdyby ta machina była w stanie rozróżnić naszą transmisję pośród biliona innych, nie potraktowałaby tego oficjalnie. Potrzebny jest naprawdę silny sygnał z konkretnym przesłaniem. Coś, co wyglądałoby jak oficjalny komunikat z Ziemi.

- Dlaczego nie możemy pozostawić tego rządowi? - odezwał się ojciec.

- Ufasz rządowi, że zajmie się tym, jak należy? Po pierwsze wyprą się wszystkiego.

Albo będą marnować czas na niekończące się debaty, albo spróbują w jakiś sposób rozwalić tę machinę. Tak czy owak będzie po nas. Co gorsza, myślę, że między innymi to CIA próbowała nas zabić. Nawet Ford się ich boi. Jesteśmy zdani na siebie i musimy natychmiast coś zrobić.

- Dotarcie do Crow oznacza przejście przez obszar silnego prądu przy Ripp Island, a następnie przez otwarte morze na przestrzeni

trzech mil - rzekł jej ojciec. - Przy tym sztormie nie mamy najmniejszych szans.

- Musi nam się udać.

- A kiedy już tam dotrzemy - ciągnęła Jackie - tak po prostu wejdziemy do środka i powiemy: „Hej, czy moglibyśmy wykorzystać tę waszą stację, bo chcielibyśmy nadać komunikat do kosmitów na Marsie?”.

- Zmusimy ich, jeżeli to będzie konieczne.

- Niby czym? Bosakiem?

Abbey spojrzała na nią.

- Jackie, ty nic nie rozumiesz! Ziemia stała się celem ataku. Być może jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy zdają sobie z tego sprawę.

- Do diabła z tym - mruknęła Jackie. - Głosujmy.

Spojrzała na Strawa.

- Co pan na to? Ja jestem za tym, żeby płynąć do Vinalhaven.

Abbey popatrzyła na ojca; jego jasne oczy były zaczerwienione, z brody ściekała woda.

- Jesteś pewna tego, o czym mówisz? - zapytał.

- Nie do końca.

- A więc opierasz się w znacznej mierze na domysłach?

- Tak.

- To brzmi jak czyste szaleństwo.

- Wiem o tym. Ale tak nie jest. Proszę cię, tato, zaufaj mi. Ten jeden jedyny raz.

Milczał przez dłuższą chwilę, aż wreszcie pokiwał głową i odwrócił się do Jackie.

- Płyniemy na Crow Island. Jackie, potrzebuję cię w roli obserwatora. Abbey, zajmiesz się nawigacją. Ja stanę za sterem.

90

Bez chwili wahania Straw pchnął przepustnicę do przodu, zakręcił kołem sterowym i skierował łódź w otchłań sztormu.

- Trzymajcie się - powiedział.

Gdy tylko wypłynęli zza osłony Devil's Limb, Marek II otoczył ryk rozszalałego żywiołu, strugi deszczu uderzyły w szyby, powietrze wypełniło się morską pianą i pyłem wodnym.

Fale wznosiły się coraz wyżej, groźne grzywacze nadpływały jeden za drugim w regularnych odstępach czasu, a ich grzebienie były rozwiewane przez niemal huraganowy wicher. Wiatr zmienił się, nadszedł teraz ze wschodu, przez co fale uderzały w kwartał rufowy, pchając łódź do przodu i w bok. Ojciec Abbey walczył z naporem wiatru, to przyspieszając, to zwalniając. Gdy kolejny grzywacz dźwigał się pod łodzią coraz bardziej stromo, Straw zwiększał prędkość, by fale nie wepchnęły rufy łodzi pod wodę. Kiedy fala mijała, łódź stabilizowała pozycję, dziób się prostował, a potem unosił, by zaraz runąć w dół uskoku za grzbietem fali. Wszystko spowijała wówczas niezwykła cisza, lecz nie trwała ona długo, bo kolejna fala znów unosiła ich ku ryczącej kipieli. Łódź prowadzona wprawą ręką ojca Abbey zdawała się wpaść w ten rytm, przewidywalny i powtarzalny, a przez to przydający jej pasażerom otuchy i pewności siebie. Abbey obserwowała, jak przepływają przez zatokę, i kiedy w końcu weszli na osłonięte wody kanału Muscle Ridge, morze znacznie się uspokoiło.

- Abbey - rzekł ojciec - sprawdź zęzę dziobową. Wygląda na to, że pompa pracuje tam niemal bez przerwy.

- Robi się.

Zeszła do kajuty, otworzyła pokrywę luku i poświeciła do środka. Dostrzegła przelewającą się wewnątrz wodę. Omiatając zęzę promieniem latarki, stwierdziła, że woda przekroczyła poziom automatycz-

nego wyłącznika pompy. Wychylając się bardziej, powiodła światłem latarki po mętnej wodzie, po czym pomacała krzywiznę kadłuba. Jej palce odnalazły pęknięcie i poczuła strugę wlewającej się przez nie wody. Otwór nie był szeroki, ale dość długi, a co gorsza, manewry, jakie wykonywała łódź, sprawiały, że szczelina powiększała się nieuchronnie, kiedy jej brzegi ocierały się o siebie. Poziom wody w zęzie rósł, mimo iż pompa pracowała bez wytchnienia. Abbey wróciła na górę.

- Wody przybywa szybciej, niż pompa jest w stanie odprowadzać - powiedziała.

- Wobec tego ty i Jackie musicie zacząć ją wybierać kubłami.

Abbey wyciągnęła spod zlewu plastikowy kubek. Jackie stanęła

przy drzwiach kajuty. Abbey nabierała wody z zęzy i podawała kubeczek Jackie, a ta opróżniła jego zawartość za burtę. W wodzie z zęzy były ślady ropy i oleju silnikowego i niebawem obie dziewczyny były nimi umazane i cuchnące. Ale najwyraźniej odniosły sukces, bo powoli poziom wody zaczął opadać. Wkrótce ich oczom ukazała się długa szczelina.

- Przynies mi wodoodporną żeglarską taśmę uszczelniającą - powiedziała Abbey do przyjaciółki.

Kiedy Jackie podała jej rolkę, Abbey oderwała spory kawałek. Nachylając się w głąb kołyszącej się zęzy cuchnącej olejem i ropą, ścierką przetarła fragment kadłuba z włókna szklanego. Następnie zalepiła szczelinę poziomo i pionowo kilkoma warstwami taśmy, mocno dociskając ją do powierzchni tworzywa. Wyglądało na to, że taśma wytrzyma. Pompa zęzowa, pracując pełną parą, była teraz w stanie usuwać wodę z pomieszczenia bez pomocy brygady kubełkowej.

- Abbey - odezwała się Jackie - ojciec cię woła na pokład. Wchodzimy w obszar działania prądu przybrzeżnego.

Abbey wróciła do sterówki. Opuścili już kanał i znów znaleźli się na wzburzonym morzu. W oddali Abbey ujrzała ciąg grzywaczy. Tam brał swój początek groźny prąd przybrzeżny, od którego wzięła nazwę Ripp Island; fale wokół północnej rafy były spienione i dzikie. Tu było klasyczne przejście przez piekło, w tym miejscu prąd przybrzeżny, napotykał potężną wicherę i wzburzone morze, tworzył gigantyczne fale i wiry.

- Trzymajcie się - zakrzyknął ojciec Abbey, przyspieszając.

Kiedy łódź natrafiła na prąd, zwolniła, a Straw wciąż zwiększał obroty silnika, by zniwelować działanie prądu. Fale napierały od rufy, a prąd próbował obrócić Mareę II od dziobu, wykonując nią gwałtowne i nieprzewidywalne ruchy, które ojciec Abbey gorączkowo starał się opanować, kręcąc kołem sterowym to w jedną, to w drugą stronę. Silne fale przelewały się nad dziobem, obmywając fordek, podczas gdy mniejsze grzywacze uderzały w rufę i strugi wody niemal nieprzerwanie wylewały się przez luki odpływowe. Łódź dygotała pod wpływem nieustannych naprężeń, grzmiące fale biły o kadłub z dwóch stron.

Straw nie odzywał się ani słowem; blask płynący z pulpitu oświetlał jego pełną napięcia twarz upiorną zielonkawą poświatą, muskularne ramiona pracowały przy kole sterowym. To była przegrana bitwa. Luki odpływowe nie radziły sobie z wodą, zalewając rufę łodzi, a kolejne fale, rozbijające się o fordek, sprawiały, że coraz więcej gromadziło się jej w kokpicie rufowym.

- Jezu, chyba nie damy rady - powiedziała Jackie, idąc z kubkiem na rufę.

- Wracaj tu! - rzekł Straw. - Zmyje cię za burtę!

Silnik zaryczał, protestując przeciwko zwiększającemu się obciążeniu, łódź trzęsła się i dygotała pod naporem fal. Abbey usłyszała zgrzyt i skrzypienie pękniętego kadłuba. Nie brzmiało to optymistycznie.

Wróciła do kajuty.

Unosząc pokrywę luku, stwierdziła, że pęknięcie znów się roz-szczelniło i do środka wlewało się teraz jeszcze więcej wody niż poprzednio. Schwyciła taśmę, oderwała kawałek i próbowała zalepić otwór, ale poziom wody znów się podniósł i szczelina została zalana tak, że taśmy nie udało się nakleić. Poza tym woda wlewała się z taką siłą, że o uszczelnieniu otworu nie było mowy.

- Łapcie za kubły! - zawołał ojciec Abbey.

- Woda wdziera się zbyt szybko!

- Wobec tego przenieś pompę dziobową na rufę! Jackie, zajmij się tym!

Jackie zniknęła w luku dziobowym i po chwili wyłoniła się z pompą, szlauchem i kilkoma kablami.

- Przytnij szlauch i przewody - komenderował Straw. - Przymocuj je do akumulatora, zabezpiecz i wystaw szlauch przez iluminator.

- Robi się.

Łódź ze skrzypieniem i jękiem przedzierała się przez fale, podczas gdy załoga uwijała się w pocie czoła. Pięć minut później końcówka szlauchu odprowadzającego wodę została wystawiona na zewnątrz przez otwór iluminatora.

Pompy buczały. Poziom wody w zęzie już się nie podnosił, a nawet zaczął opadać.

- Udało się! - krzyknęła Jackie, przybijając piątkę Abbey

W tej samej chwili ogromna fala uderzyła w kadłub z przeraźliwym łoskotem, a Abbey usłyszała głuchy trzask. Nagle do zęzy zaczęła wlewać się woda, na powierzchni pojawiły się bąble powietrza.

- O Boże!

Abbey patrzyła ze zgrozą, jak wirująca woda wpływająca coraz większą strugą po kilku chwilach zaczęła się przelewać ponad otworem luku i zalewać kajutę.

- Zamknij klapę! - krzyknęła Jackie.

Abbey zamknęła klapę luku i zabezpieczyła dźwigniami mocującymi, gdy woda zaczęła się przelewać ponad krawędziami otworu. Ale to było tylko rozwiązanie tymczasowe. Przegrody, w których umieszczono przewody i kable nie były wodoszczelne, i Abbey słyszała już ryk wody wdzierającej się do przedziału silnikowego.

- Na pokład! - zawołał Straw.

Obie wyszły na pokład.

- Tato - powiedziała Abbey - toniemy...

- Włóżcie kamizelki ratunkowe. Ale już! Gdy tylko woda dotrze do przedziałów dziobowych, stracimy sterowność.

Usiłując nadać łodzi możliwie jak największy rozpęd i przyspieszenie, Straw pchnął manetkę przepustnicy do oporu. Marea II z rykiem przemknęła obok Ripp Island, a Abbey dostrzegła pośród strug deszczu światła palące się w domu admirala. Choć silnik pracował na najwyższych obrotach, łódź coraz bardziej zwalniała i nabierała przechyłu. Silnik ryczał, ale wciąż jeszcze pracował.

- Toniemy! - krzyknęła Jackie.

Fala rozprysnęła się ponad burtą, przechylając łódź, która już nie wróciła do pionu, szła dalej, ale z silnym przechyłem, a wlewająca się woda dodatkowo utrudniła pracę silnika. Abbey spojrzała na szalejące za nimi prądy, wielkie grzywacze rozbijające się o kamienisty brzeg - gdyby łódź tu i teraz poszła na dno, nie mieliby szans na przeżycie.

Ojciec Abbey zakręcił sterem i skierował łódź wprost na skały Ripp Island. Teraz fale rozbijały się o stępkę łodzi i przelewały nad okrężnicą. Po panelu silnika przepłynęła struga iskier. Przy wtórze głośniego trzasku cała elektronika przestała działać, na pulpicie zrobiło się ciemno, a wewnątrz sterówki wypełnił smród topiącej się izolacji. Równocześnie silnik zakaszał, zakrztusił się i zgasł. Z przedziału silnikowego buchnęły kłęby pary, a wraz z nim smród ropy i oleju. Łódź sunęła naprzód pchana bardziej prądem niż siłą rozpędu, fale przelewały się przez burte. Błyskawica rozdarła niebo, rozległ się grzmot. Łódź zbliżała się do strefy przybrzeżnych fal, te wielkie, nadciągające od strony pełnego morza, pchały ją ku linii białych grzywaczy.

- Wy dwie, na dziób i przygotujcie się do skoku! - zawołał ojciec Abbey.

Łódź pozbawiona zupełnie sterowności uniknęła zetknięcia z prądem przybrzeżnym, ale kolejny grzywacz pochwycił ją na wysokości rufy i zaczął znosić w kierunku wiru.

- Teraz!

Przytrzymując się uchwytu i relingu, Abbey i Jackie ruszyły naprzód. Morze przed nimi było spienione, wyglądało jak rozszalała kipiela i wydawało dźwięki przywodzące na myśl ryk stada głodnych

Iwów, wielkie kaskady wody strzelały w górę na trzy do pięciu metrów. Ojciec Abbey pozostał za sterem, usiłując ustabilizować łódź.

- Nie dam rady - powiedziała Jackie, spoglądając przed siebie.

- Nie masz wyboru.

Kolejny wielki grzywacz trafił w rufę i pchnął łódź do przodu z potężną siłą, po chwili z boku uderzyła w nich inna fala i Marea II znalazła się w strefie przyływu, gdzie fale były spienione i sunęły z olbrzymią prędkością ku brzegowi.

Rozległ się rozdzierający huk, prawie jak odgłos eksplozji, gdy łódź uderzyła o skały. Jednak kadłub wytrzymał i następna fala dźwignęła ją w górę i przeniosła poza najbardziej niebezpieczny obszar przybrzeżnych skał. Jednak już po chwili łódź napotkała następną skałę, która przełamała jej stępkę, i przechył nagle się pogłębił.

- Teraz! - zawołał ojciec Abbey.

Dziewczyny skoczyły w skłębioną wirującą wodę, poszukując rozpaczliwie gruntu pod nogami. Gigantyczna fala zalała Marea II, ale łódź przyjęła na siebie cały impet uderzenia, dając im dość czasu, aby mogły się pozbierać.

- Tato! - krzyknęła Abbey; było ciemno choć oko wykol i nie widziała nic prócz rozmytej szarej sylwetki łodzi. - Tato!

- Chodź tu szybko - rozkazała Jackie.

Abbey zaczęła się piąć po skałach, to płynąc, to ślizgając się w wodzie, i po chwili udało jej się wejść na wierzchołek pochyłej skały. Dostrzegła jakiś kształt w wodzie - to była ręka - a potem jej ojciec wyłonił się spomiędzy fal i objął skałę ramieniem.

- Tato!

Abbey ześlizgnęła się w dół i schwyciwszy go za rękę, pomogła mu dostać się w bezpieczne miejsce. Weszli dalej po skałach i dotarli do niewielkiej łąki na skraju linii brzegowej. Byli bardzo zmęczeni i ciężko oddychali. Patrzyli w niemym oszołomieniu, jak Marea II wyrzucona przez fale na skały rozpada się na pół. Obie części znów zostały porwane przez fale i wyrzucone przez prąd, który powoli, lecz bezlitośnie roznosił je na strzępy. Na falach zaroilo się od szczątków zniszczonej

łodzi. Abbey spojrzała na ojca, który wpatrywał się we wrak, ale wyraz jego twarzy pozostawał nieodgadniony

Odwrócił wzrok.

- Wszyscy cali?

Pokiwały głową. To cud, że uszli z tego z życiem.

- Co teraz? - spytała Jackie, wyżymając włosy

Abbey rozejrzała się dokoła. Ponad drzewami widać było dach rezydencji. W oknach na piętrze paliło się światło. Po drugiej stronie łąki, między drzewami, dostrzegła przystań w zacisznej zatoczce, gdzie cumował duży biały jacht.

Jackie podążyła za jej spojrzeniem.

- O nie - powiedziała. - Nic z tego.

- Musimy to zrobić - upierała się Abbey. - Musimy spróbować. Ta machina kosmitów próbuje zwrócić naszą uwagę, żąda naszego odzewu i Bóg raczy wiedzieć, co robi, gdy się go nie doczeka.

Ojciec Abbey wstał.

- Skoro tak, to dobrze. Zabierzmy ten jacht.

Poszli przez łąkę w kierunku zatoki. Wiatr targał wierzchołkami drzew, a dom w strugach deszczu wydawał się wysoki i wysmukły. Dotarli do krańca pirsu. Na pływającym pomoście leżała zacumowana szalupa. Spuścili ją na wodę i wsiedli. Ojciec Abbey zajął się wiosłowaniem. Łódka przemknęła gładko przez wody zatoczki i już po chwili podpłynęli do jachtu. Straw wskoczył na pokład i przytrzymał szalupę, po czym pomógł dziewczętom wejść na jacht. Sterówka nie była zamknięta na klucz. W stacyjce panelu kontrolnego łodzi nie było

jednak kluczyków. Zaczęli szukać. Jackie znalazła płócienny woreczek i wysypała jego zawartość na stół nawigacyjny. Były tam pieniądze, narzędzia, butelka whisky oraz kluczyki.

- Spójrzcie tylko - powiedziała z uśmiechem.

Ojciec Abbey stanął za sterem i uruchomił panel kontrolny. Sprawdził urządzenia pokładowe, poziom paliwa i oleju, po czym włożył kluczyk do stacyjki, odpalając kolejno silniki.

Odpowiedziały głębokim gardłowym warkotem.

Abbey dostrzegła błysk świateł od strony pirsu. Sto metrów od nich biegli ludzie, krzycząc coś i gestykułując. Światła na przystani zapaliły się, sprawiając, że w zatoce zrobiło się jasno jak w dzień. Rozległ się strzał.

- Kotwica w górę! - zakrzyknął Straw.

91

Jacht, dłuższy i cięższy niż Marea II, był lepiej przygotowany do radzenia sobie na morzu podczas sztormu. Ojciec Abbey stał za sterem i kiedy opłynęli molo, śmiało wyprowadził łódź na pełne morze. Lało jak z cebra i od czasu do czasu niebo przecinały błyskawice, huk grzmotu mieszał się z rykiem wiatru i łoskotem fal. Radio VHF ożyło i z głośników dobiegł ich nieartykułowany, lecz ewidentnie przepełniony wściekłością głos.

Ojciec Abbey wyłączył radio.

Łódź przebiła się przez falę i gładko zsunęła się w uskok za nią. Abbey serce podeszło do gardła.

- Jackie, uruchom elektronikę - powiedział Straw, wskazując ruchem ręki na ciemne, wygaszone ekrany.

- A ja sprawdzę, czy na jachcie nie ma jakiejś broni - powiedziała Abbey.

- Broni? - spytała Jackie.

- Chcemy przejąć Earth Station - przypomniała Abbey. - Będzie nam potrzebna broń.

- Nie dałoby się im tego tak po prostu wytłumaczyć?

- Szczerze wątpię.

Abbey spróbowała otworzyć drzwi do kajuty, ale były zamknięte na klucz. Zamachnęła się stopą i kopnęła raz, potem drugi. Drzwi z cienkiej sklejki ustąpiły bez większego oporu.

Zbiegła po schodach, przytrzymując się poręczy, i zapaliła światło.

Jej oczom ukazała się boazeria z mahoniu i drewna tekowego oraz kubryk pełen najróżniejszych gadżetów, w jadalni, nieco dalej, w oczy rzucał się przede wszystkim zawieszony na ścianie telewizor plazmowy, dalej zaś znajdowały się drzwi prowadzące do luksusowej kabiny. Weszła do kubryku i zaczęła wysuwać szuflady, skąd wybrała najdłuższy nóż kuchenny Następnie skierowała się do kabiny dziobowej; ściany były wyłożone mahoniową boazerią, a podłoga pluszową wykładziną, oświetlenie było subtelne, dyskretne, do sufitu były przymocowane lustra, a na jednej ze ścian wisiał kolejny wielki telewizor. Przetrzęsła szuflady komódki, gdzie znajdowały się przede wszystkim różnego rodzaju gadżety erotyczne, po czym zajrzała do szuflad stolika nocnego.

Rewolwer.

Zawahała się przez chwilę, po czym wyjęła go z szuflady. Łódź zatrzęsała się pod naporem fali, a liczne staroświeckie ozdóbki poprze-suwały się i kilka spadło na podłogę. Jeszcze jedno głuche łupnięcie - lampa oderwała się od ściany i zawisała na krótkim przewodzie.

Abbey przytrzymała się poręczy łóżka, podczas gdy jacht unosił się coraz wyżej, bez końca.

Pod pokładem wydawało się to jeszcze straszniejsze, bo nie można było zobaczyć, co się właściwie dzieje. Kiedy jednak jacht nadal się wznosił, Abbey uświadomiła sobie, że musiała to być naprawdę gigantyczna fala.

Usłyszała stłumiony ryk przełamującego się grzywacza i przytrzymała się jeszcze mocniej.

Zupełnie jakby wybuchła bomba - łódź została rzucona w bok przy wtórze rozdzierającego trzasku w pustym pokoju. Ten dźwięk wydał się jeszcze donośniejszy, słychać było brzęk szkła i odgłosy przedmiotów sypiących się na podłogę. Kabina przechylała się coraz bardziej,

szuflady komódki wysuwały się, obrazy spadały ze ścian, a przedmioty z półek. Przez chwilę Abbey bała się, że łódź wywróci się do góry dnem. Jednak w którymś momencie z głośnym jękiem świadczącym o sporych naprężeniach zaczęła powracać do pionu, opadając w kolejny uskok za grzbietem fali. Zapadła chwila przerażającej ciszy, a potem jacht znów zaczął się wznosić coraz wyżej. Kolejna stłumiona eksplozja, a po niej rozdzierający ruch skrętowy. Dał się słyszeć huk i ekran telewizyjny rozleciał się w drobny mak; deszcz odłamków posypał się na podłogę, grzechocząc jak małe kamyki.

Abbey poczekała na chwilę spokoju po następnej fali i pognąła w stronę schodów, by dotrzeć do sterówki. Ojciec, trzymając jedną ręką ster, odebrał od niej rewolwer i otworzył bębenek.

- Jest nabity - stwierdził, po czym zatrzasnął bębenek i wcisnął rewolwer za pasek.
- Chyba... nie zamierza go pan użyć? - spytała Jackie.
- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

92

Pół godziny później z ogromną ulgą Abbey zaczęła dostrzegać w oddali majaczące w strugach deszczu światła kompleksu Earth Station. Jacht, którego nadbudówka, choć poobijana przez fale, skutecznie opierała się sztormowi, wpłynął na spokojniejsze wody osłoniętego ko-twicowiska przy Crow Island. Wkrótce ich oczom ukazała się wielka biała bańka oświetlona przez reflektory i wznosząca się wśród kompleksu budynków na nagiej, smaganej wiatrem połaci wyspy.

Abbey z wycieczki sprzed lat pamiętała mgliście kilku głupkowatych techników, którzy zrobili im wykład na temat tego, czym była Earth Station i jak wyglądało życie na wyspie oraz obsługa urządzeń. Wewnątrz wielkiego białego bąbla znajdowała się olbrzymia, zmechanizowana, ruchoma antena paraboliczna, która, jak przypominała sobie Abbey, mogła być nakierowana na dowolnego satelitę telekomunikacyjnego krążącego wokół Ziemi, a nawet wykorzystywana do nawiązania łączności z pojazdem poruszającym się w przestrzeni kosmicznej. Jednak jej główną funkcją było zarządzanie zagranicznymi rozmowami telefonicznymi - a przynajmniej tyle zdołała zapamiętać.

Abbey miała nadzieję, że antenę da się wycelować w stronę Deimosa - że Deimos krążący po orbicie wokół Marsa nie znalazł się po jego drugiej stronie, gdzie byłby odcięty od kontaktu radiowego z Ziemią.

Jacht zwolnił, wpływając do zatoki. Była doskonale osłonięta dwoma wysokimi skalistymi cyplami, które zdawały się obejmować w czułym uścisku. Dwa betonowe pirsy, stare i popękane, wylaniały się z wody poniżej Earth Station. W zatoce cumowało kilka łodzi, ale przystań promowa była pusta.

Straw zdławił przepustnicę i podprowadził jacht do przystani promowej, zatrzymując go przy pomoście.

Abbey sprawdziła godzinę: czwarta. Spojrzała w górę na ogromną kopułę.

- To jak ma brzmieć ten przekaz? - spytała Jackie.
- Pracuję nad tym.

Jak miała w ogóle zrozumieć zamiar, którym się kierowała broń obcych - jeżeli to była broń?

- Jeżeli to broń - powiedziała Jackie - to dlaczego jeszcze nie zniszczyła Ziemi?
- Może trudno jest znaleźć zamieszkałe planety, takie jak Ziemia. A może ci obcy nie chcą wcale unicestwić rasy ludzkiej, lecz potrzebują jej do innych celów. Stąd to ostrzeżenie, lekki kopniak w tyłek, aby nas zastraszyć, ukazując swoją potęgę, a potem zrobią z nas niewolników

- Niewolników?
- Kto wie? Może ich mentalność jest tak różna od naszej, że nigdy nie zdołamy jej pojąć.

Silniki pracowały na ciągu wstecznym, gdy jacht, dygocząc, zatrzymał się przy platformie.

- Przycumujcie - rzucił oschłym tonem Straw.

Abbey i Jackie zeskoczyły na pomost i wykonały polecenie. Potem wszyscy troje stali przez chwilę na przystani pośród szalejącego sztormu, w strugach deszczu. Abbey była tak przemoczona i zziębnięta, że prawie nic już nie czuła. Patrząc na ojca i Jackie, uświadomiła sobie, że wyglądali przerażająco, z twarzami pobrudzonymi smarem, w ubraniach cuchnących ropą.

Spojrzała na kopułę i poczuła narastającą panikę - co powinna powiedzieć? Co mogła powiedzieć, aby ocalić Ziemię? Nagle cały ten plan wydał się jej niedorzeczny, wręcz idiotyczny. Co jej wpadło do głowy - skąd przekonanie, że byłaby w stanie odwieść tę maszynę kosmitów od unicestwienia Ziemi? Co więcej, kto wie, czy machina faktycznie była w stanie zrozumieć język angielski - choć Abbey była prawie pewna, że tak zaawansowana technologicznie konstrukcja musiała być zdolna do monitorowania przekazów oraz tłumaczenia i interpretacji tego, co zdołała przechwycić.

Nieważne. Warto było spróbować - jeżeli tylko zdoła wymyślić, właściwie chce powiedzieć. Ojciec Abbey poprawił rewolwer za paskiem. - Chodźcie za mną, zachowujcie spokój i bądźcie grzeczne.

93

Pochyleni z powodu szalejącej burzy, dotarli do końca pirsu i wyszli na asfaltową drogę prowadzącą do kompleksu na szczycie wyspy Wiatr wył, pioruny biły, a grzmoty mieszające się z łoskotem fal rozbryzgujących się o brzeg tworzyły nieustającą ogłuszającą kakofonię dźwięków.

W miarę jak droga pięła się pod górę, ich oczom ukazała się Earth Station w całej okazałości, wzniesiona w najwyższym punkcie wyspy, z wielką geodezyjną kopułą górującą nad skupiskiem ponurych budynków z gazobetonu, z wieżą radarową i mnóstwem anten mikrofalowych. Earth Station, niebędąca bynajmniej cudem nowoczesnej techniki, roztaczała aurę smutku i zaniedbania, jak przeżytek opuszczony i pozostawiony samemu sobie. Kopułę pokrywały zacieki od wilgoci, domy były zapuszczone, droga porośnięta chwastami i pełna dziur. Niegdyś bielone budynki-były tak osmagane przez wichury i burze, że w niektórych miejscach przeświecał goły beton. W baraku z blachy falistej, otwartym z jednej strony, można było dostrzec rdzewiejące wyposażenie, stosy belek wspornikowych, sterty piasku i poszarzałego drewna. Poniżej stacji, w osłoniętej kotlinie, stało kilka domów i coś, co wydawało się punktem rekreacyjnym. Wokół domu rosły wątle gru-złowate świerki, jedyne drzewa na wyspie oferujące wątpliwą osłonę i jeszcze bardziej wątpliwy powód do radosnego uśmiechu. Pozostała część wyspy była pusta, porośnięta trawą, krzewami i upstrzona występami wypolerowanego jak szkło granitu.

Droga rozchodziła się i wybrali odnogę wiodącą do Earth Station. W betonową ścianę wpuszczone były zardzewiałe metalowe drzwi z napisem „EJSCIE” powyżej; pierwszą literę usunęły deszcz i wiatr, a całość oświetlał surowy fluorescencyjny blask, który nie przydawał temu miejscu ani całej wyspie uroku. Abbey położyła rękę na klamce. Zamknięte. Nacisnęła dzwonek na zardzewiałej płytce przy drzwiach.

Nic.

Nacisnęła mocniej, ale nie usłyszała dźwięku wewnątrz i w końcu postanowiła zapukać. Z zardzewiałego głośnika przy wejściu dobiegły szумы i trzaski, a potem zniekształcony głos:

- Co się stało, Mike, znów zapomniałeś klucza?

Abbey odezwała się do głośnika:

- To nie Mike. Musieliśmy awaryjnie zacumować w waszej ?at0Ce Potrzebujemy pomocy.

- Co? Kto tam?

- Rozbiliśmy się! - krzyknęła do mikrofonu Jackie.

- Wielkie nieba.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Stał w nich łysiejący, przeraźliwie chudy mężczyzna około pięćdziesiątki, a smętne rzadki włosy okalające jego łysinę miał związane z tyłu w długi cienki kucyk,

- Boże drogi! Rozbiliście się! Wejdźcie! Wejdźcie!

W środku ciasnego pawilonu było ciepło. W kącie stał stary kineskopowy telewizor, na ekranie widać było tylko śnieg. Na stoliku w kącie stała resztki nocnej przekąski, opakowania po batonach, kilka puszek coli i kubek z kawą oraz mocno wyświechtane książki: Ziemia jajowa Eliota, W drodze Kerouaca i Finnegans Wake Joyce'a.

- Nic wam nie jest? - spytał strażnik, spoglądając na nich z przejęciem. - Czy wasza łódź zatonała? Siadajcie! Mogę was poczęstować kawą?

- Na razie dziękujemy - rzekł ojciec Abbey, podając mu rękę - Nazywam się Straw. Nasza łódź stoi w zatoce.

- Ja poproszę o kawę - powiedziała głośno Jackie.

- Już podaję.

Usiedli przy metalowym stole, a mężczyzna poszedł do dzbanka z kawą stojącego na podgrzewanej płytce, nalał kawy do kubków i postawił je na stole wraz z pojemnikami z cukrem i śmietanką. Abbey z przyjemnością dosypała do swojej kawy mnóstwo cukru i śmietanki zamieszała i wypila.

- Co, u licha, robiliście na morzu przy takim sztormie? zapytał mężczyzna.

- To długa historia - odrzekł ojciec Abbey, mieszając kawę.

- Chcicie, bym powiadomił straż przybrzeżną?

- Nie, już jesteśmy bezpieczni. Proszę tego nie robić. Zresztą oni i tak by tu nie dotarli, dopóki sztorm nie ucichnie.

- Spośród wszystkich sztormów północnowschodnich, jakie tu widziałem - rzekł mężczyzna - ten jest chyba największy, zwłaszcza jak na okres letni. Macie szczęście, że w ogóle żyjecie.

- Kto jeszcze jest na wyspie? - rzucił jakby mimochodem ojciec Abbey.

- Tylko ja i jeszcze troje innych ludzi, dwóch techników i specjalistka od łączności.

Mieszkamy w tych domkach w dolinie.

- Z rodzinami?

- Nie przyjmujemy tu rodzin. Zmieniamy się co trzy miesiące: trzy miesiące na wyspie i trzy poza nią. To mój czwarty rok. Płaca jest wyśmienita, no i człowiek ma szansę oderwać się od świata. Poczytać. Pomyśleć. Nawiasem mówiąc, nazywam się Fuller. Jordan Fuller. Wyciągnął wiotką dłoń i przywitał się ze wszystkimi.

Ojciec Abbey pił kawę. Deszcz tłukł o szyby. Nawet tu, na szczycie wyspy, Abbey słyszała stłumiony ryk fal rozbijających się o skały poniżej.

- A więc jest pan tu dziś w stacji całkiem sam? - spytał Straw, mieszając ponownie kawę.

- Nie, w stacji jest technik. Ja pełnię funkcję strażnika. Teraz w stacji jest doktor Simie.

- A kiedy on kończy zmianę?

- Ona. Dopiero o siódmej.

- Chcielibyśmy zobaczyć się z doktor Simie - rzekła Abbey.

Fuller pokręcił głową.

- Przykro mi. Nie mogę was tam zaprowadzić. To zabronione.

- Niech pan da spokój - rzuciła Abbey ze śmiechem. - Byłam tam już dwa razy na wycieczce szkolnej.

- Ach, to co innego. Często odwiedzają nas wycieczki szkolne. Ale tak na co dzień nie wpuszczamy tu gości. Drzwi są przez cały czas zamknięte.

- Ale pan może je otworzyć? - spytał ojciec Abbey, wstając.

- Oczywiście. Dlaczego pan pyta?

Straw wyjął zza paska rewolwer i położył delikatnie na blacie stołu, przez cały czas dotykając palcami kolby.

- Wobec tego proszę, żeby pan to zrobił.

94

Prezydent wpatrywał się ze zniecierpliwieniem w przeciwny koniec sali obrad. Na monitorach widać było przekazy na żywo z CNN, MSNBC, FOX i Bloomberg.com, z wyłączonym dźwiękiem. Ukazywały obraz Księżyca, astronomów, z którymi rozmawiali dziennikarze, i narastający chaos wywoływany coraz częstszymi przerwami w dopływie prądu i awariami komputerów.

Ford wszedł do sali wraz z innymi i wszyscy w dalszym ciągu stali, czekając, aż prezydent raczy w końcu usiąść. Ale on tego nie zrobił. Na ekranach, które przełączono w tryb wideokonferencji, pojawiły się twarze generałów, członków gabinetu i innych wysokich rangą urzędników państwowych.

- No dobra - rzekł prezydent - słucham.

Lockwood skinął na swojego asystenta i na największym ekranie na drugim końcu sali pojawiło się zdjęcie maszyny z Deimosa.

- To, co pan widzi, panie prezydencie, jest zdjęciem wykonanym przez marsjańską sondę orbitalną dwudziestego trzeciego marca tego roku, przedstawiającym obiekt ukryty w głębi jednego z kraterów na księżycu Marsa, Deimosie. W kraterze Voltaire. Na początek garść informacji: Mars ma dwa niewielkie księżyce, nazwane Pho-bos i Deimos na cześć greckich bogów strachu i trwogi. Oba wydają się względnie niedawno przechwyconymi asteroidami i mówię tu o okresie rzędu pół miliarda lat. Od dawna zastanawiały astronomów, którzy nie byli w stanie wytłumaczyć, jak Mars mógł przechwycić te dwie asteroidy i umieścić je na tak idealnych, kolistych orbitach. Przypuszczali, że w grę wchodziło trzecie ciało, które odebrało część momentu pędu dwóm pozostałym i odleciało gdzieś w nieznane. To zawsze wydawało się astronomom wysoce nieprawdopodobnym zjawiskiem.

- Co to ma z tym wszystkim wspólnego?

- Panie prezydencie, wysunięto teorię, że zarówno Phobos, jak i Deimos mogły zostać umieszczone sztucznie na orbicie Marsa.

- No dobrze. Słucham dalej.

Lockwood odchrząknął.

- Obiekt, który widzi pan na tym zdjęciu, a który my nazywamy maszyną z Deimosa, z całą pewnością nie jest tworem naturalnym. Wierzymy, że został zbudowany przez nieznaną pozaziemską cywilizację. Jesteśmy przekonani, że właśnie ten obiekt jest źródłem promieniowania gamma, które wychwyciła marsjańska sonda orbitalna. Uważamy również, że ów obiekt wystrzelił czternastego kwietnia w kierunku Ziemi cząstkę materii dziwnej, a wczoraj wieczorem już większą cząstkę tej samej materii wystrzelił w kierunku naszego Księżyca, niszcząc w ten sposób, jak pan wie, Bazę Spokoju. Stąd nasze przeświadczenie, że mamy do czynienia z jakimś rodzajem broni.

- Pobieźna analiza erozji powierzchniowych - kontynuował po chwili Lockwood - powstałych wskutek bombardowania przez mikro-meteoroidy i nagromadzenie regolitu wokół konstrukcji pozwala określić jej wiek na od stu do dwustu milionów lat. Wszystkie satelity, jakie mamy na orbicie wokół Marsa i które można było przekierować na Deimosa, zostały już przekierowane.

- Deimos - ciągnął Lockwood - wygląda jak zniekształcony ziemniak, nie wiruje jak zwykła planeta. Raczej sprawia wrażenie, jakby się toczył. Najwyraźniej maszyna z Deimosa nie może oddać strzału, dopóki krater Voltaire nie jest zorientowany w kierunku Ziemi. A ponieważ jest to głęboki krater, zorientowanie musi być maksymalne. Zdarza się to niezbyt często, ale też nieregularnie.

- I?

- Takie ustawienie miało miejsce w kwietniu, tamtej nocy, kiedy wystrzelona została cząsteczka materii dziwnej. Do następnego doszło minionego wieczoru. Widział pan, co się stało z Księżycem.

- Kiedy kolejne?

- Za trzy dni.

- Kiedy satelity znajdą się na pozycjach wokół Deimosa? - spytał prezydent.

- Za parę tygodni - odrzekł Lockwood.

- Dlaczego tak długo?

- Większość wymaga wsparcia grawitacyjnego i orbitalnego. Nie mają paliwa, by się przemieszczać wedle naszego życzenia.

- Czy jest możliwe - dążył prezydent - że przekierowanie naszych satelitów na orbitę wokół Deimosa może zostać uznane za przejaw wrogich działań z naszej strony?

- Satelity są niewielkie, delikatne i ewidentnie nieuzbrojone - odparł Lockwood. - Ale owszem, istnieje niebezpieczeństwo, że wszelkie nasze działania mogą zostać mylnie zinterpretowane. Mamy do czynienia z obcym rozumowaniem, nawet jeśli jest to forma sztucznej inteligencji. Poza tym może być ona uszkodzona. Wadliwa.

Dyrektor centrali wywiadu zapytał:

- Ta materia dziwna, która, jak pan powiedział, została wystrzelona w kierunku Ziemi - nie rozumiem, dlaczego jest taka niebezpieczna. Co ona właściwie robi?

Lockwood odpowiedział:

- To odmiana materii, która przekształca zwykłą materię w materię dziwną przez samo zetknięcie z nią, tak jak Midas zmieniał w złoto wszystko, czego dotknął.

- Gdzie tu zagrożenie?

- Po pierwsze, Ziemia zmniejszyłaby się do rozmiarów piłki baseballowej. A potem, ponieważ materia dziwna jest niestabilna, eksplodowałaby z siłą tak wielką, że zniszczyłaby cały Układ Słoneczny, gdyż materia dziwna, dostawszy się do jądra Słońca, wywołałaby jego eksplozję, a w efekcie unicestwienie sporej części naszej Galaktyki - głęboki ochryply głos Lockwooda rozbrzmiał w sali złowieszczym echem.

- Dlaczego zatem ta wystrzelona cząstka po prostu przeszła przez Ziemię na wylot, nie niszcząc jej?

- Była niewielka i miała sporą prędkość. Przetworzyła nieco materii, ale ta materia ją oblepiła i w takiej postaci pojawiła się po drugiej stronie Ziemi, w punkcie wylotowym. To dlatego nie było wielkiej eksplozji ejektamentów, magmy i tym podobnych, kiedy się wyłoniła. Nie wytworzyła też silnej fali sejsmicznej. Przeszła jak rozgrzany nóż przez masło. Nasi geolodzy twierdzą, że próżniowy otwór, jaki utworzył się na drodze przejścia tej cząsteczki, natychmiast został zamknięty. W wypadku Księżyca cząstka byłaby znacznie większa. Miała zbyt dużą prędkość, aby przekształcić Księżyc, ale była na tyle duża, by wywołać olbrzymią falę sejsmiczną, która sprawiła, że Księżyc zadzwieczał jak dzwon, i wywołała wyrzucenie w przestrzeń kosmiczną strugi szczątków.

- Zatem jedyne, co musi zrobić ten obiekt - powiedział dyrektor centrali wywiadu - to wystrzelić jeszcze jedno dziwadetko w kierunku Ziemi i będzie po nas.

- Otóż to. Kluczowym czynnikiem jest prędkość. Jeżeli cząstka zostanie wystrzelona z na tyle małą prędkością, by została uwięziona wewnątrz Ziemi, to możemy pożegnać się z życiem.

W sali zapadła długa cisza.

- Jeszcze jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał. Wreszcie prezydent powiedział:

- Ale dlaczego? Dlaczego to coś nas atakuje?

- Nie wiemy. Nie mamy nawet pewności, czy to faktycznie atak. Może to jakaś pomyłka. Błąd w oprogramowaniu. Sugeruje się nam... - przerwał Lockwood - że machina z

Deimosa może już od jakiegoś czasu monitorować naszą planetę, przechwytyjąc i analizując transmisje radiowe i telewizyjne. Może doszła do wniosku, że stanowimy na tyle niebezpieczny gatunek, iż należałoby nas wyeliminować. A może umieściła ją tam skrajnie agresywna rasa obcych, która pragnęła wyeliminować wszelkie inteligentne formy życia, jakie mogły się rozwinąć w Układzie Słonecznym, innymi słowy zdławić ryzyko w zarodku. A może dopiero co została uaktywniona. Pierwszy strzał czternastego kwietnia oddała zaledwie trzy tygodnie po tym, jak marsjańska sonda orbitalna omiotła powierzchnię Deimosa wiązką przenikających w głąb gruntu fal radarowych.

Prezydent krążył przed ekranem, na którym widać było zdjęcie maszyny z Deimosa.

- Wiadomo, czym są te kuliste wypustki albo ten cylinder? - zapytał.
- Nawet nie zaczęliśmy tego analizować.

Prezydent znowu zrobił kilka kroków w tę i z powrotem.

- No dobrze, jakie są rekomendacje Biura do spraw Nauki i Polityki Technologicznej?
- Nie mamy żadnych, panie prezydencie.

Krótko, pełna konsternacji cisza.

- Nie tego od was oczekiwałem - rzekł z rozdrażnieniem w głosie prezydent. - Prosiłem o radę w kwestii dalszych działań.

Lockwood odchrząknął.

- Niektóre problemy wykraczają poza nasze doświadczenia i są tak niepojęte, że byłoby nieodpowiedzialnością, gdybyśmy próbowali zasugerować jakiegokolwiek działania. To właśnie jeden z takich problemów.

- Ale z pewnością opracowaliście jakiś plan ataku na tę konstrukcję... zniszczenie jej bronią atomową czy czymś takim. Generale Mickelson?

- Panie prezydencie, jestem wojskowym. Instynkt nakazuje mi walczyć. Z początku byłem za przeforsowaniem opcji militarnej. Jednak doktor Lockwood przekonał mnie, że wszelkie agresywne posunięcia mogłyby się okazać niebezpieczne. Nawet dyskusja o działaniach militarnych może spowodować kolejny atak. Maszyna z Deimosa może w jakiś sposób monitorować nasze przekazy.

- Nie przyjmuję tego.

- Ta maszyna jest w stanie unicestwić nas w okamgnieniu. Jesteśmy bezradni jak ślepe kocięta. Bezsilni. Wszelkie opcje militarne wymagałyby wielu lat opracowywania szczegółowych planów do momentu realizacji i rozwiązania byłyby oczywiste, nawet gdybyśmy starali się utrzymać je w największej tajemnicy. Koniec końców musielibyśmy wystrzelić coś w kosmos, a dotarcie do Marsa zajęłoby dziewięć miesięcy. Chyba nie możemy liczyć na to, że maszyna będzie czekać beczynnienie i pozwoli się zniszczyć.

Prezydent spojrział na dyrektora NASA.

- Dziewięć miesięcy? Czy to prawda?
- Minimum. A następne okienko dla dogodnego wystrzelenia obiektu w kierunku Marsa będzie dopiero za dwa lata.

- Jezu.

- Możemy jedynie zebrać więcej informacji na temat tego artefaktu w ostrożny, nieagresywny sposób - rzekł Mickelson.

- Nie mamy czasu - powiedział prezydent - skoro ta maszyna może oddać do nas kolejny strzał w ciągu zaledwie trzech dni! To tak, jakbyśmy mieli miecz Damoklesa nad głowami.

Mickelson rozłożył ręce.

Prezydent zaklął, jego spokój prysnął zupełnie.

- Ma ktoś jakiś dobry pomysł?

Ford wstał.

- Kim pan jest?
- Wyman Ford, były agent CIA. Zostałem wysłany incognito do Kambodży, aby zbadać krater po uderzeniu, a raczej otwór wylotowy.
- No tak. To pan wysadził kopalnię.
- Panie prezydencie, to nie jest już tylko problem Stanów Zjednoczonych. Cały świat musi się z nim zmierzyć. Musimy odsunąć na dalszy plan wszelkie animozje i różnice zdań. Potrzebujemy zmasowanej mobilizacji technologicznych środków całego świata, najlepszych, naj-bystrzejszych umysłów i pełnego wsparcia ze strony prasy. Aby tego dokonać, wszyscy muszą wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Świat musi się dowiedzieć. Natychmiast rozległy się głośne protesty. Prezydent zaraz je uciszył.
- A więc myśli pan, że ludzie za mało jeszcze panikują? Nie oglądał pan telewizji?
- Owszem, oglądałem.
- Potężny impuls elektromagnetyczny powstały przy tym uderzeniu spowodował przerwę w dostawach prądu i awarie sieci komputerowych na całym świecie. Otrzymujemy raporty o samobójczych zamachach na Bliskim Wschodzie i masakrze chrześcijan w Indonezji. W naszym kraju ludzie gromadzą się w kościołach, oczekując, że zostaną wzięci do nieba. A pan chce jeszcze podsycać tę panikę?
- Bez paniki niczego się nie osiągnie.
- Możemy stanąć w obliczu wojny atomowej.
- To ryzyko, jakie musimy podjąć.
- To ryzyko, którego ja nie jestem gotów podjąć - oznajmił oschłym tonem prezydent. - Ujawnienie tej sprawy nie wchodzi w rachubę.
- To nie jest tylko propozycja do rozważenia - odrzekł Ford - bo już wkrótce i tak stanie się ona faktem. I wszyscy obecni w tej sali powinni być na to przygotowani. Ford zaczął wyjaśniać, co zrobił z prawdziwym twardym dyskiem.

95

Fuller powoli podniósł się z fotela, spoglądając na rewolwer, a na jego twarzy malowały się zaskoczenie i szok.

- Co, do cholery...
- Tylko spokojnie - rzekł Straw. - Nikomu nic się nie stanie. Proszę unieść ręce i wstać. Tylko bez bohaterzczyzny.

Strażnik podniósł ręce.

- Abbey, zabierz mu broń.

Dziewczyna próbowała uspokoić rozkołataną serce. To było jeszcze bardziej przerażające niż przebywanie na łodzi w czasie sztormu. Wyciągnęła rękę, odpięła zatrzask i wyjęła pistolet, który strażnik miał w kaburze przy pasie. Potem zabrała mu również pałkę i coś, co wyglądało jak pojemnik z gazem pieprzowym.

- Co wy wyprawiacie, u diabła? - zapytał półgłosem Fuller.
- Bardzo mi przykro, ale już wkrótce wszystko się wyjaśni.

Straw pozostał na swoim miejscu, wciąż trzymając dłoń na rewolwerze.

- Jak na razie proszę robić to, co każemy, bez gadania. Działamy w słusznej sprawie. Może pan wierzyć lub nie, ale jesteśmy porządnymi ludźmi.

Strażnik łypnął na niego, po czym przyjrzał się kolejno całej trójce.

- Porządnymi ludźmi? Jesteście popieprzonymi świrami i tyle.
- A teraz proszę otworzyć drzwi i przedstawić nas doktor Simie. Od tej pory, Fuller, nie będę się powtarzał, więc słuchaj uważnie i rób, co każę.

Abbey był skonsternowana. Nigdy nie widziała swojego ojca tak spokojnego, zdeterminowanego i przerażającego.

- Dobra.

Strażnik wstukał kod na panelu przy drzwiach i otworzył je. Weszli do korytarza z gazobetonu kończącego się w wielkiej jak hangar hali pod kopułą. Pośrodku stała wielka antena paraboliczna wsparta na zardzewiałym rusztowaniu z żelaza. Bębnienie deszczu i zawrodożenie wiatru wypełniły przestrzeń stłumionym jęklwym dźwiękiem, który brzmiał dość dziwnie, jakby znaleźli się w brzuchu jakiejś olbrzymiej bestii.

Na obrotowym fotelu przy stanowisku pełnym staroświeckich konsoli, pokręteł, gałek i oscyloskopów siedziała kobieta. Nie zwróciła na nich uwagi, grała w grę komputerową na włączonym z boku iMacu.

- Jordan! - zawołała zdziwiona, podnosząc się z fotela. - Co to? Mamy gości?

Simie była szczupłą, zdumiewająco młodą kobietą o gęstych brązowych włosach i ciemnych oczach. Nie miała makijażu. Była ubrana w obcisłe czarne dżinsy i bawełnianą koszulę w paski, przez co wyglądała jak studentka z college'u.

- Saro, on ma broń - rzekł Fuller.

- Co to ma znaczyć?! •

Simie odskoczyła w tył.

- Spokojnie - wycodził Straw. - Doktor Simie, pani jest kierownikiem stacji?

- Tak - wykrztusiła.

- Umie pani obsługiwać tę antenę?

- Tak.

- Przepraszam za to najście, ale inaczej się nie dało.

Ojciec odwrócił się do Abbey.

- Wyjaśnij pani doktor, co chcielibyśmy, aby dla nas zrobiła.

96

Simie spojrzała na Abbey przenikliwym wzrokiem.

- To jakiś żart?

- Traktujemy to bardzo poważnie - odrzekła Abbey. - Chcielibyśmy, aby zmieniła pani ustawienie tej anteny.

Po chwili Simie rzuciła krótko:

- Zgoda.

- Skieruje ją pani na Deimosa. Wie pani, o czym mówię, o Deimosie, jednym z księżyców Marsa. Może to pani zrobić, prawda?

Simie opuściła ręce. Wyraz zdziwienia na jej twarzy zastąpiła wrogość.

- Może.

- Tak czy nie? Podejrzewam, że współrzędne obecnego położenia Deimosa może pani uzyskać w internecie.

- Może, gdybyś wyjaśniła mi, co się dzieje.

Straw uniósł rewolwer i wycelował w górę.

- Pani doktor, proszę odpowiadać na pytanie i robić to, co ona pani każe. Zrozumiano?

- Tak - przytaknęła Simie, a na jej twarzy nie było oznak zaniepokojenia czy strachu. -

Mogę skierować tę antenę w kierunku Deimosa. Ale gdybyście powiedzieli mi, o co wam chodzi, może mogłabym lepiej wam pomóc.

Abbey zamyśliła się nad tym przez chwilę. Warto było chociaż spróbować.

- Widziała pani, co stało się dziś z Księżycem?

- Masz na myśli to uderzenie asteroidy?

- To nie było uderzenie asteroidy. To w ogóle nie było naturalne zjawisko. Tylko strzał ostrzegawczy. Demonstracja siły.

- Ale... czyjej siły?

- Jakiś czas temu marsjańska sonda orbitalna sfotografowała obiekt na mniejszym z księżyców Marsa, Deimosie. Ten obiekt znajdował się tam od bardzo dawna, może nawet umieszczono go tam, zanim jeszcze na Ziemi pojawił się homo sapiens. Zbudowała go obca

cywilizacja. To urządzenie wydaje się bronią i oddało strzał w kierunku Księżyca. To nie była normalna asteroida, lecz cząstka materii dziwnej, tak zwane dziwadełko. Widziała pani, jak to wyglądało. Pocisk przebił Księżyc i wyleciał po drugiej stronie.

Simie popatrzyła na nią i przełknęła ślinę, w szarych oczach malowało się powątpiewanie.

- Dwa miesiące temu - ciągnęła Abbey - obiekt na Deimosie także oddał strzał, w kierunku Ziemi. Pocisk trafił w Shark Island niedaleko stąd, przebił Ziemię na przestrzał i wyleciał w Kambodży.

- Skąd masz te wszystkie... informacje?

- Mamy dostęp do ściśle tajnych rządowych danych z Instytutu Badań i Rozwoju Napędów.

Simie zamrugnęła.

- Szczerze mówiąc, twoja teoria wydaje się szalona i absurdalna i poważnie powątpiewam w to, czy jesteś przy zdrowych zmysłach.

- Może sobie pani powątpiewać - ucięła Abbey - Ale żądam, aby skierowała pani tę antenę w stronę Deimosa, a ja prześlę wiadomość dla tego obcego obiektu.

Usta Simie poruszyły się.

- Wiadomość? Tak jakbyś telefonowała?

- Mniej więcej.

- Jaką wiadomość?

Nadeszła chwila prawdy Abbey ogarnęła obezwładniająca panika. Co powinna teraz powiedzieć? W myślach ujrzała wspomnienie tej jakże długiej nocy, ataku na wyspie, ucieczki i pościgu, przerażającego starcia przy Devil's Limb i głośniego młaśnięcia, z jakim dziób łodzi uderzył w ciało zabójcy, wrzucając go na pewną śmierć w kipiel oceanu.

I nagle zorientowała się, że wie doskonale, jaką ma przesłać wiadomość. Odpowiedź kryła się w tym, co wydarzyło się tej nocy. To było

takie proste, takie logiczne... takie idealne. A może... wszystko skończy się katastrofą.

97

Abbey stanęła za Simie, gdy ta weszła do internetu, używając swojego iMaca, i zaczęła przeszukiwać rozliczne bazy danych, aby odnaleźć bieżące dane orbitalne Deimosa w czasie rzeczywistym.

- Mars znajduje się na niebie, a Deimos jest tuż przed nim - powiedziała. - Idealne warunki do przesłania wiadomości.

Znow przez chwilę stuknęła w klawisze, po czym wykonała na kartce kilka obliczeń. Zapisała współrzędne niebieskie księżyca Marsa i podeszła z kartką do starej klawiatury komputerowej z wypukłym monitorem starego typu.

- Jaka jest procedura? - spytała Abbey

- Całkiem prosta. Wpisuję współrzędne niebieskie, a komputer określa aktualną pozycję na niebie i wycelowuje antenę w odpowiednim kierunku.

Simie stuknęła długimi palcami w klawiaturę, na ekranie pojawiła się informacja z żądaniem hasła, które zaraz wpisała. W końcu wstała, podeszła do szarego panelu ozdobionego przełącznikami i przestawiła kilka z nich. Przez chwilę nic się nie działo. Wreszcie przy wtórze zgrzytu i chrzęstu metalu oraz warkotu silników elektrycznych ogromny talerz zaczął się obracać na nieoliwionych trybach, powoli, prawie niedostrzegalnie się unosząc. Zgrzyt kół zębatych i skrzypienie metalu wypełniły wnętrze kopuły, na krótką chwilę zagłuszając odgłosy sztormu. Minęło kilka minut, aż przy wtórze głośniego klank! talerz znieruchomiał. Simie wstuknęła coś na klawiaturze, odczytała na głos ciąg cyfr i usiadła wygodniej.

- W porządku. Ustawiona.

- Jak mogę przesłać wiadomość?

Simie zamyśliła się przez chwilę.

- Wykorzystujemy specjalną częstotliwość do nawiązywania bezpośredniej łączności z satelitami nadawczymi. Głównie dla kalibracji, choć korzystaliśmy z nich, kiedy byliśmy jedną ze stacji ziemskich pozostających w kontakcie z sondą wysłaną w kierunku Saturna. Myślę, że moglibyśmy wykorzystać ten kanał.

Simie przerwała. Abbey odniosła wrażenie, że wychwyciła drobny cień sympatii, jeżeli nie zaciekawienia, pośród powątpiewania malującego się na twarzy kobiety.

- Chcesz przesłać wiadomość głosową... czy w formie pisanej?

- Pisanej. Czy jeśli tamten obiekt odpowie, będziemy w stanie przeczytać komunikat?

- Jeżeli odpowie... - Simie przerwała. - Myślę, że ten obcy artefakt będzie na tyle bystry, by odpowiedzieć na tej samej częstotliwości i w tym samym formacie ASCII. Zakładając rzecz jasna, że potrafi czytać i pisać w języku angielskim. - Odchrząknęła ostentacyjnie. - Jeżeli mogę zapytać... jesteście z jakiejś sekty?

Abbey spojrzała na nią.

- Nie, choć domyślam się, dlaczego mogła pani tak pomyśleć.

Simie pokręciła głową.

- Tak tylko spytałam.

- Może pani przechwycić odpowiedź?

- Ustawię sprzęt na transmisję zwrotną. Jeżeli komunikat wróci, jego treść zostanie wydrukowana na tej drukarce. Będziemy potrzebowali papieru.

Odwróciła się do Fullera.

- Podaj mi papier, Jordy, dobra? Jest w tamtej szafce.

- Zaraz przyniosę - powiedział Fuller.

- Ja to zrobię - rzuciła Jackie i wysunęła szufladę.

Wyjęła grubą ryzę papieru i podała Simie.

- To powinno wystarczyć na Wojnę i pokój w wersji kosmitów - mruknęła oschle Simie, załadowując papier do drukarki.

- Kiedy już wyśle pani tę wiadomość - powiedziała Abbey - proszę się upewnić, że antena jest włączona na pełną moc. Mars znajduje się znacznie dalej niż satelita łączności krążący na orbicie geostacjonarnej.

- Zrozumiałam - odparła Simie.

Jej palce śmigały po klawiaturze, pokręciła gałkami i przełącznikami przy starej metalowej konsoli, pomanipulowała przy pokrętlach, po czym usiadła na fotelu.

- Gotowe. Wszystko jest ustawione tak, jak trzeba.

- Świetnie - powiedziała Abbey, po czym wzięła kartkę papieru i napisała na niej dwa słowa. - Oto wiadomość.

Simie wzięła kartkę i przez dłuższą chwilę wlepiła w nią wzrok. Wreszcie przeniosła spojrzenie swoich szarych oczu na Abbey.

- Jesteś pewna, że to rozsądne? Zakładając, że to, co mówisz, jest prawdą, treść tej wiadomości wydaje mi się wyjątkowo niebezpieczna, a w najgorszym razie nieprzemyślana.

- Mam swoje powody - odparła Abbey.

- No dobrze.

Simie obróciła się na fotelu i uniosła palce nad klawiaturą, zamarła w bezruchu.

Wreszcie skinęła głową, wpisała dwa słowa i wcisnęła klawisz wysyłania wiadomości oraz odbioru odpowiedzi zwrotnej. Następnie wstała, pokręciła kilkoma gałkami, spojrzała na oscyloskop. Rozsiadła się wygodnie na fotelu. Sekundy mijały. Pomieszczenie wypełniły odgłosy burzy

- No cóż - rzekł Fuller tonem pełnym sarkazmu - na drugim końcu łączy dzwoni telefon, ale nikt nie odbiera.

- Mars znajduje się o dziesięć minut świetlnych od nas - powiedziała Abbey. - Na odpowiedź przyjdzie nam poczekać dwadzieścia minut.

Zauważyła, że Simie przygląda się jej dziwnie i jakby trochę z szacunkiem.

Abbey nie odrywała wzroku od starego zegara odmierzającego czas nad konsolą. Wszyscy stali w bezruchu, jej ojciec, Jackie, Fuller. Sztorm zatrzęsł starą kopułą. Zamiast słabnąć, burza chyba jeszcze bardziej przybrała na sile, wydawało się, jakby jakiś potwór drapał ściany kopuły i tłukł się o nie, usiłując wedrzeć się do środka. Gdy

Abbey patrzyła, jak wskazówka na zegarze przesuwają się po tarczy, ponownie ogarnęły ją wątpliwości. Wiadomość była absolutnie niewłaściwa, może nawet niebezpieczna. Bóg raczy wiedzieć, co mogła zapoczątkować. A teraz jeszcze będą mieli kłopoty z powodu napaści z bronią w ręku i przejęcia placówki rządowej. Nowa łódź jej ojca leżała na dnie oceanu, a on sam stanie przed sądem pod zarzutem kierowania grupą przestępczą i gróźb karalnych z użyciem broni, co było poważnym przestępstwem. Zrujnowała życie sobie, przyjaciółce i ojcu. Dla wiadomości, która mogła nie zadziałać albo przynieść przerażający niezamierzony skutek.

Sekundowa wskazówka zegara nieprzerwanie zataczała kolejne kręgi. Może Jackie miała rację. Trzeba było pozostawić ten problem rządowi do rozstrzygnięcia. Ford był w Waszyngtonie, bez wątplenia właśnie wszystko prostował. Poza tym, że wiadomość była idiotyczna, a plan zbyt prosty, pewnie i tak się nie uda. No bo kto by wysłał taką kretyńską wiadomość? Co jej przyszło do głowy?

- To już dwadzieścia minut - odezwał się Fuller - a ET. jakoś nie dzwoni do domu.

W tej samej chwili rozległ się dźwięk uruchamianej starej, zakurzonej drukarki.

98

Ford wytłumaczył wszystko od początku do końca, pomijając jedynie informację, dokąd przesłał twardy dysk.

- Wszyscy tu obecni - powiedział - traktujecie tę sprawę jak sytuację kryzysową na szczeblu krajowym. A wcale tak nie jest. To kryzys o charakterze ogólnoświatowym. Chodzi o bezpieczeństwo całej naszej planety. Właśnie dlatego przesłałem twardy dysk - ten prawdziwy - do prasy, a zapasowe kopie płyt DVD do kilku stacji telewizyjnych i najważniejszych organizacji. Nie zdołacie tego powstrzymać. Ale możecie się na to przygotować. Urządziłem to tak, abyście mieli trzy dni, zanim wiadomość się rozejdzie. Macie siedemdziesiąt dwie godziny, aby się na to przygotować, skontaktować się z przywódcami państw i ustalić spójną odpowiedź. Tak, świat ogarnie panika. Ale jest wam ona potrzebna. Wszystkie wielkie rzeczy zawsze dokonywały się w sytuacjach kryzysowych. Teraz wy macie swój kryzys. Dobrze go wykorzystajcie.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Manfred, wstał z ponurą miną i lodowatym spojrzeniem, jego wargi rozchyliły się, ukazując drobne, białe zęby

- Gwoli jasności. Rozesłał pan ściśle tajne materiały do prasy?

- Tak. I nie tylko do prasy.

Manfred wykonał krótki, zdecydowany gest, dając znak dwóm oficerom dyżurnym stojącym przy drzwiach:

- Aresztujcie tego człowieka. Chcę, żebyście wyciągnęli od niego, komu przesłał te dane, a następnie zablokowali ich ujawnienie.

Ford spojrzał na prezydenta, ale on najwyraźniej nie zamierzał interweniować. Lecz gdy oficerowie postąpili naprzód, nieoczekiwanie odezwał się Lockwood:

- Myślę, że powinniśmy przedyskutować to, o czym mówi Ford. Nie należy tego po prostu zamiatać pod dywan. Działamy w sytuacji, z jaką wcześniej nie mieliśmy do czynienia. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego odwrócił się ku niemu. Następnie lodowatym, surowym tonem powiedział:

- Doktorze Lockwood, pan bardziej niż ktokolwiek inny powinien rozumieć znaczenia słów „ściśle tajne”.

Na podkreślenie swoich słów Manfred poprawił węzeł swojego krawata.

Oficerowie ujęli Forda za ramiona.

- Pójdzie pan z nami.

- Znów wracacie do waszej starej gierki - rzucił półgłosem Ford. - Posłuchajcie mnie raz jeszcze: Ziemia stała się celem ataku. Ta broń może unicestwić nas w mgnieniu oka. Za trzy dni Deimos znajdzie się w położeniu umożliwiającym mu ponownie oddanie strzału w naszym kierunku, tym razem niewykluczone, że ostatniego. Wszyscy zginiemy. Kompletna zagłada. Koniec cywilizacji.

- Oszczędźcie nam tego wykładu i wyprowadźcie go - zawołał doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Ford spojrział na prezydenta i z konsternacją stwierdził, że małuje się na niej niezdecydowanie. Lockwood, zastraszony, zamilkł. Nikt nie stanie w jego obronie. Nikt. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Za trzy dni świat i tak się dowie.

Oficerowie powlekli go w kierunku drzwi. Manfred poczłapał za nimi. Gdy wyszli z sali i przeszli przez bramkę zakłócenia pracy komórek, telefon Forda zaczął dzwonić.

- Zabierzcie mu telefon - warknął od drzwi Manfred.

- Poproszę o pański telefon - rzekł oficer, wyciągając rękę.

- Wyman? - dobiegł go głos z komórki. - To ja, Abbey. Jesteśmy w Earth Station na Crow Island. Wysłaliśmy wiadomość na Deimosa. I otrzymaliśmy odpowiedź.

- Poproszę pana natychmiast o telefon.

Oficer sięgnął po jego komórkę.

- Zaczekaj! - zawołał Ford, ale oficer wyrwał mu telefon i wyłączył. Drugi z funkcjonariuszy popchnął Forda w stronę windy.

- Zaczekaj! - zawołał Ford, zwracając się do Manfreda. - Otrzymano przekaz z maszyny z Deimosa!

Manfred zatrzasnął drzwi do sali obrad. Oficerowie dyżurni, do których dołączyło teraz kilku agentów tajnych służb, powlekli Forda w kierunku windy.

- Popelniacie duży błąd - zaczął Ford, ale ich beznamietne zacięte twarze uświadomiły mu, że wszelkie próby przekonania ich miały się z celem.

Drzwi windy otworzyły się i został brutalnie wprowadzony do środka. Kabina zatrzymała się na parterze, skąd przez główny hol wyprowadzono go na zewnątrz, gdzie czekała już na niego furgonetka więzienna. W tej samej chwili jeden z funkcjonariuszy tajnych służb dotknął słuchawki przy uchu. Nasłuchiwał przez chwilę. Następnie odwrócił się do Forda z niewzruszonym jak zwykle wyrazem twarzy:

- Chcą, aby wrócił pan na górę.

Powróciwszy do sali obrad, Ford ujrzał prezydenta stojącego przy końcu stołu i tuż przy nim Manfreda z twarzą niemal fioletową z wściekłości.

- O co chodzi z tą wiadomością? Chcę wiedzieć, o czym, do cholery, mówiłeś.

- Wygląda na to - odrzekł Ford - że moja asystentka wysłała wiadomość do obcej maszyny na Deimosie i otrzymała odpowiedź.

- W jaki sposób?

- Wykorzystując Earth Station na Crow Island w Zatoce Muscongus.

Cisza.

- Jak brzmiała ta wiadomość? - zapytał prezydent.

- Nie wiem. Zabrano mi telefon. Proponuję, abyśmy zadzwonili do nich i się dowiedzieli.

- To nedorzeczne... - rzucił Manfred.

Prezydent uciszył go gestem pełnym rozdrażnienia, wskazując na stojący przy nim telefon.

- Zadzwoń do nich. Przełączymy na głośniki.

Strażnicy puścili Forda. Asystent dał mu kartkę z numerem telefonu do stacji na Crow Island. Ford podszedł, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Co, u diabła, Abbey nawywijała tym razem, zastanawiał się, oczekując na połączenie.

99

Odległy cichy sygnał telefonu oczekującego na połączenie rozbrzmiał przez głośniki w sali obrad, raz, drugi, po czym ktoś pospiesznie podniósł słuchawkę.

- Earth Station na Crow Island.

- Tu Wyman Ford - powiedział. - Dzwonię z sali obrad kryzysowych Białego Domu.

Cisza.

- Mówi doktor Sarah Simie, dyrektor techniczny kompleksu Earth Station. Mam do przekazania... dość niesamowitą i zaskakującą wiadomość - w jej głosie wyczuwało się lekkie drżenie.

- Śmiało - rzucił Ford. - Słuchamy.

- Dam do telefonu Abbey Straw, która nawiązała kontakt. Ona to wyjaśni. Ale powiem tylko, że wiadomość jest prawdziwa i wiarygodna. Sprawdziliśmy wszystko po kilka razy, dla pewności.

Po chwili rozległ się wysoki zdenerwowany głos Abbey:

- Halo?

- Abbey?

- Wyman? Kurwa, nie uwierzysz...

Ford przerwał jej pospiesznie:

- Jestem teraz w sali obrad kryzysowych Białego Domu, Abbey, z prezydentem i wszyscy słuchamy cię przez telefon głośnomówiący.

- Och.

Cisza.

- Przepraszam za mój niewyparzony język.

- Co chciałaś powiedzieć?

- Wysłałyśmy wiadomość na Deimosa, wykorzystując w tym celu antenę z Earth Station.

- Po co?

- Przecież wiesz po co. Tymi strzałami kosmici próbowali przekazać nam wiadomość.

Coś nam powiedzieć. To oczywiste, że machina czekała na naszą odpowiedź, próbowała niejako wymusić odzew z naszej strony. No bo dlaczego nie unicestwiła nas pierwszym strzałem? To był klasyczny strzał przed dziobem, mówiąc żargonem żeglarskim. - Przerwała.

- Pomyślałam, że lepiej, abyśmy odpowiedzieli, bo następny strzał może być ostatni.

- Jak brzmiała wiadomość?

- Najpierw coś wyjaśnię. Pomyśl tylko. Strzał przed dziobem. Po co robi się coś takiego? Aby zmusić daną jednostkę, by się zatrzymała, poddała i zezwoliła na wejście na pokład. Zgadza się? Dlatego pomyślałam, że tej machinie o to właśnie chodziło. I wysłałam taką wiadomość, jaką machina chciała usłyszeć.

Chwila przerwy.

- Czyli jaką? - zapytał Ford.

- Tak jak powiedziałam. Co robisz, gdy pada strzał tuż przed dziobem twojej łodzi?

Poddajesz się. I dlatego wysłałam na Deimosa wiadomość krótką, acz treściwą:

„PODDAJEMY SIĘ”.

Nastała długa, świadcząca o szoku cisza.

- O Boże - jęknął doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Mickelson zbladł ja ściana.

- Jak brzmiała odpowiedź?

- Odczytam ją w całości. Była dość zaskakująca. „KAPITULACJA PRZYJĘTA. CZEKAJCIE. PRZYBYWAMY”.

- Złożyłaś kapitulację? - zagrzemiał prezydent. - Złożyłaś kapitulację w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki?

- Kto tam tak krzyczy?

- Jestem prezydentem.

- Ee. Przepraszam. Nie, panie prezydencie. Nie rozumie pan. Nie ma mowy o poddaniu się. W dawnych czasach statki tak robiły podczas działań wojennych na morzu. Ich załogi tylko udawały, że się poddają, a potem rozwalały w drobny mak drużyny abordażowe, kiedy te najmniej się tego spodziewały. Teraz zyskujemy na czasie, nic więcej. O ile Bóg nie zwiększył ostatnio prędkości światła, upłynie wiele lat, zanim wiadomość z tego przyczółka kosmosu na Deimosie dotrze na ich rodzimą planetę. Minie dwadzieścia, trzydzieści, a może upłyną nawet całe setki lat, zanim nadejdą, w zależności od tego, o ile lat świetlnych od nas są te obce łączy. Przesłanie wiadomości pozwoli nam tylko zyskać na czasie, abyśmy mogli się wziąć do roboty, uzbroić i przygotować na inwazję.

- Czy powiedziałaś „inwazję”? - wtrącił Mickelson.

- Tak. Na inwazję.

Zapadła cisza.

- Chyba nie sądziliście, że naprawdę moglibyśmy się poddać, co nie? - spytała Abbey. - Do diabła z tym, będziemy walczyć!

Słońce zaszło, morze było spokojne, niebo obsypane gwiazdami. Abbey stała na końcu pirsu w Round Pond, spoglądając na ciemną zatokę, białe łodzie rybackie stojące na kotwicach kołysały się w tę samą stronę, jakby poruszała nimi delikatnie jakaś niewidzialna istota. Słaba bryza zmaciła wodę i sprawiała, że olinowanie na potężnej żaglówece uderzało rytmicznie o maszt; dźwięk ten niósł się echem ponad wodą niczym tykanie zegara odmierzającego upływ czasu.

Wyman Ford stanął obok niej.

- To właśnie w tym miejscu ustawiłam mój aparat - rzekła Abbey - kiedy to coś przeleciało wysoko po niebie.

Ford pokiwał głową; z rękami założonymi na piersiach wpatrywał się w morze.

- Zaczęło się od jasnego światła, które napłynęło spoza kościoła w absolutnej ciszy, a potem zaczęło migotać na niebie, przelatując przy wtórze kilku huków fali dźwiękowej, zanim zniknęło za Louds Island, o tam.

- A więc tak się to zaczęło - powiedział Ford. - To niewiarygodne, ile się zdarzyło od tamtej pory.

Opuścił ręce i odwrócił się.

- Przyszedłem, aby się z tobą zobaczyć, bo chciałem zaproponować ci pracę.

Potrzebujemy cię, twoich błyskotliwych opinii. Twojej inteligencji. Z uwagi na to, co nadchodzi.

Abbey poczuła, że się czerwieni.

- Dzięki tobie - ciągnął Ford - mamy czas, by się przygotować. A ty masz czas, by stać się bardziej użyteczną, zdobywając większą wiedzę i wykształcenie. Skończ studia, a przyjmujemy cię do pracy.

- Wylano mnie z Princeton. Kto mi da teraz stypendium? Jestem spłukana.

Ford sięgnął do kieszeni i wyjął białą kopertę.

- Princeton. Pełne stypendium.

- Ale jak...?

- Pociągnąłem za parę sznurków...

Podał jej kopertę.

Zawahala się.

- Weź ją. Potrzeba nam jak najwięcej bystrych, inteligentnych ludzi. Czeka nas mnóstwo pracy.

Przyjęła kopertę. *

- Dziękuję.

Uśmiechnął się i uniósł w dłoni coś jeszcze: kluczyk na łańcuszku. Potrząsnął nim.

- Co to takiego?

- Kluczyki do Marei III.

Przyjęła je kompletnie oniemiała.

- Po tym, co się stało - ciągnął Ford - uznaliśmy, że nie może być inaczej. Z pozdrowieniami od prezydenta. Tym razem to nówka, trzy-nastometrowy Stanley zakotwiczony w Boothbay Harbor. Będziesz musiała tam pojechać i przyprowadzić ją. Zrobisz ojcu niespodziankę.

- Dziękuję... dziękuję...

Abbey poczuła, że wzruszenie ściska ją w gardle.

- Zatopiłeś już dwie łodzie ojca? Myślisz, że uda ci się nie powtórzyć tego po raz trzeci? Pokiwała głową.

Ford zamilkł i wciąż patrzył w stronę morza. Wreszcie znów się odezwał:

- Świat się zmienił. Rzecz jasna nie obyło się bez zamieszek, samobójczych zamachów i szalonych festynów religijnych. Świat islamu stoi w ogniu. Ale wygląda na to, że reszta świata jakoś pokonała ten zakręt. Chiny i Indie też się przyłączyły, a ich eksperci, prawdziwi geniusze, najtęższe umysły, dołączyli do naszych, Rosjan i Europejczyków. Japończycy, Izraelczycy i Koreańczycy są po prostu niesamowici. Wygląda na to, że weszliśmy w okres otwartości i współpracy i to praktycznie na całym świecie z małymi, naprawdę małymi wyjątkami. Możesz być częścią tego wszystkiego... I będziesz.

Abbey spojrzała na Forda. Wciąż wpatrywał się w morze... lub raczej w gwiazdy.

- Gdzie tkwi haczyk?

- Haczyk tkwi w tym, że trudno jest dochować tajemnicy, ale ta bezwzględnie musi zostać dochowana. Zrozumiesz dlaczego, kiedy ją usłyszysz.

- Wiesz, że potrafię dochować tajemnicy.

- W zeszłym tygodniu jeden z satelitów przekierowany na orbitę wokół Deimosa przypadkiem przechwycił potężną emisję sygnałów radiowych z obiektu. Najwyraźniej był to jakiegoś rodzaju komunikat.

- Czy udało się go rozszyfrować?

- Nie. I nigdy nam się to nie uda. Szyfr jest, jak wszystko na to wskazuje, zbyt skomplikowany. Ale najistotniejsze jest nie to, co zawierał przekaz, lecz dokąd był on skierowany.

- No właśnie, dokąd?

- Skierowano go w stronę pozostałości gwiazdnej w konstelacji Corona Australis - Korona Południa, znanej jako RXJ. Astronomowie wiedzą o RXJ od wielu dziesiątków lat. Jest bardzo dziwna. To źródło intensywnej emisji promieniowania gamma otoczone potężną, rozchodzącą się coraz dalej chmurą pyłu. Wszystko to jest pozostałością po eksplozji gigantycznej supernowej, która miała miejsce jakieś dwanaście milionów lat temu.

- Co w tym takiego tajemniczego?

- RXJ była głównym kandydatem do tego, co astronomowie określają mianem „gwiazdy kwarkowej” albo „gwiazdy dziwnej”.

- Gwiazdy dziwnej?

- Zgadza się. Kula materii dziwnej, pozostałość po jądrze supernowej. Supernowa unicestwiła cały układ słoneczny, jaki mógł znajdować się wokół pierwotnego słońca RXJ,

choć nie wiemy ani nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, co go tworzyło. Poza tym wysterylizowała całą okolicę gwiazdną intensywnymi strumieniami emisji promieniowania gamma. To mogło się wydarzyć w sposób naturalny. Ale kto wie, może prawdziwa przyczyna tego zjawiska wcale nie była... naturalna.

Ukryte znaczenie zawarte w tych słowach sprawiło, że Abbey przez chwilę nie mogła pozbiierać myśli.

- Chcesz powiedzieć, że tam, dokąd została wysłana wiadomość, nie może już istnieć żadne życie?

- Właśnie tak. A przynajmniej nie w promieniu dziesięciu lat świetlnych. Artefakt wysłał wiadomość do jednego z najbardziej wymarłych i skażonych promieniowaniem zakątków galaktyki.

- Ale... dlaczego? Co to oznacza?

Nawet w półmroku Abbey dostrzegła błysk w oczach Forda, kiedy spojrzał jej w oczy z przejściem. Nie odpowiedział, czekał cierpliwie, aż sama to pojmie. I nagle Abbey zrozumiała.

- A więc ten obcy artefakt wysłał wiadomość z powrotem do swojego macierzystego świata - powiedziała - ale nigdy nie doczeka się odpowiedzi.

Ford pokiwał głową.

- Kimkolwiek byli, już od bardzo, bardzo dawna nie są w stanie odpowiedzieć.

Podziękowania

Autor pragnie podziękować Lincolnowi Childowi, Ericowi Simonof-fowi, Bobowi Gleasonowi, Tomowi Doherty emu, Matthew Snyderowi, Bobbyemu Rotenbergowi, Claudii Riilke, Jonowi Couchowi, Selene Preston i Isaacowi Prestonowi za ich jakże cenną pomoc. Największy na świecie Wielki Zderzacz Hadronów zbada, co wydarzyło się w chwili Wielkiego Wybuchu. Dzieło genialnego naukowca, Isabella, jest najdroższym urządzeniem zbudowanym przez człowieka.

Czy zdoła ujawnić tajemnice wszechświata? A może, jak ostrzegają niektórzy, doprowadzi do zagłady całej planety? A może, jak twierdzi w grzmiących kazaniach teleewangelista Don T Spates, to Antychryst chce odwrócić dzieło stworzenia i rzucić wyzwanie samemu Bogu? Nadchodzi dzień, kiedy Hazelius i jego grupa naukowców mają uruchomić Isabellę. Świat wstrzymuje oddech.